wolnelektury.pl

Józef Ignacy Kraszewski

Chata za wsią

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Chata za wsią

PAŃSTWU
MICHAŁOWI I MARYI Z SZYMANOWSKICH
VON BLUMENFELDOM,
MALEŃKĄ TĘ PAMIĄTKĘ PRZESYŁA
J. I. Kraszewski.
z Hubina, dnia 20. Grudnia 1852. r.

TOM I

I

Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszém nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to, co się niżéj niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować daléj z głową wzniesioną ku marzeniom, lub odwróconą ku sobie, a co pod nogami mijamy. Tak idąc, ileżto przepuścim mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnéj nie znajdziemy książce, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszém nawet marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry pogląda na te tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcéj siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiéj ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecię wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: ileby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wejrzenia na te pełne bólu, upokorzeń, nędzy i odrzucenia — życie nieznanych, nieszczęśliwych, zapartych istot, ledwie widnych na świecie...

Wiemy doskonale jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniuchne pieluchy od urodzenia i w bronzowanych spoczywającym trumnach; wiemy, jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą, i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencye, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkiemi i znaczącemi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie i jedno mają prawo życia. Naturaliści równie śledzą obyczaje i instynkta drobnéj muszki i ogromnego sępa; czemużby powieścio-pisarz nie miał téż równie prawa opisywać drobnostkowo życie jednéj z tych liszek, które pełznąc po czarnéj ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożałowane?

W ogromnéj a dziewiczéj jeszcze przestrzeni historyi człowieka ileżto zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą; myśmy też w historyi człowieka do zbytku i przesytu namalowali już obrazów uderzających, mijając wdzięczne równie, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwycenia.

Dopiéro dzisiaj postrzegać się poczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednéj strony, i żeśmy wzięli część za całość i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejszém.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryzkie, które się wkrótce śmiesznemi stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcéj odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju z którego łona powstaje. Tak niegdyś Ateny, potém Roma, dziś Paryż i Londyn, dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższym, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który się najwięcéj zbliża do cudzoziemskiego ideału. — W Londynie ideałem bywał Paryż, w Paryżu trochę małpują Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie jak tylko u nas wszystko, co tylko obce. Wartoż tak upokarzającego szału rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemanéj wyższości? — Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłém, swobodném w pewnym względzie (bo na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwachu konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię — przynajmniéj malować. Musimy w niém żyć; — ha! żyjemy; musimy pod klątwą małpować zagranicznych dudków: małpujemy; ale żeby nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy zasługiwały na malowanie i studya!!... *nego! nego! nego!*

Spojrzmyż niżéj! — Brudno — powiecie? Niestety, brudno istotnie; ale jak dla malarza dziedziniec opuszczonéj chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami; tak i dla powieścio-pisarza, łachman daleko bardziéj malowniczy od krochmalnéj sukni balowéj i werniksowanych bucików eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłómaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiosłem hałasować i czernić); wytłómaczyć się z przedmiotu téj powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnéj chatki; że wam dotykać każę łachmanów i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie uczyli grać na fortepianie! Może też na końcu téj bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych tworach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił a człowiek zrozumiał.

II

Byłato sobie... — wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola) trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Po nad nią na równinie szerokiéj, ciągnęły się złociste łany zbóż niewielkiemi czarnemi przecięte laskami; środkiem sioła biegła ledwie dojrzana rzeczułka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach bielały wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiędą. I drzewom i chatom i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad niemi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada rozkrzewiając się coraz daléj a daléj, posuwała się jarem nad rzeczką, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarna, zarastających boki rozdołu. Na wysokiéj płaszczyznie wzgórza, jeden tylko cmentarz za wioską wyniesiony, po nad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie do tak raźnych chatek śmiejących się przywykli, mogli spać potém na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiorów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten, byłato jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jéj częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane po nad drogą; na wierzchołku góry były wrota na łan, i aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznéj, gdzie każda piędź ziemi droga? Jakto tam skąpo wymierzono gruntu umarłym, jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiało i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zielska co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnéj dzwonki, gdzieniegdzie zielenieją na tylą łez użyznionéj roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypiłowali z kruchéj tarcicy i zatknęli krzywo niedbale, na niedługo: pierwsza burza je wywróci, kilka lat w próchno zamienią. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć zielenią: owdzie zamiast pagórka, dół już wklęsły tylko. Takto i z żalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnią tylko po sobie zostawia... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu za szeroka; nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznéj wiatru i burzy nie słychać, za to nieboszczyków na téj górze żaden wicher nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie jak to tu smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiero żywemu!!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka! oj złe nazwanie — lepianka chyba; i to jeszcze zawiele może — szałas, ale i nie szałas jeszcze, stoi to cóś co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęcia, to widocznie pomieszkanie człowieka. Trudno jest sobie cóś nędzniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wicher, gdy się rozhula. Ale czegoto nie dokażą we dwoje; — człowiek z nędzą? Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie ulepione jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku téj przemyślnéj ptaszyny; drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kołków z płotu i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darniną! resztę Bóg dokończył; zasiawszy na téj płaszczyznie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łan chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby, na mogile! Z pośrodka nich wypleciony z chrustu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem staréj maty przyrzucony i udaje komin, z wielkim talentem komedyant!!

Nie nudźcie się, nie nudźcie kochani czytelnicy to coś ciekawszego doprawdy od opisu pałacu w stylu odrodzenia, lub willi gotyckiéj. Idziemy daléj.

Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (cóż na świecie nie zdradza, kołki nawet!), ściany obwiódł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza; górą już się chylą, dołem ani sposobu: dwa czy trzy drągi krzywe, zamiast szkarpów służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniéj przecie od reszty opisania warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne gliną oblepione, w które wstawiono bez ram, kilka brudnego szkła kawałków. Jużciżto okna, bo choć nie puszczają powietrza a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniéj się było budowniczemu wykręcić ale wielki to budowniczy nędza: tworzy z niczego, żaden Palladio tego nie potrafi. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko im się pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbytniki i mówić się zdają: niech się wchodzący nie schyla; a i one razem z kominem i oknami grają komedyą, bo przyszedłszy bliżéj, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki niemało potrzeba było pracować, niemało. W bezleśnym kraju któżbyto tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: Bóg zapłać. A ten, co lepiankę stawił, widocznie musiał po zapłatę odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwiczek, ile westchnień złamało pierś co je lepiła. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kołkami pozabijanych, drążków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jednę pełnić służbę; sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kołków. Byłoż tu pracy, było; ale to dawno, bo dészcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanów ledwie teraz rozpoznać można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, naprost cmentarza, na łysym wzgórku, od wsi o staje; a spytacie pewnie, któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach — ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biédne stworzenie, które spieszy się umrzéć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza, nad miejsce wiekuistego spoczynku?

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Daléj, daléj w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący zdaleka; śliczny dwór, nowiuteńki, czyściuchny, a tak posadzony zręcznie, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościołek i lasy w dali. Cmentarza ztamtąd ani słychu, ale téż po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się później: teraz się zwrócimy do chatki.

Przed laty kilkudziesięciu, nim jeszcze ten wspaniały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada cyganów, któréj, jak zwykle, naczelnik zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą; cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania, jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzałego Wschodu czy Południa.

W istocie; w twarzach i stroju tych przybłędów było cóś tak nienaszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiejąc pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnéj koczującéj doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chléb, z zakasanemi po łokcie rękawami powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich cyganie nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a powracający z pola, byłto bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z pługami wśród ulicy. Banda tych cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadełko i inne żelaztwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała średniego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dziecięciem u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał do koła jéj ogorzałéj twarzy o oczach błyszczących, i koralowych szerokich ustach; fałdzista wielka chusta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziecię nagie zupełnie i ustami przyczepione do macierzyńskiéj piersi.

Wzrok téj kobiety, na któréj twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się cóś roić o niém, a na resztę świata nie chciéć spojrzéć nawet. Mężczyzna, który silną dłonią wiódł za sobą wóz ich podróżny, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiéj a chmurnéj fizyognomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porosłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą, zasmoloną i zdartemi spodniami, szedł boso, z odsłonioną głową, któréj tylko włos kędzierżawy bronił od słońca i wiatru; ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem, z tak poważném wejrzeniem, żeś zaraz w nim poznał wodza gromady, *Romów* (tak się zowią często cyganie).

Koło niego, po za nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat miéć mogących; chłopak dwudziestokilkoletni, dziewczyna smukła, pięknéj kibici, może ośmnastoletnia, trochę wykwintniéj ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba, podstarzały o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz krępy a niski człowiek, i dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszone kołdrami pasistemi, wlokącemi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i poglądając niekiedy na niego; wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiéj czapie baraniéj; patrzyli oni i milczeli, czekając z czém téż się odezwą podróżni. Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowéj czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu skłonił się nieco:

— Bóg z wami, panie gospodarzu — odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby po za tą mową pożyczaną, inna obca, druga się ukrywała. — Pewnie wy tu jesteście starszym?

— A jakby tak, to cóż? — spytał dosyć się szanując i z wysoka Maxym Lach.

— A jakby tak, — odparł cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa — tobym was prosił, żebyście mi pozwolili przenocować we wsi.

— Ba! ba! a jutroby jakiego konia niestało! — rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

— Nie macie się co o to obawiać — z westchnieniem i półuśmiechem odpowiedział cygan. — Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych cyganów, co na cudze patrzą; swojemi rękoma na chleb pracujemy. *Ciurachanów* (złodziei) między nami nie ma.

— Ale zkądże u diaska wiedziéć już możecie, że ja nie mam koni? — z zadziwieniem zakrzyknął Maxym Lach, który aż podskoczył.

— Cygan wszystko wié, dobrodzieju! obojętnie mruknął dowódzca bandy.

— Toć i licho — czerwieniąc się, a na swoich oglądając, ciągnął daléj niespokojny pan wójt; — gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go, jeno do wsi wjechał, już wie, że u mnie koni nie ma. To znachor!

— Jakito znachor? — rzekł powoli ruszając ramionami cygan. — Ot zaraz wam opowiem zkąd co wziąłem, a dziwić się przestaniecie, żem tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoréj mili ztąd; chwała Bogu ludzie się tam na Aprasza nie poskarżą: dużo się roboty przez nasze ręce przewaliło. Jakeśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Muryniec dodał: tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma. Otóż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, cyganów reszta znużona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodsi je podnieśli, przypatrując się wiosce, a dziéwczę cygańskie stanęło obok dowódzcy w postawie wdzięcznéj i zdawało się chciéć czarnemi oczyma zmiękczyć ostro dosyć i nieufnie poglądających wieśniaków.

— No, no! jak ono tam jest, to jest, — zawołał Maxym Lach — a wy sobie ruszajcie z Bogiem daléj.

— Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

— Jeszcze słonko nie zaszło, dobijecie się do innéj wsi; u nas tu cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, sparł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

— A cóżto wam złego mogą zrobić cyganie? — odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku. — Was tu tyle, a nas maleńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy i chwała Bogu nie uciekliśmy z niéj, ale nas ludzie pożegnali dobrém słowem i prosili z powrotem.

— Cicho Azaoro, cicho! — tupiąc nogą przerwał cygan — co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do bab! Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się; teraz pora robocza, kowal o dwie mile, ciężko wam niejednemu dzień utracić dla naprawy lemiesza lub naralnika: pozwólcie nam przyzostać, a i my kawałek chleba miéć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi cygan zrobi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot — dodał wskazując — kawałek wygonu, aby namiot rozbić i kociołek powiesić, to dla nas dosyć...

Gdy cygan słów tych domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana i nieznaczne półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Spiesznie począł mówić daléj, bijąc żelazo póki było gorące... i mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do cyganów, zaprowadzono ich na odłóg nad stawem, i tam namiocik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Piérwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobiety nie włóczyły się po wsiach, Aprasz nic nie pożyczał; ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo tanią cenę, w któréj wypłatę wchodził chléb zczerstwiały, obrok dla konia i chuda kura oddawna niepotrzebnie gdacząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, że by go byli chłopi siłą, mocą wstrzymali: tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że téż *Rom* (cygan) niesłychanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhowor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi téż, jak wszędzie na świecie, temu najlepiéj, kto się w porę z sobą popisać umié, i pracą swoją pochwalić i zalety jéj pokazać, a Aprasz celował w umiejętném pochwaleniu się najmniejszą drobnostką.

— Patrzajno — mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka — przypatrzno się; co to za podkowa? Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twéj szkapy róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła. Popatrzajno! gdyby rękawiczka! I nie zakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwożdżę! nie! A w drodze na najsroższéj grudzie nie obleci drugiego dnia, jak po waszych kowalach! Podziękujecie i będziecie Aprasza wspominali!

Słowem, wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili naraz zajęcie: cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie włada tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stękano zawczasu myśląc, co to będzie, gdy go nie stanie.

Trzeba téż przyznać, że postępowanie całéj bandy wiele się przyczyniło do tak ochoczego przyjęcia cyganów; nie widziano dotąd nic podobnego: szpilka nie zginęła na wsi, kobiéty siedziały przy wozach dni całe, ani ich było słychać. Baby same już po leki i po wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódz oboje; cyganki były smutne, dzikie, ostrożne...

Po tygodniu cygan spiesząc dalej, chciał zwijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś! tyle jeszcze złamanych było lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęcia! Sam wójt go przytrzymywał.

Siedzieli Cyganie i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył i pod namiotem znalazła się niespodzianie ziemlanka. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszono się z kowala własnego, pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naralnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakeśmy wspomnieli, z samego wodza bandy, z owéj kobiéty z dziecięciem, która się zwała jego żoną, trojga wyrostków, dwudziestoletniego chłopaka, kilkunastoletniéj dziewczyny oryginalnie pięknego stworzeńka, które miało instynktowe uczucie swego wdzięku, staréj baby, posługacza co przypominał Kulibana poczwarnością, i trzech kobiét nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz byłali to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem? — nie można była z pewnością powiedzieć; zwali się wszyscy dziwnemi imionami, tylko władza jednego despotycznie rządziła niemi. Dwoje starych nie mieli tu powagi swojemu wiekowi właściwéj; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci, oni słuchali pokornie. Zresztą nie byłto pospolity motłoch cygański, ale cóś niby szlachetniejszego grało na ich osmalonych czołach, w oczach czarnych, na mlécznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń tęsknota wygnańców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kaimowych.

Całemi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszczała z kolan, pod rogiem namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepionemi ślepo w drugi róg namiotu; i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jadła, nie zajęła niczém. Czasem mąż zagadał do niéj, ale mu nie odpowiedziała; przybiegły do niéj nagie dzieciaki, nie spojrzała na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało przycisnęła je silniéj do suchéj piersi i dwie prostopadłe marszczki przecinały chmurne jéj czoło. Stara baba posługiwała jéj w podobném milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem niskim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiéty warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcéj robiąc od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała się krew cygańska, wiele się różnił od swojéj braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek; myśli i żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kruczéj czarności i kędzierzawości Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko inaczéj wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tułaczy.

Chłopak ten choć posłuszny rozkazom wodza, choć pracujący z nim razem, nie był mu jednak tak uległy jak inni; często na słowo ostre odpowiadał niemniéj żywo, mierzył się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drżącéj dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby go chciał uderzyć i zęby ścinał i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa;... ale po

chwili zwada uchodziła, i znowu głuche i przerywane tylko biciem młotów następowało milczenie.

Po dniu pracy, młody cygan nie spoczywał ze swemi towarzyszami pod namiotem, rzadko sięgał do kociołka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytała, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwacznie spoglądali zaciekawieni i niespokojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełen krwawych tajemnic w węźle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoję, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie; ci starzy wreszcie, jak bydlęta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim, a nawet wodzowi panować: — budzili ciekawość i roje domysłów.

Z gromady całéj, najdobitniéj cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście, i prócz wdzięku świeżéj młodości, miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, bronzową, ognistą, któréj próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jéj czarne siały ogień, i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżała się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnéj barwy ciemnozłocistéj, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasaną była i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jéj czole, w oczach, ustach, i całéj postawie, szatan czy anioł w kolebce napisał: ty będziesz panować! I szła za swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w téj nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem uczucia swéj potęgi.

Kibić jéj, bo i kibić ma potęgę swoję, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze; czułeś pod obcisłemi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze śpiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się o ideał postaci ludzkiéj otarły. Boska jéj nóżka, czarna jéj ale mała ręka, godne były deptać złociste wezgłowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na téj piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak najcieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: nie każdyby ją był spostrzegł, rzadki się nią zachwycił; potrzeba było uczucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niéj ukryte cudo odgadnąć.

Śmiejcie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą cygankę, a poeta biegłby za nią jak za cudném zjawiskiem.

O! umiałaż się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur korali, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkiełka: — wszystko jéj było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszała się coraz inaczéj od stóp do głów w ubogie swoje świecidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potém pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą, tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jéj przypatrzéć, a spojrzawszy smętnie się uśmiechał czegoś.

Jeden chłopak, dziki ów cygan, coto z wodzem nieraz się śmiał spierać, ani patrzał na piękną towarzyszkę swoję; zdawało się to w nim raczéj silném postanowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czarnemi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowy jak strzałami zatrutymi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: woda się zmarszczy, liść płynie, i znowu niebo się w niéj przegląda. Tumry, tak zwano chłopaka, nie słuchał, nie patrzał, nie odpowiadał; czasem się nachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął i kuł żelazo jak nieżywy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rychło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna, czasem dzień cały dogryzali mu ostrzonemi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się czasem na starego,

bryznął słowem na dziewczynę, lub częściéj zmilczał, dobił końca dnia i uciekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociągnąć piosnką, miodowém słówkiem, długą nauką, lub słodkiemi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe lemiesze i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namiotem wędrownego Tubal — Kaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył: bo język ten zmienia się umyślnie, jak wąż barwiąc coraz inaczéj, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wié, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stworzyło tę mowę splecioną ze dźwięków najdziwaczniejszych. Może w niéj brzmią jeszcze wyrazy robotników, co wołali z wierzchołka wieży Babel, może dźwięczy zaklęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa; może!... ale któż to odgadnie!

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał, cygan, który za przybyciem swéj braci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale palony niepokonaną żądzą usłyszenia choć z daleka dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał, nocą się podkradał tajemnie pod szatrę i godziny całe leżąc na ziemi, pił głos rodzinnego języka, co mu się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach kobiét, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygańskiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo się długiém życiem przetworzył zupełnie i rzadko kto w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mówili, że dawnemi czasy znaleziono któréjś ciężkiéj zimy, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod kupą nawianego śniegu, dwoje zmarzłych ludzi: byłto nagi cygan i cyganka. Oboje napadnięci w drodze mrozem i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko dziécię, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmorzył nad drogą skulonych przy kilkoletniém dziecięciu, które ocalało zasłonione skostniałemi trupami rodziców. Jakiś litościwy gospodarz okrywszy kożuchem dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarzłych cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogiła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęźmi, zowie się: cygan — cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znajdą; wychował się w Stawisku, wyrosł na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę i twarz nawet; zdawało się, że zabył swoich na wieki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniaczkę za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko, dochował się dzieci, i wżył się w wioskę jak w swoję.

A jednak, o wspomnień siło! krwi potęgo! cuda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo i myślał i wzdychał; a kiedy do wsi przybłąkali się cyganie, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niéj mąciło, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i wszérz całą pierś, jakby z niéj chciało wyskoczyć i rzucił się do drzwi, zaryglował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potém jął od braci cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziej pod szatrę Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, któréj z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uśpiony a nie zapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Zrazu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; byłto tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń: chwytasz ją już, a jeszcze zrozumiéć nie możesz. Potém po jednemu, któż wié jaki wyraz spał głębiéj, leżał ciężéj przykryty, z kolei wstawać poczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnemi łzami i wstydził się swych oczu i krył z niemi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły; kochał przeszłość, a bał się do niéj powrócić.

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczęgów; widywał wybiegającego z szatry Tumry, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza i czarne oczy jego żony, nieruchomie wlepione w dziecię, którém żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ognik i słychać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego pryskające węgla.

— Słuchaj Azaoro, to daremnie — mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnąwszy rękę, groziła nią po za namiot ku siedzącemu zdala na urwisku gliniastém Tumry. — Trzeba zapomnieć o tym zdrajcy, to krew nie nasza: to krew *Gadziów* (niecyganów), to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojéj, matka jego była jasno-włosą *Gdzią* (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięża i bierze górę.

Wielki duch, *Mroden-oro* (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie, ile razy połączym się z innym rodem; krew obca zatłumi krew *Romów*. Zostawmy go losowi, który go czeka, niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsłuży co winien za naukę.

— A! byleście go odepchnęli, to pójdzie! — odpowiedziała dziewczyna. — Ptaka ziarnem wabią, nie strzałą...

— Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

— Ja może, ale ty niebardzo; zawsze w nim nienawidziłeś obcego.

— Mamże kochać obcych? — szydersko uśmiechając się odparł Aprasz — dla nas za niemi ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitaż nas kto słowem poczciwém, pożegna dobrém życzeniem, powié nam kto, bracie? Wyklęci, musimy przeklinać!

— A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasno-włoséj matki?

— Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie jęczym... — I klął nieznanym szatanem. — Słuchaj Aza — dodał — dosyć tych wabień i przyciągań; on myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męża, niech go tam *Bynk* porwie (diabeł).

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły z pod warg rumianych; ale w oku jéj nie było uśmiechu... zadrżały jéj usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie téj rozmowy, cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny i szepnął znowu wezwawszy *Bynka*.

— Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niéj gra krew cudzych ludzi, krew *Gadziów*. Już lat trzy milczy i łzy nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! cyganom się nie bratać z białowłosemi; nasza dola wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczów tracą, mrą powoli...

— Daj jéj pokój — odpowiedziała Aza — wypłakała już łzy, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziécię od piersi jéj odskoczy, ona martwa upadnie...

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyjrzał za szatrę, popatrzył na gwiazdy i powalił się na ziemię jak bryła bez życia.

Aza pozostała w miejscu, patrząc gdzieś daleko.

We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imie mu było Adam, a nazwisko — do czegóż wam nazwisko? Puszek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiéro do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przekleństwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnéj, bez zwierzęcego nawet szału. Otwierają oczy gnuśne na świat dla nich bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie bawi nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki piérzem wysłanéj na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i zawodów... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, spłowiałą dekoracyą.

Jednym z takich młodych starców był Adam; wypieszczono go dziécięciem na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materyału do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy sprowadzają gniew i złość: gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwym?

Czasem, kiedy się wpatrzył jak inni wesoło i ochoczo krajali swoję kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu i probował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szerokiém ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Były nań także napady myślistwa, pragnienie jakieś krwi chorobliwe, jakaś żądza dziwnéj miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistéj coby odrodziła, śmier-

ci, męczarni, uczucia... ale te chętki chwilowe przelatywały jak widma, i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie kochał jeszcze, choć cały seraj dziewcząt ściskał go kolejno białemi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć nie jedno może zabiło do niego młode serce... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niéj bije serce... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczéj niżeli pragnął nowych prób miłości; przekonany, że był na dnie tego raju, który dla innych wydaje się bezdennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pełzło powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem; i były chwile, że patrzył na skazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru po długiém ziewaniu wstał Adam powoli; przyprowadzono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszów, i poszedł sam pieszo nie wiedząc dokąd: — żeby się rozchodzić, uczuć, że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczystego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama, stanął i obejrzał się. Byłoto właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonemi włosami czarnemi, siedziała smagła cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłbyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jéj oczach. Wzrok biednéj wygnanki wkradł się pod powiekę młodego chłopca i Adam zadrżał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śniég białych wypłynęły z pod warg różowych; i, zalotnica! odrzuciła w tył głowę na ramiona, podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby ze wszystkiemi skarbami swych lat siedemnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzał i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiéj płynęła: pierwszy raz może w życiu silniéj zapragnął — pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągniony, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca powiedział sobie: ona musi być moją, i dodał cicho: choć bym ją krwią miał zapłacić.

Ledwie odszedł wolnym krokiem, cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Aprasza.

— Słuchaj ojcze — rzekła — słuchaj *dados*, rzuć ten młot, odpocznij, będziesz mógł użyć wczasu: dziwne się rzeczy stroją! *Raklora* (dziewczyna) złowiła rybkę!!

— A co ci się tam znowu uroiło w młodéj głowie? — odparł cygan.

— Co? wiész? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wiekuistą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu *szukeli* (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także instynktem czujemy ludzi i czytamy w nich lepiéj, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tędy około namiotu *raj* (pan) tutejszéj wioski, młody dziedzic wsi, o którym wiész co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O biédne chłopię, zdaje się nie mieć w sobie także i siły do jutra!.. A jednak moje oczy go rozgorączkowały. O! bo téż dobrze, dobrze patrzałam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec tryskał mu na twarz ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

— Azaoro będzie miała bogate *bucaki* (suknie), złoto na głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

— O! tybyś się sprzedała, *rakloro*? — chmurno spytał stary cygan.

— Ja? na wieki, nie — na godzinę! Czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można miéć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną... czemuż nie! czemu nie!

— Wszetecznica! — zawołał stary przez zęby — wszetecznica! *Bynka gasina*! (diable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona, wzrok jéj zapłonął.

— Słuchaj stary — zakrzyknęła groźnie — nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i *Bynkowi* oddawać; ty nie wiész co ja myślę. Sprzedam się, ale się nie zwalam, bo to tylko miéć będzie za piéniądz, co daje wszystkim: śmiéch, spojrzenie i piosnkę... A ty myślisz, że ja dłużéj wytrwam w tych waszych łachmanach i brudzie! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę, ja jestem stworzona *rani* (panią) do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa... A potém — dodała tęsknie się zamyśliwszy — gdy ta burza młodości minie, gdy zagaśnie co we mnie świeci: ubierzcie mnie w łachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kowal głową tylko pokiwał, ale w ręku drżały mu obcęgi i młot.

— Psia natura — zamruczał — nie może sobie cygana zwabić, będzie panicza łaskotać. Nie wytrwa! Oj młodość! oj młodość!

— Tyś nigdy nie był młodym — odpowiedziała szybko Aza — bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyźni od powitka są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiew... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

— Głowa ci się zawraca!

— Zawróciła! — krzyknęła tańcując po namiocie cyganka — szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w *khera* (domu, pałacu), jutro będę *rani*! Bywaj zdrów stary kowalu!

Z ociężałém czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagle gwałtowną żądzą, i o cudo! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad i podać rękę cygance i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądzy nie stracić; ale się wstydził sam siebie i przyjaciół i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecie wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

— O! o! panicz pokochał się w cygance, w czarnéj, brudnéj cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala; panicz, co mógł miéć na skinienie białą dziewę ze stolicy, w któréj bułki i dziewczęta się sprzedają. Zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna! — wołał do siebie i śmiał się.

Odpędzał myśl, a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło serca, koło głowy, i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dzikiemi końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdéj namiętności jest takie człowieka rozdwojenie.

Ku wieczorowi dnia tego, wielki gniew opanował pana i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonie. Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprowadzić cyganów do siebie.

Znowu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niéj szydził niemiłosiernie; gdy przyszli ludzie po cyganów do dworu: wójt przestraszony i kilku wylękłych z gromady. Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzyli na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niéj jednéj był zrozumiały.

Gniew ten był pragnieniem, bo gniew bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postacie.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesoła, wystrojona, prawie piękna. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną, gdy chciała, a tak chciała być teraz piękną i do reszty oczarować panicza.

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan. Aza szła śmiało, prosto do niego z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięztwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jéj oczu, i zamiast gniewu, blady uśmiech proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

— Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądeście tu przyszli? — spytał po chwili.

— Mój stary nie umie dobrze mówić — szybko występując naprzód poczęła cyganka — pozwólcie mi się wytłumaczyć. Milcz Aprasz i dozwól mi się z nim rozprawić — dodała po cygańsku.

To mówiąc przystąpiła bliżéj, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zaklęcie mruczéć poczęła. Adam chwilę popatrzał, chciał się odwrócić, czując, że wzrok cyganki szarpie mu coś głębiéj w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo; ale już było zapóźno. Zręczna dziewczyna miała już go w sieci: spuścił głowę milczący, bezsilny, opętany...

Nazajutrz Aza była we dworze, a cyganie z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną z nad brzegów Indu, marą z poematów Sanskrytu, i brakło jéj tylko może kwiatka Lotusa w ręku, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniaczkę Wisznu i Brahmy.

Adam u nóg jéj leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upierścieniowane, różowe, depcząc poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszone złotogłowami, perłami i muślinami. Najmiększe puchy otaczały jéj ciałko, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni; Adam dnie całe, tygodnie, leżał sam u nóg czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszém zajęciu: — ona patrzała, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów połyskała wejrzeniem; rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojoném dzikiem zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego i codzień pragnęła więcéj, postępowała zuchwaléj, stając się dumniejszą i dzikszą. W miarę jak była pewniejszą siebie i swego panowania, gniotła go nielitościwiéj.

Biedne skarlałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok: w tym dworze jeszcze świętą, poczciwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komnacie ubłogosławionéj pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsły się nad niemi, i stropy nie załamały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się z przybytku tego, gdzieś daleko pod niebiosa.

Aza zwycięzka żyła tylko swoim tryumfem; jéj więcéj nic niepotrzeba było nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakieś zwierzęce wszystkiém, co poi. Ten mężczyzna leżący u nóg jéj, blady, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądzy bezsilnéj, nie wzbudzał w niéj nawet litości. Było to dziécię boleści, co przywykło mężczyznę widziéć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą: czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiéch dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, ale zbyt mało miał siły, aby obojgiem wybuchnął: paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkiemi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazya, nagromadziły w starym domu. Codzień potrzeba jéj było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swym uśmiechem i dziwniejszém wejrzeniem czarnych swych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał pocałunku; — tak dziéwczę wiedziało dobrze, że jéj potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w pierwszym uścisku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała sprobować wszystkiego, dotknąć, spożyć, co tylko było pod ręką w tej szybkiéj godzinie jej doli; a ile razy łachman zrzucony przypomniała sobie: dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widzieć.

Długo tak trwać nie mogło, a trwało jednak dosyć długo... dziewczyna paliła zwiędłego panicza na żar i popiół; on się zżymał, ale czując życie w sobie pierwszy raz od

dawna, nie wyrywał się z niego. Aza myślała o jutrze, o brudnej szatrze cygańskiej, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż przyodziewający się na wiosnę; o życiu niedostatku i gołego nieba; myślała, walczyła z sobą.

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okno widać było zawsze jednę, smutną, ciemnozieloną gałąź świerka, co się uwiesił na dachu dworca: nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumiał i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegała ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jej było za wszystkiem dawnem, nawet już trochę za nędzą.[1]

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniejsze chwycą je żądze i szarpią, a obie tak nam drogie, że żadnéj z nich odpędzić nie mamy siły. Tak było z Azą: tu ją cieszyły i bawiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota za bożym światem szerokim. Bo to było dziecię *Errumanselów* (cyganów), wygnańców bezdomnych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, zapalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie do czegoś nieznanego.

W tydzień Aza płakała; chciała ulecieć, bo czuła że więdła, że tęskniła, że marła; a żal jej było błyskotek, wdzięku, który jéj dawały, i życia, którego skosztowała. Kochanek blady, zmęczony, zesłabły, mdlejący, był dla niéj pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, ale więcej obrzydzenie; po dotknięciu téj ręki wyschłej w próżnowaniu i rozpuście, ocierała dłoń swoję jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał — ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew[2] i Aza ze drżeniem pobiegła do okna; gdy jéj nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srebrzysty przypomniał jéj wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie i zdawał wzywać do nowych.

— Co ci jest? — spytał Adam.

— Co? — z szyderskim odpowiedziała uśmiechem ledwie zwróciwszy się ku niemu — alboż to ty panie zrozumiész? Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włóczęgi mojéj, bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błąkanie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można za czarnym chlebem, za czarną dolą i za wędrówką bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi, który i do was zalata... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. *Cierik* ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskiém jest przeklętym jak cyganie.

— Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! — rzekł ziewając Adam.

— Poczekaj, zrozumiész może. Bocian, jak my, nie ma swojéj ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydmie piasku, co gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki... i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, *Mroden-oro* chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkiemi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się *Noa-oro*... I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych... Kiedy się niebieskie otworzyły wrota, i wody potokiem lać się poczęły na ziemię: wchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoję matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje... *Mroden-oro*, co patrzał z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał odtąd na wieczną tęsknicę. Gdy potém wody osiąkły, bocian rozpoczął wiekuistą wędrówkę od jednéj do drugiéj ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednéj żałował i po jednéj płakał... Ten bocian, to cyganie paneńku — dodała dziewczyna. — Tęsknim zawsze, idziemy wiecznie, i nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc wstrząsła się cyganka i rzuciła ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam roztwartemi zatrzymał ją rękoma.

— Ty musisz zostać ze mną! — zawołał.

---

[1]U źródła brak strony 48. (zamiast niej jest duplikat strony 50.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

[2]U źródła brak strony 49. (zamiast niej jest duplikat strony 51.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

— A czemuż ty za mną pójść nie masz? — odpowiedziała dumnie cyganka. — Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie, ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moję, jutroby w tych lodach skrzepła i zagasła!

— Ale ty nie pójdziesz! — wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

— Nie, nie, dziś jeszcze — zimno odpowiedziała Aza. — Gdy księżyc dojdzie pełni, *ciomut-oro* (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójdę i pójdę.

Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza, jak dnia piérwszego, rozlegał się młot, przekleństwa i swar. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie, Tumry o zachodzie uciekał z pod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, i wesołéj czy tęsknéj jéj piosence, i szyderczych jéj rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew *Romów*, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które zeń wychodziły i pić język zapomniany od dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta siedziała wieczorami długiemi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż po za wieś poglądała. Motruna miała lat siedmnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich, tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotéj pszenicy. Zmieszała się na jéj licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jéj sercu łagodność i miłość spokoju, z tęsknotą i wiekuistą trwogą mieszkańców. Była piękną jak cyganka, a miłą jak rusinka; i gdy z jéj oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześnie na czole napisane niosła, że więcéj przecierpi od wielu i mężniéj, niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu ani tańca, ani nic, co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszły smutek jakby pączek nierozwiniony. Nigdy jéj nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesołéj wyuczył; a najmilszą zabawą jéj bywało usiąść na wysokim pagórku i patrzéć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiéj połowy świata wołał.

Matka jéj umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzał, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosy po matce i weseli i żywi, tęsknicy jéj nie rozumieli. Dla niéj męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała czując się przykutą do przyzby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszéj studni, byle nieznaną jakąś splądrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumry błąkającego się po wzgórzach; i raz tylko na siebie spojrzeli — a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był nadto hardy, żeby się chciał zbliżyć do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło męstwa, żeby go sama zaczepiła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiąc naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiéj szatry; wieczorem Tumry błąkając się mijał codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żądza przykucia losu swojego do miejsca, do kątka na któryby się zlać mogła część miłości przepełniającéj wezbrane serce.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziéj niż kiedy wzdychał za swoją chatą, za własnym ziemi kawałkiem, z któregby go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domie, o żywocie przy ognisku, o spokojnéj śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rosła w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, mowną już była; brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wiérzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską; ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry, rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wyziewy dymów szarych, jesienne opary, i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad niemi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z sobą. Motruna niosła oberemek suchych gałęzi, pod któremi się uginała. Tumry pożałował jéj znoju.

— Ej! — rzekł zbliżając się — gdybyście mi to do waszej chaty zanieść pozwolili, lżéjby wam było...

— Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

— Ja nigdzie nie idę.

— A biegliście?

— At! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

— Toście się i wy zmęczyli?

— Ej! nie! — To mówiąc wziął Tumry gałęzie, zarzucił je lekko na ramiona i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiéj chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!? — cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko co był powinien; ona znała całą przeszłość cygana. W marzeniach i rozhoworze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniawszy sobie, że ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój oberemek a Tumrego odprawić; gdy głos donośny przekleństwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w ręku; patrzał i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jéj towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

— Ho! ho! — zawołał stary — co to ty sobie myślisz, włócząc się po nocku z cyganami! Patrzajcieno ją! A i tyś śmiały odartusie, żeś się już do gospodarskiéj córki przypytał! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przełaz, uciekając przelękła i zmieszana, gdy się zabrał na odpowiedź:

— A cóżto tak wielki grzech, żem waszéj córce pomógł?

— Obejdzie się bez tych posług — drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną. — Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy odwrócił się stary, cały drżąc i wytrząsając popiół z fajki, mruczał pod nosem:

— Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojéj przyplątała. Ej! *Bynka Ciawa*! (diabli syn) patrzajcie, już się powąchali! Ale ja to Motrunie wybiję z głowy! Taki krew krwią: — cygan jéj pachnie! Nie można się wytrzeć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o niém zapomnieli, a tu mi ono znowu włazi w drogę. Trzeba wcześnie zaradzić; a to powiedzą, że cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze.

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów wewnętrznych.

— Słuchajno, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy; ze mną żartów nie ma. Co tobie do cyganów, co cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a cygani ci pachną!

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

— A cóżto tak złego — odezwała się pocichu — że się przyczepił; ja go nie prosiła o to.

— To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

— A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

— Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłómaczy! A wiész ty, głupia głowo, od czego się złe zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nic, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomszy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła, a kto wié, możebym cię potém kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

— Ej wara — dodał Lepiuk rzucając się na ławę — wara od takich znajomości. Z cyganem nam nie ma drużby; on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz: a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy!? Nu! nu! Motruno pilnuj się! ja nie daruję! ty mnie znasz.

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody cygan zbiegali się na wzgórzu za wioską; ale ostrożniéj, oględniéj, tak, że ich ludzkie nie dojrzało

oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją. Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu, gdy cyganie odejdą daléj. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nie złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego spróbował i doznał? W naszych salonach często wątła miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym domku, w pracy, bez liberyi i bronzów: tam nic nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość — kwiat rzadki, kwiat co w sto lat zakwita, ale przetrwać umié burze, chłód i boleść i urągać się przeznaczeniu.

Takiém wyjątkowém przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemagało ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednéj. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przeczuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biednym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniéj podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów *przeciwności*; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga człowieka.

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesieni, pod otwartém oknem dworu zjawił się stary cygan z brwią namarszczoną i wejrzeniem surowém. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna cyganka z załzawioném jakoś okiem. Patrzała ona w księżyc i dumała; Adama nie było przy niéj.

— Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? — zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym goryczy.

— Alboż ja wiem? — tęskno odpowiedziała dziewczyna — Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odlecieć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na *kaszt* (drzewo) i wysiedzi pod niém na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię za naszą włóczęgą, *romów* włóczęgą; to znowu boję się nędzy naszéj i żal mi tego cichego dachu, pod którym tylu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wié: coś jest co sprzęga miejsce i człowieka; jam już zatęsknić gotowa! Tęsknić za wami, gdybym tu została; za temi ścianami szaremi, gdybym od nich odeszła.

— Popsułaś mi się Aza, popsuła: mówisz to nie po cygańsku — rzekł grożąc Aprasz. — A nam czas daléj, bo zgnuśniejem i nie ma już tu co robić: wszystek *trast* (żelazo) wykuty... Kto wié, może ci już żal twojego panicza?

Stary rozśmiał się z gniéwem stłumionym.

— A może i żal — odparła dziewczyna spokojnie dumając — choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biédne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył, nim mu broda porosła. A takie to znędzniałe, tak biédne, tak schorowane i nudne! Co on pocznie gdy mnie nie będzie?

— Co? znajdzie drugą! — rzekł stary ruszając ramionami.

— Takiéj drugiéj nie znajdzie — zawołała trzęsąc głową cyganka. — Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

— A! myślałabyś z nim zostać! — przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

— Ja? zostać tutaj! tu! tu! Ojcze! ej, jakbo wy mnie nie znacie — żywo obruszyło się dziéwczę. — Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wygnał, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary: zrzucę ja te świecidełka i pójdę w świat z wami. Życie mi to dojadło, dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki, godziny wloką się jak konie kulawe, człowiek czuje, że drętwieje i usypia.

A jednak co powiész stary? — żal mi będzie i téj chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą aż do starości może...

— Oj dziéwczę! dziwne z ciebie stworzenie — pokiwał głową Aprasz. — Jam nigdy nie wątpił przecie, że gdy namiot zwinę, a *kakabią* (kociołek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora, i pobiegniesz boso za nami: boś ty prawa *romów ciaj* (cygańska córka). Gorzéj podobno z Tumrym...

— No? a co się z nim stało?

— Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł i porzucił szatrę, nie kiwnąwszy mi nawet głową za *mandru* i *toń* (chléb i sól), za przytułek i naukę.

— Poleciał sam w świat?!

— O! nie, pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stale osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrówka; ma taki białą krew w sobie, korci go siąść i drzémać. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli; ojciec dziewczyny sam podobno *Errumansel*, za nic mu córki nie da: i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak *szukela* (pies).

— A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno: nam ciężéj będzie bez jego rąk, ale lżéj bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę; a żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuć tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany i daléj w świat!

— Tak! w świat! w świat! daléj a daléj! — powtórzyła cyganka, kryjąc twarz w ręce splecione. — Zawsze daléj i daléj bez końca, do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet...

— E! babo! *egaszi*! (kobieto) — krzyknął Aprasz — nie stękaj: wstydziłabyś się. Tyle twojego, coś dzień jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać — w drogę! w drogę!

— Jutro! — żywo odpowiedziała dziewczyna zamykając okno — jutro!

— Pamiętaj! jutro!

Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze pana Adama, a już szatra cyganów znikła z wygonu: już *werden* (wóz) ładowano, dzieci dźwigały kociołki i młoty, podając je staremu, kobiety zwijały *plasty* (kołdry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem niemiéj, obojętnéj rozpaczy. Stare baby piszczały i krzyczały kręcąc się koło niéj.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem; nie żal mu było starego Aprasza i cyganów, jedynéj rodziny na szerokim świecie, a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni, i rzucało się serce ściśnione. Przyszłość stawała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w któréj głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry przecie postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jednéj dziewczyny, któréj ojciec zdaleka mu nawet na nią spojrzéć nie dozwalał.

— Co będzie jutro? — pytał się siebie, zasypiając pod gołém niebem u tarnowych krzaków w jarze — co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytany jak złoczyńca? Kto wié? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, żal ściskał za odchodzącemi; i Tumry nie ruszył się, gdy cygański *werden* zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pogrążył się w sennéj jakiéjś dumie, co nie była ani jawą, ani marzeniem, a do obojga podobną.

Werden (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zrumieniona pospiesznym biegiem, milcząca czegoś i gniewna.

— Jesteś? — rzekł Aprasz z uśmiechem. — Zwątpiłem o tobie.

— Jak widzisz stary; ale miejże litość, ruszajmy co żywiéj, coś mnie nazad ciągnie, obejrzéć się nie mogę: tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską, daleko a prędko!

— *Egaszi!* — mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia — no! samaż zanuć piosenkę wesołą, nakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij *targimom* (wódki), to ci serce rozpowinie...

— A Tumry?

— Psi syn! krew *gadziów!* został tam gdzieś ze swojemi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się cyganie w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękając się pogoni, coraz jeszcze przyspieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie wydążyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do śpiewającéj cyganki, która nie krzyknęła nawet gdy ją za ramie pochwycił.

— Co to jest? — odezwał się głos drżący i ochrypły Adama — co to jest Aza, powiedz mi, co to jest?

— Co? — odwracając się obojętnie zawołała cyganka — a co ma być? idziemy daléj!

— Ty idziesz z niemi?

— Chciałeś może, żebym w téj klatce waszéj została?

— Ale ty nie pójdziesz!

— Ja! a dlaczego?

— Bo ja cię nie puszczę.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

— Jakiém prawem?

— Tyś mi obiecała zostać!

— Nigdy! nigdy! A pocóżbym tam została? — dodała zatrzymując się — żebyś mnie za pół roku, czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innemi?

Adam osłupiał.

— Ja ci dam — rzekł zdyszany — ja ci dam co zechcesz...

— O! o! — kręcąc głową poczęło dziéwczę — a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

— Ty szydzisz?

— Widocznie; ale gdybym go żądała?

— Tego zażądać nie możesz, bo wiesz, że ci dać nie mogę.

— Ja téż nie chcę, ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie... Ty myślisz — dodała goręcéj z okiem jak żar płonącém — ty myślisz, że jabym wyżyła tam w twojéj *khera* (domu), w téj klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla mnie: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez krwi i serca... Dosyć mi było sprobować. Bywaj zdrów panie! Aprasz! zacinaj *grami* (konia)!

Cygański *werden* zaskrzypiał, cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuty do ziemi, blady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe...

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mrucząc pod nosem, pociągnął się powoli ku staremu dworcowi swojemu.

Tumry pozostał sam jeden, zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiugiem, który wyszpiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kowal był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osiedlenia, dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadli na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie przytrzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam klął właśnie wszystkich cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu *romów*. Poselstwo przyszło nie w porę, odprawił je więc klątwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swemi opiekunami.

— Po wszystkiém! po wszystkiém! — zawołał na progu. — Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

— Cytno, cyt! — rzekł stary wójt kładąc mu rękę na ramieniu — kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje i klnie i pędza zawsze w początku,

ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapi: zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okuć nie będzie komu, to się to wszystko polepi; tymczasem poparobkowalibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział: pan Adam przebolał wkrótce i gniew i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, 30-letniéj już awanturnicy, zapomniał cyganów i cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była) poznawszy dobroć pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzał i starał się o ile mógł przeszkadzać, rady jednak przeciw panu i całéj wiejskiéj gromadzie dać sobie nie umiał. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głośno przeciw Tumry mówić nie mógł usta miał zamknięte, gdy najwięcéj chciał się odezwać.

— A! — rzekł w duchu — pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zjé kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcéj cygańskiéj krwi w moim rodzie.

Gdy przyszło na chatkę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromada, niby ognia się bojąc, niby brzydząc cyganem, odepchnęli go aż za wieś pod cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospodarze zobowiązali się jednak dopomódz wraz ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcéj i domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować; wygnanie raczéj, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słychać; ni zkąd ognia, ni zkąd wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wygnańcowi, co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołéj ziemi i całą noc przedumał, jak tu tę chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz oblany rosą, wstał biédak rano, rozglądając się w pustce swojéj; dojrzał obrywu góry, do któréj mógł się jednym bokiem lepianki uczepić i uśmiechnął się z radości. Glina do obmazania ścian była tuż blisko, ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmysłów poszedł do wójta, który z pługiem i chłopcem ciągnął na swój sznur.

— A co, panie majster? — spytał żartobliwie stary.

— A cóż, panie wójcie — odparł Tumry — cóś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie stroić; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

— Nie wiem, nie wiem — mruknął Lach powoli — ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

— Myślę się sam budować!

— Z kim? jak? najmem?

— Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam, ale rąk dwoje nie na żarty!

— Bylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

— Czy tak, czy tak, wszystko jedno.

— A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

— Powoli sklecę lepiankę; nie będzie to *khera* ale *bukunia* — dodał cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

— Któż drzewo ci zwiezie?

— Ja je zniosę.

— O ho! ho! — rzekł wójt, cóś poczynacie pleść od rzeczy.

— Dostańcieno mi tylko kwitek do lasu na materyał i podarujcie choć starą *towez* (siekierę).

— Siekiery ci nie pożałuję... to mi późniéj odrobicie za nią — rzekł wójt. — Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcéj złotówki; a kwit i jutro miéć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

— A cóż? — rzekł cygan — nie mam czego czekać, poprobuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na ziemlankę swoję. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnębiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcéj, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy; ale wyszafowana powraca mu we trójnasób. Cudem prawie licha kletka cygana, jedną siekierą i dwiema dokonana rękami; każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprzągłszy się doń samotużkiem, ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono samemu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznane. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekierę nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słota psuła robotę, góra namokła odsuwała się, źle spojone kloce rozchodziły i spadały, i nie wiem wiele razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi, liche pozatykawszy kluczyny. Bóg tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowało wytrwałości i siły.

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł wzmagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły męztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepocieszną lepiankę, która przy całéj swéj biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z niém zjednoczył i spoił, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzéć ku niéj, uśmiechnąć się do niéj zdaleka, lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak powiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nadaremnie usiłując wygnać wygnańczuka ze wsi, wciąż poprzysięgał, że gdyby Motruna dziéwką umrzéć miała, nie da jéj za przybłędę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca milczała cierpliwie; ale gdy do niéj przyszli w swaty, pomimo groźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk klął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało: dziewczyna wszystko zniosła odpowiadając jedném słowem — „nie chcę."

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższéj części swojéj chaty był zajęty, starając się na niéj postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło: ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kijsku, zamyślony stanął przy drodze i żarzące gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

— Buduj, buduj — zamruczał nareszcie półgłosem po długiém milczeniu — na głowę twoję, na głowę! Niedoczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośniéj:

— Co ty sobie myślisz klecąc ten chlew, słyszysz?

— Co myślę? że w nim będę mieszkał — odparł spokojnie Tumry nie przerywając roboty.

— Czegoś ty się tu na swoję biédę przywlókł — dodał stary — po co? Mało ci było świata, słyszysz? hę?

— A cóż ja wam zawadzam — rzekł cygan — powietrza nie wydycham, wody nie wypiję, chleba nie odjem; stanie ich dla nas wszystkich.

— Ale dlaczego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszéj wioski?

— Albo wam to co szkodzi?

— Ej! djabełby cię porwał! nie udawaj głupiego, podchwycił Lepiuk — bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdziesz, gdzie cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlew; słyszysz, bylebyś się wynosił nie oglądając; a jak nie...

— To co, panie gospodarzu?

— To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

— Czémże ja wam szkodzę?

— Ho! ho! ty lepiéj wiesz za co mam ząb do ciebie, nie potrzeba mówić długo. O Motrunie myśléć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie diabli wezmą.

Tumry umilkł ciosając coś powoli około brzozowéj krzywéj belki.

— Słyszysz, diabli cię wezmą! — powtórzył Lepiuk, którego zimna krew cygana jątrzyła.

— Kto to może wiedzieć, kogo *Bynk* pochwyci! zimno odpowiedział chłopak — zobaczymy!

— Zobaczymy! I nie chcesz ztąd iść? Mów!

— Nie pójdę, to darmo, nie pójdę, panie gospodarzu...

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.

W tydzień potém, gdy już się kletka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i zabawił trzy dni. Powracając marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach; gdy na zawrocie drogi, gdzie się ukazywało Stawisko, ujrzał na spokojném niebie wieczora wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chata jego; przyspieszył kroku i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego popiołu. Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe głownie, stos rumowisk i niedogasłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Tumry, tak mu pogorzelisko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi; i piérwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzał z załamanemi rękoma, przybity, nie wiedząc co począć, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szał i zemstę, gdyby z niéj łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się i odzyskując przytomność i męztwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonéj lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy. Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu: może łatwiéj, może lepiéj, a na swojém postawię. Niech się Lepiuk wścieka, bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod same pogorzelisko, ciekawém szukając okiem, coby z niego jeszcze ocalić było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko i trocha węgla a popiołów dymiła tylko jeszcze. Obejrzał się cygan smutnie i rzucił na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, rozpadał się i sypał; zwiesił głowę i zadumał.

Wtém drogą usłyszał idących ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary zdala ujrzał przy pogorzelisku cygana, przyzastanowił się, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dziać musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, panie wójcie!

— Oj, niebardzo wam dobry — odrzekł gospodarz powoli z wyrazem litości — coście się to darmo napracowali! Wszystko jedna skra wzięła, i z dymem poszło!

— Skra temu niewinna, ale ręka czyjaś — odpowiedział cygan z westchnieniem. — A no, cóż robić, toć się dlatego nie obwieszę...

— A cóż myślicie?

— Co? — rzekł Tumry spokojniéj — jutro do lasu, i znów się buduję.

— Czyś ty oszalał! a gdzież ci starczy siły?

— O! o! jeszcze jéj jest dosyć — zawołał cygan. — Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię — udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tém wątpliwości nie miał, że Lepiuka cygan posądzać musiał.

— I doprawdy — zagadując ozwał się po chwili — myślicie się na nowo budować? doprawdy?

— A nie daléj jak jutro — głosem stanowczym rzekł Tumry. — Siekiera ostra, odpocząłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

— Ha! szczęść Boże! — popędzając woły zamruczał wójt, z poruszeniem ramion znaczącém — tęgi z was chłopak, co za szkoda że cygan!

Ostatnich słów nie posłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką i z zanadrzy wyjąwszy kilka kartofli, rzucił je w prysk na wieczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zbity, topór zarzuciwszy na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczęściem dla niego, porąb z którego mu materyał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórza od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieżce, którą szedł, widne były ślady tylko co zmarnowanéj pracy, przypominające cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy; gdzieniegdzie zeschłe walały się gałęzie, po ziemi kłody ciągnione powyrzynały pasy wyślizgane; tam i sam rzucona wić dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kołek, zatrzymywały idącego Tumry, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu: zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniéj boleści.

Tak dumając spuścił się w jar nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

— Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, któréj czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

— Dobry dzień — z uśmiechem rzekł zbliżając się cygan. — A co słychać?

— Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

— E! nocowałem tam przy ogniu — udając obojętną wesołość odezwał się chłopak. — A cóż? spaliła się, trzeba myśléć o drugiej.

— Znowu tak samo? a to wy się zarzniecie — z litością i wejrzeniem głębokiém rzekła córka Lepiuka.

— Nic mi się nie stanie — zawołał cygan ochoczo — bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć... nic nie pomoże.

— A wiecie z czego chata spłonęła? — badawczy wzrok rzucając na Tumry spytała dziewczyna.

— Wiedziéć nie wiem, ale domyśléć się łatwo: twój ojciec musiał ją spalić.

Motruna smutnie spuściła głowę.

— Wiész — rzekła pocichu i oglądając się — zawczoraj Hryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli ich odeślę, ale nic nie pomogło; powiedziałam że nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś wziąwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię zaraz, że to będzie nieszczęście, poszłam płakać na ogród; aż w godzinę widzę dym na górze przy cmentarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: pali się chata cygańska! Musiałam skryć się, bo na mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczu.

Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniewny, położył się nie jedząc wieczerzy, nakrył kożuchem i dodziśdnia choruje!

Motruna ciężko westchnęła.

— Oj, na biedęto naszę — dodała po chwili — przystaliśmy do siebie, na biedę i niedolę... ale tak nam sądzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu... Już i to nie na los, kiedy ojciec nie błogosławi, a przeklina...

— Słuchaj — rzekł cygan biorąc ją za rękę cały wzruszony — jeśli tobie strach mojéj doli i ojcowskiéj klątwy, powiédz słowo Motruno; ja choć cygan mam sumienie: gubić ciebie nie chcę, pójdę ztąd!

Motruna czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z łez fartuchem.

— Duszy nie odebrać, kto ją raz dał — powtórzyła — nie czas nam się powracać! Wola Boża! sądzono!

— Niech ci Bóg płaci za poczciwe słowo — odparł silniéj coraz przejmując się Tumry — nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna; nie dadzą mi tu rady ani bieda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu; pocznę chatę nową, i da Bóg prędzéj ją i lepiéj dokończę, niż pierwszą; nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uścisnąć, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przelękniona, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

— Bracia na łanie czekają na obiad; trzeba spieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze!

I kiwnęła mu głową oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan postał chwilę w miejscu, a potém zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu teraz wprawę, któréj nie miał rozpoczynając piérwszą swą lepiankę; lepiéj potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniéj się do kłód grubszych zaprzęgał i ścieżki wypatrzył mniéj strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokaźniejszą uczynić. Znowu ją rozpoczął klecić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, prędzéj tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko wyrąbał w lesie, co mu potrzebném być mogło i w bezpieczném miejscu ukrył, potém dopiéro rozpoczynając ściągać materyał na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upór i przemysł cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, zdaleka palcami wskazując ziemlankę rozpoczętą.

— Niedarmo cygan! On coś zna!

Posądzono go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biédna Motruna choć głową potrząsała słysząc o tém, zalękła się trochę. Ale serce, które wytłómaczy co zechce, rozpędziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk tymczasem leżał chory ciągle, nie wstając z tapczana i przekleństwami okrutnemi ścigał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o cygana: tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któréjś niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwóch sąsiadów i siedli przy chorym, rozpytując go, co mu było, a radząc po swojemu, to żydówki znachorki, to baby co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko nic nie odpowiadając; po godzinie jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki, wychylił kilka kieliszków: błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

— A co tam słychać na wsi? — zapytał schrzypłym głosem.

— Co ma być słychać — rzekł Skorobohaty — co zawsze: pańszczyznę pędzą a pędzą, ludzie stękają, chleba niewiele a biédy dosyć.

— Czemużbo nie powiecie — przerwał mu drugi — o cyganie, ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, któréj trzeci kieliszek wychylił.

— O cyganie? o cyganie? — pomruczał oglądając się w koło — a no gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

— I jest i nie słychać żeby się wynosił — rzekł Skorobohaty. — Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemlanka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą począł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiéj złości po cygańsku; czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos staréj natury.

— *Bynka ciawa!* (diabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonął i usiadł znowu, patrząc przerażony, czy go zrozumiano; trząsł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

— A to prawda! — skręcił nagle — że cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał probować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samołużkiem ciągnął, lub na plecach nosił; myślałem, że mu oczy ze łba wylizą, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzągł do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości, ale nadto był gniewny, żeby się zdobył na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwém rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miotała jak w febrze.

— Ej! połóżcie się lepiéj — rzekł wstając Skorobohaty — nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz widać: z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniéj.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mrucząc. Wieczór przeszedł w milczeniu posępném, noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary począł jęczéć i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono łuczywo, wszyscy się zerwali na nogi: synowie, najmici, kobiety i dzieci.

— Co tobie ojcze? — spytał starszy przybliżając się.

— Co? — rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk — ot pora przyszła umierać; i, żebyż pora! ale bez pory skończyć muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie brew zmarszczywszy.

— Won baby! — zakrzyczał...

Kobiéty usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

— Wiecie — zawołał — że Motruna pokochała się z tym cyganem... Jam mu chatę spalił, nic nie pomogło: buduje się słyszę i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu — dodał ciszéj i oglądając się po izbie — ale nie chcę krwi cygańskiéj więcéj, żeby nas palcami ludzie nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za cygana, choćby wam po nogach łaziła płacząc, choćby umrzéć miała! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepoczciwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę! słyszycie!

— A jak dwór pozwoli? — spytał starszy syn cicho — co mam robić?

— Co ja każę. Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja. Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytulona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc a nie śmiejąc odezwać się z jękiem; powtarzała tylko jak nieprzytomna:

— Oj dolaż moja, dola! o dola nieszczęśliwa!

O północku nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się zmarł, cygańskiemi wyrazy niezrozumiałe jakieś nucąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniéj godzinie, nie znajdując w uściech słów innych, nad pierwsze wyrazy dzieciństwa... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swojém i utajoną naturą, a nie mógł powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szał wprawiać.

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitéj ciężki, głośny, przerażający. Lepiuk skonał.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów; Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przybita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: o dolaż moja, dola!

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsroższe cierpienie nie uwalnia od niéj: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biednym, by zajęciem boleść osłodzić.

Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała: stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernemi kołkami, które glina pokryć miała, a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniéj teraz na placu już się krzątał, pilnując swego dobra ostrożniéj. Trochę słomy rzuconéj na pochyło spartych żerdziach, zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar pobliski, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę, ale od dni kilku widziéć jéj nie mógł; a że z ludźmi wiejskiemi oprócz wójta mało się spotykał, nie domyślał się ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił cygan około belki, gdy zdala słyszéć się dały śpiewy i płacze: postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową stał sparty o ściankę swojéj kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiéj *Mutes-oro*, którą i *Romy* nawykli z przestrachem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyślił się, ręce na piersi skrzyżował i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wąwozowi, po nad którym już poczynały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między niemi proporzec czarny śmierci z trupiemi głowy i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się

na drodze; szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stąpając ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniaczą, na któréj bochenek chleba w szarym ręczniku spoczywał: ostatni chleb pożegnania!! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samę zawodzącą boleśnie; serce na chwilę bić mu przestało, wlepił oczy, pobladł, domyślił się że *mutes* zabrała mu nieprzyjaciela. Dzikie dziécię włóczęgów nie uczuło ani politowania, ani żalu: uczucie jakieś radości i nasyconéj zemsty, pogańskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niém przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgieł lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrzała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyka wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu cygan nie słyszał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwycenia Motruny... Stary nie żyje, powtarzał zadumany, stary nie żyje, bracia nie będą mi się przeciwiać, wójt mi dopomoże: ona moja! Bylem chaty dokończył, ona moją być musi!

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie, i znowu milczenie głuche, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słotę, zaległo puste wzgórze. Niespokój pędził go do pracy: pochwycił siekierę i wybiegł z za węgła, rzucając okiem ku mogilnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrót żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stóp ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla cygana snem wydawać.

Nie postrzegłszy nikogo już podnosił toporzysko, gdy go ktoś zcicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony; wójt z twarzą zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

— A cóż tam Tumry? — odezwał się stary — pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

— Póki sił, panie gospodarzu: „co się zaczęło potrzeba skończyć", mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

— A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami — dodał Laszuk kiwając głową — i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wié kto umarł.

— A któżto zmarł? — spytał obojętnie.

— Nibyto nie wiecie — odparł wójt. — Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną, i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

— A taki — dorzucił Laszuk — i umierając swego nie darował, bo synom słyszę srogo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrygnął się cały, podrzucił głową.

— Co mówicie? — zawołał — doprawdy?

— Najpewniéj: słyszałem od sąsiady, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

— Cóż? — rzekł powolnie młody chłopak — nie zląkłem się ojca, nie przelęknę i synów; co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

— Ej! porzucilibyście — odparł wójt. — Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiéj córce dajcie taki pokój, bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi: chybabyście ją gwałtem porwali.

— A któż gwałtem bierze żonę! — zawołał Tumry — to u was niewidziana rzecz: i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepiéj o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł, że go nie przekonał i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

— Tać wola twoja, nie gadajmy; nie chcecie dobréj rady, to jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz: co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu! dobranoc!

— Dobranoc — odpowiedział cygan, i znowu wziął się do swojéj roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego mieszając się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty, a Tumry z nadchodzącą nocą nie przerwał ciesiełki. Praca była mu potrzebą bo myśléć nie dawała, płakać i trapić się; i spoczywać téż nie mógł obok téj świeżéj, żółciejącéj mogiły, którą oczy jego spotykały wszędzie, która mu się mnożyła w około i w tysiącznych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc pierwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystém niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiéj szelestem: bo szmer ten, śmiechem mu się zmarłego wydawał i zimny dreszcz przelatywał mu po plecach, gdy myśl podbudzona szałem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród któréj każde uderzenie jego siekiery rozlegało się z dziwném brzmieniem rozchodzącém się daleko, przerażała Tumry; pot lał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród któréj żółte skakały mogiły. On rąbał, rąbał, siekł aż do brzasku, a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rzuciwszy nareszcie siekierę, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna praca zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a zdala huczała nadchodząca burza; poprzedzający ją wicher szalał na wzgórzu, i onto chłodząc pierś jego przerwał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrzawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeschłéj trawy, na któréj upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szały: wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici nierozpętany, który ręka *Nasuo — oro* (choroby) targała i miotała bezlitośna.

— Umiérać! to umrę! — zawołał cygan waląc się na ziemię — tak lepiéj niż się męczyć.

Wkrótce Tumry stracił znowuż przytomność. Myśli jak burza na niebie zwiły się mgliste, jasne, czarne, piorunowe i poczęły przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło z przed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem roskoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z przypomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiéw Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec Azy, i stukot młota Aprasza, i dymy cygańskiego kotła, i skrzyp ich woza, i Motruna; i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty i postacie jakieś nieznane, straszne i wdzięczne, i przeczucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się, że umiera, a umrzéć nie może, że leży martwym w jednéj trumnie obok cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo go krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszéj się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już umarł: ustąpiły dręczące widma, szaro zawlókł się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodném otoczył.

Otworzył oczy, zdawało mu się że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą Motrunę, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodzić się poczynały, pojaśniało mu w oczach, ruszył się, podniósł powoli. Nie byłto sen: piękna Motruna klęczała przy nim oblana łzami i mówiła do niego, ale słów jéj jeszcze zrozumiéć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dźwięczna, którą napróżno silił się schwycić.

— Tumry, Tumry — wołała dziewczyna — co ci to jest? Odpowiédz mi? co ci się stało?...

— Co mi się stało? nic! Był pogrzeb, potém rąbałem noc całą, potém usnąłem, śniłem burzę, mogiłę i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna w ręce klasnęła.

— A toż trzeci dzień, jak mego ojca pochowano, zawołała. — Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny...

— Chory! może — słabo odpowiedział Tumry — ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemogą, lub ona człowieka; na to tylko *Mroden-oro* lekarzem...

— Ja pójdę do dworu — przerwała dziewczyna — do pani; juścić nie dadzą tak umrzéć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą...

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany: bezsilny i bezmyślny, którym rzucił na Motrunę, przeraził ją do reszty; zerwała się.

— Oto woda! oto chléb — zawołała — a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę; niech bracia zabiją mnie jeśli chcą, a ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozpłakane dziéwczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi. Ani się spostrzegła biédna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż wykradziona guwernantka, *Madame* Le Roux, szybko poprowadziła sprawę małżeńską, i ani się opatrzył kochanek, jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłonią chwyciwszy męża i wszystko co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i piérwszym jéj sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on był niepospolitéj znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie byłato najlepsza aktorka, najprzebieglejsza kobiéta, najdowcipniejsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francyi do nas przybyły, gnane biédą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi zbliska, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugiéj zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak p. Adam człowieka, dla niéj było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszéj do tego używając sprężyny: — miłości własnéj; na inne bowiem uczucie tu rachować było niepodobna. Adam ubóstwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zgnuśniały, gdzie mu iść kazano. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesiąt laty, a może odgadniemy jak wyglądała Francuzka. Byłto szczątek kobiet sentymentalnych, które strojąc się na nutę wieku, bez uczucia, grały nieustanną egzaltacyą i rozczulenia. Pani Adamowa wiecznie krążyła w tych sferach d'Arlincourtowskich, z Ibsiboe i innemi heroinami; na świat spoglądając okiem, które wszędzie widziéć chciało co wyczytało w książce. Romans był jéj zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szał był sprawą zabałamuconéj głowy. Zimna, wyrachowana, ostrożna, grała egzaltacyą poświęcenia, męczeństwa; a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don-Kiszot ciemiężycieli niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziéj prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezyą niepostrzeżone przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu; chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiéjś nieznajoméj, po ścieżce nad wodą, wzdychając choć się jéj bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Zrazu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przyklęknie, załamie ręce i wynurzy swe płomienie przed piękném zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrzawszy zapłakaną wiejską dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestrachu i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju wiejskiego wcale piękną, a boleść dodawała jéj jeszcze wdzięku i wzniosłości; pani Adamowa przeczuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzywając męża, co ją przestraszyło, wstrzymała dziewczynę. Pobyt jéj w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumiéć już mogła; przystąpiła więc ku zapłakanéj i spytała ją, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, ze złożonemi rękoma poczęła jéj opowiadać naprzód o cyganie, potém o sobie, potém naglona zapytaniami, rozpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tumry.

Francuzka słuchała z natężoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy; szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną, i caluteńki romans, wprawdzie w zgrzebnéj koszuli, z bohaterem cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałéj wrażeń, łakomy.

Chwyciła za rękę dziewczynę składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu w którém czytać przestała, i odżywiona pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzymał po obiedzie; obudził go stukot szklannych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że w początku rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumiéć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po cygana, konie po doktora do miasteczka ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i klęli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi; i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktór.

W chorym oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą: skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężnie jeszcze walczyła w nim z całym młodości zasobem, by go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcéj spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że ich musi połączyć.

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczéj dla zobaczenia Francyi i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata cygana nie była ukończoną, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzątniętą była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktór uspokoił ją o zdrowiu Tumry i zapewnił, że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodziło, bo cała już wieś wiedziała, że cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam: wysłano ku nim totumfackiego, przybyłego do Stawiska jakoś niedługo po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słówko o panu kapitanie nie zawadzi. Byłto ranny w kampani któréjś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wielu jeszcze: zdrów, olbrzymiego wzrostu i pięknéj postawy. Mały mająteczek jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierżawą, a sam przebywał to tu, to owdzie, włócząc się od komina do komina, z jednemi polując, z drugiemi grając w karty, z innemi pijąc i hulając ochoczo. Byłto *natus* sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdéj młodéj wdowy, i gość przy wszystkich imieninach: jedném słowem rodzaj pasożyta, któremu choć niewielkie mienie własne dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiém, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyendy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach; to pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani Adamowéj do Stawisk i on się zjawił, zajął kwaterę w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził i zdawało się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedołężność pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dała pole kapitanowi schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga, jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, co dzień mocniéj go na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jedném wejrzeniem i, jak służba mawiała, znali się jak łyse koty; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się we własnym domu rezydentem na łasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlazło, a właziło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle o przymiotach, któremi go obdarzyła natura: nic mu się nie wydawało trudném. Wyszedł też do Lepiuków z miną gromowładcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi wlókł prawie po ziemi, w bok ręką się wziąwszy, pewien, że rzeknie słowo i przekona ich.

— No! — rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków — wiécież czego was zawołano do dworu?

— Nie! Jaśnie Panie! — nisko się kłaniając, odpowiedzieli chłopcy.

— A zatém — dodał kapitan uśmiechając się — chcecie żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

— Słuchamy! — szepnęli podnosząc głowy chłopi.

— Pani i pan chcą, żebyście waszę siostrę Motrunę dali za tego cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli; starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi i odezwał się, dusząc czapkę:

— Toćby my to Jaśnie Panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola państwa, ale jest przeszkoda wielka.

— Jaka? co za przeszkoda? — ofuknął kapitan.

— A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

— Co tam ojciec! — rzekł machając ręką. — Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

— Kiedyż myśmy się ojcu obiecali — odparł Lepiuk.

— Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszéj dotrzymać? — zawołał głośniéj kapitan. — Dziewczyna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

— Motruna nie może tego chciéć, kiedy wie, że ojciec nie pozwolił — przerwał młodszy Lepiuk.

— Cicho!! — wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem — nie wdawaj się w rozprawy. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkiém; tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

— Ale Jaśnie panie... ośmielił się starszy.

— Tu nie ma ale — przerwał wąsacz — nic, nic, posłuszeństwo i po wszystkiém. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele...

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana, rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

— Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy, to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umiérając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za cygana, on się jéj wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawim i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

— Co ty śmiész mówić! — zakrzyczał — łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiéj sprzeciwiał! A wiész ty czém to pachnie!?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszanym, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany upór, że Harasymowicz uczuł się zbitym i nie wiedząc co począć, zabełkotał tylko jeszcze:

— Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi; z tobą zaś będzie inny porachunek — dodał grożąc Lepiukowi. — Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonąwszy nieco, wszakże nie swój trochę, wcisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącemi ciekawością oczyma pani Adamowa.

— A co kochany kapitanie? — spytała wdzięcząc się.

— Nic, chłopi jak zwykle chłopi: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

— Mówisz że się opierają?

— At! plotą, że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za cygana, że się jéj wyprą: głupstwa plotą. My zrobimy jak pani każesz...

— Jakto! mówisz że się nie godzą?

— Ale któżby ich pytał!

— Są więc z ich strony przeszkody?

— Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

— Ale ja nie chcę jéj nadużywać, wolę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

— Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko: — kij; ten działa lepiéj i skuteczniéj niż najwyszukańsze argumenta. Będą się sprzeciwiać, każemy ich ochłostać i kwita.

Czuła Francuzka wzdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białemi.

— Ach! barbarzyńco kapitanie! chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam; ja się oburzam na samę myśl przemocy.

— No, to rób sobie pani co chcesz — odparł kapitan ruszając ramionami — a ja się do niczego nie wdaję.

— Pan bo się musisz wdawać, i musisz robić jak ja każę — zawołała niecierpliwie Francuzka tupiąc nogami; — zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecież nie kijem!

— Ale zmiłuj się pani, tego się nie podejmuję — oburzył się rezydent. — Dziś ich zawracać, a toby dopiéro nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z niemi, bądź pani spokojną.

Tak się w pokoju skończyła rozmowa nadejściem pana Adama, który ziewając wsunął się przez przeczucie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś, z powracającemi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwało na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a ciekawych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi jakkolwiek cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczej; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i cygan będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziéj obmierzał; nie mieli z niego posługi żadnéj dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich niemiłém było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

— Co to — mówił Skorobohaty, poprawiając pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednéj nodze — co to? lada przybłęda, wołokita będzie nam zpod nosa brał gospodarskie córki i na naszéj ojcowiźnie osiadał. Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszemi dziećmi: albo to nie krew nasza, o którą tylko Pan Bóg spytać może?

— A to prawda — ciszéj dodał tchórzliwszy Symiacha — ale nie gadajciebo tak głośno! jeszcze kto posłyszy! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: choćmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i biéda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do któréj i oni ze spuszczonemi głowy powolnie zmierzali.

— A co? — zapytał ciekawie — czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgnąć od doświadczeńszego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniósłszy się zwiastował.

— Dobrześ powiedział, chłopcze — począł Skorobohaty — tak się i należało, i tak róbcie; dwór się pomiarkuje, ta *chrancuzka* się zlęknie, a kapitan... *oj! oj! sławny buben za horami!!* Alboż to pan! nic z tego nie będzie...

— No! a jak się uprą! — rzekł młodszy Lepiuk.

— To niech ją wydają do trzysta diabłów — gorąco podchwycił stary — niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jéj i cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. Ot! co będzie...

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie, wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

— Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

— Psubrat cygan — podchwycił drugi — będzie sobie dziéwki u nas wybierał! ho! ho!

Stanęło więc na tém, że bracia mocniéj jeszcze w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie dać po dobréj woli i wrócili do chaty nic nie mówiąc Motrunie, ale chmurni jak noc.

Ona przeczuła co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczém nie wié, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z cyganem, bo jéj nie spuszczano z oka, a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała zręczności zajrzéć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po Lepiuków obu, a kapitan z instrukcyą nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

— No! — rzekł — musieliście się namyśléć od wczora; nie ma co wody warzyć. Motruna musi pójść za cygana, a zatém przygotujcie jéj uczciwe weselisko...

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wołyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nałogu.

— Niech sobie państwo robią co chcą — odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacyą zastanawiającą — my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrzał w oczy młodemu chłopcu i zdziwił się, spotkawszy toż samo wejrzenie zimne na pozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niém bezwładny opór człowieka: który już przygotował się na wszystko i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać pożyć na groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie ofuknął się tą razą pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

— Gdyby to moja była sprawa — odezwał się powoli — wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nazbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować wola ich!! Powiem wam więc od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela i posag Motruny i jeszcze obiecuje wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili, jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

— Bardzo dziękujemy państwu — odezwał się nieporuszony — ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zżymał, świerzbiał mu cybuch w ręku.

— No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili, jak się jéj podoba... Słyszycie!!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

— Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

— A cóż u sto tysięcy diabłów — krzyknął kapitan — więc i to odrzucacie?

— Wola pańska i Boska! — westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swojém i odeszli przygotowani do zniesienia co los nada.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić jakie uczucie pobudził w niéj, ten tak mało napozór znaczący wypadek. Im silniéj nalegał dwór, tém uporniéj obstawali przy swojém bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść dla cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczéj jak siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutnężto zaprawdę było to wesele! Napróżno zastawiano wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druchną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upor zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biédnéj dziewczynie; płatka nie dano jéj z chaty ojcowskiéj, bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczęścia; ale łzy Motruny, bojaźń wystawienia ją na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie, korowaj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie towarzyszą zwykle mieszaniu i przygotowywaniu symbolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wymiótł, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra pijana. Nikogo krewnego, nikogo swojego, nikomu przytulić, pocieszyć i ośmielić sierotę. Motruna rozlewała się we łzach ciągle: tak ją już przerażała przyszłość, którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany, przelękły swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko czarne oko zpod brwi nawisłéj błyskało.

Na tém, myślicie zapewne, powieść nasza skończyćby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele wszystko zamyka, w życiu od niego się dopiéro poczyna historya ludzi; za

niém idą piérwsze roskosze, cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć i wypadków. Właściwiéj daleko bohaterowie powinniby się żenić w piérwszym rozdziale; ale w ten sposób smutniejszą choć może więcéj zajmującą byłaby powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczywistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z natury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Bouchera lub Watteau) była jedynym przedmiotem powieści: — ostatnią jéj kartą ślub być musiał. Dziś wcale inaczéj: — przedmiotem powieści jest życie samo, ze wszystkiemi objawami swemi i w całéj swéj nieprzebranéj rozmaitości; miłość i wesele w niém chwilą i jedną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitanowi, i co z niemi się stanie, niebardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązaną, czułą parę łącząc na wieki węzłem nierozerwanym; nie przyszło jéj na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie; chata Tumrego stała niedokończona, drzewo nawet przygotowane na nią popsuł był owéj nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jednę krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz po weselu nie wiedziało gdzie się podzieć i czém się daléj wyżywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców; a że izba, w któréj przytulono cygana była potrzebną i nie było ktoby się zaopiekował sierotami: oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biédni zostali bez dachu, bez przytułku, nie wiedząc gdzie się podziać, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśléć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony cygan wziął Motrunę za rękę, która maleńkie zawiniątko niosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaju, całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieżkę poza ogrodem, i jakkolwiek była niewygodną, wolał się nią puścić, niż spotykać się z ludźmi coby z nich szydzili. Ze spuszczoną głową i zadumany szedł myśląc jakby tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian, drzwi, okien, pieca, i całego gospodarskiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani mąki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wodę zaczerpnęli... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krówkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała i pocichu łamała ręce, niekiedy przypominając przekleństwo ojcowskie; i szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę, drożyną, aż ku poczętéj chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczéj rozmowy; ale ścieżka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przed drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna sparła się o ścianę, oczy nieprzytomne wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojcowska mogiła.

Jéj łzy bolały nieszczęśliwego cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynęły; choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiech i odwagę.

— Nie płacz — rzekł do niéj pocichu przybliżając się — płacz nie pomoże, potrzeba myśléć co z sobą zrobimy. Ja chatę dokończę przed zimą, tymczasem choć jednę izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba naprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żal jéj było tego stworzenia, które czémś więcéj dla niéj było niż datkiem pieniężnym: było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.

— Szkoda krówki — szepnęła — ale cóż robić? Jak trzeba, to mus...

— Czémże ją przekarmim, a czém wyżyjem sami! Wszak to jesień!

— Poszłabym do braci...

— Do braci? — podchwycił cygan brew marszcząc, nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy; trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém... Czasu nie możemy tracić; idź z krówką do miasta, sprzedaj ją, wiesz co na gospodarstwo

potrzeba; ja muszę z chatą spieszyć... Tylko śmiało, Motruno, niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, żem coś wart!

To mówiąc cygan z zapałem jakimś pocałował ją w czoło, zrzucił z siebie opończę, porwał siekierę, oczy mu się zaiskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzała na to, i odwaga powoli wstępowała jéj do serca; dumała chwilę, potem odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiém wahaniem, żegnając męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady! Opadały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność; to znów pragnienie pokazania swéj siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takiém usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I byłto widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurném, z usty zaciśnionemi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w silnych dłoniach jego chrzęszczało. Siekiera gorzała mu w ręku, trzaski leciały świszcząc w powietrze, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takiém jakiémś przeczuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwy. Nie pomyślał nawet o spoczynku, o jadle, o wytchnieniu, a im więcéj pracował, tém praca stawała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle zciemniło mu się zupełnie.

Powlókł okiem po niebie osłonioném, dobył krzesiwo, naniecił ognia z trzasek i obłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migało światło rozdmuchiwane i gasnące naprzemiany; Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziéj na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykłe normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w któréj chciał żonę swą ukryć; zrana nie było jeszcze belek: musiał je pozaciągać, a łaty i koły sparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujący daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwą naprędce wystruganą obwarował, lecz drzwi nie było zrobić z czego...

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaleźć nie mógł; na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piały na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy cygan siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze latając po świecie myślami niespokojnemi. I jak się często zdarza silnie zaprzątnionym pragnieniem jakiémś, we śnie dopiéro Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samym cmentarzykiem, naprzeciw w rowie leżał zbutwiały i przepruchniały mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone wpoprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgniłych nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł; potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżéj mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie: — poszedł ku cmentarzykowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biednemu, który wlazłszy pod drzwi leżące, namacał kilka desek, zgarnął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne goniło powietrze.

Długo potém jeszcze dyszał niespokojny, ale radość zwycięztwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoję i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty; ale zaledwie ciosać zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasępiło: ujrzał na nich głęboko wyrznięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; spróbował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle.

Jakiś zabobonny strach na widok tego niezagładzonego godła owładnął cyganem, chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z niemi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; siekierę założył na ramie i puścił się w las. Żywej duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesiennym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć, widział je ze wszystkiemi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącemi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie daléj a daléj, wiedziony instynktem jakimś, bez ścieżki i drogi, gdy go przestraszył głośny śmiech dający się słyszéć tuż blisko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się: pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobryto był znajomy cygana: zwano go we wsi głupim Jankiem: nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł miéć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym: twarz miał blado-żółtą, schorzałą, wykręconą jakby od wielkiéj choroby, i żaden włos jéj nie zarastał; oczy ciemne, maleńkie, sterczały wśród niéj, jak dwie tarnki okrągłe... Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nóżek cienkich i nieproporcyonalnie krótkich, co się jeszcze dziwnéj przy rozrosłéj i olbrzymiéj głowie wydawało. Janek podobny był bardzo do tych poczwar leśnych, któremi wyobraźnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się — co wolał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne zawsze za nim ujadały, a drugie go prześladowały nielitościwie; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawałek chleba który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, obijał konopie i podejmował się ochotnie, czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupim; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego, co słyszał, ruszano nań ramionami, i nazwano szalonym. Dziwne położenie biédnego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom, owszem wesół zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy chociaż szeplenił i trudno mu z nią szło, gotowy; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcéj. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim okrzykną, niechże się z tego wyplącze! Janek pozostał głupim i może temu winien był swoję swobodę.

Spotykali się oni z cyganem w lesie nieraz, a biédny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczynał z nim rozmowy, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił się powoli z głupim Jankiem i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

— A! a! — odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesołéj miny — dobry dzień, panie młody: czegoto w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedziéć; ale Janek mógł pomódz.

— Może kalinowego stołu? może cisowego progu do chaty? — mówił daléj chłopak i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanucił piszczącym, schrzypłym głosem, przerwał i zbliżył się do cygana:

— Gadajże kochanku — rzekł przymilając się — czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu patrzéć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! co tobie trzeba? może ja ci pomogę?

— Podobno ani ty, ani nikt, chyba diabeł, rzekł chmurno Tumry.

— E! fe! kochanku, cyganku, serduszko, gołąbku — począł Janek — na co tobie tego szlachcica wzywać w takiém ciemném miejscu? Ja się go i na polu boję! Ot! lepiéj powiédz co tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

— Gdzie tam! — rzekł cygan — chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknij, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiłuję, ani kupić jéj, ani nawet ukraść.

— A tybyś ukradł!? — śmiejąc się i grożąc spytał Janek. — Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można...

— Jakim sposobem? — spytał cygan.

Wszak to, co niczyje, tego wziąwszy człowiek nie kradnie — rzekł zamyślając się z udaną powagą głupi Janek.

— A zapewne.

— Otóż tu w lesie jest stara buda — szepnął pocichuteńku chłopak — bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niéj mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od téj pory opuszczono chatę, a drzewa z niéj nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś diabła, nie mówiąc złego słowa, prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

— A gdzież to? — zapytał gorąco cygan.

— Chodź, ja cię zaprowadzę — odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny wyższy od siebie i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Janek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że cygan ledwie go mógł napędzić; niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przyzastanowił, i znowu daléj. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczajał na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry milczący nie spuszczając go z oka, szedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczu zapustów młodych, Janek pokazał zdaleka palcami cyganowi coś nakształt zrujnowanéj chaty. Trudno było poznać teraz, czém to dawniéj było, bo dach opadł, ściany się porozsuwały, postarzały kluczyny, komin pleciony rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniéj ludzką siedzibę. Pod jedną z jéj ścian jakoś przysłoniętą od deszczu, stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze resztka sznuru przegniłego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale ledwie dotknięte, w ręku mu się rozsypały.

— Otóż masz! — krzyknął Janek — szkoda naszych nóg, cyganeńku: i to próchno!

Nie byłoto jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

— Cóżto ty myślisz sobie sam wziąć wszystko? odezwał się towarzysz — a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

— Albobyś ty dźwignął? — uśmiechając się z politowaniem odparł cygan.

— Dajże mi połowę, a sprobuję! — odpowiedział głupi Janek.

Zdziwił się niepomału Tumry, ujrzawszy jak niedołężne to napozór stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje brzemie, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, ukłonił się słomianym kapeluszem cyganowi i szepnął:

— Ruszaj sobie kochaneczku sam; jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, że my obadwa czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zdał! Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadczę! Gwałt! gwałt! a to cud! — Wziął się w boki — cha! cha! i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.

Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jéj widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na niéj wiele, a każdy co przechodził zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobiétę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się, że bydlę było na sprzedaż, a łzy dowodziły pozbycia się, kilka razy Motrunę zatrzymywali. Dawano jéj coraz mniéj za staruszkę, któréj chude boki i najeżona sierć, niebardzo zachęcały, i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśléć o przyszłém gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obstąpili żydzi, żydówki, żydzięta, wieśniacy i targ się rozpoczął na bydlę, którego niepozorność a zatém i taniość zwabiała wszystkich uboższych. Ani się opatrzyła jak przybito ręce, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jéj zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale jakże to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować zapomniawszy płakać; ale nowa biéda, gdy się to

wszystko zebrało: i garnuszki i wiadro i dzbanek i sito i dzieżka i niecółki — niepodobna jéj było zabrać tyle sprzętu.

Musiała szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno: ledwie więc pod noc zwlókłszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najęty chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łoskotem i zdawało się, że w kawałki poleci; ale stawał jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły daléj powoli, choć gospodarz ich sparłszy głowę na nowéj dzieżce, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą poglądającego na swoję lepiankę. Młoda kobiéta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zapełniły ściany, zapełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stanęła, złożyła ręce i zlękła się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wié — cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi...

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę na pociechę, na spoczynek nie było chwili czasu; on musiał tworzyć swój szałas, ona myśléć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, bo na chléb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcéj w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytwornego sprzętu. Stare deski rozpadały się za dotknięciem, dziur w nich było mnóstwo, musiał je cygan łatać, zabijać, sztukować i wiązać, gdzie kołkiem, to znów lisztewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięztwo gdy na wrzeciądzach osikowych, skrzypnęły raz pierwszy drzwi chaty cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył!! Za te drzwi oddałby był całą chatę, taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiech jego, wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny, siedli w kątku nowéj izby, na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali pierwszy kawałek chleba pod ścianą swéj chałupki i cyganowi łzy strumieniem polały się z oczów.

Zobaczył przyszłość przed sobą.

TOM II

Jest w człowieku siła, na któréj rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jéj umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko co ją otacza, pęta żywioły przeciwne, walczy zwycięzko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; któréj potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte — tą siłą jest wola!

Słówko, ale co w tém słowie! Jakie skupienie władz wszystkich, jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w niéj treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich; tą jedną sprężyną pociągnione, wchodzą w ruch i działanie siły nieznane, uśpione, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada i niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją miéć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jéj czyni niewolnikiem[3], jak posiadanie jéj władcą. Na téj osi obracają się koła losów, niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcéj się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pustelnika wykutéj dłonią drżącą w twardéj skale, czy chacie cygana zlepionéj niczém z niczego?

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy: bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcy. Drobny, niewidzialny otworek, który wyrył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniéj jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą, żłobiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luxorski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten światek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziéj zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednéj silnéj woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczéj jak czasem swoim zapłacić nie mógł.

W kilka tygodni po weselu i po opisanych wypadkach chata Tumrego była prawie na dokończeniu. Wielką w tém pomocą stała się dla niego żona, bo jéj widok zagrzewał go, zachęcał, a pracowite dłonie nie jedno polano przywlekły pod cmentarzysko. We dwojgu, praca już lżejszą stała się cyganowi; a gdy wieczorem uznojony upadł na lichéj ławie odpocząć, miał ku komu zwrócić oczy, miał już przemówić do kogo.

Motrunie przywykłéj do domowego gospodarstwa, które się dostatniém w porównaniu do nagich ścian ich chałupki nazwać mogło; ciężko było oswoić się z tym bytem, dla którego utrzymania wszystko niemal stworzyć było potrzeba z niczego. Tak mało, zdaje się znajdziesz w ubogiéj chacie wieśniaka, a jednak ile tu niepostrzeżonego sprzętu, drobnostek, które powolnie nabywać, robić, dostawać musi. W chałupie Tumrego, prócz kupionych przez Motrunę na targu najpotrzebniejszych rzeczy, nic a nic nie było. Cygan obchodził się upieczonym kartoflem i zaczerpniętą w dłoń wodą. Począwszy od wiadra, sprzętu pierwszéj potrzeby, przy którém jeszcze czerpak być musi lipowy, ileżto brakło co chwila! Stół, ławy, niecki, cebry, dziżkę dostać musieli, bo się bez nich obejść nie mogli we dwoje. Jednym téż chlebem żyć było trudno, a ogrod zasadzać za późno.

W początku myślała Motruna, że wieś i bracia, którzy się tak nieprzyjaźnie stawili dla nich, dadzą się przekonać i nakłonić do przebaczenia; ale zaraz pierwszych dni przekonała się, że albo wiele na to czasu byłoby potrzeba, lub nigdy może dokonać się to nieda. Wieśniak ma to do siebie, że w raz powziętém uczuciu i myśli trwa uparcie; nie ma on czasu na rozmyślanie, na rozbiory tego, co uczuł i przedsięwziął: czyn zajmuje mu niemal życie całe, raz więc stanąwszy na drodze, zbić się z niéj nie daje niczém. W sercu

[3] *niewolnik* — wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez-woli. [przypis autorski]

jego rozbudzone wzruszenie dzień jeden podaje drugiemu dniowi, a myśl, z którą usnął z wieczora, wstaje z nim nazajutrz rano.

Bracia Motruny stanęli właśnie na gościńcu, z którego ich nic sprowadzić nie mogło; owszem, dwór wdaniem się swojém przyparł ich jeszcze do niego, a cała wieś oświadczając się za nimi i pośmiertną wolą starego Lepiuka, niepodobném prawie czyniło dla nich cofnięcie się.

Jakkolwiek kowal był bardzo wiosce potrzebny, zarzekli się wszyscy, że Tumrego nie użyją, choćby o mil kilka z naralnikami chodzić mieli. Bracia Motruny zerwali z siostrą zupełnie, i zdala nawet nikt nie spojrzał litościwie na tych wygnańców z pod cmentarza, których lepianka powoli się nakrywała i kończyła.

Przejeżdżając drogą, każdy z ciekawością poglądał na chałupę cygana, ale jak skoro znajomy zobaczył Motrunę w progu, popędzał konie żeby ją minąć, odwracając twarz ku cmentarzowi, bez powitania i dobrego słowa. Najodważniejsi nawet z gromady, starym zwyczajem trzymali z gminą i słuchali jéj wyroku.

Dni tak upływały, a żywa dusza nieprzestąpiła proga, i nie słyszeli głosu nad swój własny; a gdy długa noc jesienna nadeszła z wichrem i burzą, tulili się do siebie z zabobonnym strachem, bo obojgu w téj pustce na myśl przychodził rozgniewany Lepiuk i sąsiednia jego mogiła.

Pracy tak było wiele, a znój tak nieustanny, a przyszłość tak straszna, że oboje nie mieli jeszcze czasu boléć nad dniem dzisiejszym. Toćto jedyna ulga wielkiéj nędzy, że ona przed sobą daleko nie widzi. Szczęśliwsi dręczą się jutrem, płacąc za pomyślność dzisiejszą niepokojem przyszłości; biedny, w opasanym zewsząd dolą swą dodniową widnokręgu, na nią już tylko boleje. Tak i z niemi było.

Tumry zwłaszcza w znoju kończąc swą chatę i poczynając kuźnię, ani się oglądał na nadchodzące: głód i zimę. Motruna czasem myślą wybiegła po kobiécemu naprzód, ale ją odciągnęła troska powszednia. W istocie, przyszłość była groźna, a nawet dla najnędzniejszych zastraszająca. Dwór pusty z kapitanem Harasymowiczem na gospodarstwie, nie mógł być żadną pomocą; wieś odsunęła się od nich całkowicie, bo nawet Maxym Lach unikał ich teraz; do postawienia kuźni więcéj jeszcze potrzebował cygan pomocy niż kiedy, a zkąd było wziąć żelazo, młoty, kowadło, i pierwszy narząd rzemieślniczy?

Jakkolwiek przywykł Tumry po cygańsku obchodzić się lada czém, wszakże i miech, i cęgi, i młot, i kowadło były konieczne. Na horno potrzeba było cegły, i cygan sam zbudować go nie umiał! A bez kuźni jakaż znów dla nich przyszłość, i zkąd wziąć chleba kawałek?

Podtrzymywała go nadzieja, że gdy warsztat swój postawi, gdy ludzie zobaczą tuż blizko to, czego dotąd daleko szukać musieli; powoli zaczną się udawać do niego z pilniejszą robotą choćby ukradkiem, a za przykładem śmielszych pociągną się i bojaźliwsi.

Wiele jeszcze jednak potrzeba było do tego.

To, co pozostało Motrunie ze sprzedaży krówki, wychodziło powoli na kupno najpierwszych potrzeb do życia: mąkę, krupy omastę i nieustannie odkrywające się jeszcze nowe w domu niedostatki; ani pomyśléć mogli o przysposobieniu kuźni i potrzebnych do niéj narzędzi z téj odrobiny, którą jeszcze mieli, bo ta musiała być obróconą na pilniejsze wydatki.

Cygan jeszcze jednak nie tracił serca, nie postradał odwagi, a praca nie dawała mu czasu na próżne narzekania i rozpacze. Choć chatka jako-tako zlepioną była powierzchownie, jeszcze w niéj ściel musiał zakładać i lepić, ze szczątków szkła połapanych na śmieciskach, jakie-takie porobić okienka, postawić ławy, stół, łóżeczko. Krzątał się więc nieustannie latając do lasu, a w domu ciosając i przybijając od świtu do nocy. Ledwie im pozostawała chwilka na południową strawę, i spoczynek z rozmową wieczorną.

Motruna także miała co robić? Trzeba było chléb upiec, zgotować jedzenie, i na to wszystko nanosić wody, co najgorsza. Najbliższe źródło było w jarze nad drogą do wioski, o dobre staje od chaty, u brzegów stawu, a do niego trzeba było schodzić gliniastym obrywem biegnącą ścieżynką, którą lada deszczyk prawie nieprzebytą czynił dla ślizgoty: cóż dopiéro, gdy nią z ciężkiemi wiadrami na plecach powracać musiała, drapiąc się pod górę Motruna! Po wodę zaś najmniéj dwa razy w dzień zejść było potrzeba. Szczęściem jeszcze, że mało kto chodził do téj studzienki, i biedna Motruna nie spotkała tam kobiét, których milczenie lub ucieczka, byłyby ją boleśnie dotknęły.

W kilka tygodni po przeniesieniu się do ubogiéj lepianki, nic o tém nie mówiąc mężowi, zajętemu jeszcze kończeniem lichéj budowy swojéj; Motruna postanowiła sprobować szczęścia i zakołatać do serca rodziny i braci. Nie widziała ich od chwili, w któréj przeciwko ich woli opuściła chatę ojcowską, i widocznie unikali nawet przejeżdżania drogą pod cmentarz wiodącą, kołując daléj na pańszczyznę i w pole.

— Niejużciż ja im już obca? — mówiła sama w sobie — wszakże chowaliśmy się pod jednym dachem, jedną pierś ssali; czyby tak odepchnąć mnie mieli na zawsze? Swój połaje, pogniewa się, ale pożałuje. Jak im powiem biédę naszą, taki serce się im otworzyć musi, i pomogą, i przebaczą!

Takiemi zagrzewając się myślami i dodając sobie otuchy, któréj w istocie jéj brakło, Motruna ku wieczorowi dnia jednego, gdy Tumry zabawił się w lesie, wziąwszy wiadro na plecy na przypadek, aby się miała czém przed nim wymówić, zeszła niby ku studni. Tu w krzakach schowała naczynie i nosidła, a sama choć tęskno i bojaźliwie, pociągnęła w drogę ku dawnéj chacie ojcowskiéj.

O! biłoż jéj biło biédne serce, gdy ten dach słomiany ujrzała, dziś całkiem obcy, a dawniéj tak dobrze, tak serdecznie znajomy! Każda tu na dachu mchów plama, każdy snopek świeży i żółty, każda kluczyna usunięta na stodółce, tak przypominały dnie, w których patrzyła na nie spokojna i szczęśliwa może! Toż samo stado wróbli świegotało na płocie i w bzach ogródka, i dym z komina tak się zwijał jak dawniéj, i wrotka tak były na bok leżąco otwarte; — wszystko jak było, wszystko, a jednak ten dom tak do serca przyrosły, już nie jéj, już obcy, już cudzy!

Strach ogarniał zbliżającą się do niego Motrunę, a łzy kręciły się w oczach, bo całe dzieciństwo i młodość wybiegły przeciwko niéj za wrotka, powitać wracającą wygnankę, i niosły w ręku pęki niezabudek... Ale prócz tych mar, nikt więcéj nie wyszedł.

Wahała się czy przejść próg chaty, czy się ośmielić zajrzéć tam, i przemówić do dawniéj swoich, dziś cudzych ludzi? A nuż nie zastanie braci, tylko ich żony, które zawsze krzywém okiem patrzały na nią, choć z serca starała się im pomagać, i zastępowała je w pracy około chaty i na dworskiém. Sparła się na płocie biédaczka i zapłakała gorzko, tuląc oczy fartuchem; i stała tak długo zadumana, nie wiedząc co począć, gdy uczuła się trąconą w ramie.

Serce jéj zabiło, otworzyła oczy, a nuż to brat, a nuż to siostra? Nie... byłto stary kot czarny, który ją poznał zdaleka, wskoczył na płot i łasił się Motrunie.

— A! poczciwy burek! — zawołała — choć on nie zapomniał Motruny; dziękuję ci, dziękuję!

Kot nie sam przecie przypomniał sobie rękę, która go dawniéj karmiła: wkrótce otoczyły ją kury nadbiegające z podwórka, zwiedzione, sądząc, że im ziarna posypie, i para szarych gołębi zaczęła się kręcić nad głową.

To powitanie istot, co tak mało mają zwykle pamięci, poruszyło biédną wygnankę, sierotę, i do łez ją rozczuliło. Witała się ze wszystkiemi, głośno wywołując nadane im nazwiska; a gromadka krzykliwa kręciła się dokoła, coraz głośniéj szczebiocząc. Nie ośmieliło to jednak Motruny wstąpić do chaty, która stała zawarta, i nikogo z niéj dotąd widać jeszcze nie było.

Dzień był przecie sobotni, i pewnie żadnéj we dworze ani w polu roboty: bo całe dwa dni lał deszcz, a od południa dopiéro przesychać zaczynało. Już miała odejść przejęta strachem, gdy znajomy skrzyp drzwi od izby dał się słyszéć i wyszedł z nich starszy brat, widocznie tylko co przebudzony, przeciągając się jeszcze. Na gwar ptastwa sądząc, że może jastrząb zwija się w okolicy, przyłożył rękę do czoła i spojrzał; a z za wrót postrzegł głowę Motruny i stanął, widocznie zafrasowany. Jedną już ręką chwycił za skobel od drzwi, jakby chciał nazad powracać, a drugą rzucił zniechęcony. Walczył z sobą: to uciekać myśląc, to odprawić siostrę kilką słowy: ale brew jego namarszczona nic dobrego nie zwiastowała.

Motruna wyciągnęła ku niemu rękę:

— Bracie! bracie!

— Nie ma tu tobie ani braci, ani siostry, ani rodni — odparł surowo jak sędzia, gospodarz — tyś już nie tutejsza! Precz cyganicho od drzwi i progu naszego, precz! Po co ty tu? Może wypatrujesz dla męża, którędyby konie nasze wyprowadził?

— Maxymie! na miłość Bożą, godziż się tak siostrę przyjąć! Odpędź, nie przyjm, ale nie łaj tak boleśnie! Co wam zrobił mój mąż? co ja wam winna?!

— A ojcaście zapomnieli? — zakrzyczał Maxym groźno. — Kto go zabił jeśli nie wy dwoje, i kto potém szukał we dworze pomocy i opieki przeciw nam? No! niechże i teraz dwór was ratuje i dwór wam pomaga! My tobie nie bracia!

— Maxymie! choć dobrém słowem pożegnaj! My z głodu poumieramy: ty nie znasz naszéj nędzy! Z waszéj namowy cała wieś na nas, chléb nam z gęby wyrwaliście. Nie chcecie mnie za siostrę, ja wam się nie narzucam; ale przestańcie prześladować.

— Nie! nie — krzyknął Maxym — będziemy was męczyć, aż sobie precz ztąd w świat za cyganami, braćmi waszemi, pójdziecie. Obchodziła się wioska tyle lat bez kowala, obejdzie się i daléj, a my was nie chcemy miéć na oczach!

Motrunie ta nielitośna mowa odezwała się aż w sercu, i ścisnęła je gniewem prawie.

— Prześladujecie nas cyganami — zawołała podnosząc się — a i wyście synowie Romów! Prześladujecie nas, a lepsiście sami, co odpychacie krew waszą na zgubę i głód, byle wam z oczu uszła!

— Precz mi jędzo! bo cię psami wyszczuję! krzyknął Maxym wypadając z chaty za próg.

— Psy lepsze od ciebie — rzekła Motruna — bo mnie wszystkie znają za panią, kiedy ty wyparłeś się siostry.

— Boś ty się wyparła ojca i jego woli — przerwał Maksym.

Motruna spuściła oczy, obeschłe z łez i gorejące, wstrzęsła się i wzgardliwie rzucając wejrzenie na brata, odstąpiła na kilka kroków od chaty. Kot, kury, gołębie nadbiegły, w téj chwili stary Kasztan, pies podwórzowy, który się wśród wrzawy obudził i zlazł z przyźby: wszystkoto poszło za dawną karmicielką.

Maksym znikł już za drzwiami.

Burek zeskoczył zrazu z tynu, i ocierając się o Motrunę, kilka kroków wlókł się za nią powoli; ale widząc, że minęła wrota i kierowała się ku drodze: przyzostał, usiadł, łapki pod siebie podłożył, i w początku poglądał na nią, a nareszcie, że słonko mu przygrzéwało, zdrzémnął się wśród podwórka.

Kury napróżno pozierając na fartuch Motruny i szczebiocząc, poskakały za nią kilka kroków, dziobiąc ją po nogach i chwytając za spódnicę; ale i te zobaczywszy że schodziła ze zwykłych granic ich państwa, zaczęły się grzebać w śmiecisku i porzuciły ją samą.

Para gołębi leciała nad jéj głową przysiadając na gruszach, na studniach, na dachach; zdawała się ją wyzywać nazad i gruchała ku swéj pani; ale niedaleko jéj towarzyszyła; samica pociągnęła ku gniazdu piérwsza, a samiec wrócił się za nią.

Kasztan stary wytrwał podobno najdłużéj: wyprowadził ją za podwórko, za wrotka aż na drogę, i lizał po ręku i mruczał, zapraszając niby, aby się nie oddalała od chaty. Ale Kasztan tak już był stary! Boki miał wypełzłe, ogon niemal nagi, nogi sztywne i suche, trudno mu chodzić było, zwykle najdalszą jegó podróżą były wycieczki za wrota, a na drogę nawet nie puszczał się nigdy. Miał na przyźbie wyleżany barłóg słomiany, do którego był tak przywykły. Jakże mu było wyrywać się nie wiedziéć jak daleko z Motruną? Szedł, szedł, i przyzastanowiał się kiwając ogonem; zrobił krok jeszcze, szczeknął nawołując, i spojrzał na chatę i na Motrunę, jakby rozmyślał co robić z sobą. Nareszcie, gdy nie odwracając głowy biédna sierota szła daléj, Kasztan podtuliwszy ogon spuściwszy głowę, zawrócił się po cichu do swojéj przyźby, powoli podreptał ku niéj, i mrucząc spać się położył znowu.

Uciekając ze wsi ze łzami w oczach, żona Tumrego przechodzić musiała koło stodółki ojcowskiéj w któréj cep słychać było. Wrota jéj na pół otwarte, dozwoliły spojrzéć wewnątrz, i najrzała młodszego brata w koszuli jednéj, zwijającego się koło kilku leżących na toku snopów żyta.

— A może téż on litościwszy będzie! — zawołała w duchu i wsunęła się cicho we drzwi, a cień jéj obudził zamyślonego pracownika.

Podniósł głowę, spojrzał, i zdumiał się widząc siostrę.

— A ty tu czego? — zawołał więcéj niespokojny jak gniewny — ty tu czego Motruna?

— Do was Filipie! do was! Byłam u Maxyma po dobre słowo tylko, po przebaczenie; Maxym mnie jak włóczęgę i obcą przepędził: czyż i ty tak zrobisz jak on.

— Maxym cię przepędził? — rzekł spierając się na cepisku Filip — a cóż ja ci pomogę? co ja ci poradzę.

— Choć pożałujcie! choć przemówcie! — zawołała biédna kobieta. Cała wioska z waszéj przyczyny od nas jak od zarażonych ucieka: nikt słowa dobrego nie powié, twarz nawet, spotkawszy się, odwracają! Czyż taki litości nad biednemi nami miéć nie będziecie?

— E! to darmo — rzekł żywo zmieszany brat młodszy — to darmo: kiedy Maxym cię przepędził, to cóż ja poradzę! Z całą gromadą zmówili się na was, żeby nie przyjmować i wypędzić: to darmo! Ty wiesz, że ja sam w chacie z Maxymem ledwie wytrzymać mogę, a tobym się miał i z nim i z gromadą zadzierać! Toby mnie, ani żonie pokoju nie dali i z chaty bym uciekać musiał. Idź sobie, idź! bo jak cię tu zobaczą, to i mnie prześladować będą!

Motruna płakała stojąc oparta o wrota.

— O mój Boże! mój Boże! do kogo się tu już udać, kto pomoże, kiedy bracia właśni opuszczają i wypędzają!

— A było ojca słuchać — rzekł cicho Filip — tobyś teraz nie biédowała Motruno; i dla cygana świata sobie nie zawiązywać i wstydu nam nie robić!

Motruna milczała.

— Co się stało, tego nie powrócić — odezwała się po chwili — ale nie daj Boże dzieciom waszym takiéj doli, bo my z głodu pomrzemy, jak zima przyjdzie.

— A dwór? — spytał brat.

— Nie ma dla nas nikogo we dworze!

— Dali wam, słyszę, krowę?

— Już ją dojadamy, bośmy przedać musieli.

Brat Filip zamyślił się chmurno.

— Idźno! idź! już ja tobie tu nie poradzę — rzekł cicho. — Ot nabierz w fartuch żyta co dźwigniesz, a nie mów nikomu żem ci dał: słyszysz! Przed Maxymem powiem, że kopa była z brzegu, więc ją gęsi wytłukły i wróble nadpiły... Bierz, bierz, nie sromaj się; dla miarki nie przepadniemy. A idź, bo jak cię Maxym zobaczy...

Nie tak ta drobna ofiara kilku garncy żyta, jak poczciwe serce brata, do którego się odwołać mogła, bo dla niéj nie było jeszcze stracone, uradowało Motrunę, i ze łzą w oku poczęła go całować w ręce, wołając:

— A! mój brateńku drogi! niech ci Bóg płaci za poczciwość twoję dla mnie! Dawno już nie słyszałam słowa, nie poradowałam się tak jak dzisiaj!

Filip zdawał się także wzruszony, ale wejrzenia jego rzucane na wrota, malowały obawę; począł sam zgarniać żyto, i prawie gwałtem wsypywać je w fartuch Motrunie.

— A dlatego — mruknął z cicha — idź ty sobie, idź! Póki Maxym cię tu nie zdybie, to ja ci czasem choć kradzioném pomódz będę mógł; ale uchowaj Boże, by zobaczył: i mnieby zjadł, i tobieby przepadło, co ja tam czasem dać mogę. Taki idź Motruno.

Łzy kręciły mu się w oczach, poprawiał końcem cepiska słomę, zgarniał ją, odwracał się, i wyprawiał biédną.

— Maxym — dodał w końcu — głowa domu: on wié co robi, i ojciec wiedział co robił! Nie trzeba było za cyganem latać, bylibyśmy żyli razem, a teraz wszystko przepadło!

— Jakto! — płacząc zawołała Motruna — czyż u was takie serce z kamienia, że mi nigdy nie przebaczycie?

Filip potrząsł głową.

— A jak my mamy odmienić, co ojciec postanowił? On umarł z wolą swoją i nie ma go, żeby ci przebaczył! To nie my, to on rozkazuje; na to sposobu nie ma!

— Nigdy! nigdy! chwytając się za głowę zawołała kobieta.

— Musi być że nigdy — odparł Filip, i popychając ją z lekka, dodał żywo: — taki-bo idź Motruno, bo bieda będzie, a i mnie czas zgarnąć żyto, bo wieczór nadchodzi.

Milcząca rzuciwszy okiem na litościwszego młodszego brata, który jakby się swego serca wstydził, mrucząc coś, koło zboża robił i oczy chował; Motruna wyszła bogatsza o kilka garncy żyta, którego jéj brat w fartuch nasypał, ale smutniejsza, ostatnią straciwszy nadzieję.

Od stodółki drogą po za płotami przebrała się do grobelki, przeszła staw, i zbliżyła się do studni, aby tam zabrać zostawione wiadra.

Nie było nikogo u źródła, a gdy przyszła odszukać wiader i nosidła, Motruna klasnęła w ręce z rozpaczy, spostrzegłszy, że jéj najpotrzebniejszy sprzęt skradziono.

Tumry długo bawił w lesie, bo musiał odszukać drzewa na przysochy do kuźni i przysposobić kluczyny, o które było trudniéj w wyniszczonym borze, niż o inny materyał. Późno już więc mrokiem wrócił do chaty, i gdy się zastanowił przed progiem lepianki, chcąc ciężar swój zrzucić z ramion namulanych, postrzegł Motrunę, która fartuchem oczy zasłoniwszy, siedziała płacząc przed drzwiami.

Twarz cygana zapałała ogniem; pomyślał że mógł kto krzywdę wyrządzić żonie w niebytności jego, i wszystek ciężar swój rzucił o ziemię śpiesząc do niéj.

Kobiéta wstrzęsła się na stukot padającego drzewa, porwała się na nogi i stanęła przelękła.

— Co ci to? na *Mroden oro*, co ci to Motruno? A! *gadziowie* przeklęci — rzekł, przypominając sobie w gniewie język cygański — już ci coś zrobili!

I pięść ściśniętą podniósł do góry.

— Klnę się — dodał — że już dłużéj nie wytrzymam; sam zginę, ale wieś pójdzie z dymem w popiół, za łzy i krew naszę! Niech poginą jak *szukela* (pies), kiedy jak *szukela* nie mają serca!

To mówiąc cygan, którego oczy gorzały, tak był straszny wściekłym gniewem, że się Motruna aż cofnęła, żegnając mimowolnie.

— A Tumry mój! — zawołała — czegóż się gniewasz i grozisz? Nic się nie stało naprawdę, nic mój kochany!

— Dlaczego płakałaś? *Row* (płacz) nie przychodzi bez przyczyny!

— Nad swojém głupstwem płakałam — odpowiedziała Motruna, chcąc wszystko utaić przed mężem. — Ot! przepadły mi wiadra z mojéj winy, nie z niczyjéj.

— Wiadra? jakim sposobem?

— Poszłam po wodę, ale przez lenistwo nie chciało mi się czerpać z krynicy, więc zlazłam aż do stawu; a że tam woda płynie żywo, a mnie nogi drżały, potopiłam wiadra... Zabrała je rzeka... młyn porozbijał.

Cygan spojrzał jéj w oczy i głową pokiwał.

— Gdzie? co? — rzekł powoli — w stawie moczą konopie, a tybyś tam wodę brała! Nadto z ciebie dobra gospodyni! Gdyby i poszły wiadra z wodą, toćby niedaleko popłynęły, bo trzciny rosną od brzegu, a tobie nie nowina po kolana się zamoczyć! Ej! to coś innego, Motruno; ty mnie nie oszukasz: inaczéj te wiadra zginęły!!

Motruna niebardzo kłamać umiała: zarumieniła się cała, przemówiła coś niewyraźnie, ruszyła ramionami, udając trochę zagniewaną.

— Coto gadać! — dodał Tumry — mów prawdę kobiéto, bo się ona nie skryje!

Ależ ci mówię jak było — wchodząc do chałupy, zmieszana odpowiedziała Motruna.

Cygan w ślad szedł za nią, i w téj chwili, choć zmrok padał, spostrzegł na środku izby leżący fartuch pełen żyta, który Motruna, nie myśląc co robi rzuciła powróciwszy.

— A to co — spytał wskazując ręką.

— To żyta miarka, którą kupiłam za złoty u przejeżdżającego z Rudni człowieka.

— Za złoty! — kiwając głową odpowiedział cygan już nie dając wiary. — Nie wierzę Motruno, mów prawdę, mów prawdę, to się nie godzi! Tyś płakała, ja chcę i będę wiedział wszystko, choćby mi przyszło nie wiem gdzie pójść po to.

Motruna milczała jeszcze, zbierając końce rozrzuconego fartucha.

— Ale boś mnie zastraszył swoim ogniem i gniewem. Tumry — rzekła powolnie — mamy już i tak dosyć gniewu ludzkiego, dość złości ludzkiéj; nie sprowadzajmy ich więcéj na głowę naszą!

— A gdybym ci dał słowo, że bez woli twojéj nic nie pocznę?

Motruna odwróciła się zapłakana.

— Daj ci Boże zdrowie! Ot! lżéj mi będzie, gdy ci powiem wszystko, i powiem, ale się mścić nie będziesz?

— Na *Mroden-oro* nie będę, póki mi stanie cierpliwości, Motruno; bom wiele już przebaczył i zmęczyła mnie nienawiść ludzka. Ale mów, a prędko, bo się trzęsę.

Motruna wtedy rozpoczęła całe opowiadanie swoje, przerywając je łzami, i omijając, co jéj Maxym, wygnawszy z podwórka, powiedział: a cygan słuchał w tak posępném milczeniu, tak upornie ścisnąwszy usta, że pary nie puścił, aż skończyła.

— Psy! — zawołał podnosząc się — psy bez serca! Nie chcę ich jałmużny! nie potrzebuję! Z głodu zdechnę, ty i ja, a ziarna tego przeklętego zboża nie ruszę!...

— A Filipże co winien? — nieśmiało wrzuciła Motruna.

— Filip baba, *Egaszi!* — krzyknął cygan — boi się mnie, boi się brata, boi się dworu i daje jałmużnę żeby się pozbyć! Rzucę mu ją jutro w oczy!...

— A! na miłość Boga — podbiegając przerwała żona — i jego, i mnie i siebie zgubisz! Maxym gdy się dowié, pokoju mu nieda i zagryzie; a za dobre serce odpłacim mu biédą! Ja na to nie pozwolę!

— A nie skamienieje ci ten chléb w ustach kobiéto? — zapytał Cygan — chléb jałmużny jak psu rzucony, siostrze przez *Pechral'a!* A będziesz ty go mogła jeść! a da ci on życie? Nie! o nie!

— Wyrzuć go jeźli chcesz, ale nie oddawaj bratu — błagając, krzyknęła Motruna — i nie gub go i nie gub mnie!

Jeszcze Tumry odpowiedzieć nie miał czasu, gdy do drzwi niedomkniętych, ktoś powoli zaskrobał.

Szelest ten nieprzywykłym do niego uszom wygnańców tak się stał dziwnym, że oboje przejęci strachem, stanęli jak wryci; a cygan przeczuwając nieprzyjaciela bo się już wszystkiego obawiał! poskoczył ku progowi.

Motrunie przyszły na myśl duchy cmentarne, upiór ojca mściwy, i drżąc przeżegnała się.

— Kto tam? — silnym głosem, odmykając drzwi, zawołał cygan, usiłując okiem przebić ciemności, — kto tam!

— A, a, dobry wieczór? dobry wieczór? Cyt! cyt! nie bójcie się; a toż goły rozboju się nie boi, a u was pewno się nie ma na co połakomić?

Słowa te zająkliwie wymówione, i przerywane cichym śmieszkiem, wyszły z ciemności powoli; a przed zdziwionym cyganem pokazała się dziwaczna postać głupiego Janka, który na ramionach dźwigał dwa wiadra pełne wody. A że był mały bardzo, ledwie z niemi przez próg mógł przeléźć, bo się niemal po ziemi wlokły.

— Wiadra moje!! — krzyknęła Motruna plaskając w ręce z radości — doprawdy to wiadra moje... to głupi Janek!

— Otóż nie taki głupi jak myślicie — odpowiedział gość, — kiedy znalazł to, co mądry zgubił! A! a!

Bóg ci zapłać — rzekł cygan — ot już drugi raz winienem ci przysługę!

— Coś ty tam mnie winien! — skrobiąc się w głowę, wybełkotał karzeł.

Ale gdzieżeś je znalazł — spytała Motruna — Jakiś ty poczciwy, patrzcie nawet mi je zwodą oddał.

— A jużciż kiedy wiadra, to zwodą! Pocoby ci się o téj porze zdały bez niéj — odparł Janek — A gdziem ja je znalazł! o! o! to długoby o tém gadać.

— Powiedzże choć gdzie, i jakeś je odebrał.

— Ja ich nie odbierałem — rzekł Janek.

— A jakże ci się dostały?

— A! a! jakto wam gadać łatwo, to się zdaje, że i mój język tak chodzi jak wasze; poczekajcieno, poczekajcie!

Tumry i Motruna stanęli przed Jankiem, który siadł w progu.

— Ot jak było — zabrał się opowiadać powoli. — Idę ja sobie, idę, ot tak! wypędzili mnie z chaty, bo mieli jeść wieczerzę, zamknęli drzwi: poszedłem... Idę, idę gdzie oczy poniosą przez grobelkę, przez mostek, i jakoś się zaszło do studni. Tu, myślę sobie, siądę, i choć wody się napiję, kiedy jeść nie ma co... Ale jak tu się wody napić, kiedy woda głęboko, a zaczerpnąć nie ma czém. Myślę, myślę, a musi to być jakiś sposób, i niechno ja tylko położę się, a pocznę go szukać, to znajdę! Odstąpiwszy tedy od studni kilka kroków, buch w krzaki! Buch, i zbiłem sobie boki o coś! A żeby cię wciornaski! Obejrzę się parę wiader, a jeszcze nowe, i nosidło! Ot i sposób. Ale kto to tu porzucił je? Oglądam się, żywej duszy...

Nadchodzi Naścia Laszkowa: dobry wieczór, Naścio! — Ta mi głową nie kiwnie — możeby ci wody wyciągnąć? — Idź do diabła. — Tylem skorzystał. — Moja Naściu, spytałem, nie wiécie czyjeto wiadra? — Wiadra! oj! — poskoczyła jakby jéj dał kułakiem

w bok, i nuż wołać: — a to moje, a ja ich szukałam! — Twoje! rozśmiałem się, taka to prawda jak mysz kaszle! Zapewne...

— No, moje nie moje — odpowiedziała — ale ja je biorę sobie. — A to za co? — A jużciż ty mi oddasz. — Nu ja na nią głową kiwać: — A żeby ci kto wziął? — Zaczerwieniła się. — Powiédz lepiéj spytam, bo ty znasz całą wieś: czyjeto one są?

Popatrzała dobrze, pokiwała głową: — Nowe, rzekła, nie znam... taki nie znam... Z téj strony wsi co jest wiader, tobym poznała, ale to nie nasze!..

— Ot i to poznam — dodała — że kupione na jarmarku w miasteczku, bo to robota nie tutejsza, tylko bednarza, co wozi furami na targ, het! od Piątkówki aż...

— Mnie już więcéj nie było potrzeba — dodał głupi Janek — zastukałem sobie w główkę i zaraz mi odpowiedziało, że to wasze być muszą. Ale jak zaczęła Naścia gadać i to i owo, a ja z nią śmiać się, a tu nadeszła i Hrycycha, i we troje bajdurzyli, tak i do nocy przebałakaliśmy. Dopiéro ja, żeby nikt nie widział, pociemku wody nabrawszy, przyciągnąłem je tutaj.

— Niech ci Bóg płaci, Janku! Ot i poczęstować cię nie mam czém — rzekła smutnie Motruna — u nas ubogo...

— Co tam dziękować i na co częstować! — rzekł mały potwór — mnie się jeść nie chce, bo wodę piłem! a taki w domu gdy przyjdę, choć łają i wypychają, coś mi w garnku zostawią. Ale u was tu goło, Motruno!

— A zkąd co wziąć? — rzekł cygan. — I to, co widzisz, dwoje rąk robiło, jedne plecy dźwigały;... a teraz coraz to ciężéj, coraz to gorzéj, serce się drze... Nie wiedzieć już jak radzić!

— Czyto ja tego nie wiem? — odpowiedział Janek po cichu. — Kto jak kto, a ja na to patrzę ciągle, i dziwuję się, aż mię kark boli od kiwania głową... Taki darmo, żebyś ty miał jeszcze głów trzy i całą górę ochoty, nie dasz na to rady!...

— Muszę — rzekł Tumry.

— Muszę! cha! cha! choćby zgubić duszę! — wykrztusił mały. — Tu i muszę nie poradzi! Zlepiłeś chatkę, a z czegoto zrobisz kuźnię?

— Koło cegielni jest dużo kawałków: będę powoli wybiérał i nosił.

— No! no! a daléj: a kto horno zlepi? — spytał Janek.

— Mularz z Rudni...

— Darmo!

— Nie! ja będę tydzień robił u kowala, kowal za to mularzowi zapłaci, i horno stanie.

— A daléj co? Myślicie, żem ja kuźni nie widział! Byłem ja i w Rudni i w Piątkówce i w Czumarze na jarmarku, napatrzyłem się kuźni i cygańskich, i chrześciańskich, i żydowskich!

— Będę rok pracował u majstra dniem i nocą — odpowiedział Tumry — to taki zapracuję na łatany miech, kowadło, obcęgi i na kawał żelaza do młota.

— A żona tymczasem?...

— Pójdzie sobie pracować! — rzekła Motruna żywo.

— A potém co? — spytał Janek — pójdziecie we dwoje w świat! Noć, to lepiéj teraz!

— E! jak ludzie zobaczą kuźnię i węgla kupę, jak jeden, drugi podróżny pochwali się okuciem konia w karczmie, a przyjdzie transport w gołoledź albo z radłami w pole...

Janek głową pokiwał.

— Ta! ta! ta! to wy naszych nie znacie Stawiszczan — rzekł — Ho! ho! u nich jak u żydów, kiedy *cherim*, to *cherim*! Może toby i było za dziesięć lat, za dwadzieścia, ale wy tymczasem z głodu pomrzecie!

Motruna westchnęła, Tumry zamilkł posępnie.

— To darmo — rzekł Janek — już gromada się schodziła i ręce dawali i wódką zapijali i zmówili się, a ja ich znam. Jakby kto tylko do kuźni zaszedł, toby go z wioski na podole wypędzili: takby go prześladowali. Żeby jeno wiedzieli, żem ja tu był i z wami gadał, toby mi drzwi chaty nie otworzyli. O tém i nie myślcie.

— Tak ci się zdaje, Janku rzekł Tumry.

— Niech i zdaje — odparł mały. — Jak moje nie w ład, ja z swojém nazad. To nie słuchajcie głupiego Janka, bo na to on głupi. Ale taki wam powiem, że jak ja co zacznę gadać, a do głowy mi się uczepi, to czy dziś, czy jutro, to się zrobić musi. Już jak tu

starego Lepiuka na cmentarz przywieźli, a posłyszałem że braci do dworu wołali; zarazem sobie powiedział: będzie kuźnia, ale chleba nie będzie!

Motruna westchnęła, Janek wciąż prawił daléj:

— Ot i ze mną — rzekł — ze mną tak jak z wami się stało. Alboto ja gorszy od Iwasia, od małego Czuryły, od Andrzejuka kulawego? a jak mnie okrzyczeli za głupiego, wszystko przepadło. Już mnie w chacie dla nich nie ma: ani ja do dzieła, ani do gospodarstwa, ani do swadźby; co i myśléć o tém! Jak potrzeba robić a ciężko, a do potu, a nad siłę, to mnie wypchną; a jak kożucha, strawy, ławy, czy dobrego słowa, u nikogo nie wyproszę. I tak to już poszło na całe życie!

— No to pójdziemy ztąd — zawołał Tumry do drugiéj, trzeciéj, do dziesiątéj wioski, a pracując, znajdziemy kawałek chleba: nie tu, to tam! Ale nie porzucę im lepianki, która mnie tyle pracy kosztowała, póki mnie głód i nędza z niéj nie wygnają!

— Róbcie jak chcecie — wstając rzekł Janek — a mnie czas do domu. Dostanę i tak szturchańca, żem się zapóźnił, a byle drzwi były zaparte, to mi ich już nie otworzą, i w chlewku lub w plewniku wyspać się będzie trzeba. Ale mnie to wszystko jedno: skóra już twarda! cha! cha! cha!

To mówiąc Janek wysunął się z chaty i znikł w ciemnościach, pocichu zbiegając do wioski. Tumry i Motruna zostali sam na sam znowu, milczący i zamyśleni.

Zabłysło trochę światła w kominie, rozweseliła się chatka, i na krzywym stole ukazała się misa wieczorna.

— Na pohybel im! — zawołał siadając do niéj Tumry — nie damy się, nie damy, choćby przyszło całe życie czekać, jak ten powiedział: aż źli wymrą i pójdą na cmentarz, a dobrych Bóg narodzi!!... Nie płacz Motruno! nie płacz! bo za te łzy zapłacić będą musieli bracia!

W takichto drobnych przeciwnościach i ciągłéj pracy, upływały piérwsze miesiące młodego małżeństwa; za chwilę spoczynku i marzeń, potrzeba było płacić drogo znojem i gniewem, który nie miał się wylać na kogo, bo z przed nich uchodziła wioska, omijając cygańską chatę, cygańską żonę i cygana z daleka.

Ale czy byli szczęśliwi oboje?

O! innato marzyć o szczęściu, a inna miéć je w dłoni; ono jak motyl mieni się rychło w poczwarkę, któréj opadają skrzydła. W swych schadzkach wieczornych, w piérwszych chwilach po poznaniu, nie domyślali się oboje, ilą łzami przyjdzie okupić zbliżenie się do siebie i wspólne życie. Motruna choć kochała Tumrego, zamyślała się często o swobodniejszéj doli dni młodych! łzy jéj wyciskał ten rozbrat ze wszystkiemi, to jéj wygnanie ze środka rodziny, która się rozstąpiła przed niemi. Często wśród nocy wzdychała, a sen nie przychodził, i żałowała przeszłości: a gdy na pamięć przyszło przekleństwo ojca, dreszcz przelatywał po niéj. To znowu myślała o jutrze, o zimie, o długich może latach, które w téj pustce spędzić będzie potrzeba, męcząc się i patrząc na cudze męczarnie, — chwytała się za głowę przerażona i wylękła.

Ale wracać się nie czas już było!

Przed sobą miała jeszcze może wygnanie, opuszczenie téj wioski, na którą choć zdala patrzéć lubiła — i los dzieci, i nędzę, i żebractwo, i włóczęgę!

Tumry dopóki od rana do nocy pracował, póki choć trochę miał nadziei, nie myślał o niczém, tylko o najpilniejszéj robocie, dodając sobie sam sił, których nikt udzielić mu nie mógł; ale gdy praca się zastanowiła dla deszczów jesiennych, i zostawała mu tylko kuźnia, któréj sam postawić nie mógł; gdy całemi godzinami i dniami siedzieć było potrzeba bezczynnie, i dumać, dumać i dumać: i jemu ciężko się zrobiło na sercu. Przyszła tęsknota za życiem swobodném, wędrownem, pełném coraz jodmiennych widoków, w którém wczoraj nigdy nie było do jutra podobne: i przypomniała się Aza wesoła, dziwaczna, ale zapalająca jak iskra ogniska kuźni Aprasza, i wszyscy ci, których dla jednéj opuścił kobiéty: biédna, milcząca żona wodza, jéj małe szczebiotliwe dziatki, stare wróżki, co się za obozem wlokły, kuźnia pod namiotem w polu, skrzypiący wóz, który ją z miejsca na miejsce przewoził, całe, całe życie cygańskie, pełne nędzy, ale téż pełne ruchu i żywota.

Po niém dziś nagle Tumry siadł grzybem przy swojéj lepiance, skazany na przykutą dolę, na jeden mały, smutny widok cmentarza z okienka, na jedną rozmowę, na niewidzialnych wrogów i pustkę!

Z Motruną przebrało się uczucia i rozmowy; rychło kielich wypili do dna, a nic nowego żywiołu nieprzyniosło ich losowi. Tumry chciałby był choć walczyć jak dawniéj, jak wówczas cierpiéć, byle czémś wyjść z odrętwienia, które jak na mrozie mających skołowaciéć, snem martwym opanowywało. I codzień myśl uporniéj zawracała się do lat młodych, znienawidzonych, które wczoraj przeklinał, a które nateraz wydawały się zdaleka prawie uroczo ze swemi łzami i boleścią.

Z początku błąkanie się po lesie rozrywało go i ulgę mu robiło, ale i las jednostajny spowszedniał: czuł coraz żywiéj wyradzające się uczucie jakiéjś potrzeby ruchu, wędrówki, włóczęgi, innego nieba i ludzi. Byłto nałóg stary, budzący się po przygaśnieniu pierwszéj gwałtowności uczucia, które wprzód go stłumiło. Niepokój jakiś go trapił, wychodził na próg, wlókł się drogą, powracał, i znów go cós z chaty ciągnęło.

A gdy się przemógł i wytrwał w miejscu dzień cały, to wpadał w skamieniałość, ledwie iskrę życia mającą w sobie. Motruna widziała to i milczała; starała się go pocieszyć, bo nie pojmowała tego inaczéj, jak udręczeniem przyszłością i niepokojem o jutro, ale jéj saméj dzień za dniem tak było ciężko!

Myśli ich prędko się rozbiegły: ta ku wiosce, co dymiła w dolinie; druga w siny świat nieznany, szeroki, nieprzyjazny, a pociągający ku sobie. I tęskno im było we dwoje, choć się kochali jeszcze; ale potajemnie obojgu płakać się już chciało rzuconéj za sobą przeszłości!

Motruna siadała na pagórku, i w dłoniach sparłszy głowę, z za łez patrzała na spokojne Stawisko: i myśl jéj lecąc na skrzydłach tęsknoty, biegła aż na podwórko ojcowskie, na strzechy chaty staréj, do znajoméj studni, do kochanego ogródka; gościła tam długo, długo, póki jéj widok mogiły ojca nie odwołał do rzeczywistości.

A ile razy spojrzała na żółty pagórek i jasny jeszcze krzyżyk co stał na nim: to się żegnała z przerażeniem, ze strachem, i biegła ukryć się do swojéj lepianki, aby nie widziéć mogiły, z któréj mówił do niéj groźny głos ojca.

Tumry, gdy go opanowała tęsknota wylatywał ze swéj chaty, i z włosem rozwianym, z nagą piersią biegł gdzie go oczy poniosły. Czasem wpadł w las i pędził zaroślami, gęstwiną, aż się znużył do upadłego; jak koń, co się wyrwie ze stajni na swobodę i hasa choćby się miał rozbić; to znów przerzynał góry i lasy bezwładnym biegiem, aż się gdzieś oparł o staw, o rzekę, o jar, i upadł na ziemię cały drżący i bezsilny.

Wśród tego ruchu szalonego, który nim miotał jak nieprzytomnym, nieraz w milczącém powietrzu obiła się pieśń cygańska, nieraz łzę niepojętą poniosły wiatry w stronę przeciwną, i śmiech dziki zawarczał z ich szumem. A choroba ta w obojgu rosła i rosła olbrzymio! W początku byłato tylko tęsknota chwilowa, którą lada wrażenie rozpędzić mogło; późniéj stała się codziennym pokarmem prawie, wreszcie robakiem, który pożerał dniem i nocą.

Często dni całe nie przemówili do siebie słowa: cygan jak zwierz w klatce kołował po izbie, Motruna patrzała na ścianę, przez którą widać było jak na dłoni wioskę, i we wsi chatę, starego Kasztana, Burka, kury, parę gołębi i ciche podwórko ze staruszką gruszą...

Po smutnéj jesieni przyszła zima szybko, a taka straszna w swym białym całunie, taka mrożąca do kości! W lepiance zrobiło się chłodno, i poczęły świécić szpary, przez które wiatr wlatując, wygrywał zawczasu dzikiemi tony złowrogą pieśń spustoszenia. Tumry lepił, otykał, pracował znowu; ale na wysokiém wzgórzu i deszcze, i wiatry silniéj się niż gdzieindziéj czuć dawały, i piérwsze mrozy przejęły ich do kości. Napróżno rozpalono ognisko do którego każdą zgniłą gałąź i spruchniałe polano musiał na plecach cygan przynosić; kwaśny dym tylko wyjadał im oczy, a ciepło uciekało szparami!

Były dnie, że śnieg zawiał ich całkiem, to znowu woda z niego zalała sień i izbę; a gdy po wodę z góry iść przyszło, Motruna padała na ścieżce lodem pokrytéj.

Chléb i grosz ciągnęły się jeszcze, ale już były u schyłku; i dnia jednego wyniósłszy resztki mąki, upiekłszy podpłomyk zamiast chleba: Motruna załamała ręce nad bodnią próżną jak przepaść... Tumry już wprzód zajrzał był do niéj, i widział, że węzełek chusty, w którym ostatni grosz się mieścił, pusty, rozplatany, wisiał na kołku w alkierzyku... A kuźni nie było, i roboty nie było, i ze wsi ani głosu żywego.

Jednego wieczora, gdy oboje drżeli od zimna, cygan westchnął głęboko i długie przerwał milczenie:

— No! Motruno! — rzekł — już chleba nie ma, a *mandru* sam nie przyjdzie. Myślałem ja długo; nie ma rady, trzeba pójść i za lichy grosz robić młotem w drugiéj wiosce... A jak ty tu sama zostaniesz?

Motruna poczęła się bawić końcem fartucha, spuściwszy oczy w ziemię.

— Zostanę — rzekła, — zostanę: będę pilnować chaty i ciebie wyglądać...

— Ja taki przyjdę choć raz w tydzień, co niedziela, i chleba lub grosza przyniosę;... ale iść potrzeba...

— Może też we wsi choć prząść mię kto weźmie — cicho odezwała się kobiéta.

— Nie! nie! — zawołał Tumry — darmo i nie probować, ani darmo prosić! Nie chcę ich łaski: obejdziemy się jeszcze bez niéj.

— No! to się obejdziemy — odpowiedziała Motruna — będę siedzieć w chacie.

— Ale sama, sama jedna naprzeciwko cmentarza! Gdy przyjdzie noc, wytrwaszże ty ze strachu, kiedy mnie nieraz, gdy wiatr poświśnie, ciarki po plecach przechodzą?

Motruna wstrzęsła się cała.

— Wyżyję — rzekła smutnie — a jakbym i umarła, to ci lżéj będzie. Pochować, taki bracia pochowają przez litość; do mogiły nieść niedaleko, a ty pójdziesz w świat znowu.

— Cicho! cicho! — krzyknął cygan, — nie mów mi tego! Tylko tę zimę przebyć; a nie postawię kuźni, to chatę podpalę i pójdziemy w świat...

— A! ale ta zima taka długa!

— A! długa Motruno! ale i życie długie, a przeżyć je trzeba! Ale kto ci tu wody nosić pomoże, drew przysposobi, i choć słowo do ciebie przemówi?

Motruna nie odpowiedziała ani słowa; a że ogień wygasł i nie było go czém podpalić, ustała rozmowa, i dumy obojga poszły przebijając ciemności, każda w swoją stronę.

Nazajutrz rano Tumry mimo chłodu i zamieci, z myślą jakąś wybiegł z chaty i skierował się ku wiosce, jakby szukał kogo, jakby chciał napatrzéć. Ale we wsi było pusto, że ledwie człowiek worem okryty, lub kobiéta ze spódnicą narzuconą na głowę, przesunęli się przez ulicę; i tylko dym na słotę wlókł się i szarą mgłę rozpościerał nad czarnemi dachami Stawiska.

Tumry do południa chodził po za stodołami, po drodze, po brzegu lasu, i z niczém, zmokły powrócił; tylko oberemek suchych gałęzi przydźwigał do domu i milczący siadł w kącie. Motruna rozpaliła ogień, a cygan po krótkim spoczynku wybiegł znowu. Trochę się było wypogodziło, wiatr chmury rozpędził, i kawałkami sine na mróz poczęło pokazywać się niebo. Tumry błądził wciąż koło wioski. Już zmierzchało, kiedy się z głupim Jankiem spotkali.

Janek szedł dźwigając wór z młyna, bo na taki czas i błoto żałowano wołów, i bracia go posłali, żeby chudoby zaoszczędzić. Aż przykro patrzéć było, jak skulony biédny potwór pod ciężarem woru uginając się, brnął boso w zamarzającém błocie. Ale gdy go Tumry pozdrowił, gdy podniósł żółtą twarz swoją, nie znać na niéj było tego wyrazu męki i znużenia, jakiego się na niéj spodziewać było można. Owszem uśmiech latał na wargach skrzywionych, i oczy błyszczały swobodnie.

— A dokądto Janku? — spytał cygan — ja cały dzień szukam ciebie i znaleźć nie mogę.

— Boś źle szukał, cyganku kochanie — odparł stawiając wór na kamieniu Janek — było mnie szukać gdzie ciecze, gdzie biją, gdzie mokro, gdzie chłodno i głodno, tobyś mnie pewnie znalazł.

— E! — dziko się rozśmiał Tumry — taką rzeczą powinienem cię był znaleźć u siebie, nie szukając i nie ruszając się z miejsca, bo u nas to wszystko w chacie.

— Cha! cha! i głód? — spytał Janek.

— O! i nie dziś... bo już chwała Bogu i chleba nie stało.

— Cha! cha! — rozśmiał się Janek po swojemu, chuchając w skostniałe ręce. — No! a cóż będzie?

— Słuchaj Janku, jak ty nie pomożesz, to zginiemy!

Mały człowieczyna aż się za boki porwał od śmiechu, gdy to usłyszał.

— Aj! aj! daruj życie — zawołał — dalibóg umrę ze śmiechu, kiedyto i głupi Janek ma się zdać na coś na świecie, oprócz rąbania drzew i noszenia worów z młynów po błocie!

— Ratuj Janku, poczciwa duszo! — rzekł Tumry — a nie, to poginiemy.

— Oj! oj! mucha prosi komara, żeby ją ratował! Dalibóg pęknę! dalibóg pęknę!

— Chleba nie ma — rzekł cygan — mąki ani odrobinki, pieniędzy ani grosza...

— No! no! dawno ja się tego spodziewałem; a co daléj?

— Trzeba iść zarabiać gdzieindziéj, a Motrunę samą porzucić!

— A dokąd pójdziesz?

— Do kowala, do Rudni...

— I zarobisz? co ty tam zarobisz?

— A choćby bułkę chleba na tydzień; ale co zrobić z Motruną!

— A co, cyganie braciszku, to i ją weź z sobą.

— Nie przyjmą nas we dwoje.

— A cóż będzie? — śmiejąc się, ale litościwie spytał głupi Janek — i co ja to mam robić?

— Gdybyś ty był taki jak ja myślę — rzekł cygan otwarcie — tobyś choć polano drzewa przyniósł czasem Motrunie, a pod noc tobyś mógł na chatę naglądać; niechby miała do kogo choć słowo przemówić.

Janek się zadumał, pokiwał głową i począł się bić po piersiach rękami długiemi, wywołując tym ruchem trochę ciepła. Zdawało się, że ani myśli o czém mu Tumry mówi, a z pod przymrużonéj powieki sączyła się łza: może wyciśnięta przymrozkiem wieczornym. A! bo téż ledwie łachman miał Janek na sobie, i nogi bose, i słomiany, dziurawy, ze śmieciska gdzieś zdjęty kapelusz na głowie.

— Cha! cha! — rzekł w końcu — a jak ja ci żonkę zbałamucę? A to się tego nie boisz, cyganie kochanku; taki piękny mężczyzna jak ja, to niebezpieczna sprawa.

— Ej! ciebie się żarty trzymają, a mnie się serce kraje! — zawołał cygan. — Ratuj kiedy możesz, a nie szydź z nędzy!

— Oj! oj! co ja wam poradzę! Poprobuję co zdołam, ale niedaleko wy ze mną zajedziecie! niedaleko! A ty myślisz, cyganku kochanie, że mnie to tak łatwo swoją chatę porzucić i pójść do was na służbę za miarkę powietrza? Myślisz, że to mnie u panów braci niedobrze! A to ja się tam wylegam czasem nawet w izbie, a bywa i na ławie pod piecem! I taki szmat mi na plecy dają, i odzienie niczego, i poczęstują codzień kułakiem, żebym nie zapomniał, że mam plecy... A jak raz do ciebie pójdę na parobka, już gdybym wrócił kiedy do nich, wyszczują mnie psami, stary indyk nawet oczy mi wydrapie... Ot taki wóz lub przewóz: a jak zechcę co dla was zrobić, panów braci potrzeba będzie pożegnać.

Cygan milczał.

— Czy ci to tam tak dobrze? — zapytał.

— Cha! cha! cyganku kochanie, albo mi to u was będzie lepiéj, myślisz? Od swojéj doli się nie wykręcić: człowiek ją na plecach nosi, i żeby się jak trząsł, to jéj nie zrzuci. A swoja chata, to taki swoja chata, cyganku serce moje; ty tego nie znasz, ale do niéj jakby za nogę przywiązał! Jam się bo tam urodził. O! — dodał ciszéj spuszczając głowę — i tam miałem matkę...

Ten wyraz wybiegł mu z ust ledwie dosłyszany, a za nim westchnienie, a za niém łza, i głupi Janek stał się nagle poważnym.

— Słuchajno — rzekł inaczéj już i głos zmieniając — ja chaty dla was opuścić nie mogę, bo w niéj chcę umrzéć, a gdybym raz przestał im służyć jak wół, nigdyby mnie już nie puścili do niéj; ale na to jest rada.

— A jakaż rada?

— Będę i im, i wam służył. Prawda nabiją mnie trochę więcéj, ale moja skóra twarda! Nocką pójdę chaty pilnować, ale nie wprzód aż się u nas pośpią, i powracać będę o drugich kurach. A żeby nie spostrzegli, że się wałęsam, będę już spał w plewniku, choćbym zmarzł.

— Ależto zima! nie wytrwasz!

— Już ja wiém, co ja wytrwać mogę! — kiwając głową rzekł Janek. — To moja sprawa. Polano drew i czasami suchy chleba mego okrawek przyniosę Motrunie... Bądź spokojny, idź do Rudni, idź cyganku, tylko wszystko mi strach, żebym ci żony nie zbałamucił!

I znowu się śmiać począł głupawo a szydersko.

— Niech ci *Mroden-oro* płaci — zawołał cygan.

— Chyba że ten ktoś, bo że nie wy mi zapłacicie za służbę, to pewna — rozśmiał się Janek. — I ja też taki bogaty, że płacy nie potrzebuję; ot widzisz, że wam się na coś przydałem i dobrodziejem jeszcze będę! A! gwałt! ratujcie, głupi Janek dobrodziejem! Umrę ze śmiechu...

To mówiąc pochwycił wór lekko i żwawo, i nie odwracając się do cygana, kilka kroków z nim podskakując zrobił, i obejrzał się.

— Cyganku kochanie — zawołał — już ty mi bądź spokojny, Janek nie da nic wam złego zrobić, i co powiedział, to dotrzyma. O! Janek wielki pan! cha! cha! Janek dobrodziéj!

I na całe gardło śpiewać począł, wlokąc się daléj samym środkiem ulicy i błota, ku chacie swojéj.

Cygan zadumany poszedł napowrót ku cmentarzysku, i spokojniejszy nieco począł się zbierać do drogi.

— Jużem tobie tu Janku mówił — rzekł do Motruny — że ci służyć będzie. Na całą wieś jedna dusza poczciwa, i to w takim kadłubie, że gdyby jéj kto sto lat szukał, w nimby się niedomyślił. Janek ci drew przyniesie i w nocy pilnować będzie; ale jutro jak świt iść trzeba...

Całą noc płakali, a pożegnanie jak śmierć smutne było; jednak Motruna myślała: gdy jego nie będzie, to choć sprobuję na wioskę wybiedz trochę... a Tumry jakoś żywo dumał, że nową wieś i nowych ludzi zobaczy. Ale gdy u progu podali sobie ręce skostniałe i spojrzeli na twarze zbladłe, na oczy zapadnięte i wypłakane, na drżące i sine usta, gdy przyszło się rozstać jakby ich co przykuło, rozejść się nie mogli, i ani Motruna wrócić do izby, ani cygan wyruszyć w drogę.

Tumry wreszcie pierwszy pocałował ją w czoło, podniósł kij i skoczył na gościniec tak prędko, jakby go kto gonił.

Boć goniła go troska, zgryzota, niepokój i nędza, których połowę zostawił Motrunie, a pół wziął do torby podróżnéj.

Zdawało mu się, że staje tak ubiegł z oczyma zamkniętemi. Podniósł głowę, spojrzał i zadrżał wprost sama jedna z całego cmentarza pokrytego śniegiem żółciała mogiła Lepiuka, a na jéj krzyżyku siedział kruk czarny, przekręcał głową i krakał.

Motruna została sama w chacie, a gdy po odejściu męża weszła do środka, ścisnęło się jéj serce na myśl, że już nierychło ujrzy jedynego swego opiekuna. Potrzeba było saméj sobie wystarczyć rękami, głową i sercem; karmić się, by nie umrzéć z głodu, karmić, by nie zginąć z nudy i strapienia.

A w chacie tak było pusto, tak pusto. Prócz kilku wróbli, które już przy nowéj lepiance zajęły sobie w strzesze mieszkanie i świergotały przerywając milczenie, żywego niespostrzegłeś stworzenia: ni psa, ni kota, ni kury, coby szczebiotała w sieni, ni gołębi na dachu, ni głosu krówki z obórki, ni żadnego z tych towarzyszów pracowitego wieśniaczego życia, z którémi jakoś weseléj.

Cały dzień ten zszedł na płaczu; nie zapaliła nawet ognia, i przesiedziała w kącie izby na garści słomy, obwinięta kożuchem i świtą, nie poczuwszy że marznie i kostnieje. Mrok padał, gdy kroki dały się słyszéć koło chatki; ktoś zaszemrał w sieni, zrzucono brzemie drzewek i głowa Janka pokazała się przez drzwi wpół otwarte.

— Dobry wieczór, gosposiu — odezwał się doń wesoło — Ot i ja, wasz stróż i parobek! A co u was i ognia nawet nie ma w piecu!

— A! Bóg ci zapłać — odpowiedziała Motruna — Bóg zapłać żeś przyszedł, bo pod noc straszno mi się robić zaczynało. Nie rozpalałam ognia, bo mi się już nie chciało, a zimna nie czułam.

— No, to ja go rozpalę — rzekł wchodząc głupi Janek — z ogniem, to jakoś weseléj! Przyniosłem także trochę kartofli, bułkę chleba i co tam mogłem znaleść, bo podobno zapasu nie macie. — To mówiąc złożył na ławie swój węzełek, zgromadził gałęzie i trzaski, dobył ognia, i jak najlepsza gospodyni zajął się około pieca.

— Oj! coś-bo u was — rzekł rozglądając się po garnkach — strasznie jakoś gospodarstwo kulawe. Motruno! coto się tobie stało? A toż bywało chwalili na całą wieś, że z ciebie taka doskonała gospodyni.

— E! Janku — szepnęła kobiéta wzdychając — było gospodarstwo, gdy było na czém gospodarzyć a teraz!

— Ale bo to niesztuka — odparł śmiejąc się i jąkając Janek, który się krzątał przy piecu — nie sztuka gospodarzyć, gdy jest na czém; ale jak nie ma z czego, a dlatego i ład jest i ciągnie się...

— Wiecie, jaka nasza dola: mnie już ręce opadły.

— To źle! cha! cha! to bardzo źle, Motrunko! Jak wy sobie pozwolicie, to i mąż nie da rady domowi.

— Ani on ani ja;... zginąć nam podobno!...

— Aj, żebyżto człowiek tak mógł zginąć, gdy zechce, i gdy mu źle ustąpić się; ale to biéda, że chudy pies najdłużéj żyje: — nie zabiją go dla skóry...

Mówił, garnki pomywał, wodę nastawiał, a niekiedy rozglądał się po chatce i okiem rzucał na Motrunę siedzącą w kącie i odrętwioną.

— A ot i nowiny mamy — rzekł po chwili. — Wy nic widzę nie wiecie, co się na wsi i we dworze dzieje, kiedy się mnie nie pytacie nawet!

— Tak mi z tém, jak bez tego! — odpowiedziała obojętnie kobiéta.

— A może i niebardzo! — przerwał Janek — wszakto pozawczoraj jeszcze nasz pan z za morza powrócił!!!

— Pan powrócił! a pani? — poruszając się z miejsca zawołała kobiéta.

— Poczekajcieno — rzekł Janek — ot zaraz wam powiem jak to było. Trzeba wam wiedzieć, że mnie nigdy na pańszczyznę nie posyłają, bo ekonom takiegoby cherlaka nie przyjął, chyba za dziecko lub babę. Głupi ekonom! nie wié, że ja za dwóch zrobię, choć i na pół człowieka nie wyglądam! Wczoraj posłali mnie za bratowę do młockarni... Otóż wszystkiego się dowiedziałem; byle uszy, to się jest czego we dworze nasłuchać gotuje się jak w garnku!

Zaciekawiona Motruna wstała i zbliżywszy się do pieca na którym palił się ogień, usiadła naprzyzbie. Janek wieczerzę gotował.

— Wójt, gumienny, ekonom i cała gromada nic nie robili — kończył — tylko gadali a gadali o panu, który powrócił.

— Czemużeś ty Tumremu o tém nie powiedział? — spytała Motruna.

— Myślałem, że wie! — rzekł Janek.

— My tu jak na pustyni! — zawołała kobiéta — co my tu wiedzieć możemy; chyba kto umrze we wsi, jak na cmentarz przywiozą! Ale cóż tam mówili?

— Ot zaraz — coraz się rozgadując mówił parobek — bo naprzód trzeba wiedzieć, że pani umarła gdzieś daleko, i jegomość sam, słyszę, powrócił.

— Umarła! — krzyknęła z żalem w ręce uderzając Motruna. — Ach! ja nieszczęśliwa!

— No! no! nie lamentujcie, bo może i Harasymowicza się zbędziemy — rzekł Janek — to licho dokuczliwe... Pan, słyszę, jak pojechał żółty, blady i słabeńki, tak i powrócił nielepiéj. Nic tam jeszcze doktory nie pomogli. Zaraz, słyszę, jak tylko na próg dworu stąpił, kazał zawołać kapitana, i coś jemu takiego powiedział, że kapitan poleciał do oficyny i pakować się kazał... Mówią, że ma wyjechać... Czegoś się kłócili, i jegomość mu jakieś papiery rzucił w twarz... Ot co ludzie gadają, a dziś gromada hurmem idzie do dworu ze skargą na Harasymowicza.

— A cała nadzieja była w pani — westchnęła Motruna. — Jéj nie ma, umarła i ta biedniaczka!

— Prawda, że to ona was pożeniła — rzekł Janek — musicie jéj żałować, i krowę wam dała. — Hm! ale nie macie za co jéj dziękować, że wam do biédy dopomogła. Byłaby was dola wasza nie minęła... A i pan niezły, gdyby tylko nie lenistwo że mu się czasem do człowieka gęby otworzyć nie chce... Moglibyście pójść do niego...

— To darmo! — cicho odpowiedziała Motruna — to darmo!

Janek spojrzał na nią, ruszył trochę ramionami, i począł łamać gałęzie u progu, przygotowując je do utrzymania ognia.

— Mnie trzeba będzie iść — rzekł — ale na chatę zdaleka naglądać będę. Macie tu gałęzie i łuczywo, świećcie sobie póki nie zaśniecie... I żebyście chcieli dobréj rady posłuchać, tobyście tak rąk nie opuszczali... Jak człek się kręci, to mu na sercu lżéj jakoś... Dobranoc Motruno!... Ja tu niedaleko przenocuję...

Motruna znowu spuściwszy głowę nic nie odpowiedziała Jankowi i zapatrzyła się w pałający ogień, który dwie łzy toczące się po jéj twarzy oświecił... Żegnała niemi kobietę, któréj fantazya więcéj niż serce związała ją na wieki z losem cygana.

— I ona umarła! — mówiła w duchu. — Czasem mi na myśl przychodziło, że powróci, że pomoże, że się choć ona ulituje... Bóg ją wziął, żeby i tę nadzieję nam zabrać.

W takich myślach, dając wygasnąć ogniowi i pozastygać garnkom, biédna żona cygana przetrwała do późna; wśród ciszy nocnéj słychać już było trzecie kogutów pianie na wsi, gdy sen powieki jéj zmrużył.

Ze dniem zjawił się znowu Janek, który poleciał był do swojéj chaty pokazać się braciom i wrócił dopomódz Motrunie ogień naniecić.

Zdziwił się spostrzegłszy ją uśpioną na tém miejscu, w którém wczoraj porzucił z wieczora: ogień niepoprawiony, nie zgarnięty, a garnki ostygłe i nietknięte.

Skrzyp drzwi przebudził kobiétę, a płomień ogniska oprzytomnił znużoną.

— E! e! Motruno kochanie! — odezwał się Janek po swojemu — coś ty mi się nie poprawiasz, nic z ciebie nie będzie! Jaka z ciebie gospodyni drzémać pod piecem. I wieczerzy nie jadła, i obiadu gotować nie myśli. Ja za ciebie wszystkiego zrobić nie mogę; rusz się i sama!

— Do czego? — spytała kobiéta — do pustych bodni i porozsychanego naczynia?

— A czemu bodnie puste? — spytał Janek — to ty winna! Czemu naczynie się porozsychało? nie przez kogo tylko przez ciebie!

— Przezemnie!

— Dawniéj bywało — mówił głupi Janek — Motruna i za cygana i za siebie pracowała: wodę nosiła, chatę lepiła, krzątała się, aż miło; jam nieraz zdaleka patrzał. Teraz ją ani napędzić! Wstyd! wstyd!

— Coś ty mnie łajesz, Janku?

— A muszę, Motrunko kochanie — odpowiedział, wciąż się krzątając koło chaty parobek — bo mnie za ciebie wstyd! Piękna z ciebie żona i gospodyni!

W chacie nie umieciono, na piecu węgle zgasły, garnki brudne! Coś miała cyganowi pomagać, to mu będziesz ciężyć! Wstawaj do roboty!

Jakoż tak szczęśliwie i śmiało przemówił Janek, że Motruna chwyciła się przecież z ławy i pobiegła do ognia; on się rozśmiał i zniknął.

— Doprawdy — mówiła w duchu kobiéta — może głupi Janek i prawdę mówi: co ja wysiedzę pod piecem!

Wtém zaszczebiotało coś i zaskomlało w sieni.

— A toż co? — stając zapytała kobiéta i serce jej zabiło, choć na głos zwierzęcy tylko, bo i tego tak dawno niesłyszała, a tak się jéj żywo przypomniała chata rodzinna!

— Wszakcito kura gdacze w sieni i coś skomli! — Otworzyła drzwi przyświecając łuczywem.

Sionka była od podwórza zamknięta, a po niéj zwijała się para kurek ślicznych, i młody żwawy kogucik, który spostrzegłszy światło, wbiegł na próg, strzepnął skrzydłami i zaśpiewał. Motrunie aż serce zabiło.

— A mój Boże! — zawołała — czubaty! czubate! i jakież śliczne!

Tuż pod progiem leżało kilkudniowe szczenie, skomląc, pełzając i nie mogąc przeleźć przez próg, który na jego nóżki był zawysoki.

— I pies! a! to będzie Kasztan! krzyknęła, chwytając na ręce rudego pieska, który piszczał ze strachu. — Poczciwy Janek! a niechże mu Bóg płaci. Ukradł chyba gdzieś dla mnie szczeniaka i te kury, boby mu ich w chacie nie dali.

Kury tymczasem wszystkie powskakiwały do izby i poczęły już rozpatrywać się w nowém mieszkaniu rozbiegając się po kątach, a Motruna oczyma chodziła za niemi:

— Jakież śliczne, jakież tłuściuchne! jakie wesołe! — wołała wesoło latając za niemi z psem na ręku. — Wychowam Kasztana na stróża naszéj chaty a z kur!...

Zamyśliła się.

— Ale czémże je będę karmić?!

Zasmuciła się tą uwagą biédna Motruna; w istocie, ani na śmietnisku ubogiéj lepianki, ani w izbie nagiéj i pustéj, kurze nawet nie było się czém pożywić, tak każde ziarnko i pyłek były tu drogie. Poczęła rzucać oczyma po kątach, jakby szukała pożywienia dla swojego nowego gospodarstwa, i dopiéro spostrzegła węzełki, które poprzynosił z sobą Janek.

Było tam nawet trochę dla drobiu pośladu, a Motruna co najśpieszniéj posypała go na podłogę. Myśląc także o jedzeniu dla szczenięcia, znalazła chléb, a na widok jego obudził się i w niéj głód, przytłumiony smutném odrętwieniem.

Tak staraniem poczciwego Janka, który się już nie pokazał przez dzień cały, Motruna miała zajęcie, towarzyszów, głos, który ją budził, i jakiś nowy żywioł w życiu, pełném dotąd dni jednostajnie grobowych.

Głupi Janek dumny opieką mu powierzoną, pracował za czterech, żeby wszystkiemu zaradzić, a w domu nie dać poznać swych wycieczek do cmentarza; bo jakkolwiek mało mógł korzystać od swoich dla Motruny, zawsze cokolwiek przynajmniéj tajemnie jéj ztąd przynosił. Nie wzdrygał się téż wcale ukraść, i nie pojmował żeby co złego czynił, biorąc kawałek chleba, trochę strawy, warzywa, lub kilka kur dla żony cygana. Wszystko to, czém zbogacał jéj lepiankę, prawdę powiedziawszy, aż do szczenięcia, kradzioném było; ale tak zręcznie, że się nikt nie domyślał złodzieja. Janek sam potém wysyłany na zwiady, szukał po wiosce tego, co pochwycił, i wieczorem doskonale braci i siostry oszukiwał opowiadaniem o wszystkich kurach sąsiedzkich i kurnikach, które zwiedzał. Co się tyczy szczenięcia, to, zdaniem jego, żarłoczne jakieś stworzenie bednarza pożréć miało: a że najmniéj dbano o psa, niebardzo się téż zniknieniem jego kłopotano.

Z największą usilnością głupi Janek ledwie mógł dniem i nocą wystarczyć na dwie chaty oddalone od siebie; ale się rozdzielał jak mógł, i o siebie nie dbał. W domu zrzucano na niego najcięższą pracę, którą że na pozór leniwie odbywał, stawało mu czasu na dobieżenie do cmentarza i najrzenia na chatę cygana. Motruna nie miała potrzeby ani po wodę chodzić, ani o drwach myśléć, ani się chlebem kłopotać; dla niéj jednéj, kur i szczenięcia było dosyć:

W niedzielę rano nadbiegł Tumry wybladły, żółty, zasmolony, z oszczędzonym chlebem i kilką groszami w węzełku i zdziwił się widząc Motrunę weselszą, witającą go w progu i chwalącą się bogactwem swojego podwórka, a nawet psem, który już szczekać i burczeć poczynał.

Łzy zakręciły się w oczach cygana, gdy mu żona opowiadać zaczęła o Janku; ale się razem zafrasował myśląc, zkąd to wszystko biédny karzeł mógł dostać.

— Ani chybi, musiał *ciurawa* (kraść) — rzekł w duchu. Poczciwy *ciurachan* (złodziej), ale nuż złodziejstwo się odkryje? Jego nie posądzą nawet, a na nas biéda spadnie!

Nie śmiał jednak powiedzieć tego Motrunie, która tak się cieszyła gospodarstwem swojém, że i cygan przy niéj poweselał.

— A wiesz — rzekła po chwili — wszakto i nasz pan powrócił i kapitana słyszę wypędził, a nasza poczciwa pani umarła!

— Trzeba iść do dworu! — zawołał, nietyle zważając na śmierć pani, co na powrót pana, cały sobą zajęty cygan — może nam co pomoże!?

— Takto i Janek radzi! — dodała Motruna — ale ty pana nie znasz! Przystąpić do niego trudno: kilka dni chodzić trzeba, nim słowo przemówi, a taki chory, taki śpiący, że sam nie pomyśli o człowieku...

Ha! spróbuję — rzekł Tumry.

Jakoż z południa, odmywszy się trochę cygan, nie bez obawy powlókł się do dworu.

Ale tu przyszedłszy w dziedziniec, opędziwszy się psom, które na niego zajadle ujadały, potrzeba było stanąć opodal od ganku, i czekać zmiłowania losu i ludzi. Chodzili słudzy, mijali, żaden nie spojrzał; któryś spytał i ręką kiwnął, drugi rzucił słowo że pan nie ma czasu, a cygan stać i stać musiał. Nie miał on jeszcze wprawy częściéj do dworu chodzących ludzi, którzy umieją podsunąć się pod okno, zakaszleć gdzie pode drzwiami, i znudzić tak samą cierpliwością swoją, że ich nareszcie albo z niczém odprawią, albo do sieni wpuszczą. Szczęściem dla Tumrego, pan Adam spojrzał ziewając przez szybę, i dostrzegł chmurną, uderzającą wyrazem twarzy i smutkiem postać cygana, który sparłszy się o drzewo z oczyma w ziemię wlepionemi, jak zdrętwiały czekał co los postanowi, sam sobie radzić nie śmiejąc.

Pan Adam nudził się znowu jak dawniéj. Wyjechał był z żoną za granicę leczyć wyżycie się swoje, ale nigdzie dłużéj nad kilka tygodni bez ziewania nie wysiedział. Francuzka szalała ciągnąc go jak przykutego niewolnika za sobą, a on niecierpliwił się tylko, lub

zastygły śmiertelnie nudził. Los tak chciał, że to małżeństwo, które przypadek skojarzył, prędzéj niż się spodziewać było można, rozerwać się miało; pani Leroux, późniejsza pani Adamowa, zaziębiła się wychodząc z balu wśród tłumów adoratorów, których jéj nigdzie nie brakło, wpadła w suchoty i umarła.

Wypadek ten przerwał monotonię żywota Adama chwilą prawdziwéj rozpaczy, bo zrazu zdawało się, że pójdzie za żoną: tak się był do niéj przywiązał, tak strata jéj wielkie na nim uczyniła wrażenie; ale gdy karmiąc żal swój, po kilku tygodniach pan Adam począł szykować pozostałe po żonie pamiątki, wpadł na jéj papiery, i te z żalu w gniew i rozdrażnienie go wrzuciły. Tyle tam znalazł miłosnych bilecików, tyle dowodów oszukaństwa, tyle szyderstwa z siebie, że przy najgorętszéj chęci zaślepienia się, musiał ze wzgardą pamięć téj kobiety, która z zimną krwią urągała się jego sercu, odepchnąć. Powrócił do kraju i dawnego życia swojego, a na wstępie znalezione listy kapitana Harasymowicza, rzucił mu w oczy, dając odprawę. Kapitan probował pomimo tego ostać się w Stawisku, korzystając ze słabości Adama, bo mu zarząd majątkiem i życiem cudzém bardzo były dogodne; ale się nie udało. Adam wysłuchawszy skarg gromady, które dodały jeszcze gniewu, wyprawił w kilka dni dawnego faworyta swéj żony.

Znowu więc dwór w Stawisku stał pustką, zamieszkaną przez najstraszniejszą ze wszystkich nud — nudę z życia, wyczerpania, bezsilności. Adamowi nic na świecie nie smakowało, nic go rozerwać nie mogło; konie, psy, ludzie, zarówno mu byli obojętni. Całe dni spędzał w pół-senném dumaniu sybaryty, który przemyśla czémby się potrafił rozbudzić. Przychodziły mu dzikie zachcenia Neronów i Kaligulów, i wzdychał żałując, że dla rozrywki nie mógł spalić Rzymu, by pieśnią pogorzelisko jego uczcić; lub ożenić się z koniem i ubóstwiać bydlę, a lud co go czcić będzie, zbydlęcić...

Ludzie jego nie mogli dać rady zdziwaczałemu tak osobliwszemi chęciami, i niespodziewanemi miotał się gniewami. Były dni łagodności i dobroci bezsilnéj, w których się wszystkim powodować dawał z uśmiechem obojętnym; w innych rzucał się, rozpalał, bił i wściekał bez przyczyny. Po namiętnym wybuchu, następowały dni całe apatyi, milczenia, nieruchomości, przerywane potém wulkanicznemi, niespodziewanemi wybrykami. Niekiedy przypuszczał sługi niemal do poufałości, słuchał opowiadań, zdawał się zajmować losem; a nazajutrz karcił nietylko słowo, ale ruch i szelest, który go podrażnił.

Takim był pan Adam pomimo swéj młodości, zniszczony rozpieszczeniem, próżnowaniem i bezczynnością umysłową. Szczęściem dla cygana, dzień w którym przyszedł był dobą dobroci; i pan spojrzawszy przez szybę na człowieka, który godzin kilka stał nieruchomy oczekiwaniem, począł jakoś swoją nędzną dolę porównywać do jego doli.

— Słota, chłód! jak ten człowiek wytrwać tak może! Musi mieć bardzo coś pilnego, kiedy tak stoi upornie.

Jeszcze z pół godziny przechadzał się pan Adam po pokoju, coraz to poglądając przez okno na cygana i obserwując go, jakby naturalista studyował robaka; jakoś go to zajmowało, nie spieszył się więc z przywołaniem zagadki. Nareszcie, gdy się już zmierzchać zaczynało, a Tumry jeszcze się nie ruszył, posłał człowieka, aby go zawołał do przedpokoju.

Tu pan zasiadł z fajką w podaném krześle, i począł się bawić przybyłym.

— Słuchajno! — rzekł — coś ty za jeden, i czego mi tu stoisz przed oknami?

— Jestem kowal — odparł Tumry — cygan — dodał ciszéj.

— A! a! przypominam coś sobie: jakaś historya, ożenienie!... moja żona... Co to było?

Cygan, któremu się w głowie pomieścić nie mogło, żeby kto dotkliwéj jego nędzy zapomniał, spojrzał na ziewające paniątko wielkiemi oczyma.

— Mówże mi to — dodał Adam — od początku, bo nic nie pamiętam.

Cyganowi niełatwo było się wytłumaczyć i dla zbytku rozdrażnienia, i dla niepokoju, jakim go ten zastygły pan przejmował, zdający się nic nie czuć i nic nie pamiętać; zebrał się wreszcie na historyę swoją, a pan Adam wysłuchał ją nie przerwawszy słowem.

Pomimo że w opowiadaniu był tylko skielet ciężkiego losu młodéj pary, że z niego niepodobna było pojąć co ucierpiała; paniątko zdawało się zajmować kowalem!

— Śmieszna była myśl mojéj żony, rzekł w duchu, pożenić ich, psa z kotem, i wystawić na prześladowanie wioski. Cygan byłby poszedł daléj, a dziewczynę we wsi wydaliby za mąż; a tak! co tu poradzić?

— Czegoż ty chcesz? — spytał cygana po chwili namysłu — kazać żeby cię kochali, nie mogę; a z gromadą sprawa trudna gdy się zatnie! Nie lepiéj żebyś się przeniósł gdzieindziéj?

— Dokąd i o czém? — spytał cygan. — Postawiłem już chatę, dość tu mojego potu na téj ziemi; żonie i nie pora i nie siła rzucać wieś, w któréj się urodziła i do któréj przywykła... Gdyby mi trochę pomocy, gdyby siaka taka kuzienka, ludzieby taki przyjść do niéj musieli: wprzód obcy, potem swoi.

Pan Adam się uśmiechnął, pokiwał głową.

— Probój kiedy chcesz — rzekł obojętnie — ja ci pomódz, pomogę, ale wiem że to darmo.

To mówiąc dobył grosza z kieszeni, wyliczył złotych kilkadziesiąt, i rzucił je na stół; ale z taką wzgardą, tak jakoś niechętnie i bez serca, że ten dobry jego uczynek ledwie nie oburzył cygana. Musiał jednak przyjąć datek, i opłaciwszy go jeszcze rozmową, z któréj pan Adam wyciągnął trochę rozrywki, poszedł weselszy do chaty.

— Muszę téż kiedy pojechać zobaczyć tę chatę za wsią, o któréj mi podobno i ludzie już wspominali — rzekł w duchu; ma to być doprawdy ciekawość! Szczęśliwi ludzie, jak im się chce żyć, jak im niewiele potrzeba.

I ziewać począł znowu, na inny tor myśli wpadając, gdy cygan leciał już do Motruny, pocieszyć ją lepszą nadzieją. W istocie, datek pana mógł wystarczyć prawie na pobudowanie kuźni i piérwszy sprzęt do niéj, gdyby się do roboty wzięto zaraz; ale zima trwała jeszcze, i nic począć nie było można.

Motruna spostrzegłszy zdaleka męża, wyszła już przeciwko niemu, po ruchu jego poznawszy, że nie z próżnemi rękami przychodził.

Spojrzała na pieniądze i uśmiechnęła się składając ręce.

— No! cóż teraz poczniemy? — spytała...

— Muszę kuźnię postawić — rzekł Tumry — ale zima, nie pora, robić nic nie można! Jeżeli ten grosz ruszymy, na wiosnę nie będzie za co rąk zaczepić. Trzeba więc iść pracować na chléb znowu, i czekać!...

— A możeby to i na chléb i na kuźnię starczyło — przerwała Motruna, licząc oczyma pieniądze.

Cygan pokiwał głową.

— Nie — rzekł — *łowy* (pieniądze) prędko wychodzą, tylko je zaczepić! Drugi raz już ich nie dostaniemy, a tu na warsztat, na *trast* (żelazo) i na wszystko wiele potrzeba. Zakopiemy je w chałupie, i musim czekać do wiosny. Wiosna niedaleko.

— Niedaleko! westchnęła Motruna: poczekamy, poczekamy.

— A teraz jakoś i raźniéj czekać będzie — odparł cygan. — Zobaczymy co we wsi powiedzą, jak tu na górze młot się odezwie i komin zadymi!!...

Wlokąc się tak powoli na śniegach, słotach, mrozach i odelgach przejechała nareszcie długa zima, a nic w lepiance pod cmentarzem nie zmieniło się jeszcze. Tylko Janek, który już był przywykł służyć żonie cygana i przywiązał się do nich, bo oni jedni mówili z nim jak z człowiekiem, i kochali go jak brata; przygotował zawczasu głęboki koszyk na kołyskę, i niechcąc go jeszcze pokazywać dla złéj przepowiedni, przywiązawszy sznury zawiesił na strych, aby w potrzebie zdjąć go tylko.

Tumry wciąż chodził do Rudni na robotę, a że pracował z ochotą i znał rzemiosło swoje dobrze, majster się nim chętnie posługiwał, zwłaszcza że go niewiele płacił. Ludzie nawet rudeńscy śmieli się ze Stawiszczan na jarmarkach, że takiego kowala pod nosem mając, do cudzych o milę i więcéj chodzą. Trafiło się, że gdy i do Rudni przyszedł kto ze Stawisk, Tumry mu posłużył wyręczając majstra samego, ale nigdy jedném słowem żaden z nich nie zaczepił cygana.

Zaledwie ziemia rozpuszczać zaczęła i zieloność się pokazała, Tumry nająwszy człowieka, jął się już nie sam około kuźni żywo, bo rachował na czas roboczy, że we wsi będzie potrzeba kowala i ludzie się taki ku niemu nawrócą.

Grosz cały dany przez pana Adama, był zaledwie dostatecznym na mizerną klétkę z dachem pokrytym darniną, i kupienie co potrzebniejszych sprzętów kowalskich, niedostatecznych do lepszej roboty, ale wystarczających dla wioski, w której zrobienie podosków

do wozu, okucie konia, naprawa naralnika, pługa i zazębienie brony: są najważniejszą kowala pracą.

Mularz, który horno z kupnéj cegły stawił; rzemieślnik, który miech zszywał, resztę pieniędzy zabrali, ale kuźnia w kilka tygodni była prawie gotową. Tymczasem jednak, nim się to wszystko wyrządziło, siejba wiosenna uciekła, a Tumry ani węgla jeszcze nie miał, ani obcęg i młotów. Począł więc rachować biedak na kosowicę i kosy, na żniwo i sierpy, na siejbę jesienną i pługi.

Tuż, tuż zdawało się, że już gotowe wszystko że tylko zapalić węgle i stanąć do pracy; ale co chwila pokazywał się brak jeszcze czegoś najważniejszego, i trzeba było albo biedz do miasteczka albo samemu sporządzać.

Już wiosna miała się ku końcowi, gdy wreszcie uznojony Tumry, jednego dnia wszedł do chaty i padł na ławę, wołając:

— No! dzięki *Mroden-oro* — poprawił się — dzięki Bogu, kuźnia skończona, i choć jutro fartuch zapasać!

Tych słów domawiał, gdy Janek zdyszany cały wsunął się tuż za nim, i klepiąc go po ramieniu krzyknął:

— Cha! cha! wielka nowina! wielka nowina!

— A cóż ci to Janku? z czémżeśto tak przyleciał? — spytała go Motruna z uśmiechem łagodnym, bo się do biédaka serdecznie była przywiązała.

— O staje od wioski — rzekł Janek — wracając z lasu, spotkałem bandę cyganów, która się na łące rozłożyła noclegować.

Tumry wstrząsł się cały, zabełkotał coś niezrozumiale; a Motruna przestraszona instynktowo, załamała ręce.

— Czegoż oni tu przyszli? — odezwała się — po co?

Serce jéj biło sama nie wiedziała czego, i strach jakiś ogarniał; Tumry widocznie był poruszony i zniepokojony, ale usiłował udać obojętność.

— A co nam tam cyganie! — rzekł powolnie — przyszli, to i pójdą przenocowawszy!

— Ale jednak pilnujno ty męża, Motruno kochanie, żeby ci go cyganie nie pochwycili jak swego — dodał głupi Janek.

— Biadato już, kiedy kogo potrzeba pilnować! — odparła kobieta.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — rzekł gość. — Ale mnie trzeba iść do chaty; dobranoc!

Zwrócił się i pobiegł.

Tumry i Motruna pozostali we dwoje milczący i smutni; myśl obojga leciała ku szatrze cyganów; on zwłaszcza kręcił się i chodził po izbie jakby go piekło, i chwili usiedzieć nie mógł na miejscu. Kiedy niekiedy żona rzuciła nań wzrokiem ciekawym, i wyraz jego twarzy przerażał ją. Nigdy tak jeszcze nie widziała Tumrego jak dzisiaj: wargi mu się trzęsły, oko czarne gorzało, pot lał się z czoła, nozdrza miał rozdęte a pierś podnosiła się i upadała jakby rozpęknąć miała.

Siedli do wieczerzy, ale cygan nic nie wziął w usta, wciąż chodził milczący, chmurny, wpół obłąkany. Od progu jakby uciekał; do progu jakby go co ciągnęło; zdawało się, że mu aż drży ręka by pochwycić za klamkę; ale miał siłę nad sobą.

Rzekłbyś atleta, co drze się z dzikim zwierzęciem; tak walczył z sobą i miotał się żądzą jakąś.

— Słuchajno Motruno — rzekł stojąc w pośrodku izby — *Romy* (cyganie) wszystko mi popsuć mogą. Spieszyłem z kuźnią rachując na porę roboczą, że zmusi wieś pójść do mnie, jeźli oni tu postoją ze swoją, wszyscy zwrócą się do nich, i my przepadli.

— Za cóżby mieli ich woléć od nas? — spytała Motruna.

— Tamci im nic nie zrobili — jam dla nich winowajca!

— Ale cóż poradzić na to? — spytała kobieta, oczy na niego podnosząc.

— Co? — zawahał się Tumry — co, ja sam nie wiem. Pójdę do nich i powiem, żeby szli daléj.

— Ty! ty do nich? — krzyknęła, porywając się z siedzenia kobieta — po co? żeby cię pociągnęli, z sobą, żebyś przepadł z ich ręki, żeby cię zabili, otruli, oczarowali? Nie! nie! ja cię nie puszczę, i ty nie pójdziesz!

Te słowa wyrzekła tak gwałtownie i namiętnie rzucając mu się na szyję, że Tumry zamilkł przemożony odrazu jéj boleścią; ale śmiertelna bladość twarz mu okryła, i spuścił głowę jak skazany na ścięcie.

— No! to zginiemy, kiedy ty mi nie ufasz, Motruno — rzekł na pozór spokojniéj.

— Ja ci ufam, ja tobie wierzę; ale im ufać nie mogę... Cyganie mścić się będą, żeś uszedł od nich!..

Tumry jakoś się rozśmiał szydersko.

— Takto ty znasz cyganów! — rzekł powoli. — A za cóżby się mścić mieli? Wieluż to z nich już poobsiadało na gruntach i gospodarzą na miejscu! Słyszałże kto o zemście nad niemi!

— Ale oni czarownicy, — przerwała Motruna.

— Na czary są czary — odparł chmurząc się Tumry — a mój wzrok także za silny uchodził, bo go żadna siła nie zmogła!

Motruna, na którą spojrzał w téj chwili tym przeszywającym wzrokiem, zadrżała i spuściła oczy; poczuła w istocie jakby gorące żelazo przebijało jéj serce, jakby łańcuch żelazny pierś jéj ściskał, aż oddechu brakło, a w głowie kręciło się i wiło dziwacznie.

— Powiedz lepiéj, że mi nie wierzysz — kończył cygan — ale nie że się o mnie obawiasz. Straszniéj mi tu między twoimi, niż wpośród naszych braci *Romów*, a jednak widzisz, żem cały i żyję.

— Ale po cóż iść do nich? — błagająco, cicho, szepnęła kobieta.

— Ażeby ich ztąd coprędzéj oddalić!

Motruna nic nie odpowiedziała. Tumry na nią spojrzał, postrzegł ciche łzy, i począł znowu chodzić po izbie, tak gorączkowo i szalenie, że się zdawało, iż lepiankę rozwali bo bił się w niéj jak w klatce!

A kłamał biédny! kłamał szalony! bo nie strach tam go do ogniska pociągnął, ale serce, ale wspomnienie: ta siła tajemnicza węzłów kolebki, łańcuchów pamięci, który chyba starość zrywa, chyba szczęście osłabia. Tumry nie miał jeszcze czasu zapomnieć swych wędrówek po świecie, ani ognistych czarnych oczu Azy, ani zapachów cygańskiej *kakabii* (kotła), ani swojéj włóczęgi, pieśni, głodu, chłodu, prześladowania i zemsty!

A tak misternie wielki Stwórca złożył każde życie, że jak w owocu ziarnko, jest w niém odrobina szczęścia, jest nasionko pociechy! Boleść podnosi; głód oszala, nędza exaltuje prześladowanie spotęgowuje człowieka, i na dnie tych klęsk zawsze znajdziesz oręż, którym je zwalczyć można. Gdy cierpienie dojdzie do kresu, z niego samego wystrzela siła przeciwna, która już uczuć go nie da.

Tumry choć wiele przebolał, teraz gdy się blizny pogoiły, gdy nowe rany krwią mu płynęły, w życiu przeszłém widział tylko jego roskosze, barwy, zmiany i ruch, za którym tęsknił. Serce jedném słowem zburzone, parło się w stronę braci, a myśl już kręciła się w kole czarownem wspomnień dzieciństwa.

— A nuż to oni? — pytał się w duchu siebie. — Aza, Aprasz, stara Jaga, Pehabaj, Puza; a nużto ten namiot podarty, pod którym mi tyle kropel potu na ziemię upadło? i skrzypiący werden, i koń ślepy... A! gdyby ich choć zobaczyć! Czy téż żyje żona Aprasza i dzieci! Jakbym ich widział: przypadli pod lasem pewnie w dolinie, nie śmieją iść do wioski... rozbili namiot... Aprasz siedzi twarzą w ogniu, bo mu go nigdy nadto, żona jego milczy i dziécię kołysze, Jaga paple, chłopcy skaczą, koń się pasie na rozłogu! A! jak im tam dobrze choć chleba nie mają, jak swobodnie! Żeby ich choć zobaczyć!...

Wzrok Motruny zdawał się na wylot przebijać czaszkę cygana i czytać jego myśli; bo biédna coraz się bardziéj smuciła, a Tumry corazto szalał wyraźniéj.

Bóg wié tam, która była godzina nocy, gdy przy wygasającym ogniu pokładli się spać wreszcie, a cygan obwinąwszy się płachtą, głowę ukrył, by nie pokazać że nie śpi.

Ciągle w nim wrzało to pragnienie przypatrzenia się choć zdala cyganom; i walka z namiętną żądzą w człowieku, co się hamować nie umiał, wkrótce przerosła w stan prawie szału i gorączki. Znużenie po pracy zamykało mu oczy, a cyganie ciągnęli ku sobie; zasypiał, zdrzémywał się, budził, jęczał, i szarpiąc pierś czarną, wpadł wreszcie w stan dziwny, który nie był ani snem, ani jawą.

Wyjątkowe duszy usposobienia wyradzają często dziwne także władze w człowieku, i spotęgowują go, podnoszą kosztem całego organizmu, który się przez posłuszeństwo

myśli do cudów wysila; tak nawzajem choroba dręcząc ciało, przywodzi niekiedy duszę do niezwykłych jéj polotów...

Zaledwie usnął Tumry, uczuł się schwycony nieopisaną potęgą, i wstał, cały potem oblany, wprost kierując się ku drzwiom.

Motruna nie spała jeszcze: ostatni płomyk ogniska oświecał cygana, którego się przelękła nieszczęśliwa, nieśmiejąc tchnąć, krzyknąć, ani go wstrzymać. Załamała tylko ręce i opuściła głowę, żeby go tak strasznym nie widzieć.

Tumry zdawał się olbrzymem, tak wyprostował się pod naciskiem niewidzialnéj siły; włosy powstały i najeżyły mu się na głowie, oczy miał słupem stojące, nieruchome i szklane, brew namarszczoną; a w całym nim była taka niepohamowana wola, że żona nie pomyślała nawet przeciwko niéj stanąć ze swemi łzami.

Drewnianym chodem kościotrupa, skierował się do drzwi, otworzył je dotknięciem i rzuciwszy otwarte, znikł w ciemnościach.

Schwyciła się kobiéta z posłania cała drżąca, chcąc zobaczyć, co pocznie; a że księżyc świecił na dworze, ujrzała go jak wyszedł z chaty, nie wstrzymując obrócił w stronę cmentarza, i wciąż niezwykłym chodem posuwając się, znikł jak widmo, w prostéj linii strzałą prąc się do niewidomego dla niéj celu.

Chciała iść za nim, ale ją siły opuściły, do reszty zbłąkało się w głowie i sercu; schwyciła tylko za piersi, osunęła się i upadła na progu. Tumry, krzyku który się wyrwał z jéj ust słyszéć już nie mógł, bo był daleko.

On leciał jak ptak, gonił jak zwierzę, nie wiedząc dokąd go wiedzie żądza, co nim kierowała: przeskakiwał mogiły i krzyże, przelatywał rowy, wdrapywał się na góry, przełaził przez jary, a krok jego był tak pewien, noga tak silna, moc co go wiodła tak zwycięzka, że nic go wstrzymać nie mogło. Żadna zapora nie zastanowiła go chwili: łamał krzaki, rozbijał grudy spiekłéj ziemi, deptał chwasty kolące i nie czuł, że krew mu się z piersi i nóg ciekła.

Nareszcie w głębi doliny pod lasem zaświeciło czerwone światełko, i cygan zadrżał, podwajając biegu.

Księżyc wypłynął z chmur, i przyczynił nowego uroku, dziwnemu obrazowi, który się przed oślepłemi oczyma cygana roztaczał. Noc była ciepła i spokojna, wiatr zaledwie trawy i liście poruszał; niebo miało barwę ciemno-szarą, poprzerzynaną białemi jak wełna obłoczkami. Na dnie parowu szerokiego, który las otaczał z trzech stron dokoła, widać było małe obozowisko cygańskie całe w cieniach, ogrzane tylko jedném namiotu ogniskiem.

Na tle jasnego dymu i płomieni, czarne jakieś postacie snuły się jak widma: to zasłaniając ogień, to usuwając się z przed niego. Część lasu bliższa, w blaskach ognistych stojąca, cudnie malowała się na czarnéj głębi boru. Każda gałąź jakby złotem oblana wyskakiwać się zdawała, w tysiącznych kształtach wyginając się i drobnemi migocąc listkami...

Ale Tumry nic nie widział, i przyspieszonym, w miarę zbliżania się swego do szatry, lecąc biegiem, jak piorun wpadł pod namiot cyganów.

Stanął przed ogniem, zdawał się przebudzać, krzyknął przeraźliwie, cofnął i padł nieprzytomny o ziemię, jak drzewo wiatrem zwalone.

Od wyjścia swego ze Stawiska, gromadka, którą dowodził Aprasz, przewędrowała wielki kawał kraju i rozmaitych doznała losów; może przypadek, może wola Azy przygnała ją znowu w te strony. Młode dziéwczę umiało tak sterować wszystkiemi, że choć pozornie stary cygan przewodził, ona w istocie i nim i bandą kierowała.

Któż tam wié, co się działo w sercu dzikiego dziewczęcia? Dość, że zwrócili się cyganie ku Stawisku. Czy chciała zobaczyć Adama, czy ciekawą była wiedzieć co się stało z Tumrym.

Po jego ucieczce, po wyjściu ze Stawiska, Aza zmieniła się bardzo; została jéj dawna żywość, ale uciekła wesołość. Pobyt we dworze nauczył ją tęsknić za strojem i zbytkiem, których raz skosztowała.

Źle jéj już było w łachmanach dawnych, w *gat'i* (koszuli) grubéj, w *urakha* (płaszczu) z prostego *basyka* (sukna); chciała białéj *pochty* (płótna), i krasnéj *bucaki*, i świecideł, z któremi jéj przy czarnych włosach i czarnych oczach tak było do twarzy!

Umiała jeszcze z niczego stworzyć ubranie, przyodziać się prostą *plastą* (kołdrą), do kibici, przybrać polnemi kwiatkami, i czystością zastąpić wytworność; ale wzdychała za jedwabiami, których tyle rzuciła we dworze Adama.

Często też, częściéj niźliby chciał Aprasz, któremu wspomnienie zbiega napełniało krwią źrenice, Tumry przychodził na jéj myśl i usta; mówiła o nim na przekor *dados'owi* (ojcu, bo tak zwano Aprasza) i nie zapomniała do końca: owszem zdawało się, że im był daléj, tém częściéj i niespokojniéj wymawiała jego imie. Sprzeczali się z cyganem ciągle, gdyż on utrzymywał, że niczém go wstrzymać nie było można; ona, że go odepchnęli srogością obejścia i prześladowania.

Aza jednak klęła się i prorokowała jak cyganka, że ten kto raz błędnego życia taboru ich skosztował, nie wytrzyma przykuty do chaty i roli, i powrócić do nich musi.

— Byleby nas zobaczył, byleby dym ogniska *romów* powąchał, zerwie się choćby z łańcucha i przyleci!!

W podróży powolnéj od wsi do wsi, z miasteczka do miasteczka, cyganie kuli konie, leczyli, wróżyli, zamawiali, a Aza wielka wróżbiarka, wszędzie zwabiała ku szatrom wdziękiem swéj twarzy i czarnych oczu urokiem. I jak prawe dziécię Ewy, lubiła, żeby się za nią wlókł ten łańcuch niewolników, których jeśli jedném nie zwabiła wejrzeniem, posyłała po nich i drugie i trzecie, i uśmiech w pogoń, i mrugnienie, i tę obietnicę roskoszy, która niestety tak często kłamie! Ale nikt nad to wejrzenie, nad ten uśmiech, nad obietnicę nie otrzymał nic więcéj; kiedy niewolnik spętany leżał u nóg cyganki, odwracała się od niego ze śmiechem szyderstwa i zemsty. Serce jéj było kamienne, a pierś jeszcze się nie poruszyła, wtorując czyjéj żądzy, czyjemu błaganiu.

Codzień jéj przybywało wdzięków, codzień w tém szatańskiém wprawiała się rzemiośle. Stare baby wyuczyły ją tańca wyniesionego z Hiszpanii, a śliczna cyganka przy wdzięku prostéj drumli, z kawałkiem płótna w ręku, umiała z niego uroczą układać scenę. Rzekłbyś, że skacząc tak sama, w monominie tym odgrywała cały dramat namiętnéj tęsknoty, która leci ku ideałowi niewidzialnemu, zapala się doń, pragnie i rozbija o mgły i tumany! Chwilami miotała się wesoła, swobodna, jak prawdziwe dziécię cygańskie, i uśmiechała się do tego, który gdzieś zakryty stał przed nią; potém taniec jéj wolniał, czynił się tęsknym, i znów gwałtowniéj nią rzucał, aż wpadła w jakiś szał, w namiętność, która się wysiłkiem i jakby śmiercią pełną pragnień tajemniczych kończyła.

Na ten taniec zbiegali się patrzéć młodzież, starzy i ci nawet, których w początku wiodła prosta ciekawość, których w chwilę potém paliła namiętność: a Aza codzień stając się sławniejszą po miasteczkach, więcéj zyskiwała swym tańcem, niż Aprasz młotem i kowadłem. Stare cyganki, a osobliwie Jaga, która niedarmo to imie nosiła od ognia (*Jag*) widziały w Azie podporę przyszłości, wróżyły jéj wielkie losy, i chodziły koło niéj jak koło królowéj. Aprasz też, który chmurno, ale gorącém okiem na nią poglądał, stroił ją teraz i pieścił coraz więcéj, zwłaszcza od czasu, gdy mu milcząca umarła żona. Biédna ta kobiéta jakby czekała, rychło od piersi jéj odpadnie ostatnie dziécię; gdy z kolan zeszło i uścisku matki nie potrzebowało do życia — pochyliła się, i milcząca, bez jęku, jak żyła umarła. W włóczędze schwytała ją śmierć na rozdrożu w smutnym lesie sosnowym, i cygan tam ją pochował, narzuciwszy mogiłę suchemi gałęziami. Nie widać było żalu ani w nim, ani w dzieciach, więcéj zdziwionych jak zasmuconych stratą matki, ani w starych kobietach i reszcie taboru, do którego nie zdawała się należeć, bo ją zawsze *gdzią* (obcą) nazywano, choć długie z niemi przebyła lata.

Szeptały baby kładąc ją do mogiły niezrozumiałe słowa, mruczał coś Aprasz, który ją w ziemi składał szeroką obwinąwszy płachtą, ale ani jedna łza nie pociekła z oczu cygana. Tylko dziécię najmłodsze nadbiegło nad grób, widząc, że ją weń spuszczano, wyciągnęło rączki ku zimnemu trupowi pochyliło się i upadło na pierś, któréj bicia już wskrzesić nie mogło. Aprasz rzucił się za niém, wyciągnął, oćwiczył, i wkrótce ziemia przykryła zwłoki nieszczęśliwéj.

Po śmierci jéj zdawało się, że Aprasz zapragnie za żonę wziąć Azę; w kilka miesięcy powiedział jéj nawet wolę swoją, ale się naśmiała i potrzęsła głową dumnie.

— Co ci to — rzekła — czyś szalony *dados?* A tożbym ja twoją *ciaj* (córką) być mogła, a ty ojcem moim! Tyś stary, ja młoda, i nie mam ochoty być *dają* (matką) cyganów i niewolnicą mężczyzny.

— Widzisz — odparł Aprasz chmurno — że nie mam ktoby mi był żoną.

— Weź jaką starą niewiastę: dosyć ci jéj będzie dla dzieci, a dla ciebie aż nadto!

— Azo! ty wiesz, że ja szyderstwa nie lubię.

— A ja szydzę! — odparła dziewczyna śmiejąc się i białe ukazując mu ząbki — boś zasłużył na śmiéch! Wyrwij sobie garść włosów i policz w nich siwe: znajdziesz więcéj ich w jednéj ręce, niż ja lat przeżyłam; przystałoż, bym była twoją?

Kilka razy jeszcze Aprasz napadał ją z tém żądaniem, ale go zawsze odparła w ten sposób; a stare kobiety, jéj przyjaciółki, pilnowały ją dobrze od przemocy, i gdy przyszło do walki, krzykiem przynajmniéj stronę jéj trzymały. Aprasz złościł się i zżymał, i groził, ale poradzić nic nie mógł. Postrzegł, że Aza wiedzie go ku Stawisku, w stronę w któréj wspomnienie pana Adama i młodego Tumrego ją pociągało; wściekał się zrozumiawszy jéj myśl, ale sam przeciwko całéj gromadzie, którą zawładła dziewczyna, choć dowódzca nic nie mógł.

W miarę jak się zbliżali do wioski, Aza spoważniała, zadumała się, a strój jéj dowodził, że chciała być piękną: czy dla pana Adama, czy dla Tumrego cygana? — nikt nie wiedział. Aprasz jéj groził, ona się śmiała.

Doszli wreszcie do Stawiska nocą prawie, a cyganka chciała, by obóz rozłożyli w znajomém miejscu na odłogu; ale *dados* się oparł, i w pustkowiu na dolinie zastanowił *werden* (wóz) i namiot rozbił.

Aza chciała zaraz lecieć do wioski, ale Aprasz rzucił się do niéj z toporem i pogroził jéj straszliwie, jeźliby się krokiem ruszyła. Stare baby z Jagą na czele powstały wszystkie na dowódzcę, wrzask stał się niezmierny: bo aż do dzieci, cała banda słuchała więcéj Azy niż jego: i przerażony kowal uległ przemocy, bo topór z rąk mu wypadł, a dziewczyna wzgardliwém zmierzywszy go wejrzeniem, zawołała:

— Nie pójdę, bo nie chcę; pójdę, gdy mi się spodoba! Słyszysz, Aprasz! nie boję się ani twych gróźb, ani topora, ani gniewu; a od dziś dnia tyś mi nie *dados*, ja ci nie *ciaj*: my obcy! Idź jeśli chcesz i gdzie chcesz moi mnie nie porzucą.

Cygan zaciął usta, błysnęło mu oko czarne na białku, zamilkł i ustąpił.

Co się tam działo w sercu zrzuconego z panowania wodza, którego władzy ostatnia wybiła godzina z ostatnią nadzieją, to tylko jedna może wiedziała Aza, bo go lepiéj znała od innych. Cały wieczór nieruchomy przesiedział przy ognisku, nie mówiąc słowa, nie dając rozkazów, w postaci jednego z tych królów zwyciężonych, jakich nam stare wystawiają rzeźby w wykopaliskach grodów Azyi i Egiptu. Byłby skonał w téj męczarni, gdyby boleść taka zabić mogła; ale ona dręczy, a żywi i dobywa życie z człowieka, by cierpiał.

Aza wzięła rządy nad gromadą nie zważając na niego; ona rozstawiła wóz, ludzi, sprzęty, rozdała wieczerzę, i jak na wzgardę misę strawy z okrajcem chleba kazała postawić przed tym, któremu dotąd piérwszy kęs i piérwsze należało miejsce. Cyganie zdawali się nie zważać nawet na wczorajszego wodza, i jak chorego lwa, każdy z nich jeźli nie nogą, to słowem bolesném potrącał; bo Aprasz bezsilny, zwyciężony, od téj chwili wodzem być już przestał.

Właśnie o krok od siedzącego na zwalisku swéj potęgi Aprasza, obłąkany, senny, padł Tumry, łoskotem upadku swego przestraszając bandę całą.

Aza, która czuwała, chwyciła zapaloną gałąź z ogniska, i przybiegła piérwsza zobaczyć co się stało. Zdawało się, że przeczuła Tumrego, że się go spodziewała: tak zwycięzko spojrzała na twarz jego bladą, martwą, wychudłą, oświeconą płonącą gałęzią sośniny.

— Tak! to on! — zawołała dziwnym głosem — wiedziałam że to on być musi. Ciągnęłam go tu i przyciągnąć musiałam. Ale trup! ale martwiec i upiór! A! a! — dodała zlewając twarz jego przyniesioną przez Jagę wodą z kociołka — cóż mi z niego zrobili *gadziowie*, i ta jasnowłosa *egaszi*, dla któréj *romów* i ich życie porzucił! Na twarzy znać co wycierpiał! Biédny Tumry! zestarzał, znędzniał, nawpół umarł i zamęczył się.

Tumry w téj chwili otworzył oczy, podniósł się na łokciu, i zdziwionym wzrokiem powiódł po dziwnych otaczających go postaciach, gorące oko topiąc w pięknéj dziewczynie, która z uśmiechem litości stała nad nim w blaskach swéj pochodni, jak nieziemskie zjawisko. To widzenie wydawało mu się jeszcze dalszym snu jego ciągiem.

— Gdzie ja jestem? — spytał schrzypłym od znużenia głosem, spozierając na *romów* i na skrwawione piersi, ręce i nogi swoje — nie jestżem w chacie pod cmentarzem, gdziem się spać położył? Gdzież Motruna? kto mnie tu przeniósł! Czy to życie snem tylko było?

— Wszystko sen! — odpowiedziała cyganka, podając mu kubek wody. — Pij, orzeźwij się i bądź pozdrowiony z powrotem pod szatrę naszą! Sprobowałeś życia *gadziów*, serca ich, szczęścia: powiedz, czy ci lepiéj było z niemi jak z nami?

— Ale to sen! to sen chyba! — trąc oczy począł Tumry. — Prawda! Janek mi wczoraj prawił o cyganach; cały wieczór rwałem się aby pójść ich zobaczyć, alem się spać układł w chacie: jakaż mię tu siła przyniesła?

— Siła, która ptaka pędzi do gniazda, a zwierzę do jamy — odparła śmiejąc się Aza — a któż zna tę siłę, która mocniejszą jest od nas?

Tumry patrzał i opamiętywał się powoli.

— Gdzie Aprasz — spytał — gdzie jego żona.

— Żona jego śpi na rozdrożu — odparła Jaga.

— A Aprasz śpi u ogniska — rozśmiała się Aza — bo od dziś przestał być wodzem naszym! Podniósł rękę na mnie i upadł! Patrz — odsuwając się i odsłaniając siedzącego, dodała dziewczyna — oto Aprasz, który mnie, mnie chciał miéć swoją żoną i niewolnicą! Skiń mu głowę lub pluń na niego, jak chcesz, a nic ci już nie zrobi, bo przestał być silnym!

Wtém stary wódz chwycił się, ukłóty słowem, od ognia, i porwawszy topór leżący na ziemi, z wściekłością rzucił się na Azę; ale nim ją mógł ugodzić, Tumry zerwał się na niego, wpół go objął i powalił, a nadeptawszy nogą gardło, wyrwał mu z rąk siekierę.

Ich oczy spotkały się z sobą i starły wejrzeniem krwawém, a Aprasz zaryczał i dłoń spuścił i źrenicę.

— Tak! — rzekł głucho — jam już bezsilny! Nie panować mi nad wami, ale iść za wozem waszym i słuchać! Puszczaj Tumry, na *Mroden-oro* (Boga), na *Mutes-oro* (śmierć), na *Nasua-oro* (chorobę), *giwes-oro* (dzień), na *rat-oro* (noc) klnę się, nic wam złego nie zrobię; puść mię niewolnika.

Ale Aza przypadła ku upadłemu wołając:

— Powtórz! jeszcze raz powtórz przysięgę, i dziesięćkroć ją powtórz, zanim ci uwierzę!

Aprasz począł powtarzać posłuszny.

— Odbierzcie mu *towez* (siekierę) — zakrzyczała — i *czuria* (nóż) i odtąd niech ich nie ma w ręku! Dziękuję ci Tumry — dodała — puść go: winnam ci życie. Wielki *Mroden-oro* przyprowadził cię tu na skrzydłach tęsknicy umyślnie, żebyś mnie uratował! Siadaj i grzéj się u znajomego ogniska, i mów, coś przebolał, bo żeś nie był szczęśliwy, mówi to blada *busta* twoja (twarz).

— A! a! — odparł Tumry wspierając się na wywróconym miechu kowalskim, na który spoglądał jakby starego witał przyjaciela — nie ma co mówić o szczęściu i doli mojéj. Próżno kto od niéj ucieka! *Gadziowie* zjedli mnie i żonę, powolném prześladowaniem ogryzając kości, i odstąpili odemnie jak od trupa, a ja walczyłem z niemi. Umarł ojciec Motruny, powiodłem go okiem na cmentarz; musieli mi oddać dziewczynę, ale żyłem nędzą moją i ich złością: bo prócz jednego, nikt z nich twarzy nie zwrócił ku mnie!

— A białaż *egaszi* twoja? — spytała Aza.

— *Egaszi* kochała mnie i kocha — rzekł Tumry — ale cóż miłość o głodzie i w niewoli? Dom mój był dla mnie trumną i grobem, tak mi w nim duszno i tęskno i ciasno; oko zawsze jednym karmiłem widokiem cmentarza, mogił i nagiego wzgórza...

— Ale was było dwoje?

— Troje z nędzą, czworo z głodem! — śmiejąc się dziko rzekł Tumry — pięcioro z poczciwym Jankiem.

— Znalazł się ktoś przecie poczciwy?

— Ale wy — przerwał Tumry — cóż z wami się działo? gdzieście byli, co was przygnało tu znowu, na szczęście czy nieszczęście moje?

— Ja! — zawołała Aza — chciałam zobaczyć co się z tobą dzieje. Aprasz się sprzeciwiał, ale usłuchać mnie musiał! Życie szło jak idzie życie: dzień do dnia niepodobny, a zdaleka bracia rodzeni! Paliło się kowadło, sapały miechy, pracowały ręce, a Aza śpiéwała i skakała *gadziom za łowy*! (pieniądze). I ot, widzisz, przyszliśmy tu wreszcie może umyślnie po ciebie, a może do młodego *Raj'a* Adama.

Uśmiechnęła się nieznacznie.

— Co robi *Raj* Adam? — spytała — czy zawsze życie mu tak długie, a młodość tak ciężka do dźwigania?

— Nie wiém — cicho odpowiedział Tumry. — *Raj* ożenił się był z jakąś *gadzią*, mówią, że go zwodziła z drugim...

— A cóż miała robić biédna! — rozśmiała się Aza — musiała!

— Pojechali gdzieś daleko po zdrowie dla niego, po wesele dla siebie, a *rani* (pani) tam umarła.

— Umarła! o! jakże dobrze zrobiła! — zawołała klaskając w ręce Aza — znowu go męczyć będę! We dworze więc pusto?

— On sam tylko!

— Co powié zobaczywszy starą znajomę! — poczęła Aza śmiejąc się do swéj myśli. — Jutro, nie daléj jak jutro, przystroję się jak *rani*, i polecę do niego!

Spojrzała na Tumrego; on chmurny obracał w ręku zagasłą głownię i milczał.

— Pójdę go męczyć — powtórzyła i śmiać się! A! żebyś wiedział Tumry, ilemto ja już *gadziów* miała: choć brać garściami! A co mi ofiarowali, a jak się modlili do mnie! Było ich widzieć gdy lecieli za Azą jak gromada *szukelów* brzęcząc pieniędzmi i obietnicami! Gdym widziała, że który z nich poddać się nie chce i patrzy na mnie chłodno, tom póty paliła go, pociągała, czarowała, ażem za sobą powiodła! O! miałamże miałam roskoszy, gdy wywiodłszy ich daleko, rzucałam po drodze jak ogryzione kości!...

Coś okrutnego było w mowie cyganki, a jednak taki był urok jéj wzroku i głosu; że Tumry drżąc oderwać się od nich nie mógł! patrzał, słuchał i spragniony długą żądzą, nasycić się nie mógł.

Pięknąbo była przy ognisku, a świeże zwycięztwo okrywało ją jeszcze powagą jakąś i siłą nową! Tumry nigdy jéj taką nie widział.

— Ale mówno mi o sobie — zbliżając się i łagodniejąc, odezwała się Aza, o swéj — *bukuni* (domku) o *egaszi* (żonie), o życiu!

— Wszystkom ci powiedział — smutnie rzekł i powoli cygan. — *Egaszi* dobra i poczciwa, ale jéj tęskno za swemi, których nie widzi, jak mnie za *male* (polem) i namiotem! Płacze i płacze biédna! *Bukunia* moja, którą krwią i potem zlepił; wygnanka, jak my za siołem stoi na pustkowiu i patrzy się w państwo *Mutes-oro*, na cmentarzysko *gadziów*. Ciasno w niéj, głodno, zimno i pusto...

— A nie kwiliż w niéj dziécię? — spytała zamyślona Aza.

— Nie — odparł Tumry — ale kto wié, kiedy się ten głos z drugiego świata piérwszy raz da słyszeć? dziś, jutro może.

Dziś! jutro! toś przepadł? — odpowiedziała cyganka. — Niechno zapłacze dziecina, a uwięźniesz tam na zawsze przy swojéj bladéj *egaszi*, i zeschniesz w pracy i utrapieniu!

Skinęła ręką!

— Idź skazany — rzekła — jużeś ty nie nasz! Idź! idź! nie patrz na swobodę, nie kosztuj powietrza pod namiotem: tobie zgnić pod dachem uwiązanemu do słupa! Tyś niewolnik! tyś *gadzio*.

Wymówiła to przekleństwo bez gniewu, z litością raczéj: ale Tumry uczuł je w głębi piersi, jak przepowiednię nieodwołaną. Spuścił głowę, powoli podniósł się z ziemi, potoczył wzrokiem dokoła, jakby ich żegnał, i raz jeszcze spojrzał na Azę.

— Idź! — rzekła dziewczyna — idź do *khera* (domu), blada *egaszi* cię czeka! Niech ci się serce nie drze na widok *Romów*, bo do nich wrócić nie możesz!!...

Otrzeźwiony, osłabły Tumry powracał mozolnie i powoli tą samą drogą, którą we śnie przebył tak żywo i łatwo. Zranione nogi zaledwie go wlokły, ciężka głowa ołowiem spadała mu z karku, serce to biło stem młotów, to przestając uderzać milkło w piersi, jakby na wieki spocząć chciało.

Dziwił się, że tak ogromną przebiegł przestrzeń, która w powrocie wydała mu się nieprzebytą, nieskończoną; wyglądał drogi i błąkał się, i znaleźć jéj nie mógł; kiedy niekiedy odwracał się, by spojrzéć na ognisko, przy którém zostawił Azę! to znów znużoném okiem szukał swéj chaty, cmentarza, wioski i z trudem ścieżki rozpoznawać musiał.

Była to chwila uroczysta, gdy noc ze dniem się łamie, ciemność poczyna walkę ze światłem, śmierć codzienna ustępuje życiu; bladły niebieskie ognie, i księżyc nawet coraz

srebrzystszym się zdawał, gwiazdy uchodziły po jednéj w niebieskie głębie eterów, chmury nocne zapadały z jednéj strony, a ranne kupiły się z drugiéj: ptaki, pierwsze stróże żywota ziemi, poczynały śpiewać zmartwychwstanie.

I drzewa i kwiaty budziły się także barwami, które noc ciemna uśpiła, a dzień rozpowijał dla oczu; niektórych kielichy już piły rosę spragnione, inne gnuśniejsze, w powijaczkach jeszcze cieplejszéj czekały godziny. A cisza była długa, przerywana tylko pieśnią rannego ptaszka i nieśpiących kruków i szumem porannéj modlitwy lasów...

Tumry szedł i zataczał się! ani różowy blask wschodu, ani srebrne jasności ustępującéj mu nocy, nie roztworzyły jego źrenicy umarłéj... Nareszcie zobaczył czarne krzyże mogił, chude wierzby cmentarza, żółty grób Lepiuka, i nizki komin swéj chaty.

Przyśpieszył kroku. — Co się tam dzieje z Motruną, zawołał w duchu, jeźli postrzegła że poszedłem? A! żal mi jéj, żal, ale na cóż pokochała cygana?

I minął cmentarz drżący, śpiesząc do drzwi lepianki. Na progu nie było Motruny... tylko głos dziwny, niepojęty, uderzył jego ucho. Nie był to głos zwierzęcia, ani człowieka, ani ducha, nie byłto skrzyp drzewa, ani świergot ptaka, ale wołanie niezrozumiałe, płaczliwe, jakby wzywające litości, w którego głębi słychać było mowę ludzką, i jęki zwierzęcia i łzy człowiecze.

Wszedł na próg i piérwszém co zobaczył, była naga kwiląca dziecina, która leżała przy Motrunie na ziemi. Biédna kobiéta tuliła ją ku sobie płacząc, niepamiętna na boleść swoją, cała już matką tylko!

W progu wartował głupi Janek, który dał wnijść cyganowi, dał mu się zbliżyć do żony i poklęknąć u jéj barłogu: ale gdy Tumry wybiegł po chwili odetchnąć i oprzytomniéć, poczwarka zjawiła się na przeciw niego.

Zdziwił się Tumry nie widząc na jego twarzy zwykłego wyrazu litości i uczucia, ale chmurny gniew jakiś i groźbę.

— Co ci Janku? — spytał, z potu ocierając czoło.

— Co ci cyganie przeklęty! — podchwycił karzeł pięść ściskając — gdzieś ty był w nocy włóczęgo, gdy żona jęczała wzywając twojéj pomocy, a choćby twarzy twojéj!

— Nie wiem co się działo ze mną!

— Ale ja wiem — zawołał Janek — szatan cię upętał diabli synu: chodziłeś na tańce z czarownicami!

— Łaj mnie — rzekł Tumry — ale spytaj Motruny czym winien, czym poszedł o swojéj woli, przytomny?

Janek popatrzał nań surowo.

— Ej strzeż się cyganie — rzekł — małym ja człecze, ale jak Bóg Bogiem, jak psa cię zabiję, jeźli żony i dziecka pilnować nie będziesz!!

Tumry uśmiechnął się szydersko i wzgardliwie.

— Janku! rzekł, tobieżto mnie grozić?

— E! i robak kąsa śmiertelnie! — zawołał mały — i ja potrafię choćby robakiem być tobie.

To mówiąc zniknął biegnąc ku wsi, a Tumry wrócił do chaty.

Serce mu się ścisnęło na widok biednéj kobiéty, któréj czoło pot śmiertelny, a twarz bladość okrywała trupia. Spoglądając na niego, jakby błagała o litość dla siebie i dziecięcia, uczuł się winnym choć nie wiedział, jaka siła pchnęła go do grzechu i przykląkł u łoża.

— Co się stało? jak to było? — spytał, ja nie odszedłem od ciebie własną wolą!

— Czarownica cię widać pociągnęła — odpowiedziała słabym głosem Motruna. — Kiedyś spał, zerwałeś się, pobiegłeś, chciałam iść za tobą i upadłam.. Nie wiém co się działo ze mną i kiedy mi Bóg dał dziécię... Otworzywszy oczy spostrzegłam w progu poczciwego Janka, który mnie widać od drzwi przeniósł na łóżko...

Tumry spoglądał na kwiląće niemowlę i myśl jego przebiegała cały szereg ciężarów i obowiązków, jakie dla niego na świat przyszły z tém dziecięciem... We dwojgu ledwie żyć mogli: — troje umrzeć musieli... Potrzeba było pomocy osłabłéj Motrunie, pokarmów dla niéj, pieluch dziecinie, sługi w chacie i chleba! chleba! chleba!

Tumry zarabiając nań, musiał opuścić żonę samą, a nie było jéj komu dopomódz w piérwszych dniach słabości.

Chwycił się cygan za głowę.

— Nie ma rady — rzekł głośno — ze wsi nikt nam posłużyć nie zechce, ja sam nie podołam wszystkiemu; pozwól mi pójść i zawołać Jagi cyganki.

Na te słowa Motruna porwała się i dziécię przytuliła do siebie.

— Cyganki! — zawołała — o! nie chcę, nie chcę, obejdziemy się bez pomocy niczyjéj... Oniby mnie struli, oniby mi dziécię porwali!

Tumry ruszył ramionami.

— A tyżeś żoną cygana?

— Tak! tak! — rzekła — ale się boję, boję się! Miej litość nademną!

— Ty sama litość miej nad sobą! — zawołał cygan. — Toć pomrzemy, jeśli nam w tych dniach piérwszych ktoś nie pomoże!!

— A Janek!

— Ale tu potrzeba kobiety!

— Ja wstanę, ja wstanę — pośpiesznie poczęła mówić Motruna!

— To być nie może: kilka dni przeleżeć musisz... A któż tobie i dziecku posłuży, zgotuje; kto cię nauczy jak chodzić koło niego?

Motruna zmilczała, ale na twarzy jéj, z ruchów niespokojnych widać było, że bojaźń ją nie opuściła, choć nie wiedziała co począć.

Chciała sprobować czy nie potrafi wstać, i opadła na łóżko jęknąwszy tylko boleśnie.

Tumry siadł przy niéj na ziemi, i oczy wlepiwszy w dziecię i matkę, pozostał tak nieruchomy, w niemej jakiéjś rozpaczy.

Wtém drzwi uchyliły się powolnie; spojrzała Motruna i zadrżała, widząc straszną twarz staréj cyganki, ukazującą się powoli z sieni.

Byłato stara Jaga, którą nie wiem, ciekawość czy inne jakie uczucie nagnało w ślady Tumrego. Poczwarna baba, mogąca przestraszyć wyrazem swych czarnych oczu i śmiejąco się zaklęsłéj szczęki. Skóra jéj na czarno opalona, włos kruczy rozrzucony w pozlepianych kosmach po czole i twarzy, pomarszczone policzki, uśmiech bezzębny i wejrzenie drapieżnego ptaka, robiły ją ideałem staréj wiedźmy z baśni ludu! Brudna *gata* (koszula), zdarta *sokha* (spódnica) i narzucona na głowę płachta, stanowiły całe jéj ubranie, z pod którego nagie ręce i pierś wyschła wyglądały. Zgarbiona, opierała się na wyłamanym w lesie kiju sękatym, którego długie użycie widać było z rozstrzępionego końca.

Wejrzeniem poleciała po chacie, i weszła z uśmiechem widząc, że będzie potrzebną. Na widok jéj Motruna pochwyciła dziecię i drżeć poczęła, a Tumry zerwał się i stanął zdziwiony, że się tak niespodziewanie zjawiła ta właśnie, o któréj mówił przed chwilą.

Zaledwie nogą na próg wstąpiła, już po cygańsku Jaga obleciała okiem pałającém wszystkie zakątki izby, policzyła garnki, sprzęty, obrachowała stopień nędzy Tumrego, i wiedziała co ma i czém żyje.

Powoli jak kot kołując, skradała się do łóżka.

— Stój, — zawołał Tumry po cygańsku do niéj — *agaszi* boi się ciebie, drży, płacze; odstąp się ku drzwiom.

— A czegóż się boi twoja *gadzia?* — spytała Jaga, siadając u progu na ławie — alboż nie żona cygana, alboż to my nie swoi, a nawet nie krewni?... Jabym jéj koło dziecka pomogła, bo ona widzę zacałuje go i zaściska, a poradzić mu nie potrafi.... Toć to moje rzemiosło... i daj mi *Mroden-oro* tyle lat żyć jeszcze, ilem ja *romów* i *gadziów* dzieci na świat wyprowadziła!

— Nie bój się kochaneczko, — zaczęła po wiejsku ale złamanym językiem, starając się przymilić i głos schrzypły spieszczając, a uśmiech czyniąc łagodnym — a toćto i wielkie panie, i ekonomowe, nawet i szlachcianki, nie jeden raz posługiwały się Jagą! Ja się znam koło dzieci, a tobie to podobno piérwsze, to je niebożątko zamorzysz z wielkiéj miłości.

Powstała chcąc się zbliżyć, ale ruch Motruny rzucającéj się do dziecka, oznajmił jéj, że żadnéj nie przyjęłaby pomocy.

— Słuchaj Jago — rzekł Tumry — możesz inaczéj mnie poratować; weź się, rozpal ognia, nastaw wody, zgotuj co... Ona głodna... ja cały dzień pono nie jadłem, i dziecku coś będzie potrzeba...

Staréj w to graj, bo bardzo pragnęła zajrzéć po kątach, a gdyby się co trafiło, wyciągnąć po cygańsku; więc na piérwsze słowo zrzuciła z siebie płachtę, postawiła kij w kącie, i zakasała podarte rękawy.

— A gdzie żar? gdzie woda? gdzie śpiżarnia? Macie mléko?

Tumry uląkł się tylu potrzeb razem...

— Żar... poszukaj w popiele, być musi; woda? zobacz w wiadrze;... w śpiżarni niewiele znajdziesz, a mléka! mléka nie mam...

— Jakto! ani kozy nawet? — zapytała cyganka.

— Ani kozy! — westchnął Tumry.

— O złyż z ciebie gospodarz! — uśmiéchnęła się Jaga rozgarnując popiół, — widać żeś zrzucił skórę *romów* i rozum ich! Żeby téż tyle tu siedząc, kozy nie dostać nawet! A włóczy się to tego tyle po polu bezpańskich! mogła się która przybłąkać... Ha! ha! ha! a bałbyś się żeby nie poznali, to ją zaraz było przehandlować na targu... Zły z ciebie gospodarz!

— Cóż tu gotować? — spytała — zkąd ja tu wezmę przyprawy? a i wody nawet ledwie męty!

— Po wodę pójdę — rzekł Tumry.

— Nie chodź, nie zostawiaj mnie samą — szepnęła Motruna.

— Po wodę i ja schodzę — odezwała się Jaga.

— A wiész gdzie ona?

— O! uczyć mnie nie trzeba: jużcić dokąd najlepiéj ubita ścieżynka, tam woda pewnie! A może gdzie kozę lub krowę spotkam, to ją dla was wydoję; dajno garnuszka tylko.

— Jago! będzie biéda! — rzekł Tumry.

— A tak to jéj nie ma? — odparła cyganka. — Lepiéj z głodu zdychać, czy na szubienicy tańcować? — wszystko jedno! Daj garnuszka.

Stara wychodzić miała, kiedy się zjawił Janek, z mlékiem, chlebem, dzbankiem wody i węzełkiem krup: trochę tylko drzwi uchylił, dary swoje wsunął, słowa nie rzekł i wybiegł nazad pędem.

Jaga pochwyciła wszystko, a węzełek naprzód wetknęła za pazuchę dla siebie, udając, że mléko przelewa aby je zagrzać prędzéj. Nikt tego złodziejstwa nie spostrzegł.

Od tego poczęła stara swoją posługę w lepiance Tumrego, w któréj od téj chwili rozgościła się już śmiało, widząc się potrzebną.

Dzień już był jasny na niebie, i słońce dopiekało, gdy Aza rozporządziwszy wszystko w obozie, i zdawszy dowództwo cyganowi zwanemu *Puza*, bo czuła że jako kobiéta utrzymać się na niém nie potrafi; wybierać się poczęła do dworu. Puza niemłody już cygan, krępy, mały, brzydki, który dotąd był ofiarą Aprasza i męczennikiem jego, zabierał się teraz oddać za swoje, gdy niespodzianie kolej rozkazywania nań przyszła. Aza wybrała go umyślnie dlatego, bo była pewna, że dojrzy i uciśnie nieprzyjaciela.

Gromada chętnie się zgodziła na wskazanego jéj nowego *dados* (ojca) i poszła pod jego rozkazy, a Aprasza nie pytano o wolę.

Młoda cyganka weszła do namiotu i rozpoczęła strój nie bez wielkiego namysłu i rachuby. Wybrała co miała najpiękniejszego, najświetniejszego, w czém czuła że jéj było najlepiéj, i skąpawszy się cała w krynicy, utrefiwszy kosę czarną, któréj ogrom ledwie głowa dźwignąć mogła, wdziała koszulę perkalową naszywaną, kilka na nią sznurów korali i bursztynów, spódnicę w kwiaty, fartuch jedwabny, kaftan czerwony szyty, na wierzch narzucając rańtuch cienki, który ufałdować umiała z instynktem artystki.

Białe płótna i krasne farby ubrania, dziwnie podnosiły wdzięk jéj twarzy opalonéj, ale świeżéj i rumianéj, wśród któréj zęby i białka jak śniég błyskały. Z pod czarnych rzęs długich, gdy ognistém rzuciła okiem w potłuczone źwierciadełko, uśmiech przeleciał po jéj ustach...

— Zginiesz *Raj'u*, zginiesz w tych oczach! — zawołała w duchu — spalę cię na węgiel! o! spalę; żebyś był kamieniem to zapłaczesz!

— Czemuż mi tak słodkie łzy ludzkie? — poczęła się pytać siebie zadumana — nie wiem; ale kiedy je spostrzegę, gdy jęk posłyszę, to tak mi się chce mordować i męczyć, zabijać i nękać, jak dzikiemu zwierzęciu! A jednak, jednak — odpowiedziała sobie w duchu — gdyby mi tak Tumry zapłakał, zajęczał, poleciałabym może ratować go i bić się z tymi co mu łzy wycisnęli! Tumry! Tumry! Ale to już nie cygan: bladą *egaszi* pokochał, a Aza mu nie miła.. Wczoraj przecie przyleciał! O! i patrzał na mnie! a jak obronił od Aprasza! a jak zdawał się spragniony!... Nie! nie! — potrzęsła głową — Tumry przepadł... pójdę męczyć! *Raj'a* Adama.

I raz jeszcze wejrzawszy w zwierciadełko, śliczna Aza wyleciała z namiotu, a wszystkie stare cyganki widząc ją tak wystrojoną i piękną, uśmiechnęły się złośliwie, bo wiedziały, co to znaczy, i Aprasz ujrzawszy zdala odchodzącą zżymał się, a usta zagryzł do krwi.

Sama jedna młoda dziewczyna puściła się ku wiosce, znając dobrze którędy od niéj do dworu; a szła jak cyganka, nie powolnym chodem *gadziów*, ale tym polotnym biegiem włóczęgów, których życie upływa na nogach, w wiekuistéj wędrówce. Pochylona naprzód, z rąbkiem którym wiatr powiewał daleko, zdawała się lecieć bardziéj niżeli iść po ziemi.

Oko wlepiła w niebo, jedną ręką ujęła koniec zasłony, drugą podniosła fartuch i gnała szalona, nucąc jakąś piosenkę.

Dopadłszy do wsi, zatrzymała się nieco, i zdawała się na wpół przypominać, wpół węchem dochodzić drogi, o którą pytać nie potrzebują cyganie; potém brzegiem stawu, ścieżką ledwie widoczną, pobiegła przez ogród do dworu.

Pan Adam ledwie przebudzony, siedział w ganku w szlafroku, z długim w ustach cybuchem; gdy jak sen, jak widmo, skoczyła na schodki, ze schodków przed niego wystrojona dziewczyna, śmiejąc się do rozpuku.

— Ha! ha! — zawołała poczynając taniec swój przed nim od najnamiętniejszych skoków — *Raj* Adam tęsknił za Azą, Aza za *Rajem* Adamem, i wróciła do Stawiska! Widzisz, przyszłam znowu poprobować życia z tobą, rzucić ci węgiel za pazuchę i odlecieć jak bociany!!...

Niepodobna wyrazić, jak się zmieniła twarz skamieniała młodego człowieka na widok czarodziejki, tak powoli musiał się ożywiać od toku namiętności i geniuszu, sławny posąg Pigmeliona! Ostygłe oczy poruszyły się, zajaśniały, usta otworzył uśmiech niezwykły, czoło zadrżało jak morze od wiatrów poranku, i pierś żywiéj zapragnęła powietrza...

Nareszcie zerwał się i skoczył ku Azie.

— A! to ty! czyż to być może?

— Ot! ja! ja! paniczu! — odpowiedziała, rzucając mu się wprost na szyję dziewczyna, i paląc go uściskiem szalonym.

— Nie zapomniałżeś mnie przecie? nie? a wieleż kochał już po mnie?

— Zkądże ty tu?

— Spadłam z obłoków, *bałwany* (wiatry) mnie przyniosły... Poprostu zatęskniłam za tobą, kazałam zawrócić *werden*, i napowrót do Stawiska!

— I będziesz moją! — zawołał Adam w uniesieniu.

— Nie! — śmiejąc się i odpychając go zlekka, odpowiedziała Aza — ty moim będziesz *Raj* Adamie! Jam niczyją nie była i nie będę!

A! jak jéj z tą dumą było do twarzy!?

Nie wiém jak to nazwać zechcecie; czy miłością, czy dziwactwem? To pewna, że właśnie tego rodzaju namiętnéj rozrywki potrzebował zużyty Adam, żeby poczuć że żyje jeszcze. Cyganka paliła go oczami, mową, uściskami, obietnicami, szyderstwem; cierpiał, ale czuł że żyje. Kto inny silniejszy od niego, ale dumniejszy może i więcéj panujący nad sobą, byłby Azę zmusił do zmiany, lub sam ją piérwszy porzucił! on z rozkoszą dawał się męczyć, nie mogąc ani oderwać się od niéj, ani przemódz jéj szaleństw bezlitośnych. Przeklinał jak szatana, a kochał jak anioła. Aza téż dobrze znała całą siłę swoją: używała jéj i nadużywała. Po długiéj włóczędze, po cygańskiém życiu, smakował jéj zbytek, wczas i atmosfera dostatków, która ją otaczała. Czasami zdawała się wśród niéj tracić ogień, który w piersi jéj pałał, zaduma zalegała czoło, usta śmiać się zapominały: nieruchoma siedziała godzinami w miękkiém posłaniu; półsenna, półumarła; to znów zrywała się cyganka, błysnęła ząbkami, oczyma, ustami i rozpoczynała swój taniec namiętny, jak skoki dzikich ludów.

Ale w obudwu zarówno usposobieniach ducha, odpychała Adama, nielitościwém chłoszcząc go szyderstwem: raz ze wzgardą poważną, to znów z wesołością trzpiotowatą.

— Jak ja mogę kochać ciebie pytała go — powiedz sam: jestże dwoje ludzi mniéj do siebie podobnych? Jam dziki zwierz pustyni! ty dziecko zapiecka wymokłe, zbladłe, chude i bezsilne. Jeden mój uścisk zgniótłby ciebie, jeden pocałunek by cię spalił; a w piérwszej kłótni, która z każdéj miłości jak para z wrzątku wyrasta, jabym cię zabiła jeźli nie ręką to słowem!

Upokorzony pan Adam milczał, szczęśliwy jeszcze, że mógł u nóg jéj leżéć i patrzyć w te oczy, nad które wymowniejszych nie widział w życiu...

Cyganka zwykle we dnie dowiadywała się do obozowiska swego, które teraz rozłożyło się na odłogu bliżéj wioski i zostawało pod opieką dworu a więc bezkarnie mąciło spokój chłopów, lub rozsypywało się po okolicy; a na resztę dnia i nocy wracała ze starą cyganką do pana Adama. Choć droga nie wiodła ją tędy. Aza codzień prawie przechodziła około chaty Tumrego, na którą ciekawém rzucała okiem, jakby nietylko w nią, ale we wnętrzne życie, które w sobie zamykała, zajrzeć pragnęła. Oczy jéj zapalały się naówczas namiętnością, gniewem, zazdrością i nie wiém jakiém uczuciem, zlepkiem tysiąca uczuć dziwnych, miotających sercem dzikiego dziewczęcia.

Piérwszy raz tu przyszedłszy stanęła, aby policzyć może, ile dni pracy, znoju i trudów Tumry na swą lichą musiał położyć budowę; pokiwała główką, rzuciła ręką i poszła do dworu. Odtąd codzień prawie przelatywała około cmentarza i chaty, ale wejść do niéj nie śmiała, choć uchem i okiem śledziła co się tam działo. Ani Tumry, ani nikt jéj tam nie spotkał.

Dni leciały piorunem we dworze, ale powolnie wlokły się w chacie kowala. Motruna leżała zesłabła z dzieckiem, którego obawiała się od piersi puścić, oka nawet do snu zmrużyć ze strachu nie mogąc. Stara Jaga przerażała ją swoim uśmiechem, usłużnością i wzrokiem, w którym dziecko wsi przeczuwało skrytego nieprzyjaciela.

Napróżno prosiła Tumrego, aby ją oddalił; jemu lżéj było ze starą cyganką, i śmiał się z próżnych strachów żony.

Od nocnego widzenia się w dolinie, Tumry nie spotkał jeszcze Azy; dowiedział się tylko od Jagi, że była we dworze. Zadrżały mu usta i pobladł, gdy to usłyszał; ale więcéj nie spytał nawet o nią.

Sama téż stara cyganica co dzień niemal donosiła niepytana, o dziwach życia dziewczyny, w któréj pan dworu zakochał się, jak mówiła, na dobre.

— Mówią — dodawała — że gdyby tylko chciała, pewnoby się z nią ożenił; ale głupia *Raklora* (dziewczyna) śmieje się z niego, poniewiéra, i ani myśli o nim! O głupiaż, głupia! — szeptała — gdyby inna była na jéj miejscu, cobyto skorzystać można! Prawda, że *Raj* blady, nędzny, bezsilny, ale czyżto z nim żyć zawsze?

I takim uśmiechem kończyła swe narzekanie, jakby mu chciała podać kubek trucizny. Strasznąbo była istotą ta Jaga! rodzajem kościotrupa dusznego, w którym ze wszystkiego co ludzkie, sama chciwość i łakomstwo pozostały. Wprawdzie zawsze prawie starość przybiéra te dwie cechy wieku, w których tętni jeszcze miłość własna, co wprzód służyła za jądro innych, przystojniéj odzianych namiętności; ale gdy nago i bezwstydnie wystąpi w zesłabłym i schorzałym człowieku u schyłku życia, skąpstwo, pragnienie nienasycone i chciwość: — czynią zeń poczwarę obrzydłą. W staréj cygance wszystko już było zgasło: uczucie, przywiązanie, czułość wszelka i pamięć; a że ją nędza chłostała życie całe, chciwość dziwna, zwierzęca, rozpasana, wzmogła się w niéj do najwyższego stopnia. Chwytać, chować, zabierać, stało się jedyną namiętnością Jagi, która kradła instynktowo, machinalnie, co tylko w ręce jéj wpadło. U Tumrego nawet, wśród nędzy codzień widoczniejszéj, nie mogła się powstrzymać od kradzieży tego, czego ani schować, ani zabrać nie umiała; a w obozie codzień jéj coś wytrząsano z węzełków i smagano nieszczęśliwą, która nazajutrz rozpoczynała na nowo. Nie dziwujmy się staréj Jadze, w naszym świecie ilużto starców zbiéra, dusi, chwyta jak ona; ilu innych wykształceńszych obraca ten popęd w jakąś manię kollekcyi, w zapalczywą chęć pieniędzy i mienia?

Tumry nie zważał na szkody jakie mu wyrządzała cyganka, rad, że z nią trochę w chacie lżéj było, zresztą nie widział wcale co się koło niego działo, i w smutku jakimś zatopiony, chmurny, zamyślony, zmęczony, całe dni spędzał na ławie przeciw łoża Motruny.

Kuźnia jego była gotową, ale nikt nie przychodził, choć pod namiotem cyganów kowadło milczało także: ludzie szli do wsi sąsiednich, a żaden nie zabłądził pod cmentarz. Od dni kilku, gdyby nie Janek i niewyczerpana pomoc jego, uboga jak on, ale ciągła, jużby jeść co nie było w chacie. A tu na głod i nędzę przybyła trzecia istota jeszcze, któréj wyschłą piersią Motruna wykarmić nie mogła.

Tumry chciał iść do dworu, ale nie śmiał; wahał się, od dnia do dnia zwlekał, a sam siedział z założonemi rękami, czekając, zdaje się, śmierci czy jakiegoś końca, z poddaniem się losowi zdrętwiałém.

Aza o wszystkiém wiedziała od Jagi, która co dzień chodziła pod namiot i widywała się z dziewczyną; a choć miała czém pomódz Tumremu, nic nie zrobiła dotąd.

— Dobrze mu tak — mówiła przez zęby białe ścinając usta — chciał białéj kobiety i życia gnuśnego w chacie, chciał być *gadziem*, kiedy go Bóg *Romem* stworzył, niech cierpi! Życie siedzi głęboko: głód go i ból nie dostanie!

Jednakże przechodząc około cmentarza, codzień oko jéj mglistszém wejrzeniem patrzało na lepiankę; i raz, gdy pan Adam u nóg jéj po obiedzie spoczywał, czekając jaki rodzaj nowéj męczarni wymyśli nań dziewczę nielitośne, odezwała się do niego:

— Słuchaj *Raj* Adamie: co wam zrobił cygan Tumry, że u was z głodu umiera?

— Kto? gdzie? — z ciężkością przypominając sobie, zapytał pan Adam.

— Kowal Tumry, co siedzi pod cmentarzem.

— Wszakżem mu dał żonę, krowę i pieniądze? — rzekł ziewając pan Adam — czegóż chce więcéj?

— A ludzie twoi go prześladują: nie ma roboty, odpychają go wszyscy, siostry i bracia zaparli się ich! Czyżbyś ty nie mógł rozkazać, żeby było inaczéj?!

— Rozkazać ludziom żeby kochali? — z uśmiechem zapytał pan domu — samaż mi powiedz czy można?

— Kochać! nie, ale słuchać powinni! Tyś tu pan: alboż ci nie wolno posłać ich do kowala, jak posyłasz gdzieindziéj?

— Wolno mi, — rzekł Adam — ale na co się to zda?

— Sprobuj!

— Chcesz, sprobuję — odparł młody człowiek i rozkazał nazajutrz przywołać gromadę.

Rzadkato była rzecz rozmowa tego pana z czeladką i ludźmi. Powolny i łagodny do zbytku przez lenistwo więcéj niż dobroć istotną, nie wdawał się wcale w to, co się działo u niego, i nawet w dni uroczyste przyjęcia gromady, rzadko się słowem do niéj odezwał.

Rozeszła się więc wieść zwołania starszyzny po siole, jak nowina niezwyczajna; a Maxym Lach, Skorobohaty i Symiacha, stojący na czele starszyzny, łatwo odgadli o co iść miało. Wieczorem po zapowiedzi atamana, skupili się w tyle za karczmą dla narady.

— To nic — rzekł Maxym — to pewnie cygańska sprawa. Ten czort cyganica w oko mu wpadła: będzie prosił za kowalem...

— O ho! — parsknął gniewnie Skorobohaty, podnosząc rękę do góry — z tego nic nie będzie: pamiętam ja słowa nieboszczyka Lepiuka! Toć i wstyd całéj wiosce zrobił ten przybłęda, że nam z przed nosa wziął dziéwkę, i gromada się zarzekła, że go zmusi pójść precz.

— A takito dobry kowal — mruknął Symiacha, kręcąc głową — bywało w Rudni, jak przyjdziesz czy z radłem, czy z podoskiem, czy z kosą, czy z siekierą, to niéma roboty, jak kiedy on stanie do młota. Już ja to doświadczyłem, że i mocno i sumiennie robi, i taki majster z niego dobry.

— A co to on jeden na świecie? — począł Skorobohaty — żyliśmy dotąd bez niego, pożyjemy i daléj: gromada swoją cześć i słowo powinna strzymać.

— A jak pan każe? — spytał Lach.

— Albożto do karczmy czy po staremu do młyna żeby nas pilnowali na bok nie jeździć! hę? Co to kowal nas w arędę wziął?

— Jaki z ciebie mędrzec — odparł Lach — No! no! pamiętajże, weźże się i gadać za gromadą, jak jutro będzie potrzeba.

— Myślicie że nie potrafię? spytał Skorobohaty — Oj! oj! oj! tyleby biédy; i powiem choć i panu co się parzy!

— A żeby my tak, ojcze podumali, rozmyślili się — przerwał Maxym — czy warto nabożeństwo świeczki? Za czyją to duszę pokutujemy, mając majstra pod nosem, chodzimy o milę i więcéj? Komu to złość jeśli nie nam?

— A gromadzkie słowo? — spytał Skorobohaty — a Lepiuk?

— Umarł, pochowany, i święty mu pokój! Na co go z grobu wywlekać.

Na tę rozmowę nadeszło kilku innych gospodarzy i domysły o jutrzejszéj gromadzie, to jest zborze do pana, a narady względem odpowiedzi jakąby dać wypadło, jeźliby chciał na kowala namawiać, rozpoczęły się na nowo.

Zdania były dość podzielone! jednakże brat starszy Motruny, a za nim większość ze Skorobohatym, głośno krzyczała, że gromada na swojém postawić powinna. Jak zawsze, choć może mniéj było upartych, ale ci co się uparli, krzyczeli głośno, pociągnęli słabych,

i zagłuszyli nieśmiałych! Maxym Lach nie odważył się odezwać, Filip, brat Motruny, ust nawet nie otworzył.

Można więc było już przeczuwać co się stanie we dworze; bojaźliwsi zamilkną, krzykacze zagłuszą nieśmiałych i zostaną przy swoim uporze.

Zaraz nazajutrz zrana, gromada otoczyła ganek dworu w milczeniu; ale gdy do niéj wyjść przyszło, pan Adam tak się wahał, zbierał, męczył samą myślą rozmowy i sprzeczki, że wytrzymał ją do południa w oczekiwaniu! Ze zgasłą fajką wysunął się wreszcie, grzecznym ukłonem witając swoich ludzi, którzy z pokorą, w cichości, czekali pańskiego słowa. Nie śmiejąc zrazu napaść z żądaniem, które miał na myśli, począł bąkać o urodzajach, zasiewach i gospodarstwie, aż wreszcie opamiętał się.

— Słuchajcieno, panowie gromada — rzekł — zaco to prześladujecie biédnego cygana kowala, który wam jest potrzebny, a dla jakich tam głupich przesądów używać go nie chcecie? Zbudował chatę, kuźnię, osiadł, a żywa dusza ani gadać, ani żyć z nim niechce?

Skorobohaty wystąpił z ukłonem.

— Prawdę powiedziawszy paneńku, myśmy go tu nie zapraszali: siadł, bo chciał... A że gromada postanowiła go nie brać do roboty, to nie bez racyi...

— Jakaż racya?

— A córka Lepiuka, którą tak jak gwałtem, przeciw woli ojca, cygan sobie zbałamucił? Alboto nie wstyd dla nas? Pobratał się z nami gwałtem, to my go więcéj przypuszczać do siebie nie chcemy. Pozwól kurze grzędy, ona pójdzie wszędy; daléj cyganie nam będą wszystkie dziewczęta zabierać... Toż nie cygańska ojcowizna, Stawisko...

Pan Adam spojrzał na chmurny wyraz twarzy Skorobohatego, i nie wiedział co począć daléj!

— A gdybym ja was za nim prosił? — zapytał.

— Lepiéj tego nie róbcie — rzekł Skorobohaty — niechaj cygan wynosi się gdzie zechce; świat dla niego szeroki, żony mu nie odbierają...

— Gdybym ja tego żądał! — powtórzył pan.

— I nie żądajcie tego od waszéj gromady — zawołał stary — nie powinniście chcieć wstydu naszego.

— Cóżto za wstyd? małoż cyganów pożeniło się i po wsiach osiadło, i pobrali gospodarskie córki.

— Tak! ale za pozwoleniem gospodarzy, a nie przeciw woli ojcowskiéj — odparł Skorobohaty potrząsając głową. — Co złe, to złe!

— Mówcie co chcecie — przebąknął pan Adam — ale nie macie słuszności... Pogniéwaliście się, podąsali, czas darować i zapomnieć.

— Lepiuk nie żyje, a on jeden mógł córce przebaczyć; ani gromada, ani bracia nie mają do tego prawa.

Adam widząc upór starego, obrócił się do brata Motruny, ktory stał na boku założywszy ręce na piersi, w postawie oznaczającéj, że myślał upiérać się przy swojém.

— To wy jesteście przyczyną wszystkiego — rzekł, wy namówiliście gromadę, wasza to sprawa stawić się przeciwko dworu;... ale pamiętajcie, że źle wyjdziecie na tém.

— Wola pańska — hardo odpowiedział Maxym — gromada ma swój rozum; niech mówi co chce, a my tu tylko ojcowski rozkaz spełniamy. Chciała Motruna cygana, dwór pożenił, wszakżeśmy nic nie powiedzieli; ale bratać się z nim nie myślimy...

Pan Adam nie miał dosyć siły, by dłużéj spiérać się z gromadą: chciał się tylko wywiązać z obietnicy, niewiele wierząc w skutek słów swoich.

— No! no! — rzekł z pańska i groźniéj — nie chcę słuchać waszych przyczyn; dość, że mi się to niepodoba, że prześladujecie biédnego. Rozkazuję żeby mi tego nie było, żeby mi tego niebyło!

Powtórzył raz jeszcze i zniknął.

Panowie gromada spojrzeli po sobie z uśmiechem niemal szyderskim: pokłonili się nic nie odpowiedziawszy, i powoli się rozeszli.

Z okna pokoju, Aza słuchała téj rozmowy, i widziała postawy ludzi i pana; a gdy pan Adam wrócił zmieszany niepowodzeniem swojéj wyprawy poczęła się śmiać na całe gardło.

— O! jakżeśto srogi! — zawołała kładnąc się na sofie — jakżeś straszny, jak cię się ludzie twoi lękają. Teraz to już pewna jestem, że tłumem pójdą do kowala? Cha! cha! cha! doskonaleś ich zgromił.

Adam się zarumienił.

— Cóżbo chcesz? — rzekł — Zrobiłem co tylko można, ale to lud uparty! Zresztą możnaż mu miéć za złe, że w takich rzeczach chce miéć wolę swoją?

Wzgardliwe spojrzenie całą było odpowiedzią cyganki, która wstała obwinęła się rąbkiem, i nie żegnając pana Adama, wyszła ze dworu.

Według zwyczaju skierowała się ku chacie Tumrego i zbliżywszy do niéj, zwolniła nieco kroku. Wzrok jéj padł na drzwi lepianki, i wstrzymał się na nich długą chwilę; oczy zaiskrzyły jakimś gniewem, wyrzutem, pragnieniem. Podeszła i stanęła, zdawała się wahać, wnijść czy nie; a w tém blady, wynędzniały wyszedł cygan z sieni; i nie widząc jéj wstrzymał się w progu.

Znać było z jego ruchów, z twarzy i postaci, że nie myślał co robił; wyszedł, bo mu może zabrakło powietrza w izbie, i nie miał czém odetchnąć; stał, bo iść daléj nie czuł potrzeby, i wszystko mu jedno było być tu, lub gdzieindziéj? Ręce opuszczone bezwładnie, obwisła na piersi głowa, rozczochrany włos na niéj, usta wpół otwarte, policzki wybladłe, wzrok zgasły; czyniły go podobnym do chorego, który powstaje z łóżka po ciężkiéj i długiéj boleści.

Aza niespostrzeżona wlepiła w niego oczy ciekawe, i coś jakby radość i litość razem z nich strzeliło. Podeszła jeszcze kroków kilka, a on nie widział jéj jeszcze; wreszcie cień padł na cygana, poczuł że ktoś się zbliża, i powoli, obojętnie, podniósł głowę.

— Tumry! co ci to? — spytała Aza — czyś chory?

— Chory! — odparł cygan.

— Jaga nic mi nie mówiła o twojéj chorobie.

— Nie było co mówić o niéj — rzekł cygan krótko.

— A możebyśmy co poradzili?

— O! nie — uśmiechając się gorzko, odpowiedział Tumry.

— Nie? dlaczego?

— Dlatego, że to choroba i niechoroba; bo i choroba, i nędza, i głód, i rozpacz, i więcéj a więcéj jeszcze, niż słowo wypowiedziéć może.

Cyganka rozpoczynając z Tumrym rozmowę, szła powoli ku obozowisku, a on nie wiedząc co począć, machinalnie z głową spuszczoną, odpowiadał jéj, i wlókł się za nią. Szli tak jedno przy drugiém milcząc, to urywanemi słowami przerywając milczenie; i cygan ani się opatrzył, jak chatę daleko za sobą zostawił.

— A żona twoja, a dziecko? — zapytała Aza.

— Jak ja! — rzekł Tumry.

— Cóż z sobą myślicie?

— Co mamy myśléć? myślimy umrzéć.

— Głupstwo — przerwała cyganka żywo — umrzéć na rozkaz nie potraficie, a rady szukać potrzeba. *Mutes-oro*, (śmierć) nie przychodzi na zawołanie!

— Nie ma dla nas rady!

— A gdybym ja ci jaką dała?

I spojrzała mu w oczy z zapytaniem.

— Ty!? — uśmiechając się niedowierzliwie odezwał się cygan — o! nie oddawaj czego i sama potrzebujesz; zda się tobie!

— Mnie, rada? na co?

— Boś i ty także jak ja z *gadziami* się związała, i jak ja wyjdziesz na tém.

— Ja? ja? — zaśmiała się cyganka — cóż ty myślisz Tumry?

— Myślę co widzę, i co widzą wszyscy: żeś także przepadła!

Aza nie przestawała śmiać się, poruszając ramionami!

— O! wam się zdaje — odezwała się po chwili niemej niecierpliwości — że Aza tak miękka, tak dobrowolna, tak posłuszna jak wy wszyscy, którym *Mroden-oro* nie dał woli ani ducha; że dość na nią skinąć, dość jéj cacko lub *łowy* (pieniądze) pokazać, by poszła za kimkolwiek! Cóż z tego, że chodzę do dworu. Dwór mię dlatego nie spęta; ja jemu, nie on mnie rozkazuje.

— A pan Adam? — spytał wpatrując się w nią Tumry — przecieżto twój kochanek!

— Tyle co ty! — odparła dziewczyna.

— Co ja? — ożywiając się rzekł cygan — co ja? A jaż kiedy nim byłem?

— I on nim nie był nigdy!

— Dlaczegóż przesiadujesz u niego, na co go bałamucisz!

— Siedzę, bo mi tam dobrze, wygodnie, ciepło, spokojnie, nie głodno! — śmiejąc się poczęła Aza. — I dzień i godzinę jednę ukraść cyganowi od nędzy i biédy swojéj — tyle zysku! i to dobre! Możesz-że i ty myśléć, żeby cyganka jak ja *Raklora* (dziewczyna) pokochała takie stworzenie jak wasz pan, wymęczone, ledwie żywe, więcéj doktora i lekarstwa niż kochanki potrzebujące. Oj! Tumry, nie znasz mnie jeszcze!

— Kiedyś cię znałem — pocichu odezwał się cygan wzdychając — ale któż za was zaręczy i powié co jutro będzie?

— Jabym ci przecie powiedziała co będzie jutro, co zawsze być musi! — przerwała Aza zastanawiając się.

A byli już daleko, wpośród pola, za wioską, sami jedni; i Tumry tu dopiéro się opatrzył, gdy dla niéj zastanowić się musiał, że nie wiedząc co czyni, zaszedł za dziewczęciem od chaty, opuszczając samą jednę Motrunę! Obejrzał się zdziwiony.

— Cóż ma być jutro? rzekł z przymuszonym uśmiechem — to co i dzisiaj: głód i nędza! Wy pójdziecie wędrować po szerokim *pfufie* (ziemi), a ja przykuty umrzéć tu muszę.

— Co za mus? — spytała dziewczyna — możesz pójść z nami.

— Ja z wami? — powtórzył Tumry — a żona?

— Z żoną i dzieckiem — kończyła cyganka. — Alboż mało nas tak chodzi? Czegóż to dłużéj czekać będziesz; żeby cię osądzili i powiesili? Z nas jeszcze nikt nie umarł głodną śmiercią, i ty znajdziesz chleba kawałek.

— Ale ona, ona nie zechce!

— Cóż to u was *egaszi* rządzi, nie *dados*? — szydząc zawołała Aza — będzieszże słuchał głupiéj żony? Poszła za cygana, niech idzie za cyganem: przecież i jéj tu nie chcą.

— Nie! — po krótkim namyśle odparł Tumry — ja tego nie zrobię!

I widać było, że skrytego coś utaił w sobie, bo mu się usta zacięły nagle, gdy już, już słowo z nich chciało ulecieć.

— Dlaczego? — napiérając spytała cyganka.

— Dlaczego? — chmurne wejrzenie coraz śmieléj ku niéj podnosząc, odezwał się Tumry, który ją za rękę pochwycił — dlatego może, że i tybyś szła z nami; słyszysz Aza!

— Ja? to i ja ci już wrogiem jestem? — z wymówką zawołała dziewczyna.

— Nie, ale czas ci tu powiedziéć, tybyś mnie jak *Raja* (pana) tego spaliła na węgiel oczyma; ty nie masz serca!

— O! a na cóż ci serce moje?

— Pytasz się, Azo?

— Pytam się, boś pokochał bladą *egaszi*.

Tumry spuścił oczy.

— Tyś w ówczas szalała z *gadziem* także.

— Tak jak dzisiaj — odparła cyganka. — Ale cóż tobie do mnie i mojego serca? Nie chciałeś mnie wprzódy, nie czas już teraz...

— Nie czas! nie czas! — puszczając jéj rękę gwałtownie rzekł cygan — O! ja to wiem. No! ale ja dziś dopiéro za tobą szaleję!

— Oh! oh! doprawdy Tumry? — spytała nieco jednak pomieszana dziewczyna.

— Podła! szydzisz ze mnie jeszcze!

— Nie! mam litość i pytam się tylko.

Cygan spojrzał na nią z pod brwi nawisłéj i umilkł.

Szli tak w milczeniu długą chwilę, ale wśród niego zmieniły się twarze i myśli obojga.

Aza z szyderstwa przeszła w niezwykłe jakieś zadumanie; znać było, że siła ją odstępowała, że uczucie któremu dotąd panowała, brało górę nad postanowieniem: oko się zasłoniło rzęsami i usta zadrżały...

Tumry z obojętności i odrętwienia przeszedł w rozmarzenie, niemal w szał znowu, z jakim biegł niegdyś nocą do obozowiska... Nie tento już był cygan, który wyszedł z chaty nie swój, zmęczony i zesłabły; pierś mu buchała, a oko gorzéć poczynało. Kiedy dwa ich

wzroki znowu się po chwili spotkały niespodzianie z sobą, Aza aż się zlękła tak uczuła się słabą, tak go postrzegła silnym i cofnęła się aż krokiem.

— Idź do chaty — odezwała się głosem drżącym — idź Tumry do chaty; zobaczymy się jeszcze.

— Gdzie? kiedy?

— Nie wiém... nie wiém — spiesznie pragnąc a nie mogąc odejść, poczęła Aza — może dziś, może jutro...

— A ty znów polecisz do dworu...

— Nie! do obozu idę...

— Ale będziesz we dworze? — zagadł Tumry, z pytania robiąc wymówkę.

— Wstydź się — dodał nie dozwalając jéj odpowiedzieć — na co ci ten trup na wpół zgniły! Wiesz, że nie stworzony dla ciebie, a ciągniesz go i zabijasz...

Dziewczyna ruszyła ramionami, oko jéj rozjaśniło się poczynając pałać znowu, usta tchnęły dumą i pogardą.

— A na cóżeśmy stworzeni? — spytała jakby natchniona — na samąż nędzę tylko i tułactwo, na ból i cierpienie. Nie! nie! wiedział wielki *Mroden-oro*, na co nas na świat przysłał! On nas przeznaczył na zgubę, na klęskę, na niszczycieli *gadziów;* i kazał im szkodzić, kazał nam ich zabijać! Każdy z nas robi co umié, spełniając wielki rozkaz *Mroden-oro*, o którym matki mówią nam od dzieciństwa, przypominając co nas czeka. Stare wróżą i straszą wróżbami, chwytają im dzieci, zabijają młode matki a my dziewczęta, musim ich męczyć inaczéj! Ja go zamęczę! zamorzę! ja go wzrokiem zatruję!

Jakiś instynkt zniszczenia i zajadłość tak zawzięta mówiła przez usta dziewczyny, że Tumry aż się jéj przestraszył prawie.

— Mieliżby oni posiąść wszystko, a my nic nie miéć prócz nędzy naszéj? Za co świat podzielili między siebie, i bogactwo, i ziemię, i wodę, i powietrze? Nam też dostać się coś musiało, i myśmy robakiem, co się w ten owoc wpija, co ziarno z niego wyjada! Niech zginie! niech zginie! — dorzuciła z zapałem.

— Niech ginie! — poszepnął Tumry zamyślony — a jednak wiesz Aza — dodał wahając się — mnieby go żal było!

— O! boś ty już nie syn *erumanselów* — przerwała dziewczyna popędliwie — tyś *gadzio* jak oni krwią i sercem, tyś także nasz nieprzyjaciel, kiedy nad niemi masz litość!

— Szalejesz! — rzekł Tumry.

Aza uśmiechnęła się, a z pod warg jéj różowych, białe zęby ścięte, jakby kąsać chciała, błysły dwoma rzędami pereł.

— No! dość tego! dość tego! do chaty niewolniku, do budy przykuty *szukela* (psie), do żony *gadziu*; a ja do swoich!

Tumry chciał się jéj jeszcze spytać, kiedy ją zobaczy, gdzie się z nią spotka znowu; ale dziéwczę odzyskawszy przytomność i władzę nad sobą, poniosło się jak wiatr, i z oczu mu znikło.

Wieczorem Aza znów przeleciała pod chatą Tumrego, i pobiegła do dworu. Co ją tam ciągnęło? czy chciwość, czy ciekawość, czy w istocie ten instynkt zemsty i prześladowania, który chwilami tak silnie się w jéj sercu odzywał? Któż powié...

Pan Adam zawsze ją witał jednakowo słaby, rozdrażniony jednakowo pragnieniem; ale od dnia pierwszego nic na niéj wymódz nie umiejąc prócz palącego pocałunku, poczynał już, zwłaszcza gdy jéj nie widział, gdy sam zostawiony był sobie, zżymać się i niecierpliwić.

— Co ona myśli? — mówił gdy go odbiegła i porzuciła sam na sam — zwodzić mnie tak i dręczyć do końca i znów potém odbiédz! Ludzie już nawet śmieją się ze mnie, ja sam niepoznaję siebie; potrzeba to raz skończyć, i albo zatrzymać ją tutaj, lub precz zwodnicę, osmagawszy wypędzić! Dosyć to już tego, dosyć!

I dodając sobie postanowienia, którego nie miał pan Adam, wciąż powtarzał, jakby się chciał przejąć słowami swemi dosyć już tego! dość tego!

Ale gdy śliczna dziewczyna, trochę smutniejsza, niż zwykle, wbiegła do pokoju i zabłysła w téj czarnéj pustce twarzą pełną życia i ognia, oczyma palącemi jak zwierzęcia dzikiego ślépie; pan Adam zapomniawszy na najuroczystsze dane sobie słowo, cały się rozpłynął w rozpamiętywaniu jéj wdzięków.

Aza nie rzekłszy słowa do niego, rzuciła się na miękkie posłanie, podkurczyła nóżki pod siebie, jak by siedziała na ziemi, głowę wsparła na poduszkach i wlepiwszy oczy w sufit, pozostała tak długi czas zamyślona.

To dozwoliło panu Adamowi nieco się znów podsilić i przypomnieć sobie pierwsze postanowienie.

— Azo! — rzekł surowiéj podchodząc ku niéj — no! cóż będzie z nami; raz to potrzeba skończyć.

Ale cyganka głowy nawet nie odwróciwszy, wciąż zapatrzona w górę, pewna swéj siły, odpowiedziała obojętnie:

— No! mówże, rada posłyszę, jak się to skończyć powinno?

— Jak chcesz, byleby się skończyło — odparł, udając stanowczą wolę pan Adam. — Mam już dosyć twoich zwodnictw i twego szyderstwa; cyganie niech daléj idą, a ty zostań się ze mną, lub i ty i cyganie precz!

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, tak drżąco i niewyraźnie, jakby się lękał sam ich usłyszéć, i urwał niedokończywszy.

— Cha! cha! cha! — rozśmiała się szalona dziewczyna, wciąż w sufit patrząc do góry — a gdy cyganie pójdą i ja z cyganami, co ty tu lepszego poczniesz? O! powiedz mi proszę! Będziesz ziewał, nudził się, przebierał w brudnych wieśniaczkach, kupował sobie blade mieszczanki; może w ostatku ożenisz się raz drugi, i drugi raz cię zwiodą...

Wspomnienie to zawsze przykre dla pana Adama i niecierpliwiące nadewszystko, było jedynym może sposobem rozdrażnienia go. Chwycił się z krzesła strasznie błyskając oczyma.

— Cicho żmijo! — krzyknął, wpadając w uniesienie gwałtowne.

— A! a! — patrzajcie! zebrał się na gniéw! — zimno poczęła cyganka.

Ta obojętna odpowiedź jeszcze bardziéj podżegnęła bezsilnego.

— Jeszcze słowo, — rzekł, — a...

— A co? — zapytała Aza.

Pan Adam zatrząsł się od gniewu i chwycił się aż za włosy; nie mógł już nic wymówić, taka nim miotała zajadłość chorobliwa. Potajemnym rzutem oka zmierzyła dziewczyna jego passyę i niebezpieczeństwo na jakie się narażała, jeźli jéj niepohamuje, bo wiedziała już jakim był pan Adam, gdy nagle z apatyi codziennéj wpadł w szał niecierpliwości; powstała więc powoli z uśmiechem, i nic już nie mówiąc, wlepiła weń dwoje oczu czarnych, w które z siebie sączyła jady i uroki.

Nie mógł się im oprzéć pan Adam, bo go ścigały wszędzie i pociągały jakąś niepojęta siłą; chciał wytrwać w gniewie pérzył się i nasrażał, a czuł jak się to rozpryskiwało i uchodziło; nareszcie zwyciężony, rzucił się na krzesło w posępném milczeniu. Cyganka nie mogła pozwolić, by ją tak rychło wygnano ze Stawiska.

— O! nie — powiedziała sobie w duchu — nie czas mi odejść jeszcze: wprzódy Tumrego opętać i pociągnąć za sobą muszę. Pójdę kiedy zechcę, nie wypędzona sromotnie, ale odwoływana ze łzami. Czekaj *Raju!* zapłacisz mi to we troje, zapłacisz za dzisiejsze!

Twarz jéj tymczasem rozjaśniała się smętnie.

— A! niewdzięczny! — zawołała — za to, żem do niego powróciła, on mnie jeszcze łaje i męczy!

I uśmiéch tak łagodny wykwitł na jéj usteczkach, stała się tak zadumaną, powolną, tak jakoś nieszczęśliwą i strapioną; że pan Adam rozstrojony zupełnie przypadł do niéj na klęczkach.

— A! daruj mi, przebacz, nie gniewaj się i nie płacz! Ja tyle ucierpiałem od ciebie, głowa mi się zawraca! Powiedz przecie raz co myślisz? Kochasz mnie, czy nie? będziesz, czy nie chcesz być moją?

Aza potrząsła głową.

— Czyją ja będę, to na całe życie; a kiedy się kto ma zaprzedać sam w niewolę, musi dobrze pomyśléć i serca zapytać. Nie! nie! ja ci tak prędko przyrzec nie mogę. A! widzisz, żem tu wróciła!

— Więc kochasz mnie? — spytał przechodząc nagle do rozczulenia pan Adam, i biorąc rękę, którą mu opuściła cyganka.

— Alboż ja wiém? — odpowiedziała, kogo kocham, i czy kocham, i czy kiedy kochać będę? Moje serce spi jeszcze, a kto je rozbudzi, ten posiędzie. Probujcie!!

— Ale moje? — rzekł pan Adam.

— Twoje niech cierpi i niech czeka!

— To dziw, doprawdy — zrywając się i poczynając przechadzać, mówił sam do siebie pan Adam — zkąd się to proste dziéwczę mogło tego wszystkiego nauczyć: i słów tych, i myśli i téj sztuki zalotnéj, którą lepiéj od naszych pań umie? Wyraźnie robi sobie ze mnie zabawkę!

Zapobiegając przewidzianemu buntowi, Aza, któréj się przechadzka pana Adama po pokoju niepodobała, pragnąc go silniéj znów ku sobie przyciągnąć i wybić mu z głowy niewczesne zamiary, z któremi się wymówił zrazu; skinęła nań i chwyciła. Wiedziała czém go ukołysać, czém ująć i przynęcić; uczyniła się piękną, ponętną, zamyśloną, i posadziła niewolnika u boku swego, dając mu oko, ręce, a głowę niedbale skłaniając na jego ramie.

I czarodziejka zawładła nim znowu z łatwością, a pan Adam zapomniał, że przed chwilą srożył się na nią i wypędzał.

Tak mu było rozkosznie z tą główką zbliżoną do ust jego i spoczywającą przy piersi, w atmosferze jéj oddechu i wejrzenia... Zamilkli oboje.

A w téj chwili, dwoje strasznych oczu czarnych przez gałęzie bzu i szyby okna wkradły się do przyciemnionego pokoju, i poczęły w nim zapalczywie szukać, na kimby spoczęły.

Dziewczyna jakby ich ukłucie poczuła nad sobą, wstrzęsła się i poruszyła, nie wiedząc sama co ją zbudziło śród gnuśnego jakiegoś marzenia; zerwała się, ale już było zapóźno!

Tumry, który śledząc jéj kroki przybiegł za nią do dworu, szpiegując ją i Adama, zobaczył ich oboje w niemym spoczywających uścisku, i ściskając pięście odskoczył od okna zajadły.

— A! — zawołał — zabiję ich oboje! zabiję, podpalę dwór, puszczę w popiół wioskę całą... niech giną! Ta nędznica zwodzi mnie, zwodzi jego, radaby męczyć świat wszystek! Za co ten człowiek ma ją sobie przywłaszczać? za co on tak szczęśliwy? ja tak nędzny, za co ci gadziowie miéć mają nawet z naszego dobra najlepszy kąsek! Przeklęci!

Mówił a patrzał, choć obraz który miał przed oczyma, palił go zemstą i boleścią: i nasycał się nim, oderwać niemogąc od widoku burzącego mu piersi. Aza tymczasem podniosłszy głowę, spuściła ją znowu na ramie obłąkanego Adama.

Dumali tak we dwoje, i z ust cyganki naprzód ledwie dosłyszana, cicha, wyrwała się piosenka lat jéj młodych, dobrze znajoma Tumremu, budząca w nim wspomnień tysiące. Powoli wysnuta z ust i piersi: ożywiać się poczęła, stawała coraz głośniejszą, coraz weselszą, nową męczarnią karmiąc cygana. Bolał a oderwać się nie mógł; niewyraźne słowa, które sam tylko rozumiał, pełne ognia i namiętności rozpasanéj, chwytał uchem, połykał z oddechem, bojąc się stracić jednego.

Czegoż-bo tam nie było w téj dziko-tęsknéj a miłosnéj do szału pieśni cygańskiéj!!

Tumry przypomniał sobie wszystkie miejsca, gdzie kiedy w życiu ją słyszał; całą swoją dolę od kolebki, i cierpienia młodości, i losy swoje i Azy, która pod okiem jego rosła z dziecięcia w dziéweczkę, dziewicę, w czarodziejkę!

I zapomniawszy gniewu na jednę chwilę przelotną! zadumał się, zkąd mu przyszła ta niespodziana miłość, któréj wprzódy nie czuł w sobie ani zarodka; z czego się urodziły tęsknice za żywotem niedawno dlań przeklętym i nienawistnym, i jak się mógł zmienić tak bardzo, by tak strasznie nieszczęśliwym zostać???

— A! to są chyba czary — rzekł wzdychając — to urok rzucony na nieszczęście i zgubę moją, to zemsta romów. Wleli w jéj oczy jad, żeby z nich spłynął w serce moje! Chcą zatracić mnie, i żonę, i dziécię moje, nasyłając na nas obłędy, tęsknice i głupie pragnienie! Aza powoli zabije mnie jak wąż wzrokiem; nie żyłaby prawdziwa krew cygańska, gdyby czegokolwiek od kogo nie kradła!

— Powrócę do chaty! — zawołał odwracając oczy. — Ale w tém nowa zwrotka pieśni przedłużającéj się jeszcze, doszła do jego ucha, i zastanowił się Tumry.

Jak we śnie ciągnęły przed nim mary poczepiane do słów piosenki, i głębiéj coraz a głębiéj cofał się, za niemi do dni dzieciństwa, spieczoną głowę w dygoczących ściskając dłoniach...

— O! przeklęta! przeklęta! — wołał — ona czuć musi i wiedzieć, że ja tu jestem, że jéj słucham, i pieśnią przykuwa mnie do siebie, trzyma, a serce wydziera! Pójdę! — I począł uciekać, ale drżały pod nim nogi, i na siłę przemagając urok, który go trzymał u okna, powlókł się do swojéj chaty.

Tu pusto było i smutno jak zawsze, ale stara Jaga wróciła była do obozu, i Motruna ściągnęła się z łóżka z dzieckiem u piersi, rozpoczynając drugą część życia, którego piérwszéj chciała zapomnieć. Stała się już matką tylko i żyła dla téj dziéweczki, która w snach powicia nie wiedziała jeszcze, na jaką przyszła w świat nędzę.

Zaledwie wstawszy na nogi, potrzeba było Motrunie znowu począć myśléć o chacie, o dziecku, o mężu który codzień bezczynniejszy, bezwładniejszy, mniéj jéj dopomagał, całe dni trawiąc przyrosły do ławy i jakby napół senny.

Jeszcze chora, poniosła naprzód dziecinę do chrztu, a nie było jéj komu za kumów posłużyć i dwoje dziadów musiał ksiądz wezwać prawie siłą do tego obrządku, bo nikt z dobréj woli kumać się nie chciał z cyganichą.

Z niemowlęciem u piersi, biédna Motruna powlokła się potém pod drzwi ojcowskiéj stodoły, spodziéwając się tam znaleźć może młodszego brata. Szczęściem dla niéj, wychodził właśnie z kulem słomy na plecach; gdy mu zastąpiła drogę.

— O! Filipie braciszku — zawołała, chwytając go za świtę — zaczekaj chwilę, niech choć twój głos usłyszę.

Filip się uląkł siostry, ale zatrzymał.

— Czego ty chcesz? — spytał.

Motruna poczęła od płaczu, za którym ledwie przemówić mogła.

— Patrz — rzekła nakoniec — miejcie litość, kiedy nie nademną, to nad moją dzieciną. Nie mamy już co jeść w chacie. Tumry opuścił ręce, jakby go na śmierć prowadzili, do niczego się nie bierze. Jeszcze na biédę cyganie przyszli i głowę mu zawracają; pełna ich chata! Ja się tak boję, a on ani zważa.

— A cóż ja ci na to poradzę? — spytał Filip.

— Dajcie co choć dla dziecka! Ja głodna, i ono się nie pożywi odemnie; gdyby choć mléka kropelkę, gdyby choć co dzień kawałek chleba!

Filipowi łzy zakręciły się pod powieką, jakoś mu serce zastukało w piersi, i zawołał nienamyślając się długo:

— No! chodź za mną!

Skwapliwie rzuciła się za nim Motruna, z trochą słabéj nadziei. Filip dźwigając słomę, wprost zmierzał ku chacie, a posłyszawszy siekierę Maxyma, ładującego wóz pod klecią, zrzucił kul z ramion, i skinął na siostrę, by szła z nim razem.

Zdawało mu się, że dość było biédną Motrunę pokazać bratu, żeby w nim litość obudzić. W istocie nie byłoto już owe śliczne, hoże, rumiane dziéwczę, o które wszyscy parobcy we wsi rozbijać się myśleli; zwiędła, blada, schorowana i zamęczona, starą się stała przedwcześnie, a ślady wdzięku i młodości starły cierpienia do szczętu, wyniosło z sobą znużenie.

Gdy Maxym podniósł głowę na głos Filipa i zobaczył siostrę, nie poznał jéj zrazu, tak straszliwie ujrzał ją inną. Ona przybliżyła się do niego, ukazując dziecinę zapłakaną, i słowa powiedzieć nie mogąc do nóg mu padła. Maksym odstąpił kilka kroków.

— Po co ty tu? — zapytał, dodając sobie gniewu, którego nie miał, bo go złamał widok téj nędzy.

— Żebyś zobaczył, coście z nas zrobili — odparła Motruna.

— My? — rzekł jąkając się Maxym — nie my, ale wy sami? A pocóż się było sprzeciwiać woli ojca? Pan Bóg cię skarał Motruno!

— A! czyż już kary nie dosyć?

Maksym cały był pomieszany; widać było, że sam nie wiedział jak sobie poradzić i szukał sposobu, by się z tego przykrego położenia wywikłać.

— Ratujcież mnie choć teraz — odezwała się Motruna — jeźli nie czém inném, to chleba kawałkiem, bo i tego nie mam...

— Chleba już nie nadawać — odpowiedział Maksym, a i u nas go nie ma nadto: rok był nieomłotny, a u nas semia duża; ledwie do nowego wystarczy. Na co się wam upiérać i tu koniecznie siedzieć, kiedy gdzieindziéj zapracować możecie?

— A chata? a sadyba? — spytała siostra — a tyle naszego harowania koło niéj? Zresztą mój bracie, jak mnie tam pójść w świat za nim?

Nie chciała powiedzieć biédna, że go się codzień więcéj lękała: tak się jéj zmienił, tak zdziczał, tak zcyganiał.

— Filipie — rzekł Maxym — dajcie jéj miarkę żyta; tylko żeby żonka nie widziała, bo i u nas niewiele, a gęb dosyć... Idźże już Motruno!

— I tak mnie odprawiasz, bracie?

— No! no! — dorzucił Maxym — bylebyś się cygana pozbyła, choćby poszedł do licha, byłaby może jaka rada;... ale z cyganem my nigdy nie będziemy miéć drużby, to darmo! Ojciec przykazał, gromada postanowiła, pan prosił i naglił, a nie ustąpiliśmy, to i nie ustąpimy!

Jakkolwiek Maxym nic nie obiecywał, sama zmiana mowy jego zapowiadała, że się wahał i chciałby coś zrobić dla siostry; nie nalegając więc, odeszła Motruna spokojniejsza po żyto, myśląc przyjść późniéj i zostawując je umyślnie, żeby po nie do chaty i braci drugi raz zajrzeć miała prawo.

Na drodze spotkała się z Jankiem, który kulawego i upartego wołu pędził powoli ku zagrodzie.

— A z kądżeto Motruno? — zapytał przyjaciel — i dokąd to kochanie idziecie?

— O! jak my ciebie dawno, poczciwy Janku nie widzieli — weseléj odezwała się kobiéta!

— Nie mam ja tam poco chodzić do was — bez ogródek odparł chłopak. — Myślałem z początku że to co poczciwego ten twój cygan, a to taki szelma jak i drudzy... Żebym był tobą porzuciłbym do licha niewiarę, niechby sobie wędrował ze swojemi, albobym poszedł i niewrócił, bo nie ma po co...

Motruna cała drżąca stanęła.

— Cóż on zrobił? — spytała — ja nic nie wiem?

— Dobra z ciebie kobiéta żeś ślepa; chciałbym i ja wziąć zkąd taką żonę! A toć ten łajdak za cygankami lata jak parobek, domu nie pilnuje, a co mógłby do Rudni pójść na zarobek, to się to włóczy po polach, albo w chacie drzémie. Już ja tam do was i nie zajrzę, bom zły; bywaj mi zdrowa Motruno!

To mówiąc podniósł gałąź na wołu, który się paść zaczął, podpędził go i poszedł daléj.

Powierzchu patrząc na życie, jak potężne w niém różnice, jak wielkie stopniowanie losów w różnych klassach społeczności, a w miarę ich wykształcenia i obyczajów, jak pozornie odmienne uczucia zajęcia namiętności. Ale wewnątrz odarłszy z szat misternie narzuconych czynności i sprężyny ruchów, jak dziwnie na jedno bolejem wszyscy; płaczem, radujem się i umieramy jednakowo! Też same tu i tam choroby serca, też boleści duszy i ułomności natury, te same nadzieje i zawody... W ich objawieniu się na zewnątrz cała różność tylko; w głębi, człowiek człowiekiem wszędzie, i dlatego na najniższym szczeblu społeczeństwa prawdziwszy tylko, dobitniejszy, ale ten sam znajdziemy obraz co w górze. Pozmieniane nazwiska, pochrzczone przystojniéj czynności, poprzybierane namiętności wstydliwe; ale je poznasz po skutkach — wszędzie toż samo i toż samo.

W chacie wieśniaczéj tylko mniéj komedyi, na którą nie ma czasu, lub komedya odegrana nieuczono, instynktowie, jak owe włoskie improwizacye sceniczne: a w pałacach sceny dłuższe, rozwiązania mniéj burzliwe, choć czynność ta sama.

Rzadziéj wprawdzie pod strzechą słomianą rodzą się gwałtowniejsze uczucia; ale raz powstawszy śmieléj i rączéj idą do celu, niż tam, gdzie wszystko przywykło ukrywać się i maskować.

W chacie Tumrego nie było pokoju, nie było marzonego niegdyś szczęścia; już przed przybyciem cyganów wygnały je wspomnienia, zawsze następujące po nagłéj a zupełnéj życia zmianie, w którą człek rzuca się nieuważnie, a odpokutować musi żalami i tęsknotą. Serce Motruny od narodzenia dziecięcia do niego należało wyłącznie, a Tumry zobojętniony, ostygły, ku sobie już go nawrócić nie mógł. Motruna domyślała się przywiązania jego do Azy, o którém i stara Jaga jéj plotła nieuważnie; ale nadto była hardą, żeby ze słowem wymówki odezwać się miała. Boleść swoją zamknęła w sobie, i cała poświęciła się dziecku, wyrzekłszy się innéj przyszłości, przewidując zawczasu, że ten, dla którego wycierpiała tyle, porzucić ją musi i stać się niewiernym.

To poddanie się losowi, Motruna winna była instynktowemu wyłącznemu przywiązaniu do dziecięcia, w którém potrafiła zamknąć życie całe.

Tumry téż od téj nocy, w któréj powstał z łoża nieprzytomny, ścigając obóz cygański, tak był obojętny, tak zimny, tak dziwnie zmieniony, że próżném się zdawało chciéć go dawnemu i czynnemu życiu przywrócić. Jak gdyby wysiłek pracy go zmógł, jakby upadł na sił ostatku, błąkał się bezczynny, zdziczały; nie widząc nic wokoło siebie, nie słysząc ani śpiewu matki nad kołyską, ani płaczu dziecięcia. Nigdy z troską ojca nie pochyliło się czoło jego nad niemowlęciem, na które roztargnioném patrzał okiem; krzyk jego budził go czasem, ale do serca nie dochodził.

Motruna więc choć niby nieopuszczona przez niego, w istocie sama była na świecie; a słowo litości starszego brata, wątłą, jedyną dla niéj zostało podporą.

Cygan to chmurny siedział na ławie, to latał całemi dniami szpiegując Azę, klnąc ją, ale szukając czarownicy.

Ostatniego dnia, gdy przytulony do szyby zobaczył ją z głową zwieszoną na ramie Adama, gdy pieśń stara cygańska rozkołysała nim do reszty; nie miał już siły powrócić nawet do domu, choć go tam wołało sumienie. Poszedł do chaty, odetchnął jéj ciężkiém powietrzem, i wybiegł w pole jak pies oszalały, kręcąc się bez celu, i nogi go same powiodły pod obóz cyganów.

Gromadka *Romów*, pod nowém panowaniem Puzy, wystawiała jeszcze większego nieładu obraz, niż przedtém; a Aprasz, dawny jéj dowódzca, z uśmiechem szyderstwa spoglądał na to, co się tu działo. Ale i on także zmienił się do niepoznania w krótkim przeciągu czasu. Zdawał się zgadzać ze swoim losem i spodziewać czegoś od przyszłości razem; posługiwał milcząc tym, którzy go wczoraj słuchali ze drżeniem, i niekiedy tylko błysk oka, ruch ust zdradzał niewygasłe uczucie dumy, lub zemsty pragnienie. Pod namiotem niebyło ruchu jak dawniéj; miech leżał wywrócony, kowadło było na wozie, narzędzia kowalskie na kupę zwalone; nikt nic nie robił prócz Aprasza i kilku starych bab, krzątających się dość leniwie i kłótliwie koło kociołka. Wszystkiego dostarczano ze dworu, a ufne w opiekę Azy stare cyganki, dokazywały po wiosce, wydzierając co mogły i panosząc się łatwowiernością ludu, z którego się śmiały.

Puza jako nowy pan, nadużywał swéj władzy i swobody świeżo zdobytéj, całe dni nękając Aprasza, lub z fajką w zębach spędzając je u ogniska na drzémaniu.

Gnuśny spoczynek podobał mu się i całéj bandzie, a dzieci nawet korzystały z niego, bezkarnie plądrując po okolicy. Aza, która rzadko i na krótko zaglądała do obozu, nie postrzegła co się tam w nim działo: ale codzień widoczniejszém było, że w krótce zabraknie Aprasza, i Puza nie potrafi rządów w nieprzywykłéj trzymać dłoni.

Tumry przywlókłszy się pod obozowisko, zastanowił się przy *werdenie* (wozie), pod którym na gołéj ziemi, sparty na żylastém ręku, leżał samotnie opodal od drugich stary Aprasz. Spojrzał na niego spotkały się ich oczy, ale oba byli zarówno nieszczęśliwi: i dawna ich nieprzyjaźń zagasła w sercach, przybita nowemi silniejszemi wzruszeniami.

W wejrzeniu ich nie było gniewu i nienawiści. Stary cygan zobaczył na twarzy Tumrego tak wyraźne ślady znękania i rozpaczy, dochodzącéj prawie do obłąkania, że się uczuł dość za dawne przewinienia pomszczonym; a Tumry widząc upokorzonego *dados*, w najgorszém miejscu na gołéj leżącego ziemi, nie miał już serca więcéj mu najgrawać się.

— Ha! — rzekł z cicha uśmiechając się Aprasz — zabłąkałeś się tu znowu, trudno ci już usiedzieć w chacie!

— Nie lepiéj tobie w obozie! — odparł Tumry.

— A kto wié? — rzekł *dados* — tybyś się może jeszcze na moją biédę pomieniał.

— A ty na moją? — spytał młodszy cygan.

— O! nie! — odrzekł dumnie trzęsąc głową dowódzca — jam jeszcze dziś swobodniejszy od ciebie! Chciała ta *byńk'a ciaj*, chciała gromada, żeby Puza dowodził: niech poprobują, zobaczymy co będzie daléj. Męczą mnie jak mogą, alem ja do pracy przywykł; łają, ale ich nie słucham i śmieję się. Cóż mi tak złego zrobili?

— Jakto? nie przeklinasz swojéj doli? — spytał Tumry.

— Na co tu kląć, gdzie potrzeba cierpiéć! *Bukelisom* mi nie dokucza (głód), *piri* (garnek) co rana i wieczora przy ogniu, a pełen; nie jednoż mi wodę nosić i drwa rąbać lub kuć młotem!

— Ale ich słuchać!?

— Prawda — począł stary cygan — temu co rozkazywał całe życie, słuchać zrazu nie lekko; ale jakoś i tego nauczyć się można.

Tumry westchnął.

— A stracić nadzieję, kiedy się ją miało, jak ty coś Azę w ręku trzymał?

— *Egaszi* jest tak *gweka* (kobieta jest jak wąż) — odparł Aprasz powoli — któż ją kiedy miał w ręku? Trzymasz; aniś się opatrzył jak ci się wyśliźnie i ukąsi.

— Chybaś jéj nie kochał, stary?

— A tyś ją podobno pokochał zapóźno — szydząc odparł zmęczony dowódzca. — Dla mnie to była nie piérwsza miłość; tyś się na swojéj nie poznał, ja tę chorobę nieraz już przebolałem; ty dopiéro na nią chorować zacząłeś. O! o! nie zazdroszczę ci, bo jeźliś ją pokochał, to ci zaleje za skórę.

— To szatan kobieta! (*Bynk egaszi*) — zamyślony odparł Tumry — któż wié co ona myśli, kto wié kogo kocha, kto powié co zrobi jutro!?

— Jak kobieta — rzekł Aprasz zimno — a któraż z nich inna? — Czy *Ranni*, czy *gdzia* (cyganka, czy obca), wszystkie one jednakowe, jednéj matki córki...

— Nie, takiéj jeszcze na świecie nie było!

Aprasz przewrócił się na drugi bok i rozśmiał się głośno.

— Lata do obozu, lata do dworu, wabi kogo spotka, nęci każdego, a z kamienia sama.

— Zachciałeś: młodość w niéj szaleje! Jabym jéj to wszystko darował, gdyby tylko chciała być moją!!

W tych słowach przemawiało samolubstwo starości, która się spodlić gotowa, by jeszcze użyć choć trochę. Tumry porwał się oburzony, nie pojmując tego uczucia.

— Ja! jabym ją za to zabił, gdyby moją była!

— Toś ty widzę naprawdę dla niéj oszalał, Tumry! Dobrze ci tak! — rzekł Aprasz.

Cygan umilkł.

— Z kolei — dołożył szydząc Aprasz — może kiedy będzie i twoją, gdy jéj panicze nie zechcą, a przyjdzie do głowy przytulić się do cygana i zagrzać się przy czarnéj jego piersi.

— Nie! nigdy! — gwałtownie przerwał młody cygan — bo gdyby potém uśmiechnęła się tylko innemu, tobym ją jak psa zabił!

— Gdybyś jak ja miał z górą pięć lat dziesiątków — powoli odpowiedział Aprasz, przeżuwając liść tytuniu — inaczeéjbyś patrzał na te rzeczy. Nie widziałeś Azy po wyjściu ze Stawiska i twojéj ucieczce, to nie wiész jeszcze, jaki to szatan dziewczyna! Nie policzyć ilu chłopcom sprzedawała pocałunki i uśmiechy po drodze, ilu ich wlokła za sobą i jak im przewracała głowy. Nieraz i mnie staremu zazdrość poczynała gryźć serce spróchniałe; alem sobie mówił zaraz: byleby moją była, darowałbym jéj to wszystko! Bo w istocie ten szatan zwodzi tylko żeby męczyć, ale nie da się wziąć nikomu. Zdaje się, że szalenica jak jeść, pić i oddychać, tak zwodzić, męczyć i drażnić potrzebuje; łapałem ją nieraz jak poczwarnego Puzę i prostych chłopów czarowała oczyma, żeby tylko nie próżnować, a potém, potém na całe gardło się z nich śmiała!

Tumry potarł kroplami potu zroszone czoło.

— Więc jéj na chwilę wierzyć nie można?

— Wierz jéj gdy zła, ale gdy ci oczyma powiada o sercu swojém, ustami zaręcza że kocha: — pluń jéj w twarz jak kłamcy, bo kłamie!

Cygan wstał z ziemi i westchnął, a Aprasz z pod wozu spojrzał tylko za odchodzącym, i tak się rozstali milczący.

Znowu błędnym krokiem wlókł się Tumry bez drogi, stając, zatrzymując się, biegnąc jak szalony...

— Ha! — wołał sam do siebie — nie ma co myśléć dłużéj: potrzeba skończyć, kiedy tak żyć ciężko.. Widziałem jéj głowę na piersi tego zgniłego trupa, i nie chcę nic widziéć więcéj. Ani mi powrócić do cyganów braci, ani żyć z *gadziami*, którzy jak psa odpychają. Ot! stryczek na szyję i *Bynk'u* oddać duszę...

Myśl ta, która już nieraz przeleciała mu przez głowę, teraz w niéj silniéj niż kiedy uwięzła. A życie stało się dlań tak ciężkiém i nieznośném, że daléj dźwigać go nie mógł. Motruny nie kochał, dziécię dlań było obojętne, nędza dojadała, Aza zdradziła; na jutro nic nie zostało, prócz śmierci.

I lżéj mu się zrobiło po tém postanowieniu, jak człowiekowi, który płynąc po długiéj burzy na morzu, nareszcie choć brzeg skały zobaczył.

Uśmiechnął się dziko i schwycił za pas czerwony, który już w myśli za stryczek sobie przeznaczał. Byłto wełniany pas, wysnuty i ufarbowany ręką biednéj Motruny — i żona przyszła mu przezeń na pamięć.

— I jéj téż lżéj będzie, rzekł w duchu: bracia ją przyjmą, dwór i gromada, byle cygana niestało, wykarmią sierot dwoje! I ta nie zapłacze po mnie; na cóż żyć, żeby ludziom ciężyć i sobie!

Obejrzał się po niebie i po świecie, a chmurno jakoś było, i wietrzno, i smutno jak w przeddzień śmierci: w mrokach i we mgłach okolica wydawała się pustą i dziką. Już miał odpiąć pas i sięgał poń szukając okiem gałęzi, choć w około czyste rozciągało się pole, gdy żywy krok dał się słyszéć, i z za pagórka wybiegła pędem lecąc Aza.

Tumry aż odskoczył gdy ją postrzegł, i włos mu się najeżył.

— A ty tu? — zawołała z uśmiechem — chodziłeś widzę do obozu; czyś czekał na mnie?

— Czekałem na ciebie — gorzko odpowiedział cygan — żeby ci w oczy plunąć raz jeszcze, i więcéj nie widzieć!

— Co ci się stało Tumry?

— Nic, tylko byłem pod oknem dworu, kiedyś śpiewała:

„Tłowawa jag...”[4].

— I słuchałeś pieśni? — spytała obojętnie dziewczyna.

— I patrzałem jakeś spoczywała na ramieniu *Raja* Adama...

— Trzebaż było dopatrzéć do końca — z gniewem odpowiedziała Aza — byłbyś widział jakeśmy się rozstali!

— Lub jakeście się zeszli? — spytał cygan z pogardą.

— Tumry, tyś doprawdy oszalał! — tupiąc nogą z gniewem przerwała cyganka.

— Nie, alem się wytrzeźwił — krzyknął Tumry — i myślę skończyć dobrze!

To mówiąc rwał w ręku swój pas czerwony.

— Ale doprawdy głowa ci się zawraca! — poczęła Aza przestraszona rozgorączkowaną twarzą i ponurym wzrokiem Tumrego — co ty myślisz?

— Myślę pójść do lasu i powiesić się — rzekł cygan spokojniéj. — Jak ci się zdaje, wszak dobrze zrobię?

— Dlaczego? dlatego żem się dała uścisnąć temu schorzałemu, staremu dziecku! — odparła kobiéta.

— O! o! nie myślno znowu, żebym się wieszał dla ciebie — przerwał Tumry, wciąż rozwiązując pas, którego rozplątać nie mógł — dość mi i bez tego życie dojadło, a tyś tego niewarta!

Aza stała coraz bardziéj przestraszona, i postrzegłszy, że gniéw nie pomaga, że rozkaz byłby daremny, poskoczyła z namiętnością do cygana; ale Tumry zdala ją odepchnął wzrokiem i ręką.

— Precz gadzino! — rzekł — precz! Idź, sprzedaj się komu chcesz i za co chcesz! Ja nie mam cię kupić za co!

To mówiąc odwrócił się i pobiegł w las, do reszty oszalały i rozmarzony boleścią.

I znowu leciał przez pola, jak niegdyś do obozu cyganów, a nie czuł jak przebiegał przestrzenie, nie słyszał krzyku dziewczyny, która goniła za nim, nie wiedział kiedy ciemna gąszcz lasu go otoczyła; skronią uderzył się o pień dębu i upadł krwią zlany...

Po nad nim szumiał wicher i burza, łamały się gałęzie, przelatywały kruków stada, spędzone zawieją dżdżystą; Tumry w odrętwieniu całą noc tak na mokréj przeleżał ziemi. Dopiéro ranek i świtanie, chłód dnia i znużenie ostateczne, otworzyły mu oczy senne i oprzytomniły nieco. Ale z piérwszym blaskiem zorzy, myśl wczorajsza zakończenia samobójstwem przypiła się znowu wracając do serca.

Chwycił pas czerwony, którego nie puścił z dłoni ściśniętéj konwulsyjnie, i błąkać się począł szukając drzewa, wybierając gałęzie; gdy wtém przyszła mu na pamięć owa

[4] *„Tłowawa jag…”* — początek cygańskiéj pieśni od słów: „Palić ogień.”. [przypis autorski]

opuszczona buda w lesie, którą mu Janek pokazał, i poszedł szukać przeklętego miejsca na czynność przeklętą.

Ale obłąkanemu niełatwo było pokierować się w borze, którego głębi nigdy nie znał dobrze, a teraz znaleźć się w nim całkiem nie umiał. Szedł i powracał, błądził, nużył się do ostatka i byłby może skończył na piérwszéj krzywéj sośnie, gdyby stara chata rozwalona nie pokazała się jakby cudem nagle, wśród gęstych zarośli.

Stanął więc nareszcie u kresu i uśmiechnął się sam do siebie, poczynając szybko szukać miejsca w upadliskach przegniłych staréj budy strażniczéj.

Jedna z belek, na którą pas zarzucić nie było trudno, trwalsza jeszcze od innych, które już zbótwiałe leżały, zdała mu się jakby umyślnie pozostałą dla niego; i nie wahając się więcéj, rozwinął pas czerwony, końcami jego opasując ją zręcznie.

Wtém, gdy stryczek wiąże i rozszerza, a węzeł mocuje, usłyszał dziwny śmiéch za sobą.

Spojrzał przelękły: na pniaku wprost przeciw budy, któréj ściany całkiem się były rozwaliły, i słupy tylko trzymały jeszcze skielet budynku, głupi Janek zasiadł, patrzy i śmieje się.

— Dobry dzień ci cyganie kochanku — zawołał Janek, kłaniając mu się dziurawym kapeluszem słomianym — choć raz przecie rano do roboty wstałeś! A co? jak to dobrze, żem ci miejsce to pokazał, jakby umyślnie na urząd zrobione dla ciebie!

Tumry stanął osłupiały, puszczając z rąk pętlicę.

— Nic! nic! nie przerywam — kończył parobek — nie przeszkadzam, rób swoje: chcę się tylko przypatrzyć, jak się to robi, na przypadek gdyby się to i mnie przytrafiło kiedy. Rób, kochanie, swoje, ja cię pewnie nie oderżnę, nawet kozika nie mam w majątku!

Cygan znów ręką drżącą począł wiązać, rozwiązywać pas, i jakiś go wstyd ogarnął.

— Ja zawsze myślałem cyganku kochanie — mówił daléj powolnie Janek — że ty musisz tak kiedyś skończyć; ale się nie spodziewałem, żebyś to sam sobie przyrządził, i tak pośpiesznego! No! no! to i lepiéj: kończże, kończ, nie bałamuć; ja dopiéro jak dobrze zastygniesz, dam znać do wioski, żeby darmo nie wiedziéć gdzie nie szukali.

— Pójdźże precz Janku — krzyknął cygan — nie najgrawaj się ze mnie w ostatniéj godzinie.

— A któżbyto śmiał z takiego wielkiego pana, co życie ludzkie trzyma w ręku, żartować sobie?? Godziłożby się to? — spytał Janek — Cyganku kochanie, nie sromaj się przedemną, my dawno znajomi: rób swoje!

— Janku, daj mi umrzéć spokojnie! — wyjęknął Tumry.

— Alboż ja przeszkadzam? chowaj Boże! Gdybyś się mnie spytał co masz robić, jabym ci był toż samo poradził! Motrunie, świętéj kobiécie, pewnie lepiéj będzie bez takiego darmozjada; a tobie wygodniéj na stryczku niż w chacie, po któréj głód za tobą chodzi krok w krok jak u siebie...

— Ale ba! — rozśmiał się Janek po chwili milczenia — tyś filut: plączesz, plączesz, a powiesić się nie potrafisz! Jabym ci z serca pomógł, ale powiadają, że za to biéda być może; dawaj sobie sam rady! Nie mądraż to rzecz kulkę zrobić, szyję włożyć, a pod nogi lada pniaka podsunąć — i... —

Tumremu słowa te szumiały tylko w uszach jak szelest leśnych gałęzi; rozumiał tylko, że w nich było urągowisko.

— Ale ty bo cyganku kochanie — kończył zimno Janek — tylko sobie żartujesz i probujesz, a darmo mię zwodzisz! Tyś widzę tchórz i tego nie zrobisz!

Ostatniemi słowy, które doszły do uszu Tumrego, dopełnił miarki parobek. Cygan nie patrząc już na niego, nie słuchając go, żywo założył głowę w stryczek, odrzucił nogą zgniły kawałek belki, na który się spiął sięgając do węzła — i zawisł z okropném miotaniem się w powietrzu.

Parobek ani mrugnął, wstał po chwili, ukłonił się trupowi, i powolnie zwrócił się drogą ku wiosce.

— Dobrze zrobił, — rzekł w duchu do siebie — na co mu było żyć, kiedy i sobie i drugim na nic się nie zdał, zawalidroga! Sprawiedliwy człowiek, osądził się, i sam bez kłopotu wyprawił duszę do piekła! Motrunie i sierocie lepiéj będzie, a cygana niewiary nie pożałuje nikt... prócz mnie może. Nie zły byłby człowiek, gdyby się cyganem nie urodził, bo jak chatę budował, to było na co patrzéć; i gdyby go ta szatanica z czarnemi oczkami do reszty nie zbałamuciła kto wié!!...

— Ale pod koniec ja sam miałem ochotę zarzucić mu stryczek na szyję, bo żonę zamęczał: ni wprzód ni nazad z takim bestyą, a tak ot! i koniec. Wdowa! albo się kto z nią ożeni, albo sobie i tak da radę!

To mówiąc Janek narzucił na plecy trochę gałęzi, które był wprzód przysposobił, i śpiéwając coś pod nosem, spokojnie, powolnie powlókł się do domu.

Późno już w noc Motruna siedziała w chacie przy ognisku, kołysząc dziecinę w zawieszonym od pułapu koszyku, który dla niéj zawczasu przygotował głupi Janek. Smętna jakaś śpiewka lat młodych zabłąkała się na jéj usta dla uśpienia niemowlęcia; ale myśl daleko była od pieśni!

Cały dzień prawie nie widziała Tumrego i niepokój poczynał ją chwytać za serce; choć teraz od przybycia cyganów, codzień mniéj, codzień rzadziéj przebywał on w chacie. Zwykł był jednak zawsze choć na noc do lepianki swéj powracać, a słowa czasem nie przemawiając do żony, zasypiał przynajmniéj na ławie, i Motruna słyszała go stękającego w snach burzliwych.

Pora powrotu zwykłego do domu dawno była przeszła, na dworze wył wicher ostry, burza jesienna trzęsła kruchą lepianką, a biédna kobiéta coraz troskliwiéj otulając dziecinę, podsycając ogień, nastawiała ucha, czy w pośród szumu nie usłyszy skrzypu drzwi od sieni i stąpania na dworze.

Ale napróżno czekała, przysłuchiwała się, drżała, bo nikt nie przyszedł do chaty pod cmentarzem, i pomyślała wreszcie, że Tumry zanocować musiał z cyganami. Gdy dziécię usnęło, ona nie kładąc się zdrzémnęła także u ognia i kołyski. Sen to był jednak ciągle przerywany niepokojem; najmniejszy szelest przebudzał ją co chwila, i gorączkowém drzémaniem do zarania się męczyła. Spodziewała się jeszcze, że Tumry powróci nadedniem: oczekiwała go, wychodziła wyglądać, a nie było i nie było.

Słońce weszło i podniosło się wysoko. Motruna uwijała się z dzieciną i ogniskiem, ale co chwila odskakiwała od nich do okienka, przez którego szyby mało co jéj widać było, to do drzwi, przez których szparę pusta droga wyglądała tylko. Niepokój jéj poczynał dochodzić do najwyższego stopnia.

— Miałżeby już nigdy nie wrócić? — mówiła łamiąc ręce — mieliby go całkiem pochwycić i uprowadzić z sobą cyganie? Mógłżeby on mnie bezsilną, samą z dzieckiem porzucić na zawsze? A! to niepodobna! On chyba zachorował, legł gdzie w polu; może mu się co stało! Po trzebaby posłać, szukać; ale kogo prosić o to?

Przyszedł jéj zaraz na myśl głupi Janek, i byłaby pobiegła do niego, gdyby wiedziała gdzie go znaleźć. Wziąwszy nareszcie swój drogi ciężar na ręce, już się wybierała z chaty, kiedy w progu samym z starą się Jagą spotkała.

Nawet cygance rada była wśród tego niepokoju, i powitała ją szybkiém pytaniem:

— A! nie wiecie tam! nie wiecie wy co się z nim stało?

Cyganicha ruszyła ramionami, i zbliżyła się tajemniczo do ucha kobiety.

— Wczoraj wieczór był u nas... był... ale jak szalony... Widzieli go potém latającego po polach... Aza mi powiedziała, że ją złajał, zbezcześcił za jakieś głupstwo, i odgrażał się, że sobie co złego zrobi.

— Ach! — krzyknęła Motruna, w któréj sercu odezwało się dawne przywiązanie, — biegnijmy go szukać.

Dalibyście pokój — wstrzymując ją za rękę odezwała się Jaga — to darmo! Co się miało stać, to się już stało, bo od wczorajszego wieczora do południa wiele wody upłynęło? Lepiéj się przygotujcie zawczasu do płaczu, bo pewnie musiał sobie życie odebrać!

Jaga tak zimno i bezlitośnie wymówiła te słowa, że Motruna aż krzyknęła uderzona niemi.

— O ja nieszczęśliwa! ja nieszczęśliwa!!

— No! a cóż robić? — zimno poczęła baba. — Ot, jeszcześ młoda, radę sobie dasz i drugiego znajdziesz! Aby młodość!

Pociecha również była przerażająca jak domysł staréj cyganki; ale spojrzawszy na ten wyschły skielet, trudno się było po niéj czego innego spodziewać.

— Ja muszę leciéć, pytać, szukać: może się błąka — zawołała Motruna: — i z dzieckiem na ręku, odepchnąwszy Jagę, która je tymczasem wziąć się podejmowała, puściła się drogą po nad cmentarzem, nie wiedząc dokąd bieży.

Cyganka nie goniła za nią! a ledwie straciwszy z oczu kobiétę, wśliznęła się zaraz do chaty jak wąż, by ją w niebytności gospodyni splondrować. Motruna, którą ścieżka powiodła ku cygańskiemu obozowi, wahała się co ma począć z sobą; ale pomyślawszy potém, że od cyganów coś się dowiedzieć może, i że oni jedni zechcą jéj dopomódz; skierowała się ku ich namiotowi.

Biedne jéj dziecko rozkołysane biegiem matki, która porzucić go nie mogła, poczęło płakać w drodze, ale cisnąc je tylko do piersi, już się dlań nie zastanowiła Motruna. Nareszcie zobaczyła ognisko cygańskie i spotkała Aprasza niosącego wodę w dwóch wiadrach blaszanych.

— Nie widzieliście Tumrego? — spytała zdyszana.

— Tumry — przyglądając się wynędzniałéj kobiecie, rzekł Aprasz. — A! to twój mąż być musi; był on tu wczoraj wieczorem. Cóż? nie powrócił do chaty?

— Nie było go, nie było! — jęcząc odpowiedziała kobiéta.

— To może go już nie być i nigdy! — zimno, idąc daléj, odparł cygan.

Motruna schwyciła tę okropną wróżbę i wiła się w miejscu, nie wiedząc co począć, gdyż Aprasza prosić o pomoc nie śmiała. Zwróciła się znów do wsi, przypomniawszy Janka; gdy na wierzchołku wzgórza otaczającego dolinę, zjawiła się blada, z rozognionym wzrokiem Aza.

Dwie kobiéty zmierzyły się oczyma, i instynktem wzajemnéj nienawiści poznały. Przybycie Motruny do obozu nadto było znaczące po wczorajszém spotkaniu cygana z dziewczyną, żeby ją uderzyć nie miało.

— Cóż się stało Tumremu? — zawołała Aza żywo podbiegając ku kobiécie.

— A tobie co do niego! — gniewnie odpowiedziała Motruna.

— Mnie!! — uśmiechając się gorzko odrzekła cyganka — chyba nie wiész kto ja jestem?

— O! poznaję cię! — szydersko, może raz piérwszy w życiu odezwała się kobieta — tyś Aza.

— Tak, Aza jestem; ale gdzież Tumry? gdzie? co się z nim stało? Mów kobieto a prędzéj!

— Ty lepiéj zapewne wiész o nim odemnie! — cofając się zawołała Motruna.

— Nie wrócił więc wczoraj? nie wrócił! — popędliwie poczęła pytać Aza.

— Nie wrócił! — cicho i posępnie powtórzyła echem kobiéta, z któréj oczu ciekły dwa długie łez strumienie, a przez nie przecież oczy zbolałe wpatrywały się ciekawie w twarz ślicznéj cyganki.

Aza ręce załamała, i jak stała, upadła cała na ziemię, poczynając zawodzić po cygańsku, i ręce załamawszy nad głową.

Ten płacz istoty tak do niego nie stworzonéj, do reszty przestraszył Motrunę: oniemiała z przerażenia.

— Ona wié, ona wié! — zawołała — co się z nim stało; ona go musiała zabić!!

Wtém Aza jakby odzyskując siłę i nadzieję chwyciła się na nogi, obejrzała wkoło, podeszła kilka kroków ku lasowi, i wnet obróciła się do dworu. Bieg jéj tak był rączy i popędliwy, że Motruna ani pomyśléć mogła ścigać za nią z dziecięciem i osłabieniem swojém.

Powlokła się tylko płacząc drogą, którą była przyszła; a cała ciżba cyganów wywabiona krzykiem Azy, wybiegła z pod namiotu i wskazywała na nią palcami, szepcąc:

— *Tumry Egaszi!* (kobiéta Tumrego)[5].

Aza wyprzedziła daleko Motrunę i znikła z oczu wszystkim, pędząc co najprędzéj do dworu, cała oszalona myślą niebezpieczeństwa, a może śmierci Tumrego. Zdawało jéj się, że jeszcze ratować go można; biegła więc do Adama, aby wysłał natychmiast na wszystkie strony szukać śladów znikłego cygana.

[5]*kobiéta Tumrego* — w języku cyganów, o ile mi wiadomo, nie ma wyrazów *mąż* i *żona;* jest to bardzo charakterystyczny niedostatek. [przypis autorski]

Straszna tą namiętnością tłumioną, która teraz w niéj wezbrała; wleciała do pokoju, w którym pan Adam spoczywał, i przelękła go twarzą, jakiéj u niej nigdy jeszcze nie widział. Zbladła, zmęczona biegiem, rozpaczająca, pochwyciła za rękę wczorajszego kochanka:

— Ratuj — zawołała — ratuj! Tumry cygan wczoraj chciał sobie odebrać życie; dziś dotąd niéma go w chacie, niéma go nigdzie: wysyłaj ludzi, niech go szukają, niech znajdą!

— A cóż mię twój cygan obchodzi? — ozięble, z zazdrością prawie odezwał się powoli pan Adam puszczając kłęb dymu.

— Mnie! mnie on obchodzi! mnie! Słyszysz *Raj* Adamie — krzyknęła Aza targając go za rękę zimną — dam życie, dam siebie, tylko go każ ratować!

Adam spojrzał na nią nie ruszając się z miejsca.

— Oszalała — rzekł — cóż to! brat twój?

— Kochanek! mój jedyny, ukochany, ulubiony; ten, bez którego ja żyć nie mogę, nie chcę — wyrwało się z ust cyganki — ratuj go! Ratuj!

— A jeżeli tak, nie mam się po co spieszyć — rzekł pan Adam — będziesz teraz moją!

— Jeśli on umrze, i ja umrę, a niczyją nie będę! — krzyknęła boleśnie cyganka drąc z gniewu rąbek i suknią — wysyłaj ludzi, wysyłaj ludzi!

Zapał z jakim wołała, głośny krzyk jéj, już był cały dom poruszył. Słudzy zgromadzili się we drzwiach, a twarze ich zobaczywszy Aza, poczęła ku nim z błaganiem się zwracać, ręce łamiąc, płacząc i wzywając od wszystkich ratunku.

Ale dworska gawiedź nie mając rozkazu pana ruszyć się nie śmiała; a pan Adam siedział nieruchomym posągiem, i wąsika tylko pogładzał. Co go tam jeden cygan obchodził!

— Słuchaj, ratuj go, a będę twoją — przyskakując i szarpiąc go, powtórzyła dziewczyna.

Adam się zimno uśmiechnął i jeszcze nie rzekł słowa. Cyganka próżno błagała, rzucała się i latała po izbie z rozpuszczoną kosą czarną; nareszcie chustką, którą trzymała w ręku, uderzyła zniecierpliwiona po twarzy milczącego sybarytę, i wybiegła ze dworu z wołaniem rozpaczliwém, ciągnąc za sobą tłum ciekawych ludzi.

Co żyło, poczynało gromadzić się, zbiegać i powtarzać zcicha słowa cyganki; wszyscy chcieli biedz szukać Tumrego przez samą ciekawość, ale nikt nie wiedział dokąd się obrócić. Nareszcie i sam pan Adam po zniknięciu Azy, rozmyśliwszy się, rozesłał ze dworu na wszystkie strony, aby szukano kowala. Rozsypali się tedy, każdy gdzie komu na myśl przyszło; a Aza skierowała się ku lasowi jakiémś przeczuciem niewytłumaczoném... Kilku ludzi poszło za nią.

Nawpół drogi bo boru, spotkali głupiego Janka, który z wiązką gałęzi na plecach szedł śpiewając do domu. A że go widziano nieraz rozmawiającego z Tumrym, znano że żył z cyganem w drużbie; gumienny więc zatrzymał parobka, choć niewiele od niego spodziewał się dowiedzieć, bo jak inni, z powierzchowności sądząc, miał Janka za głupiego i nierozgarnionego.

— Słuchajno głupi Janek — spytał go — nie widziałeś ty czasem cygana, kowala... Tego, tego, co to z pod cmentarza?

— Kogo, kogo? — udając głupotę, szydersko począł pytać Janek.

— A! kowala cygana, głupi Janku! z pod cmentarza.

— Cygana! Tumrego! Oj! oj! widziałem go pozawczoraj, wczoraj, a nawet... (począł sobie przypominać) ot nawetem go dziś widział!

— Dziś? gdzież? gdzie? — pochwyciła Aza.

Janek nadto miał sprytu skrytego, żeby się wygadać zanadto i opowiadać rozmowę swoją, lub przyznać, że samobójstwa był świadkiem; odparł więc chłodno, skrobiąc się w głowę:

— No! a w lesie!

— Dawno?

— O! godzin już jakby ze dwie! Ono się na ranek zbiérało.

— Co on tam robił?

— Albo ja wiém, co on tam robił? Może chodził po drewka, bo czegoś rozwiązany pas niósł w ręku; to pewnie chciał je zczepić... bo u niego i postronka nie ma w chacie...

Aza krzyknęła zasłaniając sobie oczy:

— Gdzież ty go spotkałeś?

— Czekajcie! Na Popowéj niwie! Nie! nie! na Poroślaku! Nie! nie! w Lisich dołach; ale nie! ot jest! jest! dalibóg koło pustéj budy!

Wszyscy więc szukający z Azą na przodzie, puścili się żywo w las drożyną ku pustéj budzie wiodącą; a Janek podjąwszy drewka, posunął się daléj ku wsi, obejrzawszy się tylko na ludzi, którzy go mijali, z uśmiechem głupowatym.

— Ha! ha! — szepnął cicho do siebie — trochę zapóźno przyjdziecie! A! cóż ja temu winien! Niechby był poczciwéj kobiéty nie zamęczał: a teraz dobrze mu tak.

Z bijącém sercem biegła Aza, a ludzie ledwie za nią zdążyć mogli, wskazując jéj tylko drogę, którą iść miała. Nierychło jednak dostali się do pustéj budy, bo ścieżynki do niéj wiły się dziwnie po lesie, a krzaki tak je zarastały, że w wielu miejscach trudno się było przez nie przecisnąć.

Nareszcie Aza pierwsza wskoczyła na łączkę otaczającą zwaliska z téj strony, podbiegła co tchu do rozwalonéj budy, i plasnęła w ręce z wrzaskiem przeraźliwym, ujrzawszy wiszący trup Tumrego, na którego twarzy żółta, woskowa rozsiadła się już bladość.

W mgnieniu oka, gdy reszta ludzi zebrana w kupę stała jeszcze nieśmiejąc się przybliżyć ku samobójcy, cyganka skoczyła na belkę i poczęła już targać węzeł utrzymujący szyję wisielca; a niemając noża by go rozciąć, pochwyciła zębami i rozgryzła jak nitkę.

Trup okręcił się, zadrgał, pochylił i padł z łoskotem zimnéj bryły na ziemię. Aza już była przy nim i usta przyłożywszy do twarzy, a rękę do serca, ciepła w nich i życia napróżno śledziła. Już ich tam nie było! Twarde, zimne, skostniałe ciało, wyzionęło już ostatnią żywota iskierkę...

Cyganka czołem padła na ziemię i tak nieprzytomna pozostała przy trupie.

Ludzie poszeptali, obeszli go dokoła, pokiwali głowami, namachali rękami, i zawrócili się dać co najprędzéj znać do dworu, zostawując cygankę samą jednę nad ciałem kochanka.

Na rozstaju za wioską wykopano dół głęboki, i cichym wieczorem, parą wołów czarnych, przywieziono trupa Tumrego, któremu Janek zbił z kilku tarcic białą sosnową trumnę, bez księdza, bez ludu, bez płaczu, na wiekuiste mieszkanie.

Za wozem ledwie była garstka tylko; szła Motruna z dzieckiem u piersi, z zaschłém już od płaczu okiem, odprowadzając do mogiły nieszczęśliwą dolę swoją.

Za nią wlókł się Janek, milczący, zgarbiony, zadumany, z rydlem na plecach, ze słomianym swym kapeluszem w ręku. Dwie stare cyganki mrucząc coś pod nosem, otulone szerokiemi płachtami, sunęły się także zdaleka za tym pogrzebem samobójcy! Nie było ani stypy, ani kuti, ani przyjęcia, ani żadnego z tych uroczystych obrzędów pośmiertnych, które ze słowiańskich jeszcze czasów pozostały u wiernego starym zwyczajom ludu wiejskiego.

A gdy woły zastanowiły się na pagórku u wysypanéj ziemi, dwóch ludzi zniosło trumnę z wozu i rzucili ją w dół, nie mówiąc słowa.

Janek pierwszy schwycił za rydel i zasypywać zaczął, a dwie cyganki stanęły na brzegu przypatrując się z odrętwiałą, głupowatą ciekawością narzucaniu ziemi, i powoli znikającéj trumnie. Motruna bez jęku siadła na trawie, i podparta na dłoni, tuląc dziecko, które kwiliło z głodu, czy macierzyńską czując boleść; patrzała, patrzała na pracujących u grobowiska...

Już Janek z ludźmi dosypywał dół do wierzchu, i począł go ubijać nogami; już na nim i wzgórek zaokrąglać zaczęli, i darninę na pokrycie wycinać z blizkiego rowu, i cała robota powoli się skończyła. Odchodzący pierwszych kilka gałęzi suchych zwlekli wedle odwiecznego zwyczaju na mogiłę, jakby stos przysposabiając, do którego każdy przechodzień, dorzucać był winien choć suchy złomek jaki; już wreszcie rozchodzili się, a Motruna nie myślała wstać, ani się ruszyła z miejsca.

Cyganki, z nieboszczyka na nią zwróciły swoją ciekawość, i stanąwszy zdaleka, mruczały spoglądając na biédną kobiétę; ale się im przebrała cierpliwość, i gdy ludzie ku wsi zawrócili woły i pociągnęli nazad: one także poszły za niemi. Jeden tylko głupi Janek pozostał przy Motrunie, pilnie się jeszcze zajmując niby skończeniem mogiły, którą to udeptywał starannie, to stos na niéj porządkował, urządzał, żeby go wiatr nie rozrzucił.

Oczy Motruny błądzące machinalnie po okolicy, zatrzymywały się to na nim, to na grobie męża, to na głowie dziecięcia; ale znać było, że nic nie widziały. Kiedy niekiedy tylko popłynęła z nich łza jedna i zaschła na policzku, drgnęły wargi, przymknęły się oczy, ścisnęły ręce wkoło dzieciny. Janek spojrzał z pod brwi nieruchomej na Motrunę i wciąż pracował.

Poczęło zmierzchać powoli, niebo się zasępiło, a Motruna nie wstawała.

— A co? — odezwał się długo wytrzymawszy Janek — chodźmyno do chaty?

Motruna głową tylko potrzęsła.

— Jużciż tu nocować nie będziesz — dodał. — Jeszcze tobie jak tobie, aleć i dziecku na wietrze i słocie nie zdrowo.

Matka skwapliwie przytuliła do siebie niemowlę, i spojrzała na głupiego Janka, który nie był wcale tak głupi, jak się zdawał.

— O! pewnie — kończył Janek — że dziecku to zaszkodzi; a zresztą co tu robić? Jużeśmy mu usypali mogiłę, niechaj odpoczywa! Wstań i chodź Motruno.

Zarzucił rydel na plecy, włożył kapelusz na głowę i przystąpił do niéj. Kobiéta zakryła oczy, z których na nowo potok łez wytrysnął.

— Płakać — rzekł Janek — można i w chacie, a już coś noc blizko; dziecku zimno, trzeba iść, trzeba iść — powtórzył z przyciskiem.

— Dokąd? po co? — zawołała Motruna. — O dolo ty moja! o dolo! co ja poczne!...

Janek niezważając na łzy i żale, ujął ją za rękę i dźwignął z ziemi, a zwróconą ku mogile lekko nakłoniwszy w stronę wioski, pociągnął za sobą.

Motruna obejrzała się raz jeszcze, chciała gałąź tarniny leżącą pod nogami rzucić na mogiłę; ale zachwiała się i upadła. Janek podźwignął ją znowu.

— Pamiętaj na dziecko — począł cicho — ono teraz na twoich rękach i na twojéj głowie! Chodźmy do chaty, dość płakać!

Już się tak byli oddalili wlokąc z trudem i powoli, gdy Janek obejrzawszy się zobaczył jak cień przesuwającą się cygankę, która pędem wpadła na świeżą mogiłę, i siadła na niéj, a raczéj rzuciła się na nią.

Niechcąc by ją widziała Motruna, przyśpieszył kroku, i zagadując jęki które aż do nich dochodziły, coprędzéj spuścił się z nią w głąb jaru, który wreszcie zakrył im mogiłę samobójcy.

Aza sama jedna pozostała na rozstaju z wyschłém okiem, przybita, nieprzytomna, dysząc namiętnością i rozpaczą piérwszą w życiu. Porywała się, biegała do koła wzgórka, siadała na nim, wstawała znowu, ryczała jak zwierz dziki; i wśród krzyku jéj dobywały się z piersi to jęki niezrozumiałe, choć z tysiąca słów złożone, to okruchy jakiéjś pieśni, to pytania, to wyrzuty i przekleństwa...

Rzadko kiedy człowiek dochodzi do takiego stopnia rozpaczy i szału, jaki owładnął dziewczynę, nieprzywykłą ani tłumić uczucia, ani z niém walczyć dla oka. Zdawało się, że całkiem zapomniała o sobie, o jutrze, o świecie, a bolem swym żyła tylko. Niepodobną była do siebie: taka wściekłość malowała się na rozprzężonych rysach jéj twarzy zbladłéj, wywróconéj, zmienionéj potężną dłonią męczarni... Oczy zdawały się wybiegać z pod powiek usta miała otwarte, zęby ściśnione konwulsyjnie, czoło zwisłe na źrenice, brwi ściągnięte, a ręce trzymała wzniesione i splecione po nad głową...

Zdyszana pierś miotała się jak fala, a chwilami brakło jéj jeszcze oddechu...

Nie wiem jak długo walczyłaby tak z cierpieniem, i odrętwiałość czy zupełne szaleństwo skończyłoby jéj męki, gdyby z ciemności nie ukazał się po chwili wychodzący Aprasz.

Stanął on naprzeciw niéj, znowu silny, rozkazujący: taki, jakim był, nim mu dziewczyna odebrała dowództwo i władzę. Popatrzał na nią i niepostrzeżony przybliżył się.

— Aza! — krzyknął nagle głosem, który ją jak piorun uderzył — do obozu!!

Ona podniosła nań oczy strwożone i obłąkane.

— Do obozu *Egaszi!* do *kakabij* (kotła) ogień palić, jeść gotować i posługiwać, a nie po nocach się włóczyć!

Dziewczyna osłupiała, a cygan chwyciwszy ją za ramie, gwałtownie pociągnął za sobą. Nie było z jéj strony ani oporu, ani łzy, ani słowa, ani jęku; spuściła głowę, i poszła posłuszna. Na mogile wiatr z suchemi gałęźmi i ptacy wędrowni poczęli długą rozmowę, która trwać miała wieki...

Tegoż wieczora obóz cyganów opuścił nagle Stawisko, i skrzypiący wóz ich pociągnął daléj, unosząc skrępowaną Azę, około któréj siedziała stara Jaga, którą Aprasz wyznaczył za stróża dziewczynie.

Dawny dowódzca objął znów żelazną ręką rządy gromady a *Romy* i Puza na czele, słuchali go jak niewolnicy do pańskiego przywykli głosu...

My zajrzymy jeszcze na chwilkę do dworu pana Adama, nim go stracimy z oczu na długo.

Po odejściu Azy, po odkryciu tajemnicy przywiązania jéj do Tumrego, pan Adam naprzód się silnie rozgniewał, czując się upokorzonym tém nieszczęśliwém współzawodnictwem z cyganem; potém chciał gonić za cyganką, nareszcie bezsilny, gniewu się wyrzekł, i niewiedząc sposobu dogodzenia namiętności bez wielkich ofiar, opuścił ręce, usiłując zagłuszyć serce, czy żądzę odzywającą się jeszcze.

Ale nie tak łatwo z sercem swém wojować temu, który go się z młodu nie nauczył zwyciężać i kierować niém. Pan Adam poczuł wkrótce, że cygankę mocniéj ukochał, więcéj się do niéj przywiązał, niżeli sobie wyobrażał zrazu.

Chciał za nią gonić, szukać jéj, porwać ją siłą, niezważając ani na jéj przywiązanie do Tumrego, ani na obojętność i szyderstwa. Nim to postanowienie przyjść mogło do skutku, banda cyganów daleko już była od Stawiska i znikła bez śladu, pozabierawszy tylko swoje i cudze konie, narobiwszy szkód bez liku, a po sobie zostawiwszy mogiłę w polu, łzy i przekleństwa.

W takich jak Adam ludziach, strapienie gwałtowném jest tylko w pierwszéj chwili; ale nie trwa długo i przechodzi bez śladu. Dni kilka dość było żeby boleść zmieniła się w tęsknotę, w znudzenie i potrzebę szukania rozrywki; a jéj pragnienie już było najlepszą przepowiednią całkowitego zapomnienia przeszłości. Ziewnął, stęknął, kazał zaprzęgać pan Adam i do miasta pojechał.

W chacie po Tumrym, zbudowanéj z taką pracą i wytrwaniem żelazném, nie mogła się rychło zatrzéć pamięć jego; bo ręka robotnika wszędzie zostawiła po sobie ślady, i każdy kawał drzewa ją przypominał. Biédna Motruna musiała zamieszkać w lepiance, i patrząc na nią, dolę swoją opłakiwać.

Po śmierci cygana przybliżyli się do niéj bracia, ale i ci niewiele pomódz, mało los jéj zmienić mogli. Potrzeba znać życie i zasoby najdostatniejszego wieśniaka, by uwierzyć, jak niełatwo mu przy najlepszych chęciach wziąć na barki kobiétę i dziécię. Dwaj bracia Motruny radzi byli coś dla niéj uczynić, ale żony ich na samą wzmiankę o tém, że cyganka mogłaby przenieść się do ich chaty, zakrzyczały, poczęły rzucać się i gniewać, tak, że i pomyśléć o tém bez zakłócenia domowego spokoju nie było można. Trzeba więc było Motrunę zostawić na miejscu, w lepiance jéj pod cmentarzem; a i tam nawet Maxym i Filip niewiele jéj dostarczyć mogli, bo natychmiast żony ich obawiające się o siebie i dzieci, o głód na przednówku, głośną poczynały wojnę za każdy datek. Przy najlepszych chęciach, rzadko téż wieśniak jest w stanie przełamać się czarnym chleba kawałkiem. Najbogatszy ma ledwie tyle, że się głodu nie boi do nowego ziarna, a sprzedażą pozostałéj odrobiny, opędza piérwsze życia potrzeby. Jakże wielkiego potrzeba uczucia, jak świętych obowiązków, by wystawił na szwank los swój i rodziny? Bracia Motruny dopomagali jéj ale tając się przed żonami, potrosze tylko i szczupło.

Pan Bóg zesłał jéj opiekuna i niespodziewanego pomocnika w głupim Janku. Los tego odrzutka tak był ciężki w własnéj chacie, tak nim tam poniewierano, często nawet wypędzając zupełnie, choć robił więcéj niż za jednego człowieka i za jedno zwierzę domowe; tak mało mu tam dał kto dobre słowo, że głupi Janek, który śmieléj i niepotrzebując udawać głupoty, przystępował do Motruny, do cygana: do nich się téż więcéj niż do swoich przywiązał.

Los szczególniéj kobiéty zdawał się go silnie zajmować, bo Tumrego był znienawidził w końcu i prawie do samobójstwa popchnął przez żal, jaki do niego miał za Motrunę. Po śmierci téż jego, Janek na chwilę wdowy nie opuścił: zajmował się sam pogrzebem, odprowadził ją do chaty, i pozostał przy niéj na straży; w ten sposób ją i dziecię za rodzinę sobie przysposobił. Tegoż wieczora zaraz nasłał słomiany barłóg w sionkach pod drabiną u drzwi izby, i tam się umieścił. Nazajutrz poszedł do swoich dla zabrania garści

łachmanów, zowiących się jego własnością i nierzekłszy słowa, porzucił chatę ojcowską nazawsze.

Motruna miała z niego więcéj niż parobka i posługacza: bo brata i opiekuna czuwającego nieustannie nad nią i sierotą. Przywiązanie i litość zrobiły z Janka istotę pełną przebiegłości, zapobiegliwą, baczną i bystrą nawet w potrzebie. Dla Motruny umiał zaraz znaleźć zarobek, znosząc jéj przędzę na motki, i różne drobne nastręczając zajęcia, za które sam się wprzód targował, i chatę zasposabiał w żywność i sprzęt potrzebny. Drwa sam zbierał i nosił, wodę czerpał, rąbał, palił, gotował, świecił, dziecko całemi godzinami kołysał; a w strawie bojąc się zrobić uszczerbku, żywił się suchym chlebem i pozostałemi w garnkach resztkami jadła, którychby pieszczone psie nie chciało.

Nierychło opatrzono się w jego chacie, że głupiego Janka niestało; ale kiedy kilka dni nie powrócił, jakoś go zabrakło wszystkim. Bracia postrzegli, że nie mieli się kim wyręczać; siostry nie miały kogo posyłać, łajać i nękać, a bratowe nie znalazły z kogoby się tak bezkarnie naśmiewały. Choć wszyscy narzekali, że darmo chleb zjadał, gdy go niestało, stękać poczęli, że się nie obejdą bez niego, i nuż zbiega przeklinać.

Szpiegowano, dopytywano się, śledzono gdzie się mógł podzieć; ktoś odkrył nakoniec, że posługuje u Motruny. Posłano zaraz starszego brata odebrać głupiego Janka, a ten obcesowo wpadłszy, łajać go począł, znalazłszy w kuczki siedzącego w sionce pod drabiną i kręcącego kawałek powrozu.

— A co ty tu robisz? próżniaku, darmozjadzie! A do chaty, do roboty — krzyknął pan brat.

Janek podniósł głowę, zmrużył tylko jedno oko, popatrzył na przybysza, splunął i daléj swoje robił.

— Co to ty sobie myślisz?

— Ot co myślę, — odparł Janek spokojnie — myślę tu zostać i zostanę!

— Alboto my pozwolim włóczyć ci się gdzie zechcesz?

— A na cóż ja wam potrzebny? — odparł ruszając ramionami — hę? Małościeto mnie nawymawiali, że chleb jem daremnie? A daliście mi kiedy szmat, odzieży; dali nową koszulę i choćby łapcie na znużone nogi? Kiedym ja wam niepotrzebny, po cóż siedzieć miałem! Idźcie sobie braciszku z panem Bogiem i kłaniajcie się odemnie staremu Łysce...

Brat porwał się bić, ale Janek schwycił go za barki, wyrzucił z sieni i drzwi podparł kołkiem; a napastnik nakrzyczawszy i naodgrażawszy się z podwórza, poszedł z niczém do domu. Pozywano Janka do dworu na sprawę, ale tu głupi parobczak jak zaczął się bronić, przy swojém się utrzymał; pozwolono mu zostać z wdową, a braci odprawiono z kwitkiem. Dowiódł bowiem, że ani przysiewku w polu nie miał nigdy, ani odzieży nie brał, ani płacy, ani mu żadnéj części z ojcowizny wydzielić nie chciano; nie miał więc żadnego obowiązku pracować tam za wszystkich, gdzie nikt mu nic za to, nawet łyżki poczciwéj strawy, nie dawał.

Bracia srożyli się, krzyczeli, poznawszy że im bez niego jak bez pomiotła, nie będzie lekko wszystkim śmieci zagrzebywać; probowali odciągnąć go obietnicami, ale nic nie pomogło.

— Dopieérobyto był głupi Janek — mówił parobczak — żeby się dał drugi raz złapać jak wróbel na plewę. Ho! ho! niedoczekanie wasze: raz się wyprzągłszy z tego jarzma, drugi raz w nie karku nie nagnę, bom sprobował jak mula! Bywajcie zdrowi i kłaniajcie się staremu Łysce...

Łysko, stary pies podwórzowy, byłto jedyny Janka w chacie przyjaciel.

Motrunie, ani Jankowi na myśl nawet nie przyszło żeby na nich dwoje gadać coś miano; ale złe we wsi języki nie darowały i krzywemu Jankowi, ani bladéj i schorzałéj Motrunie: śpiewano o nich w karczmie, śmiano się u studni i na przełazkach, choć oni ani się tego domyślali.

Janek był tak poczwarny i brzydki, że posądzenie o miłość jakąś dla niego, w głowie tylko starych bab i żon braterskich urodzić się mogło; a jednak gdy raz puszczono plotkę, przyjęła się i swatano ich zawczasu, a Janek tylko jak wyrobnik dla wdowy pracował.

Oboje często po całych dniach słowa do siebie nie rzekli, a Janek czasem tylko, gdy w lepszy wpadł humor, zmyślał powiastki dla rozweselenia Motruny. Ona słuchała i milczała, bo milczenie stało się dla niéj nałogiem i drugą naturą, tak, że na słowo trudno

się jéj zebrać było. Zaśpiewała dla dziecięcia niekiedy, westchnęła ze znużenia, ale z serca zasklepionego ani się skarga, ani wspomnienie wyrwać nie mogło.

Macierzyństwo wystarczało jéj do nędznego życia, w niém były wszystkie pociechy, nadzieje i cel przyszłości, a uśmiéch dzieciny wywoływał i na jéj usta coś nakształt smutnego, łzawego i bladego uśmiechu. Patrzała w kołyskę, siedziała przy niéj, spała nad nią, i na chwilę jéj nawet nie odstępowała. Czasem, gdy upadła znużona, Janek się podkradł i niezgrabnie zakołysał dziecinę; ale zaledwie zapłakało, już Motruna zrywała się przerażona tym głosem, i znowu sama piastowała ukochaną donię.

Takie tam było życie w téj mizernéj lepiance, dnie, nocy, i jednostajnie płynące miesiące i lata. W około ruch był na wsi: przemieniało się we dworze, ludzie się mijali, ustępowali jedni, nastawali drudzy, kochali się, rzucali, umierali, rodzili. Tu tylko strzecha słomiana porastała mchami, Motruna bladła i chyliła od pracy, Janek żółkł i garbiał codzień bardziéj, dziecina chodzić poczynała; ale ani los odmienny, ani dola lepsza nie zaświtała w lepiance cyganichy.

Wioska nie odstępowała jéj wszakże, ale nie bardzo téż chętnie garnęła się do niéj; nie tak z powodu zabobonnego jakiegoś przesądu, jak raczéj lękając się jéj ubóstwa. O! dla wielu, dla bardzo wielu na świecie, nic nie ma straszniejszego nad nędzę; dotknąć jéj ręką, spojrzéć się na nią lękają żeby ku nim nie zajęczała prośbą, nie zwróciła się z żądaniem pomocy!

Nawet o robotę nie było łatwo Motrunie, bo mało kto ośmielił się ją powierzyć ubogiéj, lękając się bliższego z nią stosunku. Przecież staraniem Janka nie brakło ani chleba, ani pracy, ani zarobku, ani zbywało na pierwszych życia potrzebach. Przez lato, gdy dziecina podrosła, Motruna mogąc ją miéć z sobą w koszyku, najmowała się do żniwa; Janek zarabiał także, i lepiéj od drugich, bo czasem aż po dwie kopy oziminy stawiał kiedy się rozmachał. W zimie żyli groszem uzbieranym i kądziołką wdowy.

W téj wszakże nieustannéj pracy, Janek począł w lat kilka widocznie tracić siły, choć te zdawały się niewyczerpane; a że był przesądny i nie pojmował, zkąd taka zmiana przyjść mogła: przypisywał ją rzuconemu przez którąś bratowę urokowi. Począł więc chodzić od znachorki do znachora, dla zdjęcia uroku, wypijał różne czarodziejskie leki, ratował się zamawianiem i różnemi, ingredyencyami wielce podejrzanych własności, tak, że w końcu, skutkiem tych leków, zapadł gorzéj jeszcze i obległ nareszcie śmiertelnie.

Jeszcze go jakaś przy życiu trzymała siła woli i ducha potężna; włóczył się o kiju z sieni do izby, z izby na poddasze, pomagając Motrunie; aż gdy jednego wieczora uczuł się bardzo gorzéj, pomyślawszy, że śmiercią swoją biednéj wdowie narobi kłopotu, wziął kosztur, i niepożegnawszy się nawet, a przez szparę we drzwiach spojrzawszy na dziecinę, która już po izbie biegała szczebiocząc, powlókł się do chaty braci. Całych sił swych dobyć musiał, ażeby do nich się dostać, tak mu już w drodze słabo się zrobiło; a gdy na próg wszedł, zachwiał się i upadł pod piecem.

— Cha! cha! — rzekł — otóż mnie i macie panowie braciszkowie; chcieliście żebym do was powrócił toć jestem na usługi! Musicie mi teraz z ojcowizny choć pogrzeb sprawić i *domowinkę*![6].

Jakoż w godzinę potém, głupi Janek już nie żył, a bracia choć się rzucali i łajali, zmuszeni byli pogrzeb mu sprawić.

Niepodobna wystawić żalu jaki ogarnął Motrunę, gdy się o śmierci Janka niespodzianie całkiem dowiedziała, gdy się jéj domyśliła raczéj, bo zniknienie jego nie mogło miéć innego powodu. Dwoje tych istot tak się zżyło z sobą, że wdowa myśl jego odgadła odrazu i rozpłakała się, uczuwszy, że nawet w chwili boleści przedśmiertnych pamiętał o niéj jeszcze i bał się jéj najmniejszą przykrość wyrządzić. Tak już do niego była przywykła, że zdawało jéj się niepodobieństwem wyżyć i wystarczyć bez Janka sobie i dziecięciu. Drugito już raz tak wdową ją los robił.

Głupiego Janka brakło wszędzie i ciągle, bo on był duszą nędznéj chatki. Nie mogła Motruna wyjść na próg, żeby go sobie nie przypomniała po miejscu, które pod drabiną w sieni, zimą i latem zajmował w rodzaju budki, skleconéj z tyczek od fasoli i miętéj słomy. W saméj chacie pełno było śladów pracowitéj ręki jego i przemyślnéj głowy: wyuczył się bowiem bednarki, ciesielstwa, mularki, i wszystko niemal sam robił, bo płacić nie miał

[6]*domowinka* — tak w niektórych wsiach wołyńskich zowią poetycznie trumnę. [przypis autorski]

czém majstrom. Na kołku nad ławą naprzeciw pieca, gdzie siadać i grzać się lubił, stary jego dziurawy kapelusz słomiany wisiał jeszcze, i pyłem przysuty, pozostał jak widoma po nim ostatnia pamiątka...

Znów za tym pogrzebem przyjaciela poszła Motruna i ucałowała trumnę, ostatni chleba bochenek, ostatni płótna kawałek kładąc na niéj wedle zwyczaju; bo tych bracia mu poskąpili... Późno w noc skostniała powróciła do pustéj, straszliwie pustéj chałupki, myśląc co pocznie z sobą i dzieciną a myśl ta ręce odebrała jéj na długo.

Dopiéro szczebiotanie dziecięcia obudziło ją z marzeń przykrych, do życia i pracy. Ta jest korzyść nędzy, że w niéj praca koniecznością, a ona najlepszém cierpień lekarstwem!

Trzeba było wziąć znowu kądziel i wrzeciono na chléb dla małéj Marysi; ale nie było już kim się wyręczyć na wsi, ani komu odnosić motków i wypraszać przędziwa!

W takiej niedoli i najostatniejszéj nędzy, z dnia na dzień grożącéj śmiercią głodną, rosła siérota, Marysia.

Matka widziała już w niéj, jak wszystkie matki w dzieciach swoich, maleńkie cudo a wielkie nadzieje; ale obcy nawet i niechętni, gdy szła ująwszy fartuch Motruny, maleńkiemi nóżkami ścigając ją i podskakując jak ptaszę za matką; oglądali się z jakiémś zajęciem na dziecko cygana.

Maryś, gdyż tak ją pospolicie nazywano, była w istocie śliczną dziewczynką, w któréj twarzyczce dwa złączone typy, wschodni i północny, wydały trzeci odrębny, obojga wdzięki tylko mający. Maryś miała śliczne oczki czarne, ale nos prosty i nieco zakrzywiony, czoło wysokie, usta nieco wydatne, a pełne uśmiechu i słodyczy; płeć dziwnie białą, włos złocisto-ciemny. W dziecinie już znać było dziwną zręczność ruchów, zwiastującą czém być miała, gdy rozkwitnie na dziéweczkę. Motruna zakochana w niéj do szaleństwa, stroiła ją, ubierała, wdzięczyła czém mogła, nienasycony wzrok pasąc tą twarzyczką pełną wczesnego rozumu, przenikliwości i łagodnéj dobroci.

Z każdego słówka sieroty tryskał niezwyczajny dowcip, niecierpliwa ciekawość świata i chęć wybiegnięcia o swojéj sile między ludzi. Maleńka już poczęła matkę wyręczać tak zręcznie we wszelkiéj pracy, tak nieraz zdziwiła ją zgadując myśl jéj lub poddając radę, że Motruna miała ochotę klęknąć przed cudowną dziewczynką. Kręciło się to od rana do wieczora po chatce, śpiewało, biegało, a gdy matka po swojemu spuściła głowę obciążoną smutkiem, czepiała się na jéj kolana, rozcałowując jéj zadumę.

Wychowana w ciągłym niedostatku, Maryś miała jakiś instynkt zaradzenia wszystkiemu, i w głowie swéj dziecinnéj często więcéj znalazła, niż matka w całém swém zbolałém sercu.

A tak to się umiało przymilić, uśmiechnąć, podobać, ułagodzić, że nieraz najobojętniejszy zatrzymał się gdy przemówiła; a stare nawet baby wracając z targu, rzucały cygańskiemu dziecku po jabłku lub obwarzanku.

Taką dorosła Maryś lat dwunastu, na bohaterkę ostatnią naszéj chatki za wsią; a chcecieli wiedzieć co się stało z sierotą, to poczekajcie trochę do następnego opowiadania..

TOM III

Znacie już tę biédną chatkę za siołem u cmentarza, skleconą przez cygana prawie z niczego, jedno siłą woli, namiętności i rozdrażnienia. Nigdy ona nie była nową, a kilka lat życia uczyniły ją zgrzybiałą staruszką, tak, że gdy dziecię, jedyne dziecię Tumrego podrastać zaczęło; razem z biédną Motruną i lepianka pochyliła się do upadku. Co chwila potrzeba było coś podłatać, podeprzéć, podlepić i zatkać gdzieś dziurę, i spróchniałe, bo mokrém ścięte, drzewo zasztukować. Dachu nie było komu pozszywać słomą, zalepiano w nim otwory kawałkami darniny, która wprawdzie nie przepuszczała deszczu, ale zbytecznie obciążała kruche i wątłe krokiewki. W jedném miejscu nad sienią tak się już były powyginały, że niemal leżały na ścieli. Za to latem wszystka ta darń zielona, gdy się rozbujała, przypomniawszy sobie pole z którego wyszła, gdy zakwitła, aż miło było spojrzéć na ten wiszący ogródek. Wśród gęsto posplatanych ździebeł pospolitéj trawy, tu i owdzie strzelały kwiatki łąk naszych, zdziwione, że ich losy na taką wysokość podniosły. Para brzózek nawet, które tam zasiała dłoń Boża, ręką wiatru rozrzucając życie po świecie, ze swą bieluchną korą i drżącemi listkami, wysoko nad komin strzelały, i dobrze część dachu stojącą jeszcze przeniosły. Słoma, któréj codzień mniéj pozostawało, bo raz wraz trzeba się było łatać darniną z blizkiego cmentarnego rowu, służyła gnijąc za pokarm tym chciwym przybyszom.

Gorzéj daleko było ze ścianami, które się osuwały, zapadały w ziemię, krzywiły, kosiły, wychylały i w końcu stały się jakąś niepojętą klejanką najdziwniéj zmieszanych materyałów. Drzewo w nich niedostające zastępowały: chrust, glina, ziemia, słoma, śmiecie i co tylko było pod ręką. Jaskółcze gniazdko pod strzechą gościnną z większą nie zlepia się sztuką. Na podpory użyto rozebranéj wprędce nieużytecznéj kuźni, która na jakiś czas i paliwa i budulcu dostarczała. Pozostałe jéj słupy, horno i kupa gruzu, jeszcze swém sąsiedztwem większą ruiną czyniły ubogą chatkę, ale wprędce dobroczynna matka zasiała na nagiéj téj górce pokrzywy i łopuchy, które zielonemi liśćmi robotę rąk ludzkich zniszczoną pokryły.

Ale człowiekowi, któremu po śmierci tak mały wystarcza domek, i za życia niewiele było potrzeba. Wchodziło się do lepianki na wpół łamiąc, by przez drzwi nizkie przecisnąć, okno ramą spoczywało na ziemi, a we środku, w téj jamce ciemnéj, smutnéj i wilgotnéj żyło się życiem powszedniém, zupełnie tak samo jak się cierpiąc, jęcząc i stękając żyje w niejednym mozaikowanym pałacu.

Kiedy po srogiéj ulewie opadła gdzieś ze ściany nalepa, albo w skwar oschła osypała się glina, i wiatr, gość nieproszony, po izdebce przeleciał: wdowa szła za chatę, rozmiesiła gliny, przyłożyła gruzu z kuźni, zaprawiła otwór, i znowuż na jakiś czas było zaciszno i cało.

I dzieweczka, co rosła w téj rozpadlinie, nie zajrzawszy nigdy do lepszego mieszkania, nie wystawiała sobie, by co na świecie lepszém, piękniejszém, wygodniejszém nad nie być mogło. Młodość tak sobie kłamie gdy kocha, a dziewczę tak tę swoją chatynkę kochało! Dla niéj większe i porządniejsze budowy zdawały się nawet smutne obok téj jamki na górze przeciw cmentarza, do któréj częściéj wiatr niż ludzie zaglądali.

Widzimy nieraz na suchéj skale, w garści suchego piasku wyrastającą dzielnie i silnie roślinę, którą żywi ojciec Niebieski tylko, i stajemy zdumieni myśląc, zkąd ta wygnanka bierze soki pożywne. Miała je widać w ziarnie, które drobną łuską obejmowało wielki zaród żywota, i tą siłą tajemniczą krzepi się, podrasta, dźwiga. Tak właśnie i sierotka rosła, bujała, rozkwitała, choć nic jéj nie pomagało ku temu.

Ciągle prawie zamknięta ze smutną matką, wpatrując się w zbladłe i uwiędłe jéj oblicze, słuchając westchnień niewyczerpanych, owionięta atmosferą śmierci, uśmiechała się przecie do życia, i rumieńczyk czasami krasił jéj śliczną twarzyczkę, a oczy poglądały pragnieniem żywota i ciekawością świata.

Wiecież, jak się wychowują wiejskie dzieci? — jak ptacy niebiescy, jak kwiaty na niwach, jak wszystko czém się sam Bóg tylko opiekuje przez ręce aniołów. Słuchają gadek wieczornych i pieśni macierzyńskiéj, patrzą na czynne ojców życie, dumają w polu, poglądają na niebo, i koniec końców serce się rozkołysze, i w głowie myśl rozpowinie, i budzą się ludźmi jak drudzy, często od drugich lepszemi. Mniéj od nas wiedzą pewnie,

ale czują równo, jeźli nie silniéj, a więcéj i lepiéj zgadują, bo w nich mówi serce, bo serca słuchać umieją...

Córce Motruny wiele nie dostawało i z téj nawet odrobiny, którą mają wszyscy; matka jéj była tak ponuro milcząca, a wioska dla nich nielitościwie obojętna!

Nie byłoć już zmowy, i nikt Motruny nie odpychał gniewem, ale zwano ją pogardliwie cyganichą, a jéj dzieweczkę cyganką; i choć się Maryś umiała przymilić, przypytać, uczepić, podobać; choć jéj nie odganiano: dzieci wiejskie z obawą jakąś stroniły od sieroty, uciekały od niéj, a często nielitościwe płatały jej figle. O! dzieci bywają okrutne!

Nieraz wybiegła w pole i rada się była zbliżyć do pastuszków, którzy, gdy odłóg był w téj stronie, pod samą chatą rozkładali ogniska, piekli kartofle i swawolili naglądając na bydełko i owce rozpierzchłe po łanie; ale chłopaki i dziewczęta ledwie ją zoczywszy, szeptali: „Doczka czarownicy! cygańskie dziecko", i rozpierzchali się po jarach. Biédna Maryś przysługiwała im się to przyniesionym ogniem, to trzaskami, to trochą łomu; przyjmowali od niéj podarek, ale ani się było z niemi rozgadać, ani poweselić, ani podrużyć.

Marysia najczęściéj była samą, samiuteńką, i tak już przywykła powoli dawać sobie radę, że ją ludzie nie nęcili. Patrzała nieraz dni całe, usiadłszy w progu chaty, na przeciwległe cmentarzysko i wzgórze, na którém zdaje się nic do widzenia nie było, i umiała tam dojrzéć dziwnie zajmujących rzeczy.

Przelatywała jaskółka raz niosąc w dziobku trochę błota, to znowu odrobinę słomy lub piérza; Marysia szła za nią oczyma tam i nazad, pilnie przypatrując się pracowitéj ptaszynie, tak, że te swoje sąsiadki znała niemal każdą z osobna i po ruchach i zajęciu rozpoznawała. Wiedziała ona, gdzie któréj gniazdeczko przylgnęło i zkąd sobie żywność nosiły, a po niespokojnych ich krzątaninach uczyła się poznawać nadchodzące burze. Bawiły ją szczebiotliwe wróble i drobne ptastwo gnieżdżące się na kilku wierzbach cmentarnych, i elegantki sroczki, często o dwa kroki od niéj przechadzające się po gościńcu, ale nadewszystko malutkie susły, których jam niezliczona ilość okrywała brzegi pola i naddroże.

Pogodnego dnia, miesięcznéj nocy, gdy cicho było dokoła, susły miały zwyczaj na progach podziemnych domostw swoich używać świeżego powietrza, i zasiadać rzędem pewnie na jakąś gawędkę, a Marysia dech w sobie zatrzymywała, by ich nie popłoszyć najmniejszym szelestem: bo trwożliwe zwierzątka zaraz znikały w swych pieczarach. Zabawne ich ruchy, skoki, głos nawet przerywający ciszę, miłemi były osamotnionemu dziecku.

A że gościniec dość był z téj strony nieuczęszczany, pola rozległe, lasy niedalekie: ciekawe dziewczę miewało choć rzadziéj i mniéj pospolitych gości. Po nad chatynką przeciągnęły nieraz kaczki lecąc na nocleg do blizkiego ługu, zjawił się zajączek umywający rosą lub skubiący zieleninkę, posiadały czasem siewki, pokręciło się hałaśliwe stado szpaków, zabłąkała z dębniaku kraska niebiesko-pióra;... a epokę stanowiły dropie na grubych nogach i podróżne żurawie... I było na co patrzéć i podziwiać się czemu.

A czyto wiele potrzeba takim oczętom młodym, co na wylot świat widzą żywym jakimś instynktem, niepojętą siłą serca i przeczucia! Nieraz chmura komarów, para żółtych wiosennych motyli, piórko ptasie, które wiatr unosił w powietrzu bujając niém na wszystkie strony, trzymały jéj oczy długo, długo, ścigające zjawisko, dopóki tylko mżyło w dali w powietrznych obszarach.

I myślała Maryś o Bożym świecie, o stworzeńkach bożych, o kwiatku co niezasadzony i niepolewany wykwitał u proga, a marzenie jéj było jak bajka cudowne, i jak pieśń poetyczne i jak młodość świeżości pełne.

A gdy przyszło w słotę, w burzę i chłód zamknąć się z matką w izdebce, to dziewczę szczebiotało potém, że i milczącéj Motrunie słowo z ust wyciągnąć musiało, i nieraz wywołało uśmiech, opowiadanie, naukę — lub żale.

Zresztą już Maryś odgadywała cudownie, czego jéj matka dopowiedzieć nie mogła. Biedne kobiécisko tak było życiem znękane, tak cierpiało w sobie, a podnieść się nad boleść swoję nie mogło: że nawet miłość macierzyńska rzadko jéj otworzyła usta, a ze zwiędłych warg zwiędłe ulatywały słowa, nie wiele mogąc nauczyć.

Bo gdy dziecię rade było świat Boży, ptasi, kwiecisty, zielony, widzieć wesoło i jasno; z ust matki same słyszała narzekania, żale, a czasem... czasem nawet przekleństwa. Ta sprzeczność widoku wiosennego ziemi i wiosennego bicia jéj serca ze słowy macierzyń-

skiemi, długo się w główce dziecka pomieścić nie mogła, i pierwsze dumania zrodziły się ze sprzeczności niepojętéj dla Marysi, któréj sobie rozwiązać nie mogła.

Z jęku matki wyczytała pierwszy raz cierpienie, męczeństwo, boleść, których nigdy nie widziała wśród ulubionych stworzeń, zawsze wesołych aż do zgonu i szczebiocących przy skonaniu; i pomyślała biedna, że albo matka jéj była wyjątkiem, lub może żałość jéj była skutkiem wieku i choroby.

Jéj pojęcie życia tak było fałszywe, tak dziecinne, a tak pierwotne, że gdyby była całą myśl swoję wyspowiadała najzakamienialszemu z ludzi, byłby się nad jéj weselem ufném w dolę i przeszłość rozpłakał łzami krwawemi. Jak ofiara uwieńczona kwiatami szła naprzeciw losu, co ją oczekiwał groźny, nie widząc jeszcze ani noża, ani stosu, ani boleści, co na nią zaczajona czekała.

I rosła tak Maryś z nieopatrznem weselem, którém Bóg ozłaca pierwsze chwile młodości, pierwsze brzaski życia; a Motruna co dzień, co godzina, zdawała się latami starzeć i chylić ku przedwczesnéj mogile. Nie żyła już, dogorywała tylko.

Nawet ukochane dziecię do żywota przywiązać jéj nie mogło; bo sił do niego brakło i z tchem każdym reszty ich ulatywały.

Zimny pot występował na czoło matki, gdy pomyślała, jak swą sierotkę zostawi samą jednę na świecie samiuteńką niebogę; serce jéj biło strachem, ale uścisk serdeczny, którym się wiązała ze swoją dzieciną, zamiast ją ożywić, do reszty osłabiał i w dziwną, pożerającą rzucał gorączkę.

Przychodziło to powoli, nieznacznie i rachując na powolność swéj choroby, łudziła się Motruna nadzieją, że Marysię wychowa, nim oczy zamknie na wieki; ale myliły ją rachuby. Słabość owładła nią niespostrzeżona, zrazu szła żółwim krokiem, potém postępowała coraz chyżéj, coraz szybciéj, aż dnia jednego postrzegła się biédna kobiéta, że już wiadra ciągnąć nie może, że najlżejsza drew wiązka jest dla niéj niepokonanym ciężarem, że samo chodzenie po izbie nuży ją śmiertelnie.

Usiadła na łóżku i zapłakała pocichu. Maryś na wszystko miała oko, ale wycieńczenie matki przypisywała starości tylko, wystawiając sobie Motrunę daleko, daleko starszą niżeli była w istocie; i gdy postrzegła niemoc jéj, wzięła się tylko ochoczo do zastąpienia jéj w pracy.

— O! nie turbujcieżbo się mateczko, — zawołała podskakując do jéj kolan, — wszakci to ja na to rosnę i już cię potrafię wyręczyć. Probowałam dwóch wiader pełnych, i chociaż się trochę zginam pod niemi, ale mi ich podnieść nie trudno; drew i spory oberemek zarzucam jak piórko na plecy... Odpoczywajcie sobie spokojnie, a mnie tylko znaczek dacie, to zobaczycie jak się sprawię.

Szczebiotanie dziecięcia jeszcze gorętsze łzy wycisnęło z oczu biednéj kobiety, która w milczeniu przycisnęła ją do serca.

— Gołąbku mój, gołąbku, — odpowiedziała cichym głosem, — ochoty ci nie brakuje, ale gdzie te siły, któremi się tak chwalisz? Dobrze ci pobawić się z wiadrami, ale dźwigać wodę pod górę, ale przynieść drew z lasu, a! i tyle, tyle ciężkich robót poopędzać koło domu, nie twoją to siłą, nie twoją!

Maryś pokiwała mądrą główką.

— Posłuchajcieno matuniu kochana! — zaśpiewała dziewczyna swym ptasim głosikiem, — wyście to mnie nieraz wieczorami dawniéj rozprawiali różne piękne rzeczy, a ja dobrze je zapamiętałam... Ot! byle kto mocno chciał, zdaje się, to co zamyśli zrobi.

— Moja Maryś, tak w bajce!

— A cóż to bajka matuniu? — to wczorajsze życie.

— Bajka! at sobie wymysł ludzki na pociechę tęsknego żywota... Może tak i bywało dawniéj, ale dziś już tak nie jest: świat taki smutny, ludzie tacy bez litości!

— To tobie się tak zdaje matuniu; a choćby i źli byli, taki cóż? — dobrego obroni przy nim dobra siła, zła siła nic nie zrobi czystemu...

— Daj Boże! a! daj Boże! — i westchnęła biedaczka, bo więcéj wypowiedzieć nie chciała.

Miała na ustach spytać swéj Marysi, coby poczęła gdyby jéj matki nie stało; ale na to brakło odwagi, zasmucić nie chciała dziecka, obawiała się przestraszyć.

Marysia tymczasem naiwnie się cieszyła, że teraz sama matce będzie służyć i gospodarzyć w domu.

Bóg wié co się tam roiło w téj głowie dziecięcéj: — czysta bajka z wieczornicy! Spać jéj nie dawało marzenie, tak pracowała, tak się krzątała ochoczo, tak umiatała chatynkę, tak w niéj już ład i dostatek tworzyła cudem, pełna ufności w Boga i ludzi.

— Już wiém! już wiém jak to będzie, — szeptała przewracając się na twardéj pościołce; — będą ludzie iść z jarmarku, wyjdę sobie na drogę, i stanę i uśmiechnę się i pokłonię: chybaby serca nie mieli, gdyby mi téż który nie podarował choć... jagnięcia, choć koźlątka, choć czarnéj kurki czubatéj. Rozhoduję, będzie za rok cztéry, za dwa lata dużo, dużo — cała trzoda, całe stado... Na wsi przędziwa wiele, ja już umiem prząść i niegrubo, nie radowinę, ale na ośmnastkę, na dwudziestkę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na koszulę dla nas nie naprzędła i nie zarobiła to sérka, to jaj trochę, to mąki, to krup, to okrasy... O! to pójdzie... zobaczy matka! A potém przyjdą swaty od najbogatszego we wsi gospodarza, przyniosą matce podarek okrutny, pokłonią się do kolan, pocałują w rączkę... i będzie w cerkwi wesele, będzie dziwować się ludu mnogo; a teść mój matunię umieści jak u Boga za piecem, w ciepłéj, nowéj, białéj chacie; tylko jédz, śpij i używaj!

I tak daleko serdeczném marzeniem leciało dziewczątko, że się już widziało gosposią, matką, siwowłosą staruszką; ogromne pełne zboża zasieki, stajenki pełne bydła, podwórko ptastwem bielejące... i — sen w końcu skleił powieki zwilżone łzą niespokojnéj radości.

Gdy się zbudziła Marysia, ujrzała nad sobą matkę bladą, wyżółkłą, chudą, jakby przez tę jednę noc dziesięć jéj lat przybyło, z kijem w ręku stojącą nad jéj pościołką. Po narzuconéj na plecy świcie, po białym rańtuchu, po starych butach, które na nogi wdziała Motruna; poznała Marysia, że się gdzieś wybiera, i sądząc, że myśli iść po wodę, żywo skoczyła, by ją uprzedzić.

— A dokądżeto? dokąd? matuniu? — spytała przestraszona, — i po co ci wstawać było?

— Leż dziecko, leż, ja na wieś pójść muszę.

— Na wieś? po co? to mnie poślijcie.

— Nie można, serce, nie można gołąbku kochany; pójdę do Sołoduchy, poradzę się jéj na niemoc moję.

— Ja ci tu Sołoduchę sprowadzę.

— Nie, nie! ty się pozostań w chacie: mnie taki saméj trzeba.

— Aleś ty słaba.

— To nic, dojdę o kiju, dojdę... A tobym się rozleżała na nic... Ot zaraz i powrócę...

Marysia chciała się opierać, ale Motruna milcząc drzwi otworzyła i choć chwytając się za ściany i uszaki, szybko wyszła na podwórko.

Dziewczę wyjrzało tylko za nią z bijącém sercem, zawołało jeszcze raz pocichu, i pozostać musiało.

— Otóż kiedy tak! — pomyślała upinając spódniczkę i narzucając fartuch na głowę, bo dzień był wilgotny, — zwinę się i przyniosę wody, rozpalę ognia, przygrzeję juszkę nim matka powróci... Zobaczy, jaka ze mnie gospodyni.

Gdy się tak ochoczo krząta w chatynce, Motruna tymczasem powlokła się do wsi nieboga. A tak to jéj teraz zdało się daleko! Co ujdzie kroków kilkanaście, to stanie i odpoczywa, i wciąga powietrze, jakby go już brakło na świecie; i znów pośpieszy niecierpliwa, a wnet przysiada, bo drżą nogi, bo się w głowie kręci. Idzie tak, idzie do chaty Sołoduchy, bo to stara znachorka i całéj wsi lekarka; ale chata daleko, daleko, na drugim końcu sioła, a sioło wielkie, a droga górzysta.

Młodyby przebiegł w minut kilka, co jéj iść było potrzeba godzinę; dobrze jeszcze, że po drodze to płot, to ścianka, to kamień, to drzewo, oprzéć się lub przysiąść pozwoliły; a i tak ciężko dźwignąć niemocy ciało, które się ołowiem zdaje. Chata Sołoduchy jakby coraz uciekała, ale wreszcie już ją widać: postrzegła wrota i jakoś lżéj na sercu, że choć w drodze nie padnie.

Dwie biedy najprędzéj się jakoś zbliżą do siebie. Sołodusze także świat nie był rajem, choć jéj nędza ani w połowie nie doszła do nędzy cyganichy. Naprzód stara miała męża dziada, ślepego prawda, niezdarę, pijaka, haraburdę, który jéj często gęsto boki łatał i głowy nadszczerbił; ale téż sprytny włóczęga i groszaki przynosił, i nieraz torbę pełną sucharów i wszelakiéj ludzkiéj jałmużny. Miała chatę pilnując wrót na łan i sposób do życia ze swego znachorstwa. Bóg wié jak jéj przyszła ta mądrość: ot tak, po prostu z wiekiem i zmarszczkami. Ten i ów jéj się poradził, pomogła jednemu i drugiemu, zaczęto ją

brać do słabych niewiast za babkę, a potém już i febrę i łamanie w kościach, i czego nie nauczyła się leczyć! W ostatku cała wieś innéj nie miała lekarki.

Niebardzo ją ludzie szanowali, bo Sołoducha językiem nie darowała nikomu; ale aby kto stęknął, szła koza do woza — i ot... tak się żyło z cudzéj biedy.

Stary Rataj (byłoto rodzinne nazwisko męża Sołoduchy) nie żebrał ciągle i nie wałęsał się nieustannie po drogach, bo był leniwe dziadzisko, i albo w karczmie zasiadywał, albo do góry brzuchem leżéć lubił; ale byle odpust, prażnik, jarmarki i święto, wdziewał torby i w pochód ruszał.

A tak sobie doskonale dawał rady choć oczy stracił, że i powodyra nie potrzebował, i gdziekolwiek stanął, wiedział co z sobą począć, kędy się obrócić, nie pytając ludzi.

W polu, w lesie, we wsi, wśród najrozmaitszych dróżynek, które latem lada przypadek po polu kreśli, kierował się śmiało, że ludzie z podziwu stawali patrzeć, i ramionami ruszali. A choć się czasem zapił, to póki tylko na nogach się trzymał nie zbłądził nigdy; i padłszy spać, miejsce sobie wybierał dobre, a rozbudzony nie pytał gdzie wódkę wytrawił: strząsł się, zamruczał, i daléj w swoją drogę.

Dobrze się z żoną dobrali oboje.

Hulali póki sił stawało, Sołoducha chodziła jakto mówią na Podole, to jest włóczyła się całemi miesiącami nie zaglądając do domu; Rataj probował różnego chleba: bywał na wozie i pod wozem, nareszcie zeszli się znowuż na starość i siedli razem wrót pilnować, kłócić się i gderać. Sołoducha była kobiétą słusznego wzrostu, silną jeszcze, krzepką, wyszczekaną i w istocie znachorką wielką. Chorobę jak chorobę, nie wiém czy poznała; ale człowieka na wylot. Dość jéj było spojrzéć w oczy lada komu, gotowa była powiedzieć co myślał; a śmierć to tak czytała z wejrzenia, że kiedy pokiwała nad kim głową, już mu się pewnie niewiele należało.

Brali ją téż i do wsi sąsiednich nieraz, i nie sami chłopi, ale ekonomowe, popadye, ba! nawet z Rudni szlachta czynszowa siedząca na budkach. W chacie niedostatku nie było przy dwojakiém rzemiośle, i gdyby był statek, mógłby być dostatek; ale oboje na starość wódkę polubili, i Rataj i Sołoducha, a przemyślny żydek i nielepszy od niego szynkarz szlachcic, byle podpoił, karbował nielitościwie.

Bywało tak, że stara zawiąże już kupkę groszaków w węzełek i schowa je na złe dni, a Rataj wetknie gdzieś w kątek przyniesioną jałmużnę, także od biedy ją chowając; ale w dni kilka i on i ona dobędą zapasu i przepiją wesoło. Jednakże nie brakło im chleba i wygody, bo Sołodusze nikt nigdy nie odmówił ze strachu, żeby nie oczarowała, a Rataj tak nudnie żebrał, że z kamieniaby grosz wydusił; a i wrota, choć rzadko, dawały szeląg przecie.

Stary doskonałe miał ucho, i byle zaturkotało co na pana, wybiegał otwierać sam kłaniając się do ziemi, a białe swe oczy podnosząc potém do góry, aby ślepotę ukazać; ręką i głosem domagał się datku tak drapieżnie, że nie jeden bez ochoty rozwiązał dlań ściągniony woreczek.

Oboje mimo nałogów swych nie byli wcale złemi ludźmi, i gdy mogli, chętnie dobrze czynili, a nikt nie powiedział, żeby komu w czém zaszkodzili.

Sołoducha siedziała w progu, zapięta fartuchem, brodę trzymając na kolanach, a za nią w sieni leżał dziad na garści słomy; gdy ujrzała idącą ku sobie biedną Motrunę. Spojrzała tylko zdaleka i poczęła kiwać głową.

— Aj! aj! — rzekła — ktoby to powiedział, żem to ja ją znała dziewczyną, dzieckiem, a matka jéj nawet była młodszą odemnie. Ot! dziś stara jak ja, a gorzéj słaba odemnie... To tobie cygan! to tobie kochanie!

— O kim to ty mówisz? — odezwał się Rataj.

— A o kimże, — kiedy nie o cyganisze! Wlecze się biedota, ani chybi, żeby jéj co poradzić; ale komu życia zabraknie, to go żadne nie da ziele: już to ja widzę zdaleka, i dawno wiém, że do zimy nie dożyje nieboga! Tylko się duch w ciele trzyma, a szpary szuka żeby uciec...

— Oj! oj! jaka ty znachorka, babo przeklęta! — zawołał stary ze swego barłogu — żebyś ty tak znała swoją ostatnią godzinę jak ty co wiész. Ot! ludzi czmucisz, a porzuciłabyś mnie durzyć; czyto ja ciebie nie znam!

— Milcz stary! jeszcze ja i tobie ostatni dzień wypowiém.

— A! nie doczekanie twoje, gadzino!

I byliby się skłócili, gdyby Motruna nie nadeszła w téj chwili.

Sołoducha, którąśmy widzieli przed chwilą ząb za ząb ujadającą się z mężem, przybrała na zawołanie fizyonomię swojego stanu: łagodną, zamyśloną, tajemniczą, a choć Motruna była tylko biedną, ubogą sierotą, powitała ją z nadskakiwaniem.

— Aj! cóż to tobie hołubeczku moja! Czy nie słaba ty! — zawołała do zbliżającéj się cyganichy.

— Słaba! gorzéj niż słaba — odpowiedziała przerywanym głosem Motruna — przyszedł czas umierać!

— Cóż to gadacie; krzyż z wami! Albożto sobie kto sam śmierć przepowié! No! no! cóż ci to jest? powiedzno hołubko, a może co poradzimy.

— Gdzie tam! gdzie tam! — potrzęsła głową siadając na kłodzie Motruna, któréj nogi drżały i świat się w oczach kręcił.

Sołoducha trochę się uczuła dotkniętą tym brakiem ufności w swoją sztukę.

— Jużciż nie po coście do mnie przyszli, tylko po radę? — rzekła uśmiechając się.

— Oj! nie po radę, nie — zawoła spocząwszy trochę kobiéta — ale po miłosierdzie... Mnie już taki nie żyć, to darmo!

Dziad i baba pilniéj coraz przysłuchiwać się poczęli, a przybyła tak głosem przerywanym mówiła:

— Jużto ja nie dziś czuję, że umrzeć potrzeba niedożywszy siwego włosa... A! i nie żalby mi było świata, gdyby nie dziecina sierota!... Ot tak Sołoducho, matko kochana, życie uciekało, uciekało i uciekło; darmo ziele warzyć i zażegnywać, Pan Bóg wié co robi: przekleństwo ojca wisi nademną. Spokojniebym umierała, spokojnie, gdyby nie dziecina; ale we wsi nie ma cyganicha brata, nie będzie miéć cygańskie dziecko opiekuna. Marysia moja zwala się i przepadnie. Takiéj męki jak moja, wy nie rozumiecie, Sołoducho. Żyłabym żyła, żyła i męczyła się, żeby dziécię wychować, a to Bóg nie pozwala za grzechy moje. A! co się stanie z Marysią moją!

— Albo to Pana Boga nie ma? — odparła Sołoducha — albo to na świecie wilcy nie ludzie?

— Oj! jest Pan Bóg, jest, ale srogo za grzech karze; a ludzie...

— At! ludzie — mruknął dziad z barłogu — diabliby ich brali: niewiele lepsi od wilków!

Nikt nie uważał na ten wykrzyk starego Rataja, a Motruna wciąż jak z gorączki prawiła swoje.

— Oj! dziecina, dziecina! co się stanie z moją Marysią! Tu śmierć przychodzi, a dziecko mnie za serce trzyma!

— Durzyciebo się darmo — odparła siadając przy niéj bliżéj Sołoducha — czyżto aby kogo głowa zabolała, zaraz i umierać? Ot, będziecie jeszcze zdrowi, powiedźcieno, co wam jest?

— Co jest? — śmiejąc się boleśnie mruknęła wdowa — to co jest, to już koniec; spytajcie chyba co było... Marłam, schłam, słabłam, codzień stygło ciało, codzień się zasuwały oczy, a ot, dziś, jutro koniec będzie.

— Porzućcie wy sobie prorokować.

— Darmo Sołoducho matko, ja bo czuję co mi jest; trzeba umrzeć, nie mnie już radźcie, a dziecinie.

Stara poczęła głową kręcić w milczeniu.

— Co tu poradzić — szepnęła — toć macie krewniaków?

— Swoi! swoi to zawsze najgorsi — odparła Motruna, nie ma co ich wspominać; radźcie inaczéj... Broń Boże na mnie końca, ta biedota sama się jak palec zostanie w chatynce i nie będzie jéj komu podać chleba kawałka; zginie marnie!

— Wezmą do dworu!

— O! to ostatni pohybel! — krzyknęła Motruna rzucając ręką — nie chcę, nie chcę! napatrzyłam się ja sierot, wychowanych we dworze... Marysia będzie ładna... twarz ją zgubi: wolałabym żeby z głodu zginęła a poczciwie. Ot, wiécie co Sołoducho... wy ubodzy jak ja, swoich dzieci nie macie, bądźcie wy matką Marysi.

Na te słowa wyrzeczone z wysiłkiem, na które rozpacz tylko zdobyć się mogła, Sołoducha porwała się z siedzenia, a dziad z posłania swego, i oboje krzyknęli coś niezrozumiałym głosem z podziwienia. Chwila milczenia złowróżbnego nastąpiła po ich wykrzyku,

który nietyle oznaczał wstrętu i niechęci, co jakiegoś przestrachu i zdumienia. Dziad i baba spojrzeli po sobie ukradkiem, a białe oczy Rataja choć ślepe, w stronę żony się zwróciły.

Motruna uchwyciła trochę powietrza i niedając im odpowiedzieć, ciągnęła daléj:

— Ona was nie objé przecie, a za troje zrobi; takiego dziecka drugiego nie ma tu na wsi; na nią i chatę zostawić można i posłać i powierzyć, bo wszystko zrozumié, a cicha, a pokorna! Mielibyście sługę za kawałek chleba, i dziecko gdyby własne.

Starzy milczeli jeszcze.

— Kiedybo widzicie — odparła Sołoducha namyślając się jeszcze — ot, co to gadać zawczasu; nie dumajcie darmo o śmierci, nie wywołujcie wilka z lasu.

— On już wyszedł i przeciwko mnie stoi, — odpowiedziała wdowa pocichu.

— Choremu zawsze śmierć na myśli.

— A weźmiecież wy moją Marysię?

Dziad stanął we drzwiach i począł przysłuchiwać się trzęsąc głową.

— Kiedybo widzicie — rzekła Sołoducha kręcąc w ręku róg fartucha — to się dobrze potrzeba namyślić, żeby znów na próżną miskę nie zaprosić. Wy wiecie, jakie życie nasze: jałmużna i miłosierdzie boskie; ledwie mamy chleba kąsek... Nie pożałowalibyśmy go, ale jéj u nas dobrze nie będzie.

— A gdzież jéj będzie lepiéj? Bogaty gospodarz gdyby i wziął, to będzie sierotą pomiatać. Wy swoich dzieci nie macie, samiście ubodzy, rychléj się zlitujecie nad biédactwem, oczu jéj przynajmniéj chlebem nie będziecie wykałać.

Znowu starzy milczeli, aż Rataj się nareszcie wywlókł o kiju z chaty i stanął przed Motruną.

— Słuchajno, sąsiadko — rzekł raźnie do cyganichy — co tu długo gadać... My Marysię weźmiemy, a jakby Sołoducha nie chciała, no! to jéj kijem boki wyłatam.

Stara rozśmiała się na całe gardło i poskoczyła do męża; nie rada była małżeńskich kłótni rozpościerać przed ludźmi.

— A! mój ty stary, — poczęła słodko — ciebiebo zawsze żarty się trzymają. No! no! schowaj kija na psy, jakoś my się zgodzim!

Rataj pomruczał coś i zamilkł; Motrunie łzy z oczu pociekły.

— Wy ją weźmiecie, wy się nią zaopiekujecie, bo jak nie wy, to już nikt; tylko nędza zna co to cierpiéć, i ulituje się nad sierotą... Sołoducho, matuniu, bądź jéj matką! ja za was i w grobie modlić się będę!

— Nie turbujcież się już o dziecko — przerwała baba — kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył.. Jeszcze wy ją sami wyhodujecie.

Cyganicha głową potrzęsła.

— Dziś, jutro — rzekła zcicha — to i koniec będzie. O mizerne ciało nie kłopoczę się, muszą mnie pochować, a kiedy teraz i dla dzieciny Bóg dał rodziców, to już choć umrę spokojnie.

I chwyciła za kij chcąc wstać, bo coraz słabszą się czując, rada była do chaty powrócić; ale ledwie wzbiwszy się na nogi, znowu opadła na kłodę.

— Gdzie wam iść do chaty, takiéj zmęczonéj — poczęła Sołoducha — trzeba odpocząć...

— Nie ma czasu! nie ma czasu! — z dziwném obłąkaniem zawołała Motruna — dojdę taki jeszcze choć do proga.

Sołoducha plasnęła w ręce.

— Nie zrywałabyś się lepiéj — rzekła — a kiedy wam już tak pilno, ot jedzie Mosiej parobek popadyń, to go poprosimy, i podwiezie was pod cmentarz.

— Gdyby on to chciał zrobić! — zawołała z westchnieniem Motruna.

— Ej! poczekajcieno, jam go wykurowała przeszłéj niedzieli z takiego czyraka pod pachą, że waryował, a nawet mi nie miał za co kieliszka wódki kupić; dam ja sobie z nim radę. — To mówiąc, kiwnęła tylko Sołoducha na parobka, pewna swego.

— Słuchajno! — rzekła do niego — coby ty zrobił, żebyś znowu dostał czyraka w pachwinie?

— A niech mnie Pan Bóg broni — krzyknął Mosiej — dobrze żem tamtego przeżył!

— No! to nie chcecie drugiego?

— Co tobie kobieto?

— Bo ja to tak tylko się pytam... Wy wiecie, że kto mnie nie posłucha...

— No! no! a czegoż wy chcecie odemnie! zapytał chłopak niespokojny skrobiąc się po głowie.

— Podwieźcie chorą cyganichę do chaty pod cmentarzem — szepnęła mu na ucho, — jéj się już nie wiele należy, do domu się już sama nie dowlecze.

— A, podwiozę, podwiozę, jeszcze na wóz wsadzę i z woza wysadzę — rozśmiał się Mosiej, rad że się na małém skończyło — tylko niech się dobrze okryje, żeby jéj ludzie nie poznali, boby mnie palcami w karczmie wytykali, żem się z nią pobratał.

Coś tam więcéj mówił jeszcze, ale go już nie słuchali, a Sołoducha pośpieszyła dopomódz biédnej Motrunie na wóz, który się z okrytą kobiecina potoczył powoli aż na drugi wsi koniec.

Choroba cyganichy, może skutkiem przestrachu o los dziecka, czy téż wielkiego nad siły znużenia, w drodze już do chaty wzrastać zaczęła, tak, że gdy Mosiej z woza ją u drzwi chaty zsadził, ledwie się potrafiła zawlec do łóżka.

W chatce było pusto, bo Marysia zbierała w kruhlaku suche gałęzie (holce), aby niemi ogień podsycić, a Motruna miała czas odetchnąć, nim nadbiegło dziécię wlokąc za sobą całe brzemie suszu.

Nie wiém zkąd nabrała znów sił wdowa, by się wziąć do pracy, ale z zaiskrzoném okiem poszła pocałowawszy dziecko w czoło do pustéj bodni, w któréj trochę tylko biélizny i parę sukman leżało na dnie. Z tąd wybrała sobie koszulinę, fartuch stary, i umywszy się zaczęła odziewać pośpiesznie, nic nie mówiąc Marysi.

— Czy to gdzie jeszcze iść myślicie, matuniu? — spytała zdziwiona sierota.

— Ot tak... może, może... trzeba będzie — odpowiedziała jąkając się matka — nie wiem, mam sprawę u pana.

— Aleście się i tak już dziś zmęczyli.

— Ej! nietyle! Mosiej mnie tu przywiózł ze wsi.

— Tobyście może poszli tam jutro...

— Kiedybo to sprawa pilna, a z panem nie żartować — rzekła wdowa, któréj się łzy w oczach kręciły i łkanie połykała ze słowy. — Nie bój się Marysiu moja; jak nie zdołam, to nie pójdę.

— Połóżcie się lepiéj — zaczęła świergotać dziecina, — ja zaraz ognia lepszego rozpalę i krupniku wam wczorajszego odgrzeję... Wamby się i posilić potrzeba.

To mówiąc pobiegła odgrzebać węgle starannie popiołem przykryte, a cyganicha jako-tako się odziawszy i zawinąwszy głowę rańtuchem, powoli przeszła z alkierza, i położyła się na łóżku.

Marysia uradowała się widząc, że matka jéj posłuchała, i żwawiéj jeszcze jęła się swojéj roboty. Wyciągnęła garnek z pieca, zdjęła pokrywę, i ledwie płomyk zabłysnął, przystawiła trochę dla matki schowanego krupniku; sama jak myszka zajadała ukradkiem suchy chleba kawałek, bo okrutnie czuła się głodną.

Motruna tymczasem milczała, i zmrużywszy oczy, zdawała się powoli usypiać; z czego rada Marysia, na palcach, cicho zwijała się po chatce. Już i krupnik począł parować, i miska i łyżka były gotowe, a Motruna głębokim snem zdawała się uśpioną. Dziewczę chrząknęło kilka razy, zakaszlało, myśląc że matkę przebudzi; ale ta tak była znużoną i potrzebującą spoczynku, że się ani ruszyła.

— Co jéj mój krupnik — pomyślała Marysia, zléwając go znowu do garnka i przystawiając do ognia, — sen ją lepiéj posili... a jadło nie uciecze.

Siadła więc na ławie, przyrzuciła gałązek, odsunęła garnek trochę i z oczyma wlepionemi w matkę, dech wstrzymując, by jéj nie przebudzić, przysiadła.

Motruna spała na pozór spokojnie, że ani jéj piersi oddech żywszy nie poruszył, ani drgnieniem żadném nie objawiło się cierpienie; twarz jéj stawała się coraz bledszą, oczy na wpół tylko przymknięte nie zdawały się już patrzéć na córkę, ku której ciągle się wprzód zwracały, a usta dziwnie rozwarte, pozostały nieruchome...

W tym śnie spoczynku, Bóg zesłał jéj odpoczynek wiekuisty — śmierć pożądaną po życiu boleści. Ale dziecię wdowy, które nigdy nie widziało umarłego, nie rozumiało śmierci i radowało się biedne, pozorném matki uspokojeniem.

Spoglądała na łóżko kiedyniekiedy, i bała się ruszyć, by nie przerwać snu błogiego.

— To dobrze — mówiła w duchu Marysia — choroba jéj snem przejdzie, posili się snem matunia, i wstanie mi zdrowa, zdrowiuteńka, wesoła! Taki sen! taki sen! nie pamiętam żebym ją kiedy widziała śpiącą tak głęboko: bywało żebym się ruszyła, to się zaraz obudzi... Wyraźnie licho tym snem przechodzi: ona go tak potrzebowała.

I cieszyło się i marzyło dziéwczę czekając przebudzenia, a twarz Motruny, z bladéj stawała się coraz bielszą, żółciejszą, siną nareszcie, i dziwna, straszna barwa śmierci rozlała się po niéj powolnie. Marysia patrzała na nią, i nie pojmowała nieszczęścia swego.

Przyszło południe — nie obudziła się matka; zdrzémnęła się Marysia pilnując krupniku i ognia, przebudziła, usnęła znowu i w téj jednostajnéj ciszy ani postrzegła, jak zachodzące słonko zajrzało w okno pomarańczowym swym blaskiem, którego promień wprost padł na lice umarłéj.

Zdziwiło się dziecko widząc słońce tak nisko, dzień tak szybko na drzémce i czekaniu spędzony, a matkę uśpioną jeszcze i ciągle uśpioną.

Ale niezwyczajność snu tego, nieruchomość Motruny, coraz większą, upartszą nadzieją napawały serce biednego dziecka, nie domyślającego się nieszczęścia swojego; była pewna, że po tym śnie matka się jéj zdrową przebudzi.

Już i mrok padać zaczął, a ona wciąż po gałązce dokładając do ognia, siedziała z okiem w łoże wlepioném. Nadeszła noc, nic się niezmieniło w chacie.

— Śpi matka! śpi dobrze! — mówiła Marysia — nie trzeba snu jéj przerywać; wątpię, żeby już w nocy jeść chciała.

I odstawiła garnek z krupnikiem, a zaświeciwszy kaganek w glinianéj miseczce, żeby mieć ogień pod ręką, sama cichutko spać się układła, nie rozbierając się nawet, żeby zbyt mocno nie usnąć.

Oczekiwanie, niepokój, przymuszona nieruchomość, tak ją znużyły, że ledwie głowę do pościołki przyłożyła, schwycił ją sen twardy, sen młodości; i dzień zaświtał przez szybki zakopcone, gdy znów otworzyła oczy, żegnając się zdziwiona, jak noc długą jednym tchem przespać mogła.

Pierwsze jéj wejrzenie było na matkę, którą przy blasku dogorywającego kaganka i rannego świtu ujrzała w tém położeniu, co wczoraj: nieruchomą, a dziwnie białą i bladą. Bladość ta pierwéj stopniami przychodząca, nie tyle ją uderzała; teraz świeżemu oku zdawała się przerażającą.

Zbliżyła się powoli na palcach do łóżka, poczęła przysłuchiwać, przyglądać; ale ani tchu, ani drgnienia dobadać nie mogła.

— Ależto sen się jéj udał! — rzekła w sobie — dziwny sen jakiś, kamienny! Ani się obróciła, ani tchnie, ani ruszy.

I dotknęła zlekka, ostrożnie ręki umarłéj, a uczuwszy ją chłodną i jakby kamienną, zadumała się głęboko. Ale myśl śmierci nie przeleciała jéj przez głowę; miała to jeszcze za dziwną chorobę, za dziwny sen słabości. A że u prostego ludu często w istocie snem boleść najcięższa przechodzi; że o niejednym takim słyszała wypadku: uspokoiła się po chwilce dziewczyna, dziwując się tylko osobliwszéj słabości, która się tak dziwnie, według mniemania jéj, kończyła.

Znowu dzień przeszedł jak wczoraj. Marysia rozpaliła ogień, zgotowała świeżego krupniku z ostatkiem omasty, a wczorajszym zakwaśniałym już, trochę się z chleba kawałkiem posiliła, i ośmieliła wyjść na próg, ażeby świeżém odetchnąć powietrzem.

Ale niepokój wkrótce ją nazad pociągnął ku chatce; ledwie czas miała okiem rzucić na wiosenny świat Boży, po kilkodniowéj plusze występujący w blasku słonecznym i srebrzystych szronach zapowiadających pogodę.

Błoto było przykrzepłe, gałązki drzew całe w brylantach, trawy, słomki, listki poschłe aż do źdźbła najmniejszego: wszystko w błyszczącym jednakim stroju. Cmentarzyk ze swemi wierzbami i wysokiemi trawami zwiędłemi, połyskiwał od błyszczących lodu igiełek, które aż uśmiech wesela wywoływały na usta Marysi.

— Jakże to ładnie! jakże wesoło! — zawołała — ale jak pusto... Ani ptaszyny, ani wrony, ani sroczki, i wróble nawet moje gdzieś powędrowały pod cieplejszą strzechę.

W istocie na drodze okrytéj grudą świeżą do koła jak zajrzéć, żadnego żywego nie było widać stworzenia, a cisza grobowa! Marysia chwilę popatrzała z progu i zawróciła się do chaty. Matka spała nieporuszona, nieprzebudzona, snem ciągle jednym, niepojętym.

Nadeszło południe, a dziewczę instynktowy jakiś począł przejmować niepokój: podchodziła ku łóżku, przysłuchiwała się, wracała, chodziła głośno, pokaszliwała, chcąc przebudzić matkę, stukała czerpakiem i garnkami, ale nic nie pomogło.

Już się i wieczór zbliżał, a Motruna nie wstawała, nie dawała życia znaku, i noc zapadła znowu, a Marysia zdrzémnęła się nie chcąc się kłaść spać na przypiecku.

Noc miała niespokojną, bo jéj się ciągle zdawało, że już matka przebudzić się powinna, że się przebudza; zrywała się, biegła i siadała, znowu mimowolnie snem znużona padając. Brzask dnia drugiego całkiem ją wreszcie przebudził; uderzyła ją bladość Motruny, poczęła dumać co począć, przejęta strachem.

— Możeby ją trzeba przebudzić! Dwa dni, dwie nocy, to już zadługo!

Ta myśl pognała dziewczę ku matce; ujęła ją za rękę zlodowaciałą i przestraszyła się czując ją zdrętwioną, jakby drewnianą, a ciężką i bezwładną; poczęła zlekka poruszać, mówić, trącać... ale i to nie pomogło.

— Potrzeba iść do Sołoduchy — zawołała sama do siebie — to nic nie pomoże, ona znachorka, będzie wiedziała jak na taki twardy sen poradzić; matka się zawsze udawała do niéj. Postawię krupnik na zydelku na przypadek gdyby się obudziła, polecę i duchem powrócę.

To rzekłszy Marysia zarzuciła na głowę sukmankę podartą, i przymknąwszy drzwi chaty, biegiem popędziła na drugi koniec wsi do Sołoduchy.

Rataja dnia tego w domu nie było, bo nazajutrz przypadał jarmark w miasteczku, a dziad dla zabrania lepszego miejsca pod cerkiewką, wcześnie się nań wybrał. Sołoducha sama kręciła się po chacie, warząc coś u komina, gdy Marysia wbiegła zadyszana.

Starucha ciekawie obróciła się ku niéj.

— Co tam hołubko? — spytała.

— Oj! matuniu! sąsiadko! — zawołała Marysia żywo — coś mi moja chora.

Sołoducha tylko głową pokiwała.

— A co to jéj jest?

— Jakoś na nią dziwny sen przypadł, matuniu, jak poczęła spać już trzeci dzień temu powróciwszy od was, ani się ruszy już dwie doby, a tak czegoś zastygła, a tak strasznie pobladła, i tchu — nic!

Stara Sołoducha plasnęła w ręce, z których jéj łyżka wypadła.

— Aj! oj! co ty mi gadasz?

Marysia przestraszona wyrazem twarzy Sołoduchy, wlepiła w nią wielkie oczy, w których się już łza kręciła.

— Śpi, śpi, — rzekła ciszéj — probowałam obudzić ani sposobu: a taka zimna.

— Krzyż z tobą! — zawołała stara — a toć ona pewnie umarła!

Ten straszny wyraz, którego dobrze nie zrozumiała Marysia, jak piorun daleki obił się o jéj uszy; zastanowiła się nad nim chwilę milcząca, ale wnet zaprzeczyła.

— Ale ona śpi tylko! śpi tak mocno! — odparła. — Wy znacie lekarstwa, wy ją możecie obudzić.

Żona Rataja spuściła głowę, zmarszczyła brwi i milcząca nic nie odpowiedziawszy, poszła do kąta wdziewać kożuch na siebie.

— Pójdziemy, — zawołała przygaszając ogień trochą wody i zagrzebując głowienki popiołem, — pójdziemy zobaczyć, moje dziecko!

Chatę na drewniany klucz zamknięto i stara ruszyła zadumana z dziewczęciem, które do jéj powolnego chodu ledwie się zastosować mogło, tak pilno mu było do matki.

Droga śmiertelnie nudną i długą wydała się Marysi, któréj nawet widok ulubionego ptastwa i gwaru wsi rozerwać nie mógł. Z okiem wlepioném w ziemię szła za staruszką powoli i co krok wzdychała.

Pod górę, ku chatce, Sołoducha choć o kiju, niełatwo się wdrapała; kilka razy musiała odpoczywać, a doszedłszy do progu, siadła wydychać znużenie, nim weszła do lepianki. Marysia ją uprzedziła, spojrzała na łóżko: jakaś czarność plamami wystąpiła na zmęczone oblicze matki... a twarz jéj była tak okropnie zmienioną, że myśl śmierci ujęła serce sieroty szponami strachu i przeczucia.

A wtém i Sołoducha weszła na próg, popatrzała i ręką zamachnęła szeroko.

— Zbliżcieno się, zbliżcie!

— A po co? — zawołała lekarka — ona umarła! ona dawno umarła!

Marysia jak stała, tak załamawszy ręce, szlochając padła na ziemię.

Stara znachorka niedługo zabawiwszy w chacie, powlokła się, napróżno probując odciągnąć Marysię ku dworowi. Potrzeba było dać znać do pana, do księdza, żeby ktoś przecie litościwy o domowince (tak lud zowie trumnę), o grobie, modlitwie i ubogim pogrzebie pomyślał.

Po drodze kogo spostrzegła Sołoducha stawała każdemu opowiadać, jak Motruna od trzech dni już umarła, a sierota śmierć za sen tylko wzięła, utyskując, że teraz nie wiedziéć kto zmarłą pogrzebie.

Wieść lotem strzały rozbiegła się po wiosce, a ciekawsi poczęli powoli ściągać się już do chaty cygana i obiegli drzwi izby, w któréj Marysia jęczała klęcząc na podłodze.

Tymczasem we dworze niepokój się stał wielki, bo się obawiano, żeby ksiądz nieodmówił pogrzebu, i żeby urzędu nie było potrzeby sprowadzać dla dochodzenia przyczyny śmierci. Ale Sołoducha zaradzając temu, poszła i na plebanię do dobrodzieja i dobrodziéjki, opowiadając jak się to jéj chora radziła, jak oddawna niedomagała, i rozczuliła ich historyą sierotki, która snem śmierć sądząc pilnowała trzy dni umarłéj. Nikt potém nie myślał wstrzymywać cyganichy pogrzebu.

Nie było tylko komu dać desek na trumnę, dołu na cmentarzu wykopać, i zająć się ostatnią posługą.

Szukano krewnych po siele, wmawiając im obowiązek; ale ci głusi nań byli i jeden na drugiego ciężar zrzucał; dwór także nic na siebie brać nie chciał, a tak zwlokło się to do wieczora.

Dopiéro ksiądz sam poszedłszy do dworu, przyśpieszył obrzęd pogrzebowy i o mroku już wydano tarcice, a trumnę począł cieśla za pańszczyznę.

Niewiele téż tam koło niéj było roboty.

Kilka babek pobożnych przyniosły świeczki, ktoś z bractwa dobył cerkiewnego krzyża i postawił go przy umarłéj, a choć nie było komu sprawić wieczerzy i wódką przyjmować, znalazły się dwie pobożne niewiasty, co ciała przez noc pilnowały.

Chciano od niego odciągnąć Marysię, ale dziewczę wypłakawszy co łez miało, jakby odwagą jakąś natchnione, wyprowadzić się nie dało.

Gdy nad rankiem białą przyniesiono domowinkę, z sosnowych desek skleconą, gdy przyszło w trumience złożyć zwłoki: Marysia sama pomagała kobiétom, sama pod głowę podesłała poduszczynę, otuliła nogi matce, złożyła ręce, i ostatnia ucałowała ją, gdy wieko na wieki zabijać miano!

Prawdziwy to był pogrzeb ubogiego, w którym nie zachowano obrzędów i zwyczajów starodawnych: każdy nim zajmując się z łaski, co prędzéj ciężaru pozbywał.

Grób ktoś wykopał przez miłosierdzie i wązko i płytko, byle ziemią trumnę przyrzucić; krzyżyk zbito z dwóch kijów ledwie z kory odrapanych, a o świcie przyszedł diak tylko, kilku ludzi z bractwa, jeden krzyż i jedna czarna żałobna chorągiew. Pochód téż z chaty na cmentarz nie był długi: przez drogę ino na mogiłki, u których wrót pod starą wierzbą czekała wykopana jama.

Marysia wyszła za ciałem z Sołoduchą, z babkami, krokiem śmiałym i poprowadziła matkę do domu spoczynku. Pierwsza choć z jękiem, rzuciła garść wilgotnéj ziemi na trumnę, która wkrótce pokryła się ubitą łopatami, ledwie nad poziomem cokolwiek wzniesioną mogiłą. A że stypy nie było w ubogiéj lepiance i nikt z litości nawet nie kupił strawy i wódki; co się zeszło na pogrzeb, rozbiegło się zaraz po nim.

Marysia usiadła na mogile i poczęła płakać, płakać, aż zawodziła z żalu biedaczka.

O kilka kroków stała zamyślona Sołoducha, przebierając w ręku węzeł od chusty, zadumana głęboko, jakby się wahała co ma począć.

— Prosiła mnie nieboszczka, żebym ja ją wzięła — mówiła w duchu — ale co to sobie na karku sierotę uwiązać; nietyle zrobi co zjé, nietyle pociechy co kłopotu. A znowu szkoda żeby to się tak miało zwalać a kto zechce wziąć, jeśli dwór nie weźmie, choć i we dworze nie raj! Namby to tak bardzo nie zaciężyło, wyręczałabym się czasem: byłoby kogo choć po wodę posłać. Nieraz jak stary polezie w świat, choć do ściany gadaj!! Co tu robić?

I tak źle i tak nie dobrze... E! wezmę, dalibóg wezmę! Niezłe być musi dziecko, bo biedy zaznała, a do pracy przywykła.

I posunęła się Sołoducha, podeszła i znowu zatrzymała się namyślając, niepewna co pocznie.

— Słuchajno Marysiu — zawołała nareszcie, — a dość już żale zawodzić: wstawaj, i chodź ze mną.

Ale dziécię nie posłyszało zrazu; i stara musiała je ująć za rękę, a siłą prawie wywieść do cmentarzowéj furtki. Marysia nie opierała się wcale, szła jakoś bezwładna, spłakana, posłuszna choć niechętna, trzymając ciągle fartuszek przy oczach, i gwałtownie szlochając chwilami.

— No! dałabyś już pokój, — mówiła znachorka — łzy nic nie pomogą, wszyscyśmy się na to urodzili, żeby umrzéć, to darmo! Już jéj płaczem nie wywołasz z pod surowéj ziemi i żółtéj mogiły i pomyślmy o sobie.

Marysia nic nie odpowiadając sparła się tylko o słup u bramki, i znowu zaszła z płaczu.

— Bóg z tobą, — ciągnęła daléj Sołoducha — chodź, chodź; nie ma tu czego dłużéj dosiadywać; przeżegnaj się, pomódl i pójdziemy do chaty.

To rzekłszy, a widząc, że słowa pomagają mało, ujęła ją za rękę, wywiodła na drogę, i stanąwszy naprzeciw chatki cygana, zatrzymała się.

— A może tam masz co do zabrania? — zapytała.

— Jakto? dokąd? — odparła niewyraźnie podnosząc na nią zdziwione oczy dziewczyna.

— A juściż pójdziesz do mnie?

— Po co?

— A jakże tu zostaniesz sama?

— Jak? a toż nasza chata, po cóż mi szukać cudzéj?

Sołoducha osłupiała, zamormotała coś pod nosem do siebie, ruszyła ramionami i przeżegnała się powoli.

— Alboż to ty myślisz tu zostać?

— A jużciż? a gdzież mam być? spokojnie odezwała się Marysia.

— Krzyż Pański z tobą! A cóż będzie! sama jedna! sama jedna!

— Kiedy nikogo nie mam, to i sama: cóż robić?

— A jakże ty sobie dasz radę?

— A jak my sobie z matką słabą rady dawały? Biéda była, a z głoduśmy nie pomarli, biéda będzie... Taka już dola... a swoja chata takito swoja.

Sołoducha uszom swym wierzyć nie chciała.

— Toć przyjdzie noc — rzekła, — a ty samiusieńka jedna, to ci strach będzie.

— Strach? czego? — zapytała Marysia.

— A cmentarz! — rzekła baba po cichu.

— Ja od dziecka bawiłam się na cmentarzu i dniem i nocą... — westchnęła Marysia — czy to mnie nowina.

— A matki mogiła! Bóg z tobą!

— A czyżbym ja się matki bać mogła! — zawołało dziewczę z płaczem.

Stara słuchała i nie mogła pojąć Marysi, która ocierała oczy i odpowiadała jéj tak śmiało, tak dziwnie spokojnie, jakby położenie jéj, sieroctwo, przyszłość, nic w sobie ani zastraszającego, ani nadzwyczajnego nie miały. I znowu zaczęła potrząsać głową, mruczéć pod nosem, a z pod brwi siwéj ciekawe rzuciła na sierotę wejrzenie.

— To ty myślisz tu zostać? — zawołała po chwili — sama jedna, ot tak jak palec! No!...

— Wszak inaczéj być nie może! — szepnęła Marysia — ta chatynka, to ojcowizna moja, to mój domek, a jakbym ja go porzuciła, alboby się to rozsypało, alboby dwór kogo innego osadził.

— A ktoby tu chciał siedzieć! przerwała Sołoducha — za żaden grosz! Chodźżeno do chaty, chodź; pogadamy, pomiarkujesz się, bo ty sama nie wiész co gadasz.

Znów stara ująć musiała dziéwczę za rękę, i nie opierającą się, ale bezwładną wprowadzić do pustki.

Nigdy ta jama nie była wesołą, nigdy się w niéj nic nie uśmiechało do człowieka; ale teraz straszliwie była smutną: pełno śmierci wszędzie. Pogrzeb, który tylko co z niéj

wyszedł, pozostawił po sobie ślady. Leżała kupka trzasek i wiórów od trumny przyciosywanéj w izdebce, dwa polana na których *domowinkę* stawiano; na ławie chleba bochenek, przyniesiony przez litościwą niewiastę jakąś do przykrycia trumny, a zostawiony bo niepotrzebny, i ręcznik gruby, którego także nie użyto, a którym chléb ten miał być obwiniętym. Łóżko nie zgarnięte jeszcze, nosiło ślady ciała, które na niém zbyt długo, czekając pogrzebu leżało; po kątach wszystko w największym nieładzie i rozsypce. Na kominie i w piecu ogień był wygasł zupełnie, a chłód wiał przykry po domku.

Sołoducha posadziła na przypiecku dziewczynę, która na widok izby tyle jéj przypominającéj, rozpłakała się znowu; a sama poczęła się przechadzać zamyślona.

A że była do roboty i porządkowania przywykła prawie machinalnie, bo i w domu na niéj gospodarstwo leżało, i u ludzi gdzie do chorego poszła, często się ładem zajmować musiała; nie wytrzymała, żeby trochę nie pozgarnywać tu i owdzie i nie poustawiać.

Tam przewrócone do góry dnem i pod ławą leżące podniosła wiadro, tu znów dobyła ognia i podnieciła go trzaskami, aż wreszcie dopadłszy miotły w kątku wyszarzanéj i zeschłéj, sprobowała jéj, ruszyła ramionami, i zaczęła wymiatać śmiecie, gromadząc do progu. Marysia wciąż siedziała z oczyma wlepionemi w łóżko, na którém spoczywała matka, a łzy jéj przerwane na chwilę, dziurgiem znów biedz poczynały.

— Taż to czyste pustkowie! — obejrzawszy znów wszystkie kąty, poczęła Sołoducha — nie ma nigdzie a nigdzie nic: gałganów trochę, zapasu żadnego... jak wymiótł... gdyby po wojnie. A co ty tu poradzisz taka młoda i niesilna? Żeby mnie tu kto staréj kazał i zapłacił za mieszkanie; żebym sobie wszystko z palca wyłamała... choć doświadczeńsza od ciebie i taki umiejąc coś zarobić; a jednak urwawszy się uciekłabym! Ty tu zginiesz!

— Zginąć! to zginę, a taki ztąd nie pójdę — ocierając oczy zawołała dziewczynka stanowczo — to moja ojcowizna, to moja chatynka: ja jéj nieporzucę. Myśmy tu z matką żyły, biedowały; jam tu wyrosła, na nogi stanęła, świat zobaczyła... ona tu umarła. A! nie! nie! to święty kąt dla mnie, ja nie porzucę, nie porzucę chatynki mojéj.

Sołoducha, która zrazu nie miała wielkiéj ochoty brać sobie na kark dziewczęcia, jakoś poczęła się rozmyślać, a może i natura lubiąca trochę na przekór drugim czynić, naprowadziła ją na uparte naleganie. Im bardziéj Marysia chciała zostać, tém baba mocniéj zaczynała namawiać ją do siebie.

— Co tu długo mówić — rzekła wreszcie stając przed sierotą — matka twoja jak poczuła się źle, a życia jéj już nie stało, sama się przecie do nas przywlokła, a z czém? wiesz ty z czém? — zaklinała mnie i mojego starego, prosiła żebyśmy cię przytulili... Umierającemu nie odmówić. Rataj i ja, choć samym nam ciężko, chleba ci nie pożałujemy; służba u nas nie straszna. W chacie taki i ciepły kąt i strawa się znajdzie, a tu ty z głodu umrzesz!

Marysia słuchając staréj, powoli oczy otarła, wstała i rzucając okiem po izdebce, poczęła przerywanym głosem, który co chwila więcéj mocy nabierał:

— Posłuchajcieno matko, dobre serce macie, Bóg wam zapłać, i tobie i staremu Ratajowi; ale z tego nic nie będzie! Chcecie się opiekować sierotą, ot, czasem na mnie najrzyjcie, dowiécie się, rzucicie chleba kawałek jakby go bardzo zabrakło; ale ja taki tu zostanę! ja tu zostanę! Ojciec tę chatę budował, matunia w niéj żyli i zmarli; a ja... ja ją tak kocham, że mnieby serce pękło, gdybym otwierając oczy z rana nie zobaczyła ścian jéj popękanych, żebym wyszedłszy na próg, nie postrzegła wierzb cmentarza.

— Ale na krzyż Pański — zawołała stara — ano podumaj, ano pomiarkuj, jakże to sobie dasz rady?

— A jak my z matką dawały?

— To was dwie było do pracy.

— I dwie téż było do życia; a mnie jednéj czy to tak wiele potrzeba?

— A gdzieżeś ty słyszała, gdzie to widziana rzecz — zakrzyknęła Sołoducha — żeby dziewczyna, i nie dziewczyna, bo taki dziecko, sama jedna sobie żyła i gospodarowała? Taż to nie może być, to nie może być! Jak gospodarz zostanie jedynakiem, to sobie kogoś szuka i znajdzie, a nie dopiéro tak jak ty wyrostek, sierota!

— Wieleto rzeczy matko po świecie nie bywało, a jak pora przyjdzie na nie, to się muszą stać, choć się im ludzie dziwują! — odparła dziewczyna kiwając głową. — Cóż ja na to poradzę żem sama? Matki sobie nie kupić, Pan Bóg ją raz daje, ojca nie wyprosić! Myślicie, że ja tak opuściwszy ręce z głodu umrę?

— To chyba pójdziesz po żebraninie?

— Nigdyśmy nie żebrali i żebrać nie będziemy — zawołała Marysia podnosząc oczy na starą, która zapewne wspomniawszy swego Rataja, dziwnie zacięła usta.

— I to chléb jak i drugi — poprawiło się dziéwczę postrzegłszy niezręczność swoję — ale ja go nie chcę. Juściżem młoda i zapracuję; nie bójcie się, nie bójcie!

I przystąpiła do Sołoduchy z wyrazem tak ujmującego przymilenia całując ją w pomarszczoną rękę, że baba choć zagniewana świeżą poniewierką żebractwa, rozdobruchała się powoli.

— Na co się wam obciążać sierotą, kiedy nadto chleba nie macie — odezwała się po chwili Marysia — wszak i tak nie biorąc mnie do chaty, wiele mi możecie dopomódz. Ot pozwolicie mi czasem przyjść, poradzić się, pożalić, pogadać; a jak już czasem niestanie ani okruszyny, to mi rzucicie okrawek suchara, albo lepszą od niego dobrą radę, słodkie słowo.

Stara uśmiechnęła się potrząsając głową.

— Oj dzieciaku ty, dzieciaku — rzekła — co to się tobie roi w głowinie! Gdybyś w ostatku i chléb miała, bo wszyscy ludzie miłosierni jeszcze nie wymarli; a jak się obejdziesz bez twarzy, bez mowy, bez żywego ducha w téj pustce? A jak ci przyjdzie dni całe, nocy całe samiuteńkiéj siedziéć na ławie, aż ci duma głowę prześwidruje na wylot? Ja to znam! ja stara, mnie już wszystko obrzydło, a nieraz jak Rataisko się w świat powlecze, przyjdzie zostać saméj na dni kilka: człowiekby psa pocałował, żeby do niego zagadał, taka nuda, taka serce jé skuka! Cóż dopiéro młodemu, co mu jeszcze i gęba świerzbi i serce się tłucze!... Nie wytrzymasz! nie wytrzymasz mówię tobie!

— Wytrzymam, — odpowiedziała Marysia smutnie, ale stanowczo — nie będę ja sama: ściany i ławy gadać mi będą, matuniu, a mam tu pełno znajomych w kolusieńko; wróble i myszy nawet mnie znają.

Sołoducha splunęła ruszając ramionami.

— A! a! probujże — rzekła uśmiechając się, — zobaczymy jak długo pociągniesz... I taki się dziś zaraz chcesz tu zostać?

— A cóż? — spytała dziewczyna — zostanę.

— Bo ja iść muszę — biorąc za kij rzekła baba. — Bywajże mi zdrowa; a jak dokuczy, pamiętaj, że u nas masz zawsze przytulisko... roboty ciężkiéj nie będzie... Bywaj zdrowa!

— Bywaj zdrowa! — powtórzyła powoli kilkakroć odwracając głowę i ozierając się na dziewczynę, która usiadła, sparłszy twarz na ręku i zadumała głęboko.

I wyszła Sołoducha nie dowierzając jeszcze, sądząc ciągle, że ją sierotka napędzi; ale napróżno się oglądała zwolna spuszczając ze wzgórza, bo drzwi chaty zostały zamknięte, i nikt za nią nie gonił.

Trudno się było w początku opamiętać Marysi rozpocząć to życie nowe, saméj jednéj, o swéj sile ale Bóg wlewa moc gdy jéj potrzebuje człowiek: cudów dokazuje wola, nawet w dziecięciu, cuda robi nędza. Nad wieczorem głód i chłód razem się dały uczuć dziewczynie; musiała wstać z przypiecka, naniecić ognia, pomyśleć coby jadła, czémby się zesłabła posiliła. W chacie nic prawie znaleźć nie mogła, na ławie tylko leżał podarek którejś z bab, chleb pogrzebowy, który miano położyć na trumnie, a choć go nie użyto, już go przesąd nazad zabrać nie dozwolił. Ten bochenek chleba świeżego był jakby ostatnim matki podarkiem; Marysia spostrzegła go uradowana, ukroiła i zaczerpnąwszy wody, żebraczą zjadła wieczerzę.

Siadła potém przy ogniu, popłakała, a że jéj na myśl przychodziło z czego daléj żyć będzie, i że ciężko pracować potrzeba, żeby na chléb zarobić: porwała się zaraz do kądziołki, przypomniawszy że ma jutro doprząść dla Semenychy motka, i za motek ten odebrać kilka groszy. Pomyślała i wnet siadła do roboty, ale się chwyciła nieboga za żywo: nie miała jeszcze sił do pracy, zaledwie poczęła wyciągać nić i pokręcać wrzecionem, sen gwałtowny, po wysileniu, po boleści, po głodzie, zesłany z niebios na przywrócenie sił straconych, skleił jéj powieki.

Wrzeciono cicho potoczyło się na ziemię, kądziel pochyliła i sparła na piecu, a sierota usnęła snem dzieci, snem niewinnych i spracowanych.

Tymczasem Sołoducha z wielkiém zdumieniem opuściwszy chatę cmentarną, poszła przez wieś nie mogąc sobie w głowie pomieścić, jak Marysia zachciała zostać samą i radę sobie dać potrafi.

— Zwyczajnie dziecko — mówiła w duchu — alem ja stara a głupia, że na to pozwoliłam. No! ale miałamże ją gwałtem ciągnąć? Jeszczeby ludzie powiedzieli, żem ja ją sobie przywłaszczyła! Ale to tak być nie może, bo zginie biédactwo... Możeby dać znać do dworu? do dobrodzieja, do wójta, do gromady? Ktośkolwiekby na to coś poradził! Cyganka, czy co tam takiego, a przecie Boże stworzenie: niechby z głodu nie umierała, wstyd dla wioski.

Tak rozprawiając sama z sobą Sołoducha wlokła się wioską, a że stan jéj robił jéj wiele znajomych, co krok to kogoś zwabiła do rozmowy. Jeszcze téż kupkami stali parobcy, kumoszki i starszyzna, rozpowiadając sobie o śmierci cyganichy i o jéj pogrzebie. A że Sołoducha najdłużéj zabawiła w chacie za wsią i zdawała się opiekować sierotą: cisnęli się do niéj ludzie rozpytując o Marysię!

— No a cóżto z nią teraz będzie? mówcieno, mówcie! — naglono zewsząd.

Sołoducha przybrała minę ważną, ruszała ramionami i poczęła z cicha, jak rzecz najciekawszą opowiadanie swoje:

— Toż ztamtąd ja idę — rzekła — prościuteńko od niéj; a czy uwierzycie?! Ot! nie dała mi się wyprowadzić z chaty i została w niéj sama jedna.

Ludzie słuchali zdumieni.

— Com ja się jéj naprosiła, com nagadała, nic nie pomogło; powiada, że sobie da rady sama, że to jéj chata, i po wszystkiém... Aż litość bierze myśléć, jak to marnie przepadnie.

— Ależby to kto wziął za kawałek chleba — mruknął stary Marcin Nieduha — ot i ja jedynoki i żona słaba.

— Darmo jéj to i gadać; póki dobrze biédy nie skosztuje, nigdzie nie pójdzie — żywo przerwała Sołoducha — tak się jéj zdaje teraz że sobie rady da: trzeba żeby się przekonała, będzie wówczas tańsza.

Ludzie, jak to zwykle dosyć obojętni, pokiwali głowami, poszeptali, ten i ów się rozśmiał, inny westchnął a każdy wreszcie poszedł do swego, i Sołoducha do chaty.

A Maryś jak usnęła siedząc przy piecu, na którym wkrótce wygasło, nieporuszona, nie czując i nie śniąc, nie marząc, kamiennym snem przetrwała do ranka. Dopiéro gdy blask dobrego dnia wcisnąwszy się okienkiem, uderzył w jéj oczy, schwyciła się nagle, przetarła powieki i wracając do życia opamiętała się w swém sieroctwie.

Boleść i znużenie tak jéj myśli zmieszały, że długo pomiarkować nie mogła czy noc przespała tylko, czy więcéj, czy tylko krótką godzinę. Wyszła na próg i po słońcu poznawszy ranek, zdumiała się.

Świat był wesoły i piękny, pomimo smutku sieroty; słońce wschodziło pogodne, cisza była dokoła, a wróble ożywione szczebiotały pod strzechą, latały, kręciły się, wrzeszczały, biły o zapomniane gdzieś ziarnko na drodze, wrzawą napełniając powietrze.

Dziéwczę poczęło się rozglądać w obrazie świetnym i wdzięcznym, a oko jéj padło przez nizki wał cmentarny na żółtą matki mogiłę. Drzwi chaty zostały otworem szeroko, a Marysia pobiegła i przytuliwszy się do zimnego kurhanka, zachodziła od płaczu.

Nie wiém jak długo to trwało, gdy od wioski, szybkim posuwający się krokiem, ukazał się krzepki, barczysty starzec, pomimo widocznéj swéj ślepoty, żywo i śmiało postępujący ku górze. Kij tylko wiódł jego krokami, a tak był pewien swéj drogi że ledwie dotknął nim ziemi, posuwał się jak gdyby zdrowe i całe miał oczy.

Nagle stanął i białe źrenice zwrócił ku mogilnikowi, przysłuchując się uważnie. Oślepły dziad uszy miał ostre i czucie szczególne; cichy płacz dziewczyny nie uszedł jego uwagi, domyślił się kto płakał, ruszył ramionami z gniewem prawie, i puszczając się znowuż żywym krokiem, począł jak gdyby widział, kierować się na cmentarz. Miejsce to tak mu było znajome, jak wszystkie kąty wioski: trafił na przegniły mostek, do furtki i między mogiłami doskonale torując sobie ścieżkę, podszedł do saméj dziewczyny, wiedziony cichym jéj płaczem.

Marysia spostrzegła go dopiero, gdy się do niéj odezwał:

— Dosyćże już płakać, dosyć; umarłym pokój wieczny, a żywym czas do pracy i do życia. Ot wstawaj i chodź!

— Dokąd? dokąd? — spytała niespokojnie dziewczyna, nie dobrze poznając Rataja.

— Dokąd? a do nas — rzekł stary włóczęga — co to myślisz sama gospodarować? Przecie to twoja matka chciała, żebyś do nas poszła, a sama tak zostać się nie możesz.

— Toście wy pewnie mąż Sołoduchy?

— Stary Rataj, ślepe dziadzisko, jakbyś mnie znała; a długo nie gadając zabieraj się rybko i ruszaj.

— Alem ja wczoraj już żonie waszéj powiedziała, że przy chacie zostanę.

— Tak! a ja ciebiem zastał tu na cmentarzu; piękna tobie chata! A co to z tego będzie, jak ty tu zaczniesz chodzić i wypłakiwać! Chleba nie wypłaczesz, to darmo! Musisz iść do nas, nic nie pomoże!

— Nie pójdę! nie pójdę! — krzyknęła Maryś — nie chcę, nie mogę, mam swoję chatę i w swojéj chacie choćby umrzeć!

— Co ty oszalałaś Maryś? hę?

— Niech oszalałam a nie pójdę! — odparło dziecko. — Dziwujecie się żeście mnie tu znaleźli; co za dziw! Wczoraj jeszcze wzięłam się do kądzieli, ale sen mnie zmorzył, kamieniem przespałam noc całą... Wyszłam w słonko popatrzeć zrana, zobaczyłam moją mogiłę i płakać się na niéj zachciało.

— I tak będzie co rano.

— Nie dziadusiu! nie! ja wiem co potrzeba: pójdę do roboty, bo z niéj żyję, a łzy schowam na niedzielę.

Rataj stał zdumiony jak żona, był bowiem pewien że znajdzie dziecko, a trafił na dojrzałą i rozżaloną tylko istotę; nie wiedział już co począć, co powiedzieć.

— Prowadźże mnie do swojéj chaty — odezwał się po namyśle, — nigdy w niéj nie byłem, muszę ją obejrzeć...

Rataj zwykł był tak mówić choć oczów nie miał, i niewiele tém grzeszył, bo ślepy tak umiał zastąpić wzrok niezwyczajném czuciem i sprytem, że często więcéj od najbaczniejszych zobaczył. Poszli więc razem ku chatce cygana. Stary dziad obmacał drzwi i pokiwał głową na ich nizkość, przestąpił próg, i nie zatrzymując się obszedł izbę macając rękoma stoły, piec i ławę, zajrzał do alkierza w tenże sposób, powrócił i zasępiony usiadł na przypiecku.

— Szatra cygańska — rzekł do siebie pocichu — gorsza od ladajakiéj ziemianki, w któréj choć zaciszno i ciepło... Jak to tu żyć!

Dziéwczę dosłyszało słów ostatnich.

— Oj! żyliśmy ojcze, i dobrze nam było z naszą nędzą; a mnie jednéj! aby jamka gdzie głowę przytulić!

— Jakże ty myślisz? co poczniesz? gadajno mi, — zawołał Rataj — trzeba żebym wiedział.

Maryś zamyśliła się wlepiając w dziada swe czarne, bystre, choć załzawione oczy.

— Oto posłuchajcie — rzekła — niedziwota przecie to samo robić, cośmy z matką robiły. Na wsi dają prząść, a za motek, i chléb, i omastę i krupę, a czasem szmatę jaką dostać można. Ja, ojcze kochany, niechwaląc się, tak przędę, tak przędę, że mi trudno kto dorówna. Jak grubszą, to i całą talkę za tydzień wyśpieszę, matka mnie sama uczyła, a znali ją we wsi za piérwszą kądziel, bo jéj i sławna Horpyna od Mudrahela wyprzedzić nie mogła.

— A jak zasłabniesz? — zapytał Rataj chmurno.

— No, to poleżę; i, co Bóg da! co Bóg da! — powtórzyła z westchnieniem — Matka zawsze mówiła, że Bóg nad sierotą!

Rataj słuchał i coraz bardziéj czuł się zdziwionym, tak, że ze zdumienia słowa rzec nie umiał. Oczy jego zwracały się w stronę Marysi i jéj głosu; rzekłbyś, że usiłował przebić wiekuiste ciemności i odgadnąć twarzyczkę dziéwczęcia; a czoło było chmurne i zasępione.

— Świta ci w głowie, — odpowiedział po chwili — no, a czemużbyś to do nas pójść nie chciała? Mów, dla czego? Może ty się boisz Sołoduchy? Ale bihme, jakby ci złe słowo rzekła, takbym jéj boki obłatał, żeby cię potém w ręce całować musiała.

— Ale ja się nikogo nie boję! — przerwała żywo Maryś.

— A czemu do nas iść nie chcesz?

Dziéwczę się zawahało, łza pociekła z pod powieki i zbliżyła się do starca, poczynając zniżonym pełnym wzruszenia głosem:

— Ojcze... wybyście mnie powinni dawno zrozumiéć! Może to śmieszno, może to grzeszno, może to głupio co ja powiem; ale cóż? kiedy tak jest, taić się nie ma co przed wami. Jabym téj chaty nie mogła porzucić! Czy to wy słyszeli jak ją ojciec biédny budował! A cośmy tu z matunią przechorowali... Ja się tu urodziłam, ona tu umarła. Nie! ja jéj kołkiem podeprzeć nie mogę i pustką zostawić; póki mnie żywéj, dopóty tu siedziéć będę.

— A rób sobie jak chcesz! — zawołał dziad, którego usta zacięte, litość czy wzruszenie tłumione malowały — Bóg z tobą, tylkono pamiętaj, pamiętaj jak ci dokuczy, u Sołoduchy na ławie przy piecu jest zawsze dla ciebie miejsce, a w Ratajowéj torbie chleba kawałek. I na grób matki tobie nie chodzić dziecko: ty tego nie wiesz jeszcze co to płacz i smutek... Smutek chodzi po świecie marą, a kogo złapie to dusi, to męczy, jeźli się od niego nie odżegna, aż póki nie zadławi. Pan Bóg téj zmorze nie każe się poddawać a bronić. Matce twojéj nic po łzach: zmów lepiéj pacierz za nią, a na mogiłę nie chodź. Siadaj, prządź, gospodaruj, kiedy ci się chce probować samotnicy, ale to tego nie będzie! Człowiek człowiekowi potrzebny; cobym ja dał, choć wrażą twarz ludzką zobaczył!

To mówiąc dziadzisko zerwał się z siedzenia, torbę, którą miał przewieszoną przez ramię, zsunął na kolana i począł z niéj dobywać kawałków chleba zeschłych, świeżych, popleśniałych, bielszych i czarniejszych, aż do dna wypróżniając zapas swój na ławę.

— Ot tobie na początek gospodarstwa — rzekł ponuro — jaka ręka, taka i jałmużna; bywaj zdrowa i niech cię Bóg pocieszy hołubku!

Odszedł z tém Rataj, i już go nazad przeprowadzać nie było potrzeba: próg przestąpił śmiało, głową się o niski odźwierek nie uderzył, w sionkach trafił do wnijścia jakby je sam budował i z góry puścił się drogą, nawet niewiele kija posyłając na zwiady.

— Taki to ród — mruczał pod nosem idąc ku wiosce — gdyby mi kto z drugiego sioła gadał, tobym nie uwierzył, że wyrostek, sierota, dzieciak, a już chce miéć swoję wolę! Rodem oni tacy byli: dziad umarł, a córce na ślub nie pozwolił; córka z nędzy skończyła na swojém postawiwszy, bracia się zaklęli że ona im obca będzie, i ot! dotrzymują psie wiary!

Zatrzymał się na chwilę.

— A gdybym ja probował pójść do Maxyma i Filipa, hę? kto wié? możebym co utargował dla sieroty? Poprobuję, taki mnie psami za to nie wyszczują, a choćby?

Droga do chaty wujów Marysi szła podle karczemki, któréj Rataj nigdy nie mijał; nie wytrzymał i wstąpił rozwiązawszy węzełek w koszuli, w którym się parę groszaków schowało. Wypił kwaterkę, i pokrzepiony, z lepszą myślą, milczący ale śmiały, skierował się ku chacie braci Motruny.

Dotąd oni jeszcze byli nierozdzieleni, i choć semia się pomnażała, choć ich tam gęsto było, nie wyprosili sobie kawałka pola, bo pustek u pana zabrakło a z łanu ciężko było wydzielać.

Nienajlepiéj się więc działo Maxymowi i Filipowi; przyszły dzieci, trafiły się kilka lat nieurodzajnych, żony ich o lada garnek u pieca się swarzyły, kłóciły w oborze, zajadały na podwórku, gdy jeden podświnek drugiemu zajrzał do koryta: a gdy przyszło na pańszczyznę, jedna drugą wypychała, porywały się do siebie, że je często mężowie rozbraniając, sami się pokłócić musieli. Czyste piekło zrobiło się w chacie.

Jeden na drugiego się oglądał, nikt nic nie robił, i bracia Motruny ubożeli przeklinając swoję dolę. Nie poznałbyś teraz tego czystego dawniéj podwórka, téj schludnéj chaty i zamożnego obejścia, tak się to oszarpało, poopadało i pochyliło przez niedbalstwo. Płoty stały poszczerbione i powypalane kawałami, dach się powyginał od zgnilizny, ścian dawno nie obmazywano, a chróściana stodółka świeciła bokami, przez które wiechcie słomy tylko wyglądały. Dawniéj, za Lepiuka, było to jedno z najlepszych gospodarstw we wsi; dziś na dwóch braci jedna już para wołów została. I jakieto tam były woły: jeden stary i chudy, drugi dopiéro w trzecim roku niedorosły i cherlawy, aż wstyd było wyjść z radłem na pole, lub się sprzęgać do pługa. A jak nadeszła ta biéda, wszyscy się nią poczęli rzucać, nie przyznając się do tego, żeby jéj kto pierwszy drzwi otworzył. Maxym składał na Filipa, Filip na Maxyma, a bratowe obie i na mężów i na siebie. Na przednówku na ościsty chléb pożyczać było potrzeba, a wiadomo co to chłopska pożyczka! Za ćwiartkę żyta oddaj

ćwiartkę żyta w dodatku; już dobrze, kiedy trzy dni odrobić potrzeba, choć cały korzec kupiłby za pięć złotych.

Wiedział Rataj, jak tam było u Motruny braci, bo we wsi wszyscy wiedzą co się dzieje u sąsiadów; wszelako szedł do nich, bo zawsze przecie choć biedni, stokroć więcéj mieli od sieroty i wesprzéć ją mogli.

Jakoś to był taki dzień, że wszystkich zastał w domu. Maxym nabijał rozsypane wiadro, Filip dojadał z misy, wybierając się do lasu, a dwie bratowe stanąwszy naprzeciw siebie w dwóch kątach izby, łajały się co wlazło o zarzucone wrzeciono. Mężowie już im niedopomagali, przywykłszy do tego codziennego chleba: ruszali tylko ramionami, skrobiąc się po głowie.

Gdy się dziad ukazał w progu, przeprowadzany przez ujadające dwa psiaki, potomstwo starego poczciwego kasztana; wszyscy odwrócili głowy ku niemu, a Maxym rzucając robotę zawołał:

— E! szlibyście z Bogiem!... bo tu u nas chleba téż nie ma.

— Albo to ja za jałmużną? — ofuknął się Rataj — chybaście mnie nie poznali? Czy to ja po swojéj wiosce bez prażniku będę żebrał? Tfu! Maxymie, w głowie się wam przewraca: czy nie znacie Rataja? Czy to już wam ławę przełamię jak na niéj odpocznę? — i Maxym się zawstydził i pokraśniał.

— Nie łajże stary, — rzekł, — siadajcie, odpoczywajcie, a tom was doprawdy nie poznał.

— No! no! stare dziadzisko gniewać się niepotrafię; mój chléb mnie do wszystkiego przyzwyczaił: i do ludzkiéj litości i do ludzkiego łajania... Przysycha to jak na psie. A klnie kto mnie, odeklnę go w dziesięcioro!

To mówiąc Rataj ławę namacał, zamilkł na chwilę, jakby słuchał szelestu najmniejszego, żeby zeń o liczbie osób w izbie będących przekonać się, i począł ciężko westchnąwszy:

— A wiécie, jakie na mnie spadło dziedzictwo?

— No? jakie dziedzictwo? — spytali razem Maxym i Filip.

— A! po waszéj siostrze Motrunie!

Bracia jakby im kto gęby pozalepiał, umilkli; stary się téż nie śpieszył mówić dalej.

— Aż mi serce rośnie, — dodał po chwili — dawnom sobie dziecka życzył, a to na starość mnie i mojéj babie Pan Bóg dał gotowe, wyhodowane, i takie co się z niém i przed królem nie powstydzisz. Motruna mi swoją córkę zostawiła.

— A! a! — odezwali się obaj bracia.

— Ot tak! a walna dziewczynina, tylko szkoda, że jak wy wszyscy kury czubate, ma także czubka: uparta gdyby kozioł.

Nikt nie przemówił i słowa, a Rataj daléj ciągnął rzecz swoję:

— Cieszyłem się, że ją zabiorę, boby się było kim posłużyć w domu; a tu choć się sama jedna została, ani jéj z chaty wyciągnąć. Słyszana to rzecz: sama jak palec, bez kawałka chleba, i mówi, że sobie rady da, i sama chce gospodarzyć, a jeszcze to od ziemi nie odrosło!

Bracia i bratowe po sobie spojrzeli, ramionami ruszyli, a ciekawość rozwiązała im usta.

— Co-bo mówicie! — zawołał Filip, — ta to dziecko?

— Dziecko, ale nie takie jak wasze, co to się matczynéj trzyma spódnicy i za próg samo nie wylezie; daj mu i miskę i łyżkę a jeszcze gębę trzeba otworzyć, żeby jadło.

— Żeby ono jakie było, — rzekł Maxym powoli, — to zginie jak ruda mysz... Niedarmo ojciec ich z rodem przeklął; cygan przepadł niewiara, Motruna zmarła o głodzie, i sierotę nie lepsza czeka dola.

— Dalibyście pokój przepowiadać, — przerwał Rataj, — a co ona winna, że drudzy nagrzeszyli? Pan Bóg lepszy i miłosierniejszy od ludzi, nie da jéj zginąć... Kto winien, już odpokutował.

— Ależno powiédzcie, — odezwała się Maxymowa, co ona sobie myśli? Jak to dziecko da sobie rady? samiuteńkie jedno! To dziw!

— Dziw naprawdę! Ja sam nie wiem co będzie; widzi mi się — odparł stary — że pobiéduje na téj pustce, a potém do nas zbieży. Bogiem a prawdą i wamby się co dla niéj uczynić należało: choć kawałek dać chleba.

Na ten całkiem niespodziewany wniosek, i Maxym i obie bratowe jednym głosem krzyknęli:

— Co tobie w głowie? czy to u nas chleba nadto?

— Hm! chleba nikomu nie nadto! — rzekł Rataj — wiem ja, że go nie macie do zbytku; ale czemu Pan Bóg nie błogosławi? Któż to wié, czy nie za Motrunę, coście ją tak odepchnęli? Żywicie taki choć nie bogaci psów dwoje, znalazłaby się kromka chleba i dla sieroty; kto to wie, czyby się ten zasiew nie wrócił!

Maxym ramionami ruszył.

— Dajcie pokój, już ja widzę z czémeście wy przyszli. Na co to darmo kręcić! ni to ni owo: a to że ją bierzecie do siebie, a to że ona sama sobie rady daje, kiedy myślicie nam ją na kark narzucić... Ale z tego nic nie będzie! dosyć nas i tak!

— Pluń Maxymie! — zawołał dziad stukając kijem, — ot widzicie, jakto z wielkiéj mądrości ażeście się domyślili, co mi w głowie nie postało! Naprzód, żebyście i chcieli, tobym wam jéj nie dał; powtóre jak do mnie, tak i do was ona nie pójdzie! A czegom chciał to powiem: możeby wasz datek smaczniejszy był od mojéj żebraniny; ale i tak z głodu nie umrze pókim ja żyw! Niechaj wam będzie jak było, kiedy takie serce macie!

To mówiąc wstał szparko, kijem zastukał i nie rzekłszy słowa więcéj, drzwiami za sobą cisnął, a na podwórku tylko psy ujadające do wrót odejście jego oznajmiły.

Bracia i bratowe stali chwilę pochmurzeni, spoglądając po sobie.

— Jaki mądry! — odezwała się wreszcie pierwsza Maxymowa — chciał nam jeszcze jedno dziecko narzucić, jakby to u nas tego bobu mało było.

— Cicho babo! — ofuknął się Maxym, podnosząc głowę od roboty, — nie narzekajże choć na dzieci, bo ci je Pan Bóg pozabiera!

— Co to gadać, — odważnie jakoś, wstając z za stołu i nakładając czapkę na uszy, dodał Filip — po sprawiedliwości, nie komu się opiekować tą sierotą tylko nam. Rodzonéjże siostry dziecko zostało sierotą; opuścić, wstyd i grzéch, a gdyby kto inny wziął, to palcami nas będą wytykać.

— To cyganię, cyganię! — zakrzyknął Maxym — co ty mówisz siostry dziecko! Ojciec się jéj zaparł... krew niewiary! Niech się idzie włóczyć za swojemi, nam nic do tego.

— A pewnie, że tak! — dodała Maxymicha; a żona Filipa spoglądając kwaśno na męża, szepnęła:

— Czy to my już tak bogaci, żebyśmy mieli cudze dzieci brać na głowę; patrzajno, żeby twoim chleba stało!

Filip ruszył ramionami, pokiwał głową, wcisnął czapkę głębiéj na uszy, węzełek zarzucił na plecy, siekierę za pas zatknął i fajkę u pieca zapaliwszy wyszedł do wozu, który już stał przed sienią zaprzężony.

Pozostali milczeli długo; ale że się już nie było z kim spierać i pierwszy niepokój ich ominął, zaczęli wszyscy myśléć o sierotce, jak to ona sama tam została i rady sobie daje. Nie śmieli tylko ust otworzyć, ale ich piekło pogawędzić o tém, o czém cała wioska, dwór, plebania, gadali i rozprawiali w téj chwili.

Już się bowiem było dobrze rozniosło o śmierci Motruny, i o dziewczęciu, i o postanowieniu jéj pozostania w chatce na własném gospodarstwie, a każdy się dziwił i ciekawił, jak to będzie.

I dwie bratowe z Maxymem niemniéj téż zadumywali się, jaki to temu może być koniec; a jak myśléć poczęli, wystawiać sobie to życie samotne w chatce cmentarnéj, tę niedolę, tę pustynię, jakoś się trochę litości obudziło w ich sercu. I choć każda z nich obawiała się bardzo z tą litością wydawać, aby do niéj i do niewczesnych ofiar drugich nie pobudzić, trudno już było nie pokazać po sobie co się czuło.

— Ale to — odezwała się pierwsza Filipowa, — ciekawość jednak, jak tam cyganka gospodaruje. Ta to nie ma może jak lat dwanaście, trzynaście, a myśli że się bez ludzi obejdzie... Radabym choć ukradkiem tam zajrzéć, a zobaczyć co się to dziać będzie. Słychana rzecz, taki dzieciak sam jeden na całą chatę!

Maxym głową pokiwał.

— Rataje ją wezmą!

— Sołoducha mi taki mówiła, że ją gwałtem ciągnęła, ale się jéj nie dała.

— Zobaczycie!

— A no! zobaczymy!

— Dobrze taki podobno mój powiadał — dodała Filipowa po cichu — wziąć nie wziąć, bo to ciężko, a taki dla niéj coś zrobić tobyśmy powinni; ludzie nas za ostatnich łajdaków okrzyczą. Póki żyła matka, to co innego było, ale nad sierotą trzeba się zlitować.

Mówiła to, ale tak nieśmiało, tak bojaźliwie, tak oglądając się na bratowę i Maxyma, jakby się obawiała okrutnéj na siebie wrzawy, i gotowa była ustąpić zaraz; ale nadspodziewanie nikt przeciw temu nie rzekł już słowa.

Maxym z ust wyjął fajkę, i począł głową pokręcać.

— Jaka ty bogata Filipicho! Oj! oj! nie mówię żeby to dawniejsze lata, kiedy z roku na rok stożek żyta schodził, a i w zasieku zawsze bywały zapasy; ale teraz, tak, to my sami pożyczać będziemy musieli, a pole nawpół siejemy z Semenem, to co z niego zbierzemy?

— Albo to jéj dużo potrzeba? — odezwała się już odważniéj Filipowa — ot, cokolwiek, aby ludzie nie gadali, a sumienie było spokojne.

— Jaka mi pani! — zaczęła z kolei Maxymowa — dać! dać! a zkąd weźmiesz?

— E! e! na toby się kruszyna znalazła!

Maxym milczał, bratowe pierwszy raz oddawna zbliżyły się do siebie i szeptać poczęły; ale o dziwo! nie swarzyły się jakoś, tylko żywo coś sobie opowiadały krzątając po kątach; duch miłosierdzia w nie wstąpił, wiodąc z sobą duch zgody.

Nie ma bowiem serc lepszych i poczciwszych nad serca ludu naszego, ale je często zatwardza nędza, zamyka własny głód i pragnienie. W ciężkiéj doli trudno się zebrać na litość, a ostatnim kęsem nie każdy podzielić się potrafi. W chacie było bardzo ubogo: przecież gdy na myśl przyszły obowiązki, gdy się w sercu własném rozpatrywać poczęli; ruszyło sumienie, wzięła ochota nędzą się przełamać z biédniejszym. Wprawdzie darek szedł nieochotnie i dobrze się zadumywano nad nim, w pierwszym popędzie zamyślając dać więcéj, okrawając powoli gdy przyszło do rzeczy; ale i Maxym i bratowe zgodziły się zanieść coś sierotce i zobaczyć co się tam z nią dzieje.

Wielką tę wyprawę odłożono do jutra, na czém straciła dziewczynka, bo do rana rozmyślano jeszcze i ujmowano podarku, oglądając się na siebie.

O! takto my wszyscy robimy podobno: serca dobre, ale głowy bojaźliwe i chłodne!

Dziewczęciu w jéj lepiance ciężko pierwsze upływały chwile; ale nie jest to czczém słowem, ani ciasno tego rozumiéć i zastosowywać to potrzeba, co nas uczy wiara, że są zlewane od Boga łaski stanu. Niejedni kapłani mają je sobie udzielonemi; wszelki człowiek w trudnéj toni, z sercem czystém i poczciwém, jeśli nań zasługuje, otrzyma ten szczególny do stanu jego zastosowany dar Boży. Przez anioła opiekuna, niewidzialnie, ześle Opatrzność myśl jakąś płodną, przymiot potrzebny, cierpliwość, siłę, wytrwanie, ziarenko przyszłości, na którego pozyskanie sam człowiek próżnoby pracował. Jest to zapomoga wśród głodu ze śpichlerza bożych dzieci.

Biednéj téż sierotce w ciężkiéj doli i osamotnieniu, gdy tylko pierwsze łzy oschły, gdy serce spokojniéj bić zaczęło, zaświtała myśl szczęśliwa przyniesiona przez anioła i włożona na jéj skronie.

Nazajutrz rano wstała rzeźwiejsza, wyszła na próg domu, i spojrzawszy w słonko, na krzątające się ptastwo, na rozgrzewającą ziemię, na ruch gospodarski wioski, któréj głos ją dochodził z parowu: poczęła dumać nieboga.

Oczy jéj błądziły machinalnie goniąc za wróblami, które żwawo zwijały się z pod strzechy na drogę, a z drogi pod strzechę.

— Ot, jakieto maleńkie — pomyślała — jakie to biedne, drobne, bez opieki, prześladowane, a Bóg taki i pokarm i życie im daje... Pracują niebożątka, i siedząc w strzesze przegniłéj gniazdka sobie budują i jeszcze śpiewają tak wesoło! Czemużbym ja nie miała sobie dać rady, jak się zawezmę do pracy!

Dziewczę oczyma wyczytało w księdze żywéj świata, niemal dosłownie wypisane wyrazy ewangelii, które powtórzył z ust Chrystusa Mateusz święty. (Rozdział VI. *Respicite volatilia coeli quoniam non serunt, neque metunt, neque congregant in horrea, et pater vester coelestis pascit illa. Nonne vos magis pluris estis illis?)*.

Myśl to była od Boga zesłana i serce orzeźwiająca. Marysia spojrzała na mogiłę, ale i ta do niéj w też prawie przemówiła słowa.

— I matka moja pracowała, sama jedna, gorzéj, bo za mnie i za siebie, bo na nas dwoje, nie mając w pomoc nikogo; a tyle się to lat przeżyło!

Otucha wstąpiła w jéj serce.

— Czegóżbo ja stoję w progu — spytała sama siebie — łzy otrzéć potrzeba, bo nic nie pomogą: zmówię pacierz za matuchnę, i koło chaty się wezmę!!

I przeżegnawszy się wbiegła do lepianki, po raz pierwszy od śmierci Motruny, rozpatrując się jak w niéj było zaśmiecono, porozrzucano, nieporządnie.

W mgnieniu oka zatknęła za pas końce fartuszka, zakasała rękawki sukmany, i nuż się zwijać po domku. Poczęła od alkierzyka, gdzie nakrywy od bodni, trochę sukien i biedoty leżały bezładnie; pochowała co schować było potrzeba, ponakrywała sypanki, przymiotła i weszła do pierwszéj izby. Tu jeszcze nietknięte stało łóżko na którém umarła Motruna, a gdy się do niego zbliżyć przyszło, serce się jéj ścisnęło; ależ miała tak zostawić ubogi ów barłóg na pośmiewisko ludzkie? Westchnęła, i powoli z niejakim strachem i ściśnieniem serca wzięła się do téj bolesnéj roboty.

Poskładała resztki odzieży, grubém płótnem przysłoniła łóżko, a gdy tę najcięższą odbyła pracę reszta już poszła jéj żywo i łatwo.

Zamiotła więc podłogę, śmieci rzuciła na ognisko, bo się na podpałkę zdać mogły, pościerała stoły i ławy, poprzychowywała chleby, nałożyła oszczędnego ognia, bo się znalazł jakiś węgielek wczorajszy w którym iskra tlała jeszcze, i zaparłszy drzwiczki, z wiadrami ruszyła do krynicy.

W drodze co to tam myśli krzyżowało się w głowinie! jak sobie chatynkę urządzi, jak zapas przysposobi, zkąd weźmie drzewa na opał, zkąd garnka na strawę? Nie wiem jak, ale na wszystko jakoś znalazła sobie sposób i radę; trochę się tylko zadumawszy.

— Wstanę rano — mówiła — na wszystko mi czasu stanie; woda niedaleko, mnie i jedno wiaderko wystarczy; drewek w chruśniaku dosyć, to sobie ich mrokiem nazbieram, gdy już prząść nie dowidzę. Chybaby Bóg nie łaskaw, żebym na chléb już nie naprzędła... Koszulinę jednę i drugą wykroję z matczynych, to mi wystarczą na długo. Switek stanie mi na całe życie; w staréj chodzić będę w dnie powszednie, a na niedzielę mam jeszcze dobrą, co mi kazała uszyć matunia... Jak się ta podrze, to i do matczynéj dorosnę. O cóżbym ja sobie więcéj głowę łamała?... Chléb i woda... nie ma głodu?... E! dam sobie rady przy pomocy Boskiéj, przy opiece matki, bo ona przecie patrzy na mnie. O! patrzy, ja to czuję, aż mi lżéj... i nie da dziecku swemu zginąć!

Tak sobie marząc, zaszła Marysia do źródła, zaczerpnęła w niém, rozpędziwszy wprzód wiadrem zebrane na powierzchni wody śmiecie, i nie tracąc czasu, nie rzuciwszy nawet okiem na wioskę, którą ztąd całą widać było jak na dłoni; pośpieszyła do chaty.

Ogień jeszcze zastała tlejący, ale podsycać go nie było już czém, tak się wyczerpało drewek. Myślała, myślała, przemyśliwała chwilę i skoczyła ku drabince na strych wiodącéj, na którą wdrapawszy się, aż krzyknęła z radości; na górze pełno było suchuteńkiego chrustu. Kiedyś go był głupi Janek jeszcze przysposobił dla Motruny, a po śmierci parobka zapomniano o nim; dziéwczęciu nie wiem jak przyszło na pamięć, że łażąc za ostatnią kurą, widziała tam drewka, przypomniała to sobie i zapas gotowy znalazła na długo. Tak to ją ucieszyło niebogę, że aż łzy jéj z oczu pobiegły:

— A! jakże to mi Bóg dał w samą porę — zawołała — tymczasem zima i śniegi zejdą do reszty, oschnie, i w chruśniaku zbiérać będę mogła gałęzie.

Śliczny, wesoły ogienek rozpłonął na kominie; Marysia garnek wymyła, wody nastawiła, ale co tu sobie zgotować? Nie było wyboru: nakruszyła chleba, rzuciła go we wrzątek, trochę soli było w drewnianéj miseczce nad piecem, i smaczna, o! smaczna dla głodnéj zrobiła się z tego potrawa.

— Wszakże to i tém żyć można? — mówiła w duchu zajadając zaciérkę chlebową. — Ot i obiad gotowy, na wieczór przemienię sobie i zjém suchego chleba z wodą zimną... a z głodu już nie przepadnę!

W izdebce rozgrzało się od ognia, Marysia starannie umyła garnuszek, przeżegnała się, i wziąwszy kądziel, poszła prząść do okienka. A wyciągając nić długą, oko jéj raz-wraz biegało po chatce, po sierocém dziedzictwie. Gdzie najrzy szparkę w ścianie, myśli jak ją zalepić; gdzie glina odpadła, zapamiętywa, żeby na wiosnę gdy ociepleje, poprawić. Pracuje ręką, pracuje myślą, a nadziei serce pełne.

A czas bieży, bieży, bieży, ani słychać jak ucieka, i już około południa, ktoś przed chatą zagadał! Myśląc że to Sołoducha albo Rataj stary, bo się nikogo innego nie spodziewała w gościnę, nie wstała nawet z ławy, żeby czasu nie tracić; wtém drzwi się otwarły i dwie nieznajome kobiety, bojaźliwie jedna drugą popychając, szepcąc coś, weszły do izdebki.

Były to dwie bratowe, Maxymicha z Filipichą. Marysia ich nigdy nie widziała w życiu, ani téż one sieroty; jęły więc wzajem się sobie przypatrywać, a ciekawość tak opanowała dwie baby, że słowa nie mówiąc, z dziewczęcia na chatę, z chaty na dziewczynę oczyma tylko rzucały, nie mogąc się wydziwić obojgu.

Marysia wstawszy i postawiwszy kądziel, czekała żeby się do niéj odezwały; aż nareszcie Maxymowa szturgnięta łokciem przez bojaźliwszą Filipichę, poczęła z uśmiechem:

— Sława Bohu!

— Na wieki.

— Chciałyśmy to zobaczyć, co się z wami dzieje, choć to my się nie znamy... ale.

— Bóg zapłać — odparła Marysia — a cóż ma być: haruję i żyję.

— Patrzajcieno, patrzajcie — szepnęła Filipicha — jak to u niéj czysto i porządnie: i ogień na kominie i wiadro pełne i umieciono..., a któż tobie pomaga?

— Nikt! nikt — tęskno odpowiedziało dziewczę — dwie ręce, trzecia głowa; a ktoby to chciał pomódz sierocie? Ratajowie czasem najrzą, więcéj nikt; ot, Pan Bóg i nieboszczka matka moja.

Filipicha, która wspomnienia nawet nieboszczyków się obawiała, przeżegnała się skwapliwie, odganiając nieostrożnie wyrzeczone słowa.

— Siadajcie, — dodała Marysia zmiatając im ławę fartuszkiem, a nie śmiejąc się pytać kobiet, co były za jedne; — Bóg zapłać, żeście przyszli choć słowo przemówić; wy nie wiecie, jak to ciężko być saméj!

— A już to prawda — odpowiedziała młodsza — ja i nie wiem, jak wy tu wytrzymujecie; tak tu straszno i cicho być u was musi.

— Tylko, że nieludno — odezwała się Marysia uśmiechając, — ale mi tu wróble swoim językiem cały boży dzień paplają pod strzechą, i sroczka krzyczy, i słoneczko zagląda, i mam kilka myszek burych, co z pola przyszły na zimówkę do chaty, a tak oswojonych, że się mnie nie boją i pod nogi schodzą po okruszyny chleba.

Maxymicha w twarz się uderzyła z podziwienia, z naiwnym ruchem niedowierzenia prawie; Filipicha otworzyła usta wielkie, i obie osłupiały, tak im to było i dziwne i nowe.

— A w nocy? — spytała tchórzliwie oglądając się młodsza.

— E! ja w nocy, upracowawszy się, śpię jak kamień; a matka mi mawiała, że anieli pilnują, kiedy człek z krzyżem świętym spać się kładzie.

— Jakto ona gada, — poczęła w duchu Filipicha — co to za rozum, tażto i stary lepiéjby nie potrafił... Nie widana dziewczyna!

Spojrzały po sobie baby coraz bardziéj zdumione, ruszając ramionami, jakby się pytały siebie: — co to znaczy?

Marysia tymczasem uprzejmie je zapraszała, robiąc miejsce na ławie, a sama się już brała do kądzieli. Kobiety usiąść jeszcze nie śmiały, przypatrywały się ciekawie, rozglądając i szepcząc między sobą i trącając łokciami; jedna i druga tuliły coś w fartuchu przyniesionego, ale nie wiedziały, jak to Marysi oddać.

Dziewczę ze swą prostotą, śmiałością, odwagą, niespodziane na nich uczyniło wrażenie, któremu się odjąć nie mogły; było to coś więcéj niż podziwienie: — rozczulenie i cześć jakaś prawie. Biło serce kobietom choć się uśmiechały, kryjąc wzruszenie do którego nie przywykły.

— Choć siądźcie, proszę — mówiła im Marysia — nie mam was czém przyjąć, bo prócz chleba, którego mi Rataj podarował, nic tu u mnie nie znajdziecie; ale czém chata bogata, tém rada.

— Jakto? to wy prócz chleba nic nie jécie? — zapytała Filipicha.

— Teraz jeszcze żyję o chlebie, bo nie mam nic: alem sobie z niego zagotowała zacierki i nie jestem głodna, a da Bóg doczekać, będzie i krupa i omasta, bylem motki skończyła, a prząść się znalazło więcej. We wsi mi dają robotę, bo widzą, że przędziwo nie przepadnie, i pod wagą nici oddam. Semenycha, Kociukowa, Pawłowa, Lebiedzianka, dobrze mnie już znają, a ja i dwudziestkę uprzędę.

Kobiety przysłuchiwały się pilnie słowom dziewczęcia, a corazto się więcéj dziwiły śmiałości jego, odwadze, nadziei i przytomności. Wpatrywały się w ładniuchną jego twarzyczkę z trochę zapłakanemi oczyma, i obie potajemnie w sercu westchnęły, żeby ich córkom Bóg nie taką dolę, a tyle dał serca i głowy, co sierocie.

— Ależ moja mileńka — odezwała się Maxymicha — to ty chyba i drwa nosisz sama i po wodę chodzisz?

— A cóż? wszystko sama robię i na wszystko jakoś mi rąk starczy, — rzekła Marysia. — Jużem się wyprobowała i obmyśliłam jak to będzie.

Tu zaczęła rozpowiadać im, jak ułożyła życie i godziny dniowe: a kobiety zamilkły znowu z wielkiego podziwienia.

— Krzyż z nami! — powtarzały — krzyż z nami! A to cudowisko ta dziewczyna: schodzić się do niéj a słuchać, patrzéć a dziwować!

Pobyły tak chwilę u Marysi i nie śmiały nawet w końcu wystąpić już z małym datkiem, który dla niéj przyniosły; jak siedziały na ławie, tak po za siebie zasunęły co miały w fartuchach, i posiedziawszy jeszcze, pożegnały Marysię, ciekawe o niéj wiadomości niosąc na wioskę.

Poszła z niemi wieść po całych Stawiskach o Marysi cygance; z kim się spotkały, każdemu rozpowiadały o dziewczynie i nagadać się o niéj nie mogły, tak, że w chatach, na dworskiém, u dobrodziejów w plebanii i w karczmie, nie było słychać tylko o niéj. Nienawiść ku cyganowi i cyganisze dawno już była przygasła i wyczerpała zobojętnieniem, ludzie o niéj zapomnieli, a sierota wzbudziła teraz powszechną litość i zajęcie. To, co o niéj Ratajowie i dwie baby rozpowiadały, obudzało ciekawość, a ludzie dziwy prawili o sierotce pustelnicy, która się stała podziwem Stawisk i okolicy, zaraz w pierwszych tygodniach po pogrzebie matki.

Nie można już było wątpić, że sobie dziewczynina da rady; przestał nawet Rataj spodziewać się, że się do nich schroni, i dziwiono się tylko, zkąd w młodéj głowinie tyle się wzięło rozumu i ładu, a w sercu tyle odwagi.

Ze wsi gawęda o Marysi już nie po raz pierwszy doleciała do dworu; ale tu mniéj na zobojętnionych ludziskach, pana otaczających, zrobiła wrażenia. Pan Adam znany nam ze swych szałów i z uczucia, jeszcze tu panował, ale dwór jego i on sam, po kilkunastu leciech zmienił się wielce, przerobił do niepoznania. Widzieliśmy moralny stan tego nieszczęśliwego, któremu nie pozostawało chyba umrzeć, lub nowy jakiś wynaleźć żywioł opiekuńczy, coby go przy życiu utrzymał.

Znalazł się on choć nierychło.

Długą walką z rozpaczą i odrętwieniem przyszło okupić młodość zmarnowaną, a chwile ostatnie dogorywającego wieku namiętności, ciężkie były do przebycia. Pan Adam wił się jak gadzina w płomieniach, wyrywał, rzucał, myślał już o samobójstwie na które siły brakło; gdy Bóg niespodziewanie zesłał mu ratunek w najniespodziewańszém trafunkowém spotkaniu.

Jednego poranku, kiedy znudzony wychodził w ganek, sam dobrze nie wiedząc po co i dokąd idzie, spotkał go w progu dziwacznie odziany i na żebraka wyglądający człowieczyna.

Byłto staruszek w siwéj kapocie, krojem prawie zakonnym zrobionéj, z różańcem u pasa, kijem w ręku, z siwą postrzyżoną brodą, łysy i blady trupią białością choroby i wycieńczenia. Stał on wsparty na swoim koszturze u wschodków, złożywszy na nim ręce, w postawie pokornéj i spokojnéj.

Pan Adam, który unikał widoku nędzy ludzkiéj, cofnął się zrazu do pokoju, ale gdy nie usłyszał ani słowa prośby, ani szmeru wyrazu z ust starca; gdy ten ani postawy, ani oblicza nie zmienił, zdziwiła go obojętność przybysza i zbliżył się ku niemu.

— A czegoto chcesz? — zapytał.

— Suknia, wiek i twarz moja, powinna ci powiedzieć czego żądam...

Gospodarz rzucił z niechęcią zaczerpniętą w kieszeni złotówkę, dodając prawie wzgardliwie — Idź z Bogiem.

Staruszek przyjął datek z pokorą i pozostał jak był w ganku, sparty na kiju.

— Czegoż jeszcze czekasz? — powtórzył zniecierpliwiony pan Adam.

— Nie czekam; chcę ci się przypatrzéć.

— Mnie?

— Tak jest... Tyś mnie nie poznał, a ja i twoich rodziców i ciebie panie Adamie dobrze znałem za młodu... Mój Boże! na jaką ci to nędzę zejść przyszło!

— Mnie! na nędzę! Coś ty za jeden? co to ma znaczyć? — zawołał obruszony gospodarz, z podbudzoną ciekawością zwracając się do żebraka.

— Ja jestem Józef Mniszewski... Ha! przypominasz mnie sobie przecie? Sąsiadowałem z rodzicami waścinemi!

— Jakto? ty! ty mógłbyś być Mniszewskim? I począł wpatrywać się w niego z podziwieniem wzrastającém co chwila, a powoli z rysów zmienionych, pamięć stworzyła obraz już starty, i pan Adam załamał ręce.

— Mniszewski! ty! w tym stanie!

— Jak widzisz! Miałem dwie wioski, byłem majętny, hulałem, świeciłem, żyłem... i chodzę z kijem po żebraninie... A wiész Adamie, żem dziś może szczęśliwszy niż byłem, a ty przy dostatku twoim, pono biedniejszy odemnie...

Pan Adam, który dobrze teraz przypomniał sobie i świetny swojego czasu dom Mniszewskich i zniknienie potém zrujnowanego téj rodziny potomka, ujął za rękę staruszka, i rad że się rozbawi, wzruszony nieco wprowadził go do domu.

Tu stary rozpowiedział mu historyę swojego życia, znane dzieje marnotrawstwa, które szczęściem nie do zguby, ale do upamiętania go przywiodło. Niepojętymibo drogami Bóg nas wiedzie ku sobie: jednych gościńcem cnotliwego żywota, drugich ścieżkami próby i występku, po których wielka, jak było przestępstwo, następuje pokuta. Tą drogą przyszedł Mniszewski do poznania co świat wart i jego szczęście, a co jest spokój boży, którego on dać nie może.

Zrujnowany, zniszczony na ciele i na duszy, leżał w szpitalu, gdy pierwsze ziarno poprawy spadło nań z ust Siostry Miłosierdzia, która go doglądała. Ten anioł szeptał nad nim pacierz pojąc go lekarstwem, co mu dać miało życie do pokuty; zachęcał do modlitwy, i bezbożnika uczynił pokutującym i pełnym skruchy — sługą bożym.

Mniszewski wyszedł ze szpitala o żebraninie, udając się do miejsc świętych.

— Myślicie — rzekł do pana Adama — żem kiedy był szczęśliwszym, jak gdym wydziedziczony od świata, znalazł się z niepojętym duszy pokojem na drodze pielgrzymiéj o kiju, z torbą na plecach? Nie! nigdym nawet tego spokoju, téj sercowéj ciszy, téj pogody sumienia nie zaznał, jakich używać począłem zrzekłszy się wszelkich ziemskich nadziei. Myślisz, że zazdroszczę tobie lub komu z was tego bytu, który nie ma celu i wiedzie jak błędny manowiec do przepaści? Nie, nie! Zawędrowałem w te strony, aby jeszcze groby ojców odwiedzić, aby na nich zrzucić ostatnią myśl i żal grzeszny za przeszłością... Idę znów w świat z modlitwą, z uśmiechem, spokojem...

Tak mówił Mniszewski, a mowa jego dziwne i głębokie zrobiła wrażenie na panu Adamie. Wybiła dlań godzina zmiany, a ręka żebraka przyśpieszyła jéj przyjście i wykreśliła kierunek.

Zadumał się wynędzniony zużyciem rozpustnik i próżniak; a że był przywykł do gwałtownych uczuć i wybuchów, gwałtownie téż i namiętnie zwrócił się ku zapomnianemu Bogu.

W rok potém poznać nie było można pana Adama, na którego jak na cudowisko spoglądali ludzie. Nieszczęściem, poprawa jego nie była ani zupełną, ani czystą; byłato tylko zmiana drogi i nadzieja, że po téj którą szedł, do prawdziwéj trafić może. Pan Adam stał się ascetą, pobożnym, ale fanatykiem.

Życie czynne odrzucił zupełnie od siebie, i uznał się do niego nie obowiązanym; całe dni mówił tylko pacierze, całe tygodnie pościł, krzyżem leżał w kościele, dyscyplinował się niemiłosiernie, kładł włosiennicę, odział w pasek kolący, i na tychto praktykach, dobrych gdy niemi duch czysty kieruje, zasadzał życia reformę.

Ale kładnąc włosiennicę, nie rzucił pychy i egoizmu...

W sercu jego nie zrodziło się ani miłosierdzie, ani pokora chrześciańska; nieprzystępny dla ludzi, srogi dla drugich jak dla siebie, nielitościwy w karceniu cudzych błędów, zdawał się tylko szukać chluby z fanatyzmu swego, jak dawniéj wynosił rozpustą i niewiarą.

Gorszył skromnych swoją pobożnością teatralną, przesadzoną, dziwaczną, nieustannie popisującą się i wydymającą w oczach ludzkich; gorszył ich bardziéj jeszcze, że wyznając

naukę Chrystusową, nie potrafił z żywego jéj źródła zaczerpnąć ducha miłości i pokory, ani jéj zastosować do życia.

W osobliwszy sposób skąpstwo jakieś przyplątało się razem do niego i zaczęło mu serce wyżerać. Stał się nieubłaganym dla ludzi, panem srogim, i nie wiedząc, jak godząc w duszy pobożność z chciwością w obojgu założył razem cel wyczerpanego życia. Dwór w Stawisku, świadek scen szalonych, zmienił się w klasztor smutny, w więzienie nieznośne. Opuścił pan Adam mieszkalne pokoje, jedną sobie celę z ołtarzykiem ustroiwszy w obrazy, na ziemi w niéj śpiąc, czuwając zarazem u krzyża i kuferka! Na wytłómaczenie pozorne swojego postępowania, znalazł w głowie najdziksze sofizmata, któremi przed sumieniem swojém i spowiednikami się wykręcał.

Co roku stawił nowe krzyże, chodził pieszo do miejsc świętych, pościł nowenny o chlebie i wodzie do mdłości prawie, adwent i post czterdziestodniowy suszył cały; ale ubogiego zbywał miłosierdziem boskiém, a wieśniaków katował bez litości.

W takim więc dworze, dziś jak pan sam nie pojmującym miłosierdzia, i w chłodném, zasklepioném spełnianiu praktyk powierzchownych, Marysia opiekunów znaleźć nie mogła; a panu o niéj nikt się i powiedzieć nie ośmielił. Ekonom pokiwał głową, poszedł zobaczyć co się tam dzieje, i zostawił sierotę na ojcowiznie, co już wielką było łaską...

Jednéj niedzieli, rano zbudziwszy się, gdy wyszła Marysia na grób matki popatrzéć, usłyszała dzwony cerkiewne donośnym głosem lud wzywające na nabożeństwo; i tknęło ją pójść z innemi się pomodlić.

— Ot! odzieję się i pójdę — rzekła do siebie — dobrze się z Bogiem zobaczyć! jednak dziś i tak robić nic nie będę!

Jak pomyślała tak zrobiła; umyła się, zaczesała, dobyła białéj koszuli i fartuszka odświętnego, wzięła białą sukmankę i buciki dawno nietykane, które jéj matka za ostatni grosz sprawiła, i tak przystrojona ubogo, ale chędogo, zaparłszy chatkę, spuściła się parowem ku wiosce.

Ślicznież jéj było w tém świąteczném ubraniu z jéj twarzyczką pełną życia, ognia i pojętności! Jakiś wdzięk nieuczony towarzyszył każdemu jéj ruchowi: prosta sukmanka zręcznie na niéj leżała, chustynka twarz osłaniała zawieszona kształtnie, tak, że nie na sierotę cygankę, ale na dziecię zamożnego gospodarza wyglądała Marysia.

Gdy weszła w ulicę, a ludzie ją zobaczyli, wszystkich się oczy zwróciły na nią: poczęto ją sobie pokazywać palcami. Marysia zarumieniła się, przyśpieszyła kroku; myślała że uciecze, ale zdaleka ścigano ją oczami i oznakami podziwienia, a dziewczęta i chłopaki jéj lat, aż pobiegli za nią.

Marysia choć żyła samotnie, dziką nie była wcale; owszem śmiałości jéj nie brakło, i po pierwszém zakłopotaniu, przyszła zaraz do siebie, opamiętała się, zwolniła kroku. Aż na cmentarz szli za nią ciekawi. Tu czekając na nabożeństwo, jak to pospolicie bywa, caluteńka stała i siedziała gromada w odświętnych strojach, gwarząc, śmiejąc się, kupiąc w gronka dla rozmowy. Była tu i Sołoducha, i stary Rataj śpiewający wielkim głosem pieśń o poczajowskim obrazie; i Maxymicha, i Filipicha, i dwaj bracia Motruny i stara poważna Semenycha Biłykowa.

Zaledwie się dziewczątko pokazało we wrotach, wszyscy znajomi do niéj przybiegli z pobudzoną ciekawością; a widząc twarzyczkę rumianą, odzież porządną i dziecię jaśniejące wdziękiem, jeszcze się więcéj zdziwili. Ten i ów badać ją począł, dzieci do zabawy wyzywały, dziewczęta poprawiały na niéj pasek kraśny, świtkę i chustynkę, dziwiąc się jak tak do twarzy sama ubrać się potrafiła. Co tam było szeptów, co gwaru, co spojrzeń i pytań! Stare baby zdala ją wzrokiem mierzyły, a jedna z nich odwiodłszy Sołoduchę na stronę, bardzo cicho odezwała się do niéj:

— Czy widzicie?

— A co matuniu?

— A Maryś cygankę?

— Widzę, widzę! A cóż dziewczynina przystojna, niczego!

— I jak! i jak! — poczęła baba kręcąc głową — to coś w tém jest!

— A cóż ma być? — spytała Sołoducha.

— Ot ja wam powiem co myślę; żyłam na świecie nie od dziś, widziałam wiele: czarowniki cygany, oj! czarowniki! Niechby tak które z dzieci naszych zostało same; do trzech dniby przepadło... To diabelska w tém sprawa.

— A! porzuciłabyś kumo! *Hde Rim! hde Krim! hde Babińska korczma!*

— Czekajno! czekaj! nieraz ja o podobnych rzeczach słyszałam! Motruna była charakternica; zawsze miała słyszę mleko, choć krowy nie było; mąż jéj był charakternik, to wszyscy wiedzą, że *zły* mu pomagał nocami do budowania chaty... Oni pewnie upiorami być muszą i do swojéj Doni wracają, żeby na nią naglądać, odziewać ją i karmić. Już mi wierzcie, to nie może być inaczéj.

Słowa te wymówione z powagą, przekonaniem, z uroczystością tajemniczą, głębokie na Sołodusze nawet uczyniły wrażenie: obejrzała się na Marysię, ruszyła tylko ramionami i zamilkła.

— No, no! patrzajcie tylko — dodała baba — taż to włoski jak wylizane, bielizna jakby marcowym śniegiem bielona, i bucik, i pasik, i guzik u koszuli harny, jakby nie przymierzając u gospodarskiego dziecka. Zkądże się jéj to bierze? z nieba spadło? Alboto czy głód, czy biedę znać na jéj twarzyczce?.. Ja moją mlekiem poję, a tak mi nie wygląda. To nieczysta sprawa!!

Zgromadziło się było i więcéj kobiet do koła Sołoduchy i domyślnéj owéj staruszki, podsłuchując ich rozmowy: a że nic się prędzéj ludzi nie czepia jak myśl najdziksza śmiało im rzucona w oczy, tak zaraz uwierzyli w upiorów, że w drugim końcu cmentarza rozpowiadać już zaczęto, jakoby Sołoducha z Martynichą, widziały oczyma własnemi Motrunę występującą z mogiły, przekradającą się do chaty córki, muskającą jéj włosy i razem z nią przędzącą w nocy na motki najemne.

Do tych dziwów każdy coś swojego dorzucił, i téjże niedzieli ułożyli sobie bajkę, którą wieczorem rozpowiadano po całéj wsi za najprawdziwszą prawdę.

Nie wiedziała Marysia, dlaczego gdy wychodziła z cerkwi, już nikt się tak do niéj nie garnął, nikt za nią nie śpieszył: dzieci pozostały, tchórzliwe z ukosa spoglądając za odchodzącą, kobiety się poodwracały, i sama wyszła ze cmentarza powoli, smutno wracając do domu.

A że nie było co robić dnia tego, i roboty już szukać musiała; po drodze przyszło jéj na myśl wstąpić do Semenychy, która ją z cerkwi wyprowadziła.

Semenychę zastała już zdejmującą z głowy namitkę i odpoczywającą na ławie, czegoś markotną i zamyśloną.

Byłato żona najbogatszego we wsi gospodarza, matrona poważna, władnąca całą chatą, mężem i liczném rodzeństwem, słuchającém ją z uszanowaniem, okryta już siwizną i zmarszczkami; kobieta dobra, pracowita, ale jak drugie, przesądna. Plotka rozsiana na cmentarzu o upiorach nieprzyjemne na niéj i głębokie uczyniła wrażenie; nie miło jéj było pomyśléć, że motki jéj jakaś nieczysta siła prząść pomagała, motki przeznaczone na płótno, na ręczniki może weselne dla ukochanych córek.

Z wejrzenia na nią poznała Marysia, że ją coś nie tak dobrém jak zwykle sercem przyjmuje; stała się więc pokorniejszą jeszcze. Pocałowała w rękę staruszkę; i stanęła u progu milcząca, Boga prosząc, żeby jéj Semenycha nie odmówiła roboty.

Stara wciąż jeszcze rozwiązywała sztucznie na głowie zaplątaną wedle tradycyjnéj formy namitkę, spoglądając z pod brwi siwych na dziewczę w pokorze i milczeniu stojące sobie zdaleka.

— A co tam chcecie Maryś? — odezwała się nareszcie.

— A cóż, matuniu... roboty! jak zawsze, dla miłości Bożéj jak jałmużny... Gdybyście wy nie litowali się nad sierotą, mogłoby jéj chleba zabraknąć.

— Roboty! — powtórzyła Semenycha wciąż zakłopotana i pochmurna — dobrze ci mówić, a tu może i przędziwa w chacie nie ma.

— A! krzyż Pański! U was matuniu — poczęło dziewczę — u takiéj gospodyni jak wy, taż to pełne bodnie lnu białego jak śnieg!

Semenycha połechtana uśmiechnęła się nieznacznie.

— Choćby i był, choćby i był! — rzekła — niechaj swoje przędą: czego mają siedzieć z założonemi rękoma i Kasia i Paraska i dziewczyna najmitka!

— A mnieżto nic się już, ani ździebełka nie dostanie? — spytała sierotka pocichu, głosem tak użalenia i głębokiéj boleści pełnym, że Semenycha uczuła się wzruszoną.

— Dawniéj byliście dla nas litościwsi — dodała dziewczynka — a terazbyście mieli opuścić mnie, gdy i matki niestało? E! to nie może być! Serce wasze matuniu nie pozwoli na to; a cóżem ja winna, żem nieszczęśliwa.

Semenycha wstała z ławy, coś poprawiła u ognia, poczęła się przechadzać i namyślać.

— Kiedyżboto — odrzekła po chwili — ludzie na ciebie niewiedzieć co wymyślają: mówią, żeście rodem czarowniki... charakternice... licho wié co; że nieczysta siła wam przędzie...

Marysia przeżegnała się na wzmiankę o sile nieczystéj i z przestrachem uderzyła w rączki.

— A mój Boże! — zawołała — któż mógł, kto śmiał taką krzywdę wyrządzić sierocie? Wszak widzieli mnie w cerkwi, wszak się żegnam i modlę jak drudzy, a cóżem ja komu zrobiła złego?

I rozpłakała się nieboga.

Semenycha dobra i litościwa była w gruncie serca: żal się jéj zrobiło dziewczęcia, łzy ją te poruszyły, odwróciła się do niéj machając ręką:

— Cyt! cyt! — rzekła — ot! widzicie co to ludzie plotą. At! im byle gadać tylko; ja temu nie wierzę, nie wierzę! Nie lubili ojca, nie lubili matki, i tobieby szkodzić radzi... Ja ci to tylko powiadam, żebyś wiedziała co robić daléj... Póki tak siedzieć będziesz sama jedna za oczyma, pleść i wyplatać nie przestaną; im to dziw, że sobie rady dajesz, a drugiemu i zazdrość, żeś do ludzi podobna, że koło ciebie porządnie...

Marysia wciąż płakała, a Semenycha tuliła ją jak mogła: nareszcie sama odstawiła garnek od ognia, dostała miski i łyżki, i nabrawszy strawy posadziła sierotkę za stół do jedzenia, gładząc ją po głowie.

Ta dobroć staruchy ułagodziła cierpienie Marysi, a wnet i rozpytywać poczęła Semenycha o drobne szczegóły jéj życia, o chatę, o gospodarstwo, i dziéwczę rozgadało się powoli, ocierając łzy ciekące jeszcze po twarzy.

Poczęli się schodzić i inni z nabożeństwa; Kasia, Paraska, parobcy, mąż Semenychy, zięciowie i wszyscy kołem ciekawém otoczyli cygankę, która im życie swoje, prace i utrapienia opowiadać zaczęła.

Po godzinie rozmowy tak ich ujęło dziewczę pełném prostoty i szczerości opowiadaniem swojém, że czém kto mógł i miał, starał się odchodzącéj dopomódz. Dano jéj chleba, kaszy, séra, okrasy, potrosze się na nią składając jak na macoszyne dziecko; a Semenycha płacąc za łzy, których nieuważne jéj słowo było przyczyną, nietylko dała robotę, ale darowała jeszcze kurkę, która się niosła, obszernie wyuczywszy Marysię, jak ma sobie z nią i spodziewaném potomstwem postąpić.

Ucałowawszy rękę staruchy, uszczęśliwiona siérota, pełna najświetniejszych nadziei, pośpieszyła do pustego swojego kątka, niosąc na rękach maluczkie, ale drogie dla siebie dary.

Tak rozpoczynało się to dziwne życie sieroty, która na bożym świecie prócz słabych rąk dwojga i odwagi wielkiéj, a raczéj nieświadomości świata, nic więcéj nie miała. Ludzie spoglądali na nią jak na cudowisko jakieś, jak na coś niebywałego, jakby patrzyli na wcieloną bajkę o złotéj jabłoni, lub źródle grającém: jedni z podnieconą ciekawością, drudzy szukając tłómaczenia tajemnicy w czarach i upiorach. Plotka wszakże utworzona na cmentarzu krążyła jakiś czas tylko po wiosce, i choć całkiem nigdy się zbić nie dała, ale rozsądniejsi ludzie, bliżéj się przypatrując Marysi, śmiać się z niéj w krótce poczęli. Zresztą stara Semenycha przyjazna dla pracowitego dziecka, gotowego zawsze na jéj posługi; Sołoducha czująca się do obowiązku opieki nad nią; Rataj, który się do niéj co chwila więcéj przywiązywał, w ostatku nawet chata braci Motruny: zdaleka czuwali po trosze nad Marysią.

Zmuszona przemyślać nad tém, jakby sobie sama rady dać potrafiła, sierota dokazywała cudów, i istotnie duch jakiś dobry zdawał się jéj szeptać co czynić miała.

Całém jéj utrzymaniem były motki, które i dla Semenychy i dla drugich przędła, co dzień więcéj nabierając w to wprawy; znalazła przytém czas na wszystko. Rankami i wieczorami nigdy nie zapomniała uprzątnąć około chatki, wewnątrz uporządkować, przynieść sobie świeżéj wody, dla kurki coś posypać, żeby się miała czém bawić i powi-

tać swoich starych dobrych znajomych: wróble z pod strzechy, jaskółki które z wiosną powróciły, fertyczne sroczki krzyczące na drodze, i cały ten zwierzęcy światek, który jéj pustkę ożywiał.

Z wiosną nawet, gdy się ziemia ogrzała i oschła domyśliła się, że za lepianką na wązkim pasku ziemi, okopanym granicą jéj posiadłości, a dawniéj chwastami zarosłym, mogło się kilka grządek pomieścić. Jednéj niedzieli poszła po radę do Sołoduchy, coby to tam posiać można. Baba ruszyła ramionami i pokręciła głową na tę dziewczęcia ochotę do pracy, ale wynalazła jéj stary jakiś rydelek za piecem, i opatrzyła w wysadki ze swego rozsadnika i trochę kartofli.

Jak zmierzch więc, a prząść w chacie nie było można, Marysia wybiegała na ogródek, składający się z maluczkiego gliniastéj ziemi okrawka, i kopała, przekopywała, sadziła, podléwała, ciesząc się, gdy Pan Bóg pracy widocznie błogosławić począł, a zielone listki ciekawemi główkami wyskoczyły po nad czarną grzędą.

Kurka się jéj także nieźle powiodła; bo sama, nie proszona prawie wysławszy sobie gniazdko, wysiedziała dziesiątek pociesznych żółtych kurcząt. Z powodu tego niespodziewanego przybytku, Marysia cały dzień straciła, bo jak tylko wyszły na świat pisklęta, pobiegła przestraszona do Semenychy uczyć się na nowo co robić z niemi, i jak tu je hodować. Aleć to nie wielkiéj potrzeba było mądrości, i troskliwie pielęgnowane kurczęta, szczęśliwie się jéj powiodły; jedno tylko sroka jakaś niepoczciwa schwyciła w oczach pani, za co Marysia poprzysięgła wiekuistą krzykliwemu jéj rodowi nienawiść.

Z wiosną, z zielenią i ciepłem, lżejsze i weselsze coraz stawało się życie; Marysia mogła usiąść przed chatą na starym klocu obrąbanym i prząść do zmroku na podwórzu, przypatrując się ptaszętom, lub smętnie spoglądając na zielone grobowiska cmentarza. Nieraz nawet z kądziołką w ręku przechodziła przez drogę na mogilnik, siadała u matczynego grobu, i tam pod okiem macierzy, spędzała długie godziny, zadumana nad jednostajną pracą swoją.

Dzień po dniu schodziły jéj szybko, jednakie, zajęte i do siebie jak siostry podobne. Potrzeby urządziły je w sposób jednostajny i niezmienny, przypadek tylko cokolwiek porządek ich mieszał.

Jak świt, na brzask zrywała się Marysia z pościołki i roznieciwszy trochę ognia, biegła do krynicy po swoje wody wiaderko; potém potrzeba było nim się rozwidniło lepiéj umieść chatę, sień, a poprzątnąć nawet przed progiem: tu podeprzéć, tam zalepić, owdzie przytknąć dziurę, bo dziewczę troskało się bardzo o ład i porządek w swojéj chatynce. Ledwie co zjadłszy, siadała z kądzielą, albo przed swoją lepianką, albo u mogiły pod starą wierzbą, na któréj pełno wróbli i różnego drobnego ptastwa, które się jéj wcale nie obawiając szczebiotały nad głową sieroty. W słotę tylko, wicher i burzę, zamykać się musiała w chacie, spoglądając przez okienko co się działo na dworze i czekając rozpogodzenia. Drugi raz we dnie ranném jadłem odegrzaném posiliwszy się, spocząwszy trochę i pobawiwszy się ze swoją kur gromadką, znów wracała do prząśnicy i pracowała do mroku... Szła potém na ogródek, zwijała się w izbie, i tak krzątając się do nocy, zasypiała snem głębokim pracowitych, który zawsze w porę przychodził na jéj powieki.

Ktokolwiek mijał cmentarz i lepiankę cygana, nie mógł przejść tędy, żeby nie stanął i nie popatrzał, a nie podziwił się dziéweczce, która każdego witała wesołym uśmiechem i dobrém słowem.

Co dni kilka Sołoducha lub Rataj sami odwiedzali Marysię; już nawet przestawszy ją namawiać, aby do nich przeszła, bo się przekonali, że bez nich obejść się potrafi. Nie pomagali téż jéj wiele, a kawałek chleba lub trochę strawy, dar dla niéj znaczny, im wcale nie ciężył.

Co w początku zdawało się niepodobieństwem, cudem i dziwném dla wioski, to wkrótce, gdy się z tém oswojono, pospolitą stało się gadką, a radzi nie radzi wszyscy uznać musieli, że takiego dziecka jak Marysia nie było drugiego na okolicę. Jéj kądziel, ogródek, kury, przechadzki na mogilnik, na którym najczęściéj ją w dnie pogodne widywano, stały się ulubionym przedmiotem rozmów na wieczornicach i doświtkach: a nie jeden dzieciom ją swoim dawał za przykład do naśladowania.

Tak przeszła wiosna, tak lato i jesień, i zbliżyła się zima, straszna zima; ale Marysię znalazła wcześnie już przygotowaną, bo sionki miała drewek pełne, piec wylepiony na nowo, chatkę okrytą i otuloną dokoła, a w bodniach choć niewielkie, na złą godzinę zapasy.

Rataj sprawił jéj nowe buciki, których już potrzebowała i do wyjścia i do prania na wodę; Sołoducha darowała kożuszynę, a gdy śniég, pierwszy zwiastun śmierci chwilowéj ziemi, upadł na skostniałe pola, Marysia powitała go z dziecięcym uśmiechem, nie obawiając się klęsk, które mógł prowadzić za sobą, stękając tylko, że dnie coraz robiły się krótsze.

O! lecą lata, lecą! Czy popatrzysz na człowieka, czy na ludzkość, czy na dzieła rąk naszych, jak igła zegarowa wszystko wskazuje znikomość i przelotność pokoleń; kamień tylko posiwiały w sto lat ledwie mchem porasta, ale i on w proch się sypie od spodu i na nim mchy kopią niedojrzane dołki starości...

Dziéwczę utworzywszy sobie życie, które było zdumieniem otaczających ją ludzi, rosło niepostrzeżenie pod ubogą strzechą, i wyrastało z każdym dniem na śliczną istotę, jakby cudem zrodzoną i dojrzałą w pośród grobów na pustkowiu i odludziu. Krew cygańska nie odbiła się rysy plemiennemi w jéj rysach wdzięcznych i pełnych życia, ale im nadała tylko ogień niewidziany w pośród pospolitego, zamęczonego pracą ludu naszego. Rodzaj ten życia choć zajętego ale odosobnionego, samotnego i zasiedziałego, wpłynął może nie tylko na rozwinienie jéj piękności, ale i na ukształtowanie się umysłu, wybujałego wyobraźnią i rozrosłego marzeniem, zmuszona karmić się tém tylko, co jéj oczy do duszy ze świata milczącego przyniosły, utworami własnéj głowy, ciągłém odgadywaniem wszystkich świata tajemnic, rzadko stykając się z ludźmi utworzyła w sobie i wykołysała świat jakiś odrębny, do zwyczajnego niepodobny, wytłómaczony z niewidzialnéj dla innych strony, piękny, smętny, zaczarowany, pełen zjawisk, duchów i cudów.

To pojęcie tego, co tylko z widzenia i dumań znała, malowało się w pięknych jéj rysach, ożywionych duszą ognistą, omglonych zarazem smutkiem sieroctwa i uśmiechniętych weselem bezbronnéj nieświadomości.

Przestano dziwić się sposobowi jéj życia, które zdało się zrazu niepodobieństwem, a okazało, że silna wola z pomocą Bożą podoła i najzawikłańszym trudnościom; i dziwiono się tylko wdziękowi, w który codzień rosła bujniéj, rozkwitając na czarowną dziéwkę, o jakiéj wieśniak z pieśni chyba lub podania, z najrzanéj gdzieś z daleka postaci mógł roić. Było w niéj coś tak szlachetnego, pańskiego, wielkiego, że mimo ubóstwa swego, wzbudzała we wszystkich uczucie uszanowania, prawie bojaźni. Starzy wskazywali ją za wzór młodym, młodzi przypatrywali się jéj jak wyjątkowemu zjawisku, a chłopcy wiejscy wcześnie poczęli szaléć za piękną Marysią.

Kiedy teraz szła do cerkwi w niedzielę, albo na tłokę do żniwa, bo ją zaprzężono do jakichść dni odrobku za chatę i ogródek przez nią zajmowany, hurmem za nią ciągnęła młodzież, zaczepiając słowami, uśmiechem, ukłonami, choć bojaźliwie i zdaleka. Marysia dla wszystkich była grzeczna, ale nie poufaliła się łatwo prócz ze staremi. Jakiś instynkt zachowawczy czynił ją nieśmiałą, tchórzliwą, nie swoją w pośród mężczyzn i młodzieży.

Nie uczęszczała wcale na zabawy, do karczmy nigdy na tańce, ani do dworu na wiejskie przyjęcia; najczęściéj kręciła się koło swojéj chaty.

A choć w tak ciężkiém położeniu, choć tak bardzo sama, w ciągu lat kilku nie doświadczyła ani jednéj przeciwnostki, ani najmniejszéj klęski, a wiodło jéj się w najosobliwszy sposób. Czego dotknęła się, rosło, udawało się, mnożyło, ożywiało, szło, jak to powiadają, ręką. Lud, który może nie bez pewnéj słuszności w pomyślnościach ziemskich widzi zawsze skutek nieczystéj siły, przypisujący powodzenie to skradzionemu groszowi, to innym tego rodzaju talizmanom i w tém szczęściu sieroty domyślał się zawsze potrosze pomocy upiorów, posiłku duchów czarownych, i nierychło dopiero, gdy nic nie potwierdziło domysłu, wpadać począł na tajemnicę pracy i błogosławieństwa bożego.

Wzrósł ztąd szacunek dla Marysi, którą niewidzialna jakaś opieka zdawała się swym płaszczem okrywać. Nigdy w jéj chatce niezamkniętéj, stojącéj wiecznie otworem, nigdy w ogródku nieogrodzonym, nie było najmniejszéj szkody: grób matki, cmentarzysko strzegło lepianki ubogiéj.

W skwarne dni lata, dziewczę jak mogło, z obowiązków gościnności wywiązywało się przechodzącym i przejeżdżającym mimo cmentarza; stało zawsze w sieni wiadro ze świéżą wodą i czysty czerpaczek, a wieśniacy wiedzieli o Marysinéj wodzie, i rzadko kto jadąc z miasta minął chatę, żeby się jéj nie napił, zostawując podziękę: Bóg zapłać jakie, lub drobny podarek.

Z latami upływającemi nic się tu prawie nie odmieniło: tryb życia mocniéj się jeszcze, staléj, niezmienniéj urządził, praca szła codzień łatwiéj; a sierota powoli oddychać zaczęła,

na złe dni, na czarną godzinę uciuławszy już nawet trochę grosza, trochę chleba i chust trochę.

Zawsze w pogodę wychodziła na cmentarz pod wierzbę na mogiłę, i siadała tam naglądając na chatkę, a niekiedy słabym głosem nucąc jakąś piosenkę przybłąkaną ze wspomnieniami matki.

Owa chatka, któréj budowę widzieliśmy w początkach naszéj powieści, bardzo się już pochyliła ku ziemi i zmieniła z lat upływem.

Inaczéj być nie mogło.

Sklecona na prędce z surowego i lichego materyału, nieumiejętnie, trzymała się łaską bożą, cudem, a może mchami i grzybami, które pogniłe jéj części kleiły. Ściany pomimo obmazywania gliną, dziur miały nieuleczonych mnóstwo; prócz tego tak się były zasunęły w ziemię, że okienko już niemal na równi było z poziomem, a do drzwi odkopywać musiano wnijście i dobrze się w nich nachylać.

Dach murawą ponaprawiany, zgnieciony jéj ciężarem, cały w garbach, zazieleniały od mchu i trawy, wydawał się jak pagórek, i gdyby nie osmolony komin, co wśród niego stérczał, trudnoby było poznać że ludzkie mieszkanie pokrywał. Pomimo to, zewnątrz i wewnątrz czyściuchno było, schludnie i miło, bo wszędzie widać rękę staranną. Marysię otaczało już teraz wielkie i bogate gospodarstwo: kilkanaście gołębi, całe kur rozrodzonych stado, kilka gęsi bałamutek, po które co dzień na staw chodzić było potrzeba, gdy się zadurzyły z sąsiadkami wiejskiemi; a w dodatku byli i przyjaciele domowi: kot szary i psiak bury.

Historya tych dwóch stworzeń dość była ciekawa; pierwszego z nich utopionego już, Marysia wyratowała ze stawu, odchuchała i wyhodowała; a drugi przybłąkał się jéj nie wiedzieć zkąd i jak. Znalazła go jednego wieczora siedzącego przed progiem z miną bardzo spokojnego, jakby się tam urodził; gdy podeszła ku niemu, odrazu ją jak panią powitał, polizał po ręku i wszedł za nią do chaty, niezbyt nawet ciekawie wąchając po kątach, jak stary znajomy.

Wprawdzie zjadłszy kawał suchara, napiwszy się wody, zwinąwszy się w kłębek i zasnąwszy twardo, gdy się ów przybłąka nazajutrz rano przebudził, zdawał się być chwilę niespokojny; ale trzeciego dnia ani znaku już nie było tęsknicy po dawnym panu.

Marysia rada była gościowi, który wkrótce wziął się gorliwie do naszczekiwania po nocach około chaty: był bowiem z tego plemienia stróżliwego, co to zasypia we dnie, a jak mrok wstaje, poczuwając się do obowiązku wartowania, niespokojnie ujadając na najmniejszy nawet szelest wiatru przelatującego powietrza. Marysia obawiała się w początku, żeby z drugim jéj wychowańcem, Burkiem odratowanym z topieli, a potrzebnym przeciwko myszom sprzymierzeńcem, nie było wojny zaciętéj i nieustannych zatargów.

Pies, którego zaraz nazwała Sierotką, najrzawszy kotka na piecu się wygrzewającego, doznał wprawdzie w początku niemiłego wzruszenia: spiął się ku niemu na łapy, począł wąchać, i zaburczał nieukontentowany; Burek podniósł łapy, pokazał pazury i parę razy plunął mu w oczy zdaleka jakby mówił: — odczep się odemnie; ale gdy Marysia głaszcząc psa, ofuknęła się na niego i odpędziła go od kota, zagroziwszy mu słowami, których się słuchać zdawał i usiłował zrozumieć: pokój stanął pomiędzy domownikami. Sierotka już więcéj nie zaczepiał Burka, owszem udawał przez politykę że go nie widzi, zamykał oczy na nadużycia jego względem garnków, ustępował mu z drogi niby niechcący, i okazywał się pełnym usposobień najbardziéj pokojem tchnących. Burek ze swéj strony, pomimo dosyć opryskliwego charakteru, umiał się poznać na tém i unikał powodów do zwady. Trzymał się bowiem zawsze wyższych sfer chaty, ław, stołów, pieca, przypiecka, jak najrzadziéj i bez ważnych powodów nie schodząc na podłogę, którą zostawił Sierotce. Po niejakim czasie nawet, pies i kot obywszy się z sobą, kilka razy przechodząc się powąchali, spotkali bez oznak gniewu, co niezmiernie ucieszyło Marysię; a kot, który o wiele był śmielszy i bardziéj przedsiębiorczy, wkrótce odważył się przechadzać pod samym nosem Sierotki; nareszcie, gdy ten raz spał pod piecem, położył mu się na grzbiecie.

Pies zdawał się niezmiernie jakoś zdziwiony; głowę podniósł, popatrzał, zdawał się mówić: — większa poufałość niż znajomość; ale widząc, że kot ani się rusza, położył się spokojnie, i odtąd żyli z sobą w najściślejszych stosunkach. Kot tylko jako słabszy, jako złośliwszy co za tém idzie, korzystał z téj wygranéj i wcale już nie oszczędzał towarzy-

sza, rachując na wyprobowaną łagodność jego charakteru. Odjadał go, wylegał mu się na grzbiecie, a czasem bił go po pyskach, obmyśliwszy tylko do rejterady miejsce na wypadek wybuchu ze strony Sierotki; ale Sierotka w najgorszym razie pokazywał mu tylko dwa ślicznych białych zębów rzędy, i burknąwszy a odpędziwszy natręta, z głębokiém westchnieniem ucisku, kładł się spać na swojém miejscu.

Gdy Marysia wychodziła z chaty, pies towarzyszył jéj wszędzie i zawsze; nawet na wieś, kędy go napadały psy, ze wszystkich podwórzy, wśród których z podkulonym ogonem, z najeżoną na grzbiecie sierścią, defilować musiał coraz to im zęby pokazując. Kot zaś do progu tylko dochodził, powracał nazad i chaty z garnkami pilnował.

Sierotka nie odstępując swojéj pani, leżał u nóg jéj na mogile gdy przędła, szedł za nią na wieś, choć go to wiele kosztowało, a w nocy choćby mróz był największy, nie folgując sobie, wywdzięczał się szczekaniem za strawę. A tak sobie zawsze umiał dawać radę, że gdy go podchodzące wilki ścigały, właził na dach, i ztamtąd bezpieczny przyparłszy się do komina, ogromną wrzawą ich odpędzał.

Taki był skład dworu Marysi, która towarzyszów swej doli i karmiła, i pilnowała, i niemal jak ludzi tuliła pod swoją opiekę; począwszy bowiem od gołębi do głupich gęsi i rozumnego Sierotki, do wszystkich stworzeń tych mówiła słowy, których do ludzi użyć nie mogła; rozmawiała z niemi, kłóciła się, radziła, gniewała, chwaliła, zachęcała... Jeden pies tylko zdawał się to rozumiéć, kot bowiem choć dość zły i opryskliwy, obojętny był, ospały i gadać do niego, było to groch rzucać na ścianę; ptastwo zaś, głos jeden, jedno wołanie, na które przywykło się zlatywać, pojmowało.

Sierotka był niepospolicie rozumny, grzeczny i domyślny piesek. Uważała Marysia nieraz, że w przyjęciu przychodzących ludzi robił wyraźny, rozmyślny wybór form grzeczności: jednych witał milczkiem nie wstając ze swego miejsca, innych machając ogonem, łasząc się i przysiadając, innych wąchając za niemi powietrze, a niektórych burcząc zdaleka, lub ujadając złośliwie i uparcie, jakby miał ochotę ich pożréć. Najnienawistniejszych szarpał za suknię, ale nie kąsał nikogo.

Tych oznak przychylności i wstrętu oduczyć go nie było można; odwołany słuchał wprawdzie pani, ale drugą razą toż samo czynił co wprzódy. Miał w tém swoje widzimi-się.

Było to jakoś latem: dzień skwarny kończył się jednym z tych wieczorów rzadkich u nas i wyjątkowych, bez chmur, bez wichru, pogodnym, cichym, złocistym, kroplistą rosą zwiastującą posuchę zwilżającym spragnione zioła i trawy. Marysia wróciwszy ze cmentarza ustawiła kądziołkę pod piecem, pogłaskała najeżonego burka, wzięła wiadro i miała schodzić do źródła, bo jéj wody zabrakło, gdy tętent konia ją zatrzymał.

Drogą ku wiosce jechał ktoś śpiesznie na małym szpakowatym koniku, pogwizdując wesoło hulacką piosenkę. Marysia przez ciekawość wstrzymała się i stanąwszy przypatrywać zaczęła. Wieczór był jasny jeszcze, a przejeżdżający ujrzawszy dzieweczkę, zwolnił kroku, wlepił w nią oczy ciekawe i nawet gwizdać poprzestał. Byłto młody chłopak z jasnemi włosy, skromnie, ale czysto odziany, wyglądający na leśniczego lub pisarza, z torbą myśliwską na plecach, w czarnych, długich po kolana butach, z harapnikiem przez plecy, w wiejskim kapeluszu słomianym na głowie. Na ogorzałéj jego twarzy znać było jeszcze rumieniec młodości wytryskujący z pod opalenizny, i ciekawość gorącą, patrzącą z piwnych, pełnych ognia źrenic. Na ustach błąkał się uśmiech wesoły i zalotny. Koń pod nim zwijał się i niespokojny wyrywał, jakby zdziwiony tém, że go nieco wstrzymano: znać nie przywykł był do powolnego chodu i zdradzał przez to charakter swojego pana żywy i czynny. Ubranie młodzika pomimo swéj prostoty, z pewném było uszyte staraniem, bo mu kibić giętką i szerokie ramiona dobrze rysowało.

On i ona zatrzymali się nieco spojrzawszy sobie niespodzianie w oczy; przejeżdżający zwolnił kroku siwemu, by dłużéj na śliczne dziewczątko popatrzeć; ona się zacofała, sądząc, że może potrzebować... choćby kropli wody po znoju i dziennym upale. Ale chłopak słowem się nie odezwał, obrócił ku chacie, popatrzał, obejrzał na cmentarz, jeszcze raz na dziewczynę śmiałém rzucił okiem, konia śmignął i poleciał świszcząc wesołą piosenkę. Marysia powoli zeszła ku krynicy.

A schodząc, jéj oko mimowolnie zwróciło się w stronę, którą gnał nieznajomy chłopak, żywo pędzący przez sioło na parskającym siwoszku. Jakoś miło jéj było widziéć jak on koniem kierował, jak odważnie sadził przez groblę dziur pełną, jak się ze zwierzem borukał, gdy mu się płoszyło, i wychodził z walki zwycięzko. Piosnka jego wesoła i junacka mile się obijała o jéj ucho; i zatęskniła prawie, gdy się skrył za domami, a szum kół młyńskich zagłuszył śpiewkę ochoczą...

Wrażenie tego spotkania trafunkowego nie zatarło się jak tyle innych; a choć Marysia ani próżnować, ani marzyć nie miała czasu; często przed jéj oczyma przelatywał ów jeździec na siwym koniku.

— Tfu maro! — zawołała nareszcie — a to jakieś nasłanie!... Czegóż ja o nim myślę!

Rozśmiała się sama z siebie, ruszyła ramionami i powróciła do pracy.

Nazajutrz rano, gdy zwyczajem swoim przed próg wyszła powitać ptaszęta, obejrzeć gospodarstwo i okiem dać dzień dobry mogile; na widok pustego gościńca, przyszedł jéj na myśl znowu wczorajszy podróżny, i ciemne jego oczy z pod słomianego kapelusza, tak ognistym patrzące wzrokiem.

— Któżby to był? — pomyślała — kto taki?

Ale nie znając ani okolicy, ani swojéj wsi nawet, domyślić się nie mogła, i rzuciwszy pytanie z wiatrem, a na prędce urządziwszy chatę, z Sierotką razem poszła na matczyną mogiłę prząść do południa, pókiby jéj skwar ztamtąd nie spędził.

Pies, który już dobrze wiedział drogę codzienną, naszczekując i wesoło się zwijając, poprowadził ją do zielonego wzgórka, u stóp którego Marysia na omszonym siadywała kamieniu, pod starą spróchniałą wierzbą.

Widok z téj wyżyny sięgał daleko, i w istocie mógł samotnicę zabawić, bo przez obalony parkan i nizki wał, z pagórka całą wioskę jak na dłoni, i pola z drogami po za wsią, a w prawo jary, zarośla i bory widać było daleko. Choć ruch na gościńcu był mały, bo w tę stronę niebardzo kto jeździł, prócz w dzień jarmarku do miasteczka, do którego bliższa wprawdzie, ale gorsza tędy prowadziła droga; za to oko zdala napaść się mogło ruchem okolicy i obrazem pracy ludzkiéj. Co się działo we wsi, za wsią, na polach, we młynie, wszystko mogła ztąd rozeznać Marysia; a czasem oko jéj mimowoli chwytało przechodzących, przejezdnych, i zgadywało łatwo, dokąd i po co dążyli, jaka tam ich myśl wiodła. Każdy pług wychodzący na pole, każdy wóz zbliżający się do młyna, każde radło rano lub leniwie wysuwające się na łan policzyć mogła sierota, a poznawała je po koniach, po bydlętach, po postawie przewodników.

Zaledwie nić poczęła wyciągać z kądzieli, gdy znowu tętent żywo lecącego konia ucho jéj uderzył; oko się zwróciło na drogę, i chłopak na siwym koniku ukazał się odewsi na pagórku ku cmentarzowi jadący. Znowu on gonił żwawo, a siwek pod nim wyrywał się zasapany drapiąc ku górze... Dziewczę śledziło okiem i konia i pana razem, niepostrzeżone dotąd, badając gdzie zmierzają oba. Chłopak zrównawszy się z chatką, przytrzymał zasapanego siwka i twarzą obrócił się ku lepiance, na którą pilnie poglądał; a widząc drzwi jéj zaparte, już miał znowu konia zaciąć, gdy zwracając głowę, ujrzał po nad cmentarzem twarz Marysi siedzącéj z kądzielą.

Przed nią zbudzony hałasem niezwykłym Sierotka, przednimi łapami wsparłszy się na wierzbę krzywą, burczał i naszczekiwał, choć widocznie wielkiéj ku temu nie miał ochoty, ale czynił to z uczucia obowiązku raczéj, niżeli z gniewu. Widać to było z tego, że wśród szczeku, wyrwało mu się kilka razy szerokie ziewnięcie.

Siwek już się był spiął i zerwał do galopa, gdy jeździec go powstrzymał i zdziwiony począł głową potrząsać; a że nie wiedział może od czego począć z ładną dziewczyną rozhowor, zawołał:

— Hej! dzieweczko! czy to wy może z téj chaty?

— Z téj chaty? a ja! a cóż?

— A cóż robicie na cmentarzu?

— To co zawsze: wyszłam prząść na grobie matki...

Chłopak zdziwiony ruszył ramionami.

— Dalibyście mi się wody napić?

— Ot zaraz poczekajcie!

I Marysia ruszyła się zostawując kądziołkę pod wierzbą, wybiegła z Sierotką razem, przeskoczyła drogę, otworzyła chatę, i kubek drewniany podała z uśmiechem nieznajomemu.

Wszystkim jéj ruchom przypatrywał się młody chłopak z wyrazem nadzwyczajnego zajęcia, jak gdyby nie wierzył temu wdzięcznemu zjawisku, które miał przed oczyma.

Drżącą ręką wziął kubek, a niósł go do ust tak powolnie, jakby mu się nic pić nie chciało; siwek tymczasem nogą grzebał, a Sierotka wąchając obchodził do koła przyjezdnego na psi sposób, starając się poznać nosem z kim miał do czynienia. Znać sledztwo jego nic złego nie okazało, bo wkrótce usiadł spokojnie, i począł tylko w oczy patrzeć podróżnemu!

— Patrzcieno! — to w kubek, to na dziewczynę spoglądając rzekł chłopak — to wy tu mieszkacie??

— A cóż dziwnego mój panie?

— Naprzeciw cmentarza! — mruknął jeździec — a z wami kto? ojciec?

— Nie mam ojca...

— Matka?

— Nie mam matki — westchnęła Marysia...

— To służysz u kogo?

— Nie panie...

— A z kimże tu siedzisz?

— Ot tak, sama jedna!

Chłopak podniósł głowę zadziwiony, a oczy aż mu się zaiskrzyły.

— Jakto? sama jedna? A jakże to może być?

— Bom sierota — odezwała się pocichu Marysia...

Podróżny napił się wody z widoczném jakiémś roztargnieniem; znać było, że nie rozumiał wcale ani sieroctwa Marysi, ani jéj ustronnego mieszkania, a pytać już nie śmiał daléj. Pokiwał głową, popatrzał, a że siwek się zrywał do biegu, uśmiechnął się skinąwszy głową i jak strzała poleciał.

Sierotka, który dotąd siedział spokojnie, przerażony jak i pani jego, kopnął się za koniem szczekając zajadle; ale wkrótce powrócił nazad miarkując zapęd gwałtowny i starannie począł obchodzić ślady stóp konia, rozpatrując się w miejscu, z którego jeździec znikł tak prędko.

Marysia z nawpół wypróżnionym kubkiem stała długo, patrzała tęskno za uciekającym, i bardzo powoli wróciła zamyślona na matczyną mogiłę, dokąd jéj wierny psiak ze spuszczoną towarzyszył głową...

Wiele ludzi dnia tego przechodziło i przejeżdżało gościńcem, ale znajomi widząc sierotę na jéj zwykłém miejscu, wcale się nie dziwili: każdy kiwnął głową, pozdrowił ją i mijał.

Zrazu było to dziwowisko dla wszystkich, widziéć ją przędzącą na mogilniku: ale po latach kilku oswoili się z tém i z sierotą; zwali ją tylko często *dziewką ze cmentarza*, a choć ją pocichu stare baby o związku z duchami posądzały, nikt już temu wierzyć nie chciał.

Jeszcze był tuman pyłu wzniesiony kopytami siwego konika nie osiadł i nie rozwiał się w powietrzu, gdy pieśń grubym nucona głosem, dobrze znajomym dziewczynie, rozległa się pod cmentarzem. Po niéj Marysia poznała Rataja, a nawet domyślić się mogła że szedł wprost z karczmy, bo trzeźwy był milczący, a im więcéj wychylił kieliszków, tém donośniejszym głosem pieśni pobożne wyśpiewywał.

Sierotka szczeknął tylko raz, jakby się oznajmywał ślepemu; nastawił uszy i umilkł.

— Aha! już Maryś na cmentarzu! — odezwał się Rataj — dobry dzień dziewczyno! Bóg tam z tobą, a co słychać?

To mówiąc zręcznie zbliżył się do wnijścia i wsunąwszy się na cmentarz, przysiadł ocierając pot z czoła pomiędzy dwoma mogiłami.

— Nic ojcze nie słychać — odpowiedziała dziewczyna — nic nowego!

— Ho! ho! kłamiesz cyganko! — śmiejąc się odparł mąż Sołoduchy — a kto tu wczoraj się przejeżdżał, a kto tu był dzisiaj?

Marysia zapłoniła się jak wiśnia, i wrzeciono wypadło jéj z ręki.

— Któż miał być? kto?

— Na siwym koniku, hej! był ktoś, był! dziewczyno! A tęgi chłopiec; choć go oczy nie widziały, to go uszy zrozumiały.

— Jakże wy wiecie?

— Ale bo! Maryś! — krzyknął Rataj — Maryś cyganko, ślepy to zawsze więcéj wié i lepiéj widzi od tych, co oczy mają; już to tak w świecie zawsze... Wczoraj cię wieczorem napatrzył, a dziś tu się zatrzymać musiał... Ot lepiéj sama przyznaj się staremu.

— A czemużbym przyznać się nie miała? — odpowiedziała Marysia — przed wami powiem wszystko. Ot jakto było: przejeżdżał wczorajszego wieczora chłopak jakiś koło chaty; no prawda... obejrzał się na mnie, a dziś znowu tędy jechał i o wodę prosił, tom mu jéj wyniosła; trochę popytał... A wy go znacie?

Rataj głową pokiwał milczący.

— To i ja ci powiem jakto było — rzekł — bo nie z czém, tylko z przestrogą przyszedłem: młodemu jak ty kurczęciu, łatwo się dostać w szpony kobusie... ale bądź ostrożna.

Marysia drżąca i czerwona patrzała w twarz starego, który powoli dobywszy z torby chleba i cebuli, tymczasem śniadał odpoczywając kawałem razowéj kromki, natartym główką aromatycznego warzywa.

— Ten chłopak, toć ja go znam — mówił zajadając — to syn bogatego budnika z Rudni; kiedyś to byli szlachta... od tego Adama Choińskiego, co to wołami i wieprzami i zbożem handluje... a słyszę groszowity... Imie synowi Tomko; znają go na okolicę: dobry słyszę chłopiec, ale urwisowaty i za dziewczętami gotów czy w ogień, czy w wodę! Ojciec, choćby mu to doma chleba nie zabrakło, kazał służyć; a to od niedawna przyjął u nas miejsce leśniczego. Bardzo się nam z nim niebratać, bo to harde: czuje grosz w kieszeni i myśli, że wszystkiego za grosz dostanie, a jedynak u ojca. A szaławiła! szaławiła!! Szlachcianek i naszych dziewek nabałamucił już dość.

Marysia słuchała i zżymnęła ramionami.

— A co dziwnego mój ojcze — rzekła hardo — że pobałamucił takie, które tylko wyglądały, żeby kto na nie palcem kiwnął.

— Zapewne, zapewne, ot i ta Kachna, Boże odpuść, zaczęła powiadają od parobczaka księdzowego, potém był ekonom z Wójtówki, a naostatku Tomko... Czysto kiedy szukała i znalazła... Ale to słyszę taki niebezpieczny chłopiec, bo i niczego, i tak się układa, że gotów przysiądz, że się ożeni; aby mu nieboraczątko w pole wywieść. Strzeżno się i ty, bo słyszę wczoraj w karczmie zajechawszy w wieczór mocno pytał zaraz, kto to w chatynce mieszka, co to za dziewczyna tam siedzi; a że mu ludzie nic nie odpowiadali i śmieli się z niego, zmieszany umilkł. Dziś znowu chodził darmo na zwiady, a to już zły znak że drugi raz tu był. Abyno się to licho do ciebie nie przyplątało; zaraz ludzie zaczną Bóg wié co gadać, a sierocie dosyć jednéj biedy na ramionach.

— Bóg zapłać ojcze za przestrogę — odparła po chwili namysłu Marysia — dobrze żeście mi rozpowiedzieli kto on taki... Niechno jeszcze sprobuje do mnie zajrzéć, będę wiedziała jak go ztąd wyprawić.

— O to mi zuch dziewka! — zawołał stary plaskając w dłonie — naucz szlachcica rozumu... Jemu w głowie szlachectwo, ta może i ojcowskie grosze, i liczko gładkie, że sobie z niemi będzie broił bezkarnie; ale ty masz rozum!

— Ej! rozumu nie mam ojcze, ale mi Pan Bóg i matunia z nieba dopomagają... Sierota, jużem powinna była sto razy przepaść z głodu, chłodu i nędzy, a ot mnie przecie trzyma łaska Pańska na nogach i sytą i okrytą i wesołą; to poratuje i daléj.

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże — szepnął stary kiwając głową — a sobie bardzo nie ufaj: ty młoda, on młody, krew nie woda; tobie tęskno saméj jednéj, przyszłaby zła godzina... człek się zdurzy i zapomni; a co potém łez za to wylać potrzeba!! a co oczu nachować! Czymto ja się nie nasłuchał, czym się nie nabywał między takiemi... Tomkowi jużta potrzeba kochanki, i zaraz sobie namotał na ciebie... bywajże mi ostrożna!

— Ale się ojcze nie bójcie! Bóg i od tego obroni! — odezwała się spokojnie Marysia — jemu nie tak to źle z oczu patrzy.

— O, o! słyszysz! — krzyknął Rataj śmiejąc się — toś mu już w oczy zaglądała, łotrzyco!... Ostrożnie z tém, ostrożnie.

Sierota smutnie się tylko rozśmiała, dziad mówił daléj.

— Ha! ha! gdyby się chciał ożenić, nie mówię; ale to wielki pan, gdzie! gdzie! wysoko on patrzy, wyżéj niźli wrona leci! Ale ja tu z tobą gadu, gadu, a psy w krupach;

a na jutrzejszy jarmark iść potrzeba, bo mi najlepsze miejsce zajmie kulawy Łajda... No! pilnujże się Maryś, a chatę zamykaj od złodzieja.

Śmiejąc się wyszedł żebrak ze cmentarza i ledwie na gościńcu rozpoczął znowu przerwaną pieśń pobożną od tego wiersza, na którym ją porzucił. Marysia poczęła prząść żywo, i Bóg tam wie jakie myśli krążyły po jéj główce, ale się często wstrząsała; to spoglądała na drogę, to rzucała okiem na pole, to zadumywała się porzucając wrzeciono; aż nakoniec jakby zwyciężywszy błędne rojenia jakieś, które ją trapiły, wzięła się żywo do kądzieli i do swojéj godziny doprzędła.

Kiedy z Sierotką przez drogę wracali do chaty, przechodząc miejsce na którém były ślady kopyt końskich, pies znowu się zastanowił, obszedł je z wielką uwagą i rozpatrzył. Marysię to zastanowiło, zrozumiała ten ruch, jako dowód czujności stróża swego, zawołała go, pogłaskała, pocałowała w czoło, a Sierotka jak oszalały z radości, nałasiwszy się przed swoją panią, wybiegł szczekać na cztery wiatry, głosząc jéj sławę, a swoją gorliwość.

Dobrze już zmierzchać zaczynało, a Marysia zamknęła się była w chatce na skobel, gdy drogą znowu tętent konika dał się słyszeć, a pies ku drzwiom zaszczekał. Koń powoli zdał się zatrzymywać i przystanął... Tomko widać przed chatą go osadził. Marysia pobiegła do okienka, wyjrzała i szybko skryła się pod piecem.

Chwila upłynęła w milczeniu, aż puk! puk! słychać do zamkniętych drzwiczek. O! i serce puknęło biednéj dziewczyninie, a pies rozgniewany za natrętność, na dobre szczekać począł.

I znowu puk, puk do drzwi, potém do okienka.

— A kto tam? — spytała drżącym głosem Marysia.

— To ja!

— Któż to *ja?* Czegoto chcecie? — odpowiedziała dziewczyna śmiało zbliżając się do okna.

— E! to ja! nie bójcie się... Co to u was już i chata zaparta... tak zawczasu.

— Bo ja tu sama, zamykać się muszę, a nikomu po nocy nie otwieram.

— Ja wam coś chciałem powiedzieć i wody się napić, a za ranny kubek, tom wam coś przywiózł z jarmarku... Ale doprawdy mnie nie myślicie puścić?

— Jedźcie z Bogiem daléj; do wsi dwa kroki — szepnęła Marysia — Nocą to już do mnie nikt nie wchodzi: piesby mój pokaleczył.

— To choć podnieście okienko i przyjmcie gościniec.

— A! okno się nie podnosi! — odpowiedziała dziewczyna — a gościńców ja nie biorę.

— Cóżto za chata przeklęta — zawołał chłopak — A no! to dobranoc! zostawię gościńca na przyźbie... Bywajże mi zdrowa!

Odstąpił wkrótce odedrzwi, bo zaraz i tętent konia dał się znów słyszéć na drodze, i piosenka wesoła uciekła z nim ku wiosce.

Marysi serce biło, a biło niezmiernie! W głowie mąciło się biednéj, i wyraz czarodziejski „*gościniec*, *podarek*", błyskał przed jéj oczyma tysiącem barw jasnych, świetnych, iskrzących... Chciało się jéj bardzo wyjść zaraz, zobaczyć; ale strach jakiś instynktowy chwytał za serce i odrętwiał nogi. Już Tomko był daleko, już nikt na nią nie patrzał, szła do drzwi niespokojna, gdy u progu siedzący Sierotka spojrzawszy w płonącą jéj twarz, jakby ostrzegając czy łasząc się, zaszczekał. Marysia zatrzymała się, zaczęła myśléć i została przy piecu.

— Mogęż ja przyjąć podarek? — spytała sama siebie — co na to powiedzą ludzie?.. Jak raz wezmę, nie odczepię się od niego?

Nikt jéj nauczyć nie mógł jak to pytanie rozwiązać, i gdyby na myśl nie przyszły przestrogi starego Rataja, byłaby skwapliwie chwyciła tę rzuconą pod jéj okienkiem zagadkę.

Potrzeba jednak było walki z sobą długiego i cichego w duszy boju, żeby w końcu sobie powiedzieć: nie pójdę, nie tknę, nie przyjmę!

Nie łatwo jéj przyszło to postanowienie, a ciekawość jakito tam podarek być może, długo jéj oczu zamknąć nie dała i sen miała niespokojny.

Nazajutrz jak brzask, już wytrwać nie mogła; wysunęła się z lepianki okiem szukając owego wczorajszego gościńca... tyle domysłów niepokoiło ją noc całą. Co to być mogło! Zrazu nic nie zobaczyła; ale zbliżywszy, się spostrzegła krasną, czerwoną, ładną... a! jaką ładną chustkę nowiuteńką i kilka łokci szerokiéj karmazynowéj wstęgi! Oczy jéj

nie przywykłe do podobnych strojów, powiększały jeszcze piękność tych bardzo zresztą pospolitych gałganków; ale ona i takich nigdy nie miała!!

Obejrzała je wziąwszy w drżące ręce ze strachem, pożądliwością, pokusą, z jakimś żalem nawet; ale przeczucie nie pozwoliło przyjąć od nieznajomego tak wielkiéj i podejrzanéj ofiary... Rozstała się biedna nie bez boleści z chustką i wstążką, zostawuając je na tém miejscu, na którém były położone; a sama szybko schwyciła wiadro i rozpoczęła dzień lecąc jak zwykle do krynicy po wodę.

Sierotka po pani obwąchał podarek Tomka, obszedł go wkoło, burknął, i nieodstępny pognał za Marysią do źródła.

Dziewczyna choć ją to kosztowało wiele nie spojrzała już nawet na gościniec, i zabrawszy kądziel, ze spuszczoną głową poszła smutna ku mogile. Ale jéj oczy zwracały się ciągle na drogę, ale serce drżało jakimś niepojętym niepokojem. Słonko się już było dobrze podniosło, gdy tętent siwego konika dał się słyszéć zdala, a dziewczyna prząść zaczęła coraz żywiéj.

Leśniczy zatrzymał się naprzeciw chałupy, obejrzał, i szczekanie psa zwróciło oczy jego na siedzącą pod wierzbą dziewczynę.

— Co u kata? po cobo ona zawsze siedzi na cmentarzu? — burknął nieukontentowany zsiadając z siwego.

Jak wszystek lud prosty i budnicy, młody chłopak był przesądny, i za nicby był nie poszedł w umizgi na cmentarzysko; markotno mu było, że Marysię tam zastał, pochmurniał i nie wiedział co począć.

— Dzień dobry! — odezwał się zbliżając do drogi ku wałowi cmentarnemu i opierając się na zielonym garbie, który go oddzielał od niedaleko siedzącéj dziewczyny. — Dzień dobry! A co? choćby Bóg zapłać należy mi za gościniec.

— Nic się wam nie należy — podnosząc głowę odezwała się powoli Marysia — znajdziecie gościniec wasz tam, gdzieście go wczoraj położyli, jeźli go kto w nocy nie wziął... Rosa tylko musiała go przypaść...

Tomko stanął zdziwiony.

— To go niechcecie przyjąć odemnie?

— Bo nie mogę — odpowiedziała Marysia — a za cóż i na co miałabym od was brać podarki? a coby to na to powiedzieli ludzie?

— Czyto koniecznie ludzie o wszystkiém wiedzieć mają? — rzekł kusiciel słodko, podkręcając wąsika i ze strachem a pożądliwością razem spoglądając na zaklęte cmentarzysko.

— A Pan Bóg? — odezwała się Marysia.

— Albożto Pan Bóg zakazał dawać i brać gościńce?

— Ja tam tego niewiem, bom nie mądra — rzekła sierota po chwili namysłu — alem nigdy w życiu nic od nikogo darmo nie brała i nie wezmę...

Tomko niedowierzając jeszcze, rzucił okiem ku chacie, ujrzał na przyźbie chustkę i wstążkę, i dźwignął ramionami zniecierpliwiony.

— No! to jak tam sobie chcecie — rzekł szydersko. — Znajdzie się taka, co to weźmie.

— I takiéj sobie gościńca swego oddajcie — odpowiedziała Marysia — choćby Kachnie — dodała z uśmiechem, przypominając opowiadanie Rataja — ja pewnie nie pozazdroszczę.

— Filut dziewczyna — rzekł w duchu zagryzając usta Tomko — trafiła kosa na kamień... Ale ba! nie ona jedna na świecie.

A że to był budniczuk i syn bogatego gospodarza, przywykły do łatwych umizgów i dumny dawném szlachectwem swojém; jakoś się oburzył na sierotę, że go lekceważyć śmiała; świsnął piosenkę, siadł na koń, podjechał pod chatę, chwycił schyliwszy się chustkę, i wcisnąwszy ją za czamarkę, okiem nie rzucił na Marysię i poleciał!

Gdy się to działo, Marysia sobie przędła ze spuszczoną głową, przędła nie patrząc nań, a jednak widziała wszystko: każdy ruch zagniewanego chłopaka, każde jego ku sobie skierowane wejrzenie; i ścisnęło się jéj serce, gdy bez pożegnania, bez dobrego słowa odjechał.

Pies jéj naszczekiwał jeszcze na odjeżdżającego, a ona... ona płakała...

Z tych łez nie umiałaby się była wytłómaczyć przed nikim, przed sobą nawet; ale tak jéj było smutno, tak ciężko po odjeździe Tomka, jak gdyby najdroższe ze swych stworzeń,

najmilszy sprzęt straciła. Już się dnia tego nie przędło, nie wiodło, nie śpiewało; i gdy noc przyszła, nie spało.

Ucho jéj mimowolnie szukało w powietrzu dźwięków znajoméj piosenki i tętentu konia; ale głucha cisza panowała na gościńcu...

Tomko pomyślał sobie słowami piosenki:

„*Ne wełyka sercu tuha*,
„*Ne budesz ty, bude druha*...

I poleciał na tany do karczemki, za krasną twarzyczką, za białém liczkiem i czarném okiem, za któremi tęskno mu było przecie! Dużo było dziewcząt pod karczemką, gdzie grała muzyka, złożona ze skrzypka sławnego, szewca, z basetlisty tkacza i bębniarza, który prawdę rzekłszy, był pastuchem przy dworskiém bydle. Leśniczy traktował, przymilał się, wywijał, ściskał, szeptał, poił i nahasał do syta; ale gdy nahulawszy się, powrócił nocą już do swojéj izdebki, zdziwił się, że mu wciąż ładna twarzyczka cyganki stała przed oczyma.

— Co u licha! — zawołał w duchu — toć pewnie ona z nich nie najładniejsza... A nie chce, to się bez niéj obejdę i myśléć o niéj przestanę! Jeszcze się to czupurzy i udaje panienkę dworską: kat ją bierz!

Starato historya serc ludzkich; daj im najdroższe skarby, pełną sypiąc dłonią, odwrócą się od nich obojętnie; odejm tylko ziarnko drobne i podróż się niém trochę, już ci bez niego żyć nie potrafią. Próżno sobie wmawiał Tomko, że dla niego niczém jest Marysia: złość go na nią brała, a co gorzéj, porównywając ją z dziewczętami wiejskimi, widział dowodnie, że od wszystkich była piękniejszą, choć tego przyznać nie chciał.

— Już że piękna to piękna — mówił — ale nieznośnie harda; nie będę się przecie lada cygance kłaniał i w rękę ją całował!

I jak się zaciął Tomko, tak ani tą nawet drogą przejechał, ani się pod chatą pokazał przez tydzień cały.

A co myślicie: tydzień dla młodych, to mało?? Wiek to cały w téj epoce szczęśliwéj życia, która czarodziejską ma władzę z godziny robić lata, a z lat mgnienie oka... Tęskniła i smutna Marysia, złościł się Tomko, i ani się spostrzegł, jak wreszcie jednego ranku siwek sam zaniósł go pod cmentarz.

Marysia przędła na mogile. Chłopak minął ją świszcząc nie spojrzawszy nawet, ale oboje się widzieli choć głowy mieli poodwracane; a pies, który był odwykł od konia i pana, wyleciał aż do furtki naszczekiwać na nich. Mignął Tomko jak zjawisko, i znów go nie ma i nie ma.

Kilka dni tak przeszły, aż wyszpiegował dziewczynę o któréj porze chodziła na cmentarz i nadjechał raniuteńko, kiedy się dopiéro z wiadrami wybierała po wodę.

— A! dzień dobry, krasawico?

— Dzień dobry!

— Cóż to? sami sobie wodę nosicie?

— A któżby mi miał nosić i na co, kiedy sama zdużam?

— E! szkodabo mi twoich białych rączek, Marysiu, bo doprawdy — rzekł zbliżając się — nie chłopskie rączki macie!

— A cóżbym nimi robiła? — śmiejąc się odparła cyganeczka — jużciż ja nie ta pani o któréj gadają, że sobie siedzi założywszy ręce dzień cały; toćbym z nudy umarła!

— Jakato z ciebie będzie gospodyni! — rzekł kusiciel pochlebca, coraz się do niéj przysuwając.

— Czemu mówicie będzie? — odezwała się sierota — alboż już nie jestem? A kto mi w domu gospodarzy, kiedy nie ja sama?

— Słyszałem ja słyszał; ta-to się we wsi wydziwić nie mogą waszéj robocie i ochocie.

— Ale gdybym tak oto stała wpośród drogi, a codzień gawędziła z chłopcami jak dziś z wami; wiém, jakby szło gospodarstwo! Słońce wysoko, czas mi do krynicy...

— To i ja za wami — zawołał Tomko rzucając konia naprędce przywiązanego do kółka — i ja zwami...

Marysia nie śmiała mu nic powiedzieć, wzięła wiadro i posunęła się naprzód, za nią Sierotka, za Sierotką Tomko. Ale ile kroć chciał napędzić ją i zbliżyć się do dziewczęcia, pies stróż czujny stawał, zęby mu pokazywał i niedopuszczał.

— A! dobrego macie stróża! — rzekł z przekąsem chłopak — może i kąsa jeszcze?

— Czasem! — śmiejąc się pocichu odpowiedziała Marysia — ale byleby do mnie nie przystąpić, nic nie zrobi.

Tomko zwolnił kroku, śpiewać począł i zachodząc ze strony, zrównawszy się z sierotą w przyzwoitéj jednak od niéj odległości, rozmowę zawiązał.

— Czemuto wy nigdy nie przychodzicie na taniec do karczmy?

— Nie mam czasu.

— A w niedzielę?

— Trzebaż jeść ugotować i pokarmić kury, gęsi, gołębie, chatę oporządzić, spocząć.

— I nie nudno wam to na odludziu?

— Nie... na nudę nie ma téż czasu.

— Trzysta diabłów — rzekł w duchu Tomko — zkąd się ona tak pięknie mówić nauczyła?

— Prawda — dodał — że z was dziwne stworzenie: innaby tak przepadła ze skuki, a wy sobie cudem radę dajecie.

— Nie cudem paniczu, ale łaską Bożą.

I westchnęła Marysia.

Tomko pożérał ją tymczasem oczyma; pierwszyto raz był z nią tak długo i tak blisko się jéj mógł przypatrzyć, a wydawała mu się co chwila ponętniejszą, porównywał ją z wszystkiemi jakie dotąd widział, nawet z czarnobrewą Petronellą, garderobianą sąsiedniego dworu, i musiał przyznać, że przy Marysi gasła nawet biała, rumiana i świeża dworka.

Ma to do siebie samotność, że jeśli nie psuje, to dziwnie, wznioślejsze zwłaszcza natury uszlachetnia, a dusza czysta musi się przelać w rysy twarzy, w każdy ruch, w spojrzenie, dźwięk głosu; rzekłbym, w barwy i kształty uwidomiające ją przed światem. Dziwił się Tomko, że dlań sierota miała urok i powab, powagę, ponętę, jakich nigdy nie doświadczył wrażenia. Myśl jego zuchwała i do zuchwalstwa przywykła łatwemi zwycięztwy, porywała się na sierotę; ale gdy na nią oczy podniósł, uczuwał jakąś nieopisaną obawę i tchórzył, ust nieumiejąc otworzyć. Wejrzenie jéj niepokoiło go, mieszało, języka zapominał w gębie, choć nim gdzieindziéj zręcznie bardzo władał; słowem, przy Marysi czuł się jak skrępowanym.

— To licho! — mówił w duchu — czy ja tu z tém kurczęciem ładu nie dojdę: taćto być nie może. Cóżto za jedna? zaklęta królewna? Tfu! cyganka sierota! przybłęda! A takbyto było wygodnie się do niéj umizgać: chata na odludziu, żywéj duszy, nas tylko dwoje; przyjeżdżaj kiedy chcesz, nikt niezobaczy, nikt nie połaje, nikomu się nie kłaniaj.

Dumał tak idąc obok dziewczyny, aż do studni, a coraz to na nią spozierał z ukosa, a co się chce zbliżyć, to Sierotka warknie, i leśniczy choćby mógł go harapem odpędzić, woli odstąpić trochę. Tak doszli do krynicy pod górą.

Ta Krynica, była to sobie, jaką nie jednąście widzieli pewnie w życiu: studeńka nie studeńka, źródełko sączące się zpod glinianego obrywu na białéj opoce kredziastéj, ostawione starym szerokim pniem spróchniałym. Dokoła niego sączyła się woda spływając do bliskiego stawu drobnemi, wężykowatemi strumyczkami, przez które po rozkisłéj ziemi, gdyby nie kładki, kamyczki i cegły, trudnoby nawet przejść było.

Na pniaku leżał kruk drewniany, służący do spuszczania wiadra, choć tu niewiele kto czerpać przychodził, bo źródło było daleko odewsi: ale wymyślniejsze gospodynie aż tu czasem z za grobli przybiegały, bo woda była wyborna. Dokoła w prawo i w lewo zarastały bujno po bokach wzgórza tarnina, leszczyna drobna, kaliny i bzy, migdałowym swym zapachem napełniające powietrze. Wśród téj drobnoty, jedna tylko obłamana, stara, kaléka czereśnia wyżéj się wznosiła, litość budząc koszlawym pniem swoim, co roku nowemi pooranym bliznami.

Miejsce było puste a ładne. Wdali staw, grobla, młyny i część wsi jak na dłoni... Tomko chciał dziewczęciu dopomódz do zaczerpnienia wody, ale nim się do tego po szlachecku przybrał, już Marysia przebiegła po znajomych kładkach, chwyciła kruk, zanurzyła wiadro, i pełne, śmiejąc się, postawiła na ziemi, szybko toż samo z drugiém robiąc.

Sierotka korzystając ze zręczności napił się wody ze strumyka, popilnował aż Marysia wiadro dobyła, i znów poważnie na straży ku domowi iść począł. Tomko, który niepłonną miał nadzieję, że przy studni coś oberwie, choćby kradzionego całusa rozpoczynającego wiejskie zaloty, powrócił całkiem z niczém i w dosyć złym humorze na psa i dziewczynę; bo śmieszno mu było, że przed sobą wytłómaczyć się nie mógł, po co aż na dół schodził.

Po drodze rozmawiali tylko; ale coby miał nabierać odwagi, a Marysia ją tracić, to on czuł się co chwila bardziéj onieśmielonym, ona zaś coraz weselszą i odważniejszą.

— Ha! — pomyślał Tomko — pójdę za nią do chaty, zobaczymy.

Ale dziewczyna u drzwi postawiła wiadro i siadła na przyźbie. Tomko znów klął tę jéj politykę, któréj się nie spodziewał; usiadł wszakże koło niéj; cóż, kiedy jakby naprzekor Sierotka umieścił się między niemi na straży, co chwila białe ukazując mu zęby, byleby się ruszył.

Po chwili przekonawszy się, że nic nie zyska Tomko zły, gniewny, choć niby żartował z tego klnąc że więcéj nie powróci, poleciał do dworu.

Jeszcze była Marysia nie odeszła ze swego miejsca, kiedy milcząca i zadumana zjawiła się przed nią Sołoducha.

Sierota radośnie rzuciła się ku niéj, tak jéj było pilno serce otworzyć i pogadać o świeżych wypadkach, maluczkich na oko, ale wielkich w życiu dziewczęcia, które czuło, że się los jego waży na szali pierwszego w życiu stanowczego kroku.

— A! matuniu! matuniu! — zawołała rzucając się ku niéj Marysia — jakże ja wam rada, żeście do mnie przyszli; to strach, co ja mam do was spraw pilnych... ażem już biedz chciała.

— Pewnie ten szaławiła, który tylko co ztąd odjechał, głowę ci zawrócił... No, przyznaj się? — odezwała uśmiechając się Sołoducha.

— E! nie! — bawiąc się końcem fartucha odpowiedziało dziewczę — ale co tu z nim poradzić, tak się do mnie uczepił?

Baba kręciła głową.

— Jakże ci się zdaje? — spytała widocznie probując.

— Szczerze powiedzieć matuniu?

— A szczerze! — I stara ciekawe oczy wlepiła w sierotę.

— No to tak — rzekła śmiało Marysia — ożenić się on nie ożeni, boby mnie i dobry gospodarz za synowę ani za żonę nie chciał, sieroty, za którą nie ma komu ani wesela sprawić, ani nawet dać ręczników; a co dopiéro budniczuk hardy i syn takiego bogatego ojca jak Choiński! Pokręci się, pokręci, porzuci i żal tylko w sercu zostawi... Na co darmo się kumać, kiedy chrztu nie będzie...

Sołoducha jakoś się dziwnie rozśmiała z prostodusznéj przypowieści dziewczyny.

— Nie głupio — rzekła — nie głupio; już téż on nam dosyć dziewek nabałamucił; pora żeby go téż która przytrzymała... A podobał ci się? — spytała podejrzliwie i chytrze baba spoglądając z podełba.

Marysia spuściła oczy i zapłoniła się.

— A czemużby się nie miał podobać? — szepnęła — chłopak niczego i takito panicz! Ale tém bardziéj on nie dla mnie! — I westchnęła.

— E! gadaj zdrowa! Byle rozum, nie takieto się na świecie dzieją rzeczy; a choćby syn Choińskiego ożenił się z córką cygańską, cóżby to był za dziw, kiedy się panowie nieraz z takiemi flondrami żenią, co twojego palca niewarte! Tylko się umiej z sobą podrożyć, to go gdzie chcesz zaprowadzisz.

To rzekłszy zamilkła chwilę.

— Ale — dodała jakby się namyśliwszy — kiedyto już się te konkury zaczęły, czy nielepiéjby tobie teraz na jaki czas do naszéj chaty się schronić? Byłoby bezpieczniéj... Ej! byłoby bezpieczniéj! Zwłaszcza kiedy i te przybłędy znowu się tu przywlekli — dodała ciszéj.

— Kto? — spytała Marysia.

— No! albożto nie wiecie, że ta banda cygańska z któréj był twój ojciec, znowu słyszę do wsi przyszła...

Na te słowa dziewczę zerwało się z siedzenia nagle, rzekłbyś przeistoczone zupełnie, zmienione, przerażone, pobladłe i drżące.

Ręce załamała i słowa wyrzec nie mogła.

Stara nie pojmowała co się z nią stało, bo uczuć dziewczęcia odgadnąć nie była w stanie; a sierocie, sierocie wzmianka o jakiéjś odległéj rodzinie, która się jéj nie zaprze, która ją przytulić może, uderzyła w serce dziwném wrażeniem... Ona prócz matki nie miała nikogo, coby ją przytulił, coby przygarnął ku sobie, ukochał i przyznał się do niéj.

Sołoducha wzięła za przestrach, co było tylko silném uczuciem wyrywającego się serca... O! rodzina, czarodziejskie to słowo! Ile w niém ukrytych leży radości, ile pociech, ile węzłów łączących nas przez nią ściśléj ze społeczeństwem całém... Jest to niejako ogniwo łańcucha wielkiéj całości, od któréj oderwani, błąkamy się nie wiedząc co począć z życiem. Kto nie miał nigdy rodziny, kto nie uczuł słodkiego uścisku brata, ojca, krewnego, jakże marzy o nich i jak gorąco ich pragnie!

— Co tobie dziewczyno? — zapytała się po chwili Sołoducha — czy ty się tak boisz? No! to ruszaj ze mną! ja cię przechowam, nie masz się czego lękać.

— Ja? bać się? a czegóżbym się swoich obawiać miała? — odezwała się dziewczyna — toż to moi! to moi!

Sołoducha oburzyła się.

— Jacy oni twoi? Pluń na marę! poganie! ne chresty! Matka twoja była chrześcianka, a ojciec obwiesił się nie chcąc ci być ojcem: czémże oni twojemi być mają?

— Bracia ojca! — jęknęła dziewczyna.

— Co katowali go, aż od nich uciekać musiał!

— Lepsiż byli bracia matki!? — spytała Marysia.

Sołoducha skrzywiła się.

— Ale wiészże ty co to za lud? — spytała gorąco — matka ci tego nie powiedziała pewnie, a cudzy nie śmieli. Cały Boży świat od nich jak od zapowietrzonych ucieka; złodzieje, zbóje, czarowniki, i gorzéj, i gorzéj jeszcze: — poganie, nechresty!

Marysia zadrżała.

— A czyż to prawda? — spytała przerażona.

— Jak Bóg miły! Dowiédz się od ludzi, idź od wsi do wsi, nic ci innego nie powiedzą: to postrach okolic. A gdyby to było co dobrego, czyby to się tak włóczyło po świecie, nigdzie miejsca zagrzać nie mogąc.

— Im w to graj — dodała uśmiechając się stara — jak się tylko dowąchają, że tu żyje córka ich brata cygana, a sierota, a sama jedna, a jeszcze i młoda i ładna; zlecą się i gotowi gwałtem cię porwać z sobą. Te łotry i krwią własną i cudzą frymarczą... Nibyto nie pamiętają ludzie, jak tu ich dziewka bałamuciła naszego pana.

Marysia słuchała, drżała, i sama nie wiedziała co począć: ogarniał ją przestrach jakiś, a żal było chatkę porzucić, a serce i ciekawość ku cyganom ciągnęły... W głowie pomieszało się wszystko, załamała ręce, spojrzała na mogiłę matki.

— No! i cóż myślisz? — spytała Sołoducha.

— Ale bo to widzicie — odpowiedziało dziewczę usiłując myśli pozbierać — a cóż ja poczne z gospodarstwem? Sądzicie, że mi tylko zebrać manatki i drzwi kołkiem podeprzéć? A toć mam i gęsi, i kury, i gołębie, i psa i kota, których tu nie porzucę, boby to zgłodu pozdychało marnie; jużcić tego nie zabierzecie.

— A lepiéjże tobie ginąć?

— Wiecie co? — zbliżając się zawoła dziewczyna — cyganie długo nie popasają, kiedy już ich taka dola włóczyć się po świecie, Tomko mi téż długo dokuczać nie będzie: a gdybyście wy pobyli u mnie tydzień jaki?

— Toby Rataisko z głodu umarł, a ja ze strachu nocując podle cmentarza! — odparła zrywając się starucha.

— Rataj teraz z jarmarku na jarmark chodzi, bo to wołowe targi poczęły się i odpusty w okolicy... No, a cmentarz! widzicie, że mi nic nie zaszkodził, to i wam przy mnie nicby się nie stało...

Stara zamyśliła się.

— Ot! podumam — rzekła wstając — jeźli starego w chacie nie ma, to przyjdę i posiedzę...

Marysia pocałowała ją w rękę i tak się rozeszły.

Za wsią na rozłogu, istotnie od wczoraj roztasowała się była banda cyganów, taż sama, która nawiedziła Stawisko przed kilkunastu laty; jeźli jest co na świecie, coby tém samém po upływie lat tylu nazwać się mogło!

Taż sama była i nie ta!

Dzieci Aprasza porosły, Aprasz choć krzepki jak dąb, zgiął się od pracy, znoju i wieku; a Aza, owa prześliczna Aza, nie tą już była co przedtém! Musiała zostać w końcu żoną cygana, i dziś panowała znów jemu i całéj gromadzie, w miarę jak on się starzał i słabiał, nabierając sił i woli. Na jéj skinienie drżał kowal stary, chowały się jego dzieci które nieraz smagała własną ręką, a gromada słuchała jéj jak wodza. Po długiéj w świat pielgrzymce, nigdzie nie zagrzawszy kąta, przyszła znów tułaczem nawiedzić to sioło, w którego pamięci tak krwawo zapisało się pierwsze ich przybycie. Kto wié, może ta dzika niewiasta zachciała tam grób czyj odwiedzić i pamiątkę opłakać.

A gdy się im ukazała z pagórka znajoma okolica z zieloną mogiłą, z jasnym stawem i błonią, na któréj dwakroć już obóz ich stawał; z oczów Azy błysnął jakiś ogień straszliwy, i sine jéj usta się ścięły.

Aza nie była już ową wdzięczną, czarującą dziewką cygańską, któréj oko paliło na kogo padło: znikła dawna świeżość jéj i wdzięk młodości; a przecie po leciech kilkunastu tułactwa, nędzy, cierpienia, jeszcze była piękną i ciągnęła oczy ku sobie. Zachowała swą dawną kibić i kształty, oczy powiększyły się jeszcze: nie wiem od łez wylanych, czy srogiéj rozpaczy, która przez nie patrzała; usta ścięte gdy się otwarły świeciły jeszcze zęby białemi, a kruczy włos nie spadł ze skroni jak liść jesienny... Mimo smutku który ją pożerał, cyganka zachowała instynktowie jakieś pragnienie przedłużenia młodości i zachowania wdzięku: strój jéj o niém zaświadczał. Gdy inne w jéj wieku zwiędłe, zszarzane, zobojętnione, ledwie się oszarpaną otulały płachtą, ona szukała w odzieży barwy i kształtu, i stroiła się jak królowa.

Tylko co roku twarz jéj surowszego, dzikszego nabierała wyrazu, usta pogardliwszym wykrzywiały się uśmiechem, oczy ognistym w świat patrzały wyrzutem. Jakby za swe cierpienia na wszystkich mścić się chciała, nieubłaganą gniewną była dla tych, co ją otaczali; a Aprasz, który szalał i ginął za swoją *egaszi*, robił co tylko chciała...

Pierwszéj nocy zaraz po przybyciu do Stawiska, Aza znikła z obozu. Aprasz schwycił się za siwe włosy, poleciał do dworu; ale powrócił z niczém, bo nogą tam nie postała: domyślił się gdzie była, a z umarłemi nie walczyć żywym w sercu kobiety.

W istocie Aza całą noc przesiedziała na mogile Tumrego, niema, zadumana, straszna jak widmo z grobu wywołane. Sercem tylko, niepytając nikogo, wynalazła zielony pagórek, który krył w sobie zwłoki jéj ulubionego: bo lat kilkanaście wbiły go do ziemi i zasiały na nim wysokie burzany, za któremi go prawie widać nie było. Wśród ciemności kalecząc ręce, zapalczywa cyganka obrywała chwasty i krzewy z mogiły samobójcy, a gdy ranek zastał ją spoczywającą na ziemi, kurhanek już był oczyszczony z zakrywających go burzanów.

Błysnęło światło dzienne, i z nocą pierzchnęły dumy i żale. Wstała cyganka ze śmiechem dzikim, podniosła się i garść ziemi chwyconą z mogiły rzuciwszy na pierś za koszulę; pobiegła ku dworowi.

We dworze chciała zobaczyć pana Adama, drugiego kochanka, by może szyderstwem żal ochłodzić. Byłato chwila, w któréj nawrócony grzesznik, małym wózeczkiem wyjeżdżał na mszą do przyległego kościołka... Dnia tego opóźnił mu się woźnica i brał za to rózgi w stodole, a pan Adam z książką nabożną i różańcem w ręku, czekał w ganku, ażeby po napomnieniu ojcowskiém zajechał po niego chłopak... Wtem zjawiła się Aza.

Aza nietyle była zmieniona, co nawrócony rozpustnik... Poznał ją od razu i z krzykiem zakrył twarz konwulsyjnym ruchem, a cyganka rozśmiała się, po ruchu tym i po głosie poznawszy w nim dopiero zwiędłego młodzieńca, dziś w zgrzybiałego zmienionego starca.

— Patrzcie! tażto on! — zawołała — A! jak mi się masz! ha! ha! ha! a! co się z tobą zrobiło?!

— Idź precz, idź precz wszetecznico! — zakrzyczał pan Adam zakrywając wciąż oczy — precz szatanie, bo rózgami osmagać cię i ze wsi wypędzić każę.

— A grzecznie mnie przyjmujesz! — rozśmiała się cyganka — ale popatrzno, popatrz, jeszczem doprawdy nie taka stara i szpetna, jak ty zdechlaku! Nie daléj jak tydzień temu,

dwóch młokosów pędzało się za mną, żem się im kijem musiała oganiać! Zdejm z oczu *anguszti* (palce), spojrzyj... przekonasz się że nie kłamię.

Ale pan Adam już słów tych nie słyszał i przelękły uciekł w głąb domu.

Aza popatrzała, splunęła, odwróciła się i poszła, poszła wprost do chaty Tumrego.

Po drodze spotkała ludzi, zatrzymała jakąś dziewczynę i dowiedziała się od niéj o córce Tumrego; z ogniem w oku wysłuchała powieści, i zadumana poszła ku cmentarzowi.

Poważna i smutna zbliżyła się ku chacie i zadziwiona stanęła nagle, gdy pies z pod wierzby u mogiły, zajadle na nią zaszczekał.

Sierotka, jak wszystkie oswojone stworzenia co nas otaczają, przywykł był już do pewnych twarzy, sukni i postaci, do swojskiéj woni wieśniaka; przestraszył się więc cyganki z narzuconą na ramie *urakhą* (płachtą) kolorową, od któréj zaleciał go dym obozowiska i szatry cyganów. Nie jak zwyczajnie bywało wsparty na drzewie zdaleka, ale wybiegłszy na wał zielony, srodze ujadać na nią zaczął. Cyganka stanęła rozglądając się i w téjże chwili spostrzegła podniesioną głowę Marysi, któréj nazwiska wiedzieć, żeby ją poznać nie potrzebowała. Było coś w rysach dziewczęcia znamionującego jéj pochodzenie, przypominającego Tumrego, i zamglone wspomnienie ukochanego wydobyło się z piersi Azy, stając przed jéj oczyma w postaci jego dziecięcia. Serce jéj biło gniewem na świat cały, co jéj odebrał kochanka: z pragnieniem zemsty na ludzi i łza gorąca pociekła z czarnego jéj oka.

— A *Bynk!* przeklęła pocichu — to ona! to jego córka! *Tumrego ciaj!* Jaka śliczna! jaka śliczna! Ja nawet nigdy nie byłam taką! I poszło to między *gadziów* na sieroctwo, na poniewierkę i nędzę, w niewolę, przykute do mizernéj *khery!* (chaty).

Aza stała mrucząc te słowa i wciąż patrzała na Marysię, która z przestrachem wpatrywała się także w dziwną jéj postać, pełną groźnego jakiegoś i dzikiego wdzięku. I ona odgadła w niéj cygankę, może pokrewną... a serce biło niewytłomaczoném uczuciem bojaźni i miłości.

Sierotka tymczasem to z wału zeskakiwał, to na wał wpadał i ujadał gryząc ziemię.

Dziewczyno, *Rakloro!* — odezwała się Aza — zawołaj psa swego: chcę się zbliżyć do ciebie i pomówić z tobą.

Marysia odezwała się do Sierotki, ale ten ogonem pokiwał, zakręcił się i szczekał znowu.

Przybyła zbliżyła się tymczasem do cmentarza przeszła przez furtkę, i postąpiła ku Marysi. Wzrok jéj zatapiał się w rysach, na których czytała przeszłość swoję...

Siadła blizko, niezważając na psa, podniosła oczy i zapatrzyła się nie mogąc nasycić widokiem sieroty, milcząca, ponura, zapłakana... Wzrok jéj palił Marysię... Po długim spoczynku, łagodnym głosem spytała sierota:

— Czego mi się tak przypatrujecie dobra kobieto?

Aza rozśmiała się gorzko.

— Ja nie jestem *łatio egaszi* (dobra kobieta), nie, nie; alem znała ojca twojego Tumry, i patrzę na dziecko jego... A nad tamtym płaczę...

— I matkęście moją znali? — spytała dziewczyna.

Aza nic nie odpowiedziała.

— Dawno matka twoja umarła? — odezwała się żywiéj po przestanku.

— O! lat już temu kilka — zapłakanym głosem odezwała się Marysia. — A, ot... jéj zielona mogiła. — I wskazała na pagórek, przy którym siedziały obie.

Aza ze wstrętem odsunęła się od niego, nie kryjąc się z uczuciem, które nią wstrząsnęło.

— A któż ci był matką? kto ojcem? — spytała.

— Jeden Pan Bóg! — odpowiedziała sierota.

— A ludzie?

— Jam nie wiele potrzebowała ludzi.

— I żyłaś tak... sama?

— Jak widzicie, w téj lepiance, sama, samiuteńka.

— A któż cię karmił? — zdziwiona poczęła Aza.

— Moich rąk dwoje, i opieka Boża, i modlitwy matki...

— Nikt się nie zlitował? nikt nie dopomógł?

— Ale nie! ja się nie skarżę! nie! — żywiéj przerwała Marysia — tylkom nie potrzebowała pomocy i nie wołała o litość: nauczyłam się sama radzić sobie. A było, było poczciwych dwoje co mnie strzegli i strzegą, co pomagali chlebem, sercem i słowem... O! i więcéj niż dwoje!

— Któż to taki? przerwała ciekawie cyganka.

— Stara Sołoducha, żona żebraka, i stary Rataj jéj mąż.

— Tak! cygańska dola nad cygańskiém zlitowała się dzieckiem — szepnęła Aza i zamyśliła się. — Ale dość już tego życia — zawołała po chwili wlepiając oczy w sierotę — tyś dziecko *Romów*, czas ci *gadziów* porzucić a iść z nami. Tyś piękna i młoda, lepiéj ci u nas będzie. Co to za życie? życie *szukeli*, życie *zycaja* (psa, kota), których głupi nałóg przykuwa do chaty, do progu, do kąta i robi kamieniem. Co dzień jedno przed oczyma, codziennie toż samo życie, ta sama nędza i praca! pójdziesz z nami, pójdziesz i zobaczysz, jak świat się córce Tumrego, krwi *Romów* rozśmieje! Tu na ciebie patrzą jak na obcą i brzydzą się tobą, a z nami będziesz królować, będziesz *rani* (pani) jak ja!

I wstała, na świat potrząsając ręką...

— Jak świat szeroki, jak *pfuf* (ziemia) wielka, wszystko to nasze królestwo; jak zajrzéć ojczyzna: granic jéj nie stawi nikt! Źle tutaj! wóz zaprzęgą i daléj pod cieplejsze niebo za góry, na Węgry, het! het! aż nad sine morze, do miasta, co w wodzie pływa! A idąc śpiewamy i nie mamy tęsknić czasu, bo w oczach co raz co nowego! Zobaczysz *rakloro* zobaczysz, rzuć tylko chatę, pluń na tę kądziel *gadziów*, weź na ramiona *urakhę* i z nami, z braćmi twojemi.

Te słowa wymówione żywo, gorąco, choć połamanym językiem, pełne ognia i zapału, dziwnie przejęły sierotę, przywykłą do powszedniéj chłodnéj mowy wieśniaczéj. Ozwała się w niéj może uśpiona krew cygańska i instynkt tułaczy; zadrżało serce, ale usta otworzyć się nie umiały. A Aza mówiła, mówiła, i bujała jakby pieśń jakąś śpiewając, rajem czyniąc włóczęgę, roskoszą nędzę, która ich jadła, na ustach nawet śmiech błądził pożyczany i straszny...

Skończyła, a Marysia słuchała jeszcze, bo ją ten obraz nieznanego życia, nieznajoméj rodziny pociągał ku sobie jak przepaść: obawiała się ich i pragnęła.

— Dobra kobieto — odezwała się podnosząc oczy które spotkały i mogiłę zieloną, i starą chatkę matczyną — A! nie mnie to iść z wami: jam już nie cyganka, nie! nie! ojca nie znałam, ssałam piersi matki mojéj, z niéj przywiązanie do kąta i strzechy...

— A ot grób matki, a ot ojcowska praca! Ot ścieżki, któremi biegałam za młodu, i moi przyjaciele — dodała wskazując kury, psa i stado gołębi unoszące się nad cmentarzem.

— Cóżbym ja poczęła z wami? co wy ze mną — mówiła daléj — ja was, wybyście mnie nie zrozumieli: a pierwszego dnia, gdyby mi z oczu znikła ta chata i mogiła, z tęsknotybym za niemi umarła. Na co mi świat? albom to ja ciekawa szerokiéj ziemi i sinego morza? Gdzie kogo posadziła dola, tam mu żyć i umierać! Co wam lepszego, że kości wasze leżą rozsypane po świecie, a serce nie ma się gdzie, nie ma do czego przytulić?

— No! to zgnijże tu *gadziów ciaj*! — krzyknęła gniewnie cyganka — chcesz być kamieniem — bądź nim sobie! Głupiego nie wiąże sznurek a wola jego; i skomli jak pies na łańcuchu, a urwać się nie ma siły... Omyliłam się: w tobie nie ma już krwi cygańskiéj.

To mówiąc powstała oburzona, ale gdy znowu spojrzała na twarz zasmuconą Marysi, na te rysy, które jéj Tumrego w całym blasku młodości przypominały, zmiękła i zatrzymała się, zmieniając głos, który chciał zionąć nowemi przekleństwy.

— A co twoja za dola? — spytała — Ot! młodość przesiedzieć na mogile! Kto ciebie zechce? kto cię przytuli? kto pokocha? Sponiewierasz młodość swoję, sprzedasz się za chléb i za strach może; a potém pójdziesz o kiju żebrać obelg i szyderstwa... Szczenięta psa twego nogi ci będą obrywać!

— Niech i tak będzie, — odpowiedziała Marysia, — a czy to życie tak długie?

— Żal mi cię dziewczyno, boś nie stworzona na poniewierkę, — dodała Aza. — O! o! jakbym ja ciebie po swojemu ubrała, a nauczyła skakać i śpiewać; panowieby szaleli za tobą, pieniądzeby się sypały gradem... Kto wié! w złocie czasem chodzą cyganki i garścią złoto rzucają.

Tych słów pokusy nie zrozumiała nawet dziewczyna, bo się rozpłakała na wspomnienie matki, które jéj przyszło do serca.

— Ej! to darmo, — szepnęła cicho — doli swojéj nie przerobić, losu nie przetkać na nowo; człowiek jak nić, co ją pan Bóg przędzie: z grubéj na cienką wysnują ludzie, ale z cienkiéj nie zrobią grubéj... Na cóżbym latać miała za lepszém, kiedy go dla mnie nie ma na świecie.

W téj chwili rumieniec jak krew trysnął na twarz dziewczęcia, bo posłyszała tętent siwego konika i przyszło jéj na myśl, że gdy ją Tomko z cyganką zobaczy, już i spojrzeć na nią więcéj nie zechce.

Aza dostrzegła niepokoju Marysi, odwróciła się, powstała, najrzała chłopaka, który niespokojném okiem szukał sieroty, i odgadła wszystko.

Tomko widział w przelocie, że nie była samą; nie zatrzymał się nawet, obejrzał tylko, uśmiechnął i poleciał ku wiosce.

— Ha! teraz ja to rozumiem — śmiejąc się zawołała Aza — dla tegoto białowłosego nie chce ci się od chaty i mogiły... Zawczasu dzieweczko, zawczasu! Gdybyś z nami była, ukochałabyś kogo chciała, porzuciła odchodząc, i ktoby tam wiedział, co ci przez serce przeszło. Ale tu!! ot mizernie ci zginąć przyjdzie nie zakosztowawszy życia! Jeden cię zbałamuci, a wszyscy palcem pokazywać będą! Myślisz, że się ten młokos z tobą ożeni? O! o! czy jemu to w głowie; dość spojrzeć na niego, żeby cię pożałować: godzina wesela, reszta życia płaczu! Póty on tu jeździ, póki pierwszéj łzy nie zobaczy: a potém, bywaj zdrowa! Prosty nawet chłop cię nie weźmie, bo i jemu zechce się krasnego pasa, czerwoną wstążką związanéj flaszki na weselu... Myślisz, że ludzie kochają? A! głupia! głupia! psy, to jeszcze, ale ludzie!!

Potrzęsła głową, poczekała na odpowiedź i udała że odchodzi. Marysia milczała, łzy się jéj w oczach kręciły.

— Nie pójdziesz z nami? — spytała Aza.

— Nie, nie! — odpowiedziała sierota — niech się dola spełni, nie ucieknę ja od niéj.

— To gnijże, gnij! — odparła cyganka gniewnie, na dolę człek ma wolę... ale głupiemu nie poradzić!

I wysunęła się ze cmentarza, ale oglądając się, zatrzymując, wahając, jakby ją co nazad ciągnęło; a Sierotka przeprowadził cygankę szczekaniem i wyciem aż za górę.

Gdy się w człowieku gwałtowna rozbudza namiętność, wszystko coby bieg jéj tamować powinno, jeszcze go silniéj przynagla. Jest w tém coś niepojętego: walczym z sobą, cierpimy, a z walki i boleści zarówno korzyść odnosi nieprzyjaciel. Owszem, przeciwności mają w sobie siłę podbudzającą, któréj nie posiada powodzenie. Tę uwagę, nie śmiejcie się czytelnicy, robimy z powodu przywiązania Tomka Choińskiego do córki cygana; ale Tomko nie takiż człowiek jak my wszyscy i nie temuż ulega prawu, co bracia jego w Adamie: — w słabości i upadku?

Tomko jak wszystka szlachta podupadła, a nieco zamożniejsza, mimo swego skromnego leśniczostwa i budki, w któréj jego rodzice mieszkali; dumny był, jakby jeszcze przysłowie o zagrodzie i wojewodzie pamiętał.

Pierwszy jego krok do Marysi całkiem był tylko skierowany płochą myślą uwiedzenia biednego dziewczęcia. Zbliżył się, poznał, przypatrzył, postrzegł, że trudniéj to będzie niż mu się zdawało! ale w chwili gdy już postanowił porzucić głupie zaloty, po czasie było: poczuł, że bez tego ślicznego stworzeńka, z którego oczu raz się napił rajskich nadziei, już żyć nie potrafi.

Chłopak tego sobie nie mówił, śmiał się z tęsknoty i serca własnego, ale rady nie było na nie. Gdzie pojechał, Bóg wié jak kierował drogą, a musiał przesunąć się mimo lepianki; którego dnia dziewczyny nie zobaczył, tęsknił aż szalał: w ostatku pochmurniał, zadumał się i zmiarkował, że to nie żarty.

— Czarownica czy co! — mruknął w duchu — jużciżto nie pierwszyzna mi się kochać, a nigdy takiéj z tego jak teraz nie miałem dokuki... Jeszcze licho nadało: ładne, gołe, a harde, że ani przystąpić. Oj! cyganka! cyganka! dała mi jakiegoś licha w téj wodzie, comto się jéj na moją biedę od niéj napił.

Tak rozmyślał Tomko, a rady sobie dać nie mógł już był postanowił co będzie to będzie formalnie się do niéj począć zalecać, choćby do reszty postradać głowę, gdy przejeżdżając

koło chaty właśnie w czasie bytności Azy, temi stosunkami Marysi z łotrowską bandą włóczęgów tak się zgorszył, że postanowił ani już spojrzeć na dziewczynę.

Cały dzień latał łając, wściekając się, srożąc, tłukąc za swoje grzechy nieszczęśliwego siwka, a na cyganach się to skrupiło, bo ich zaraz ze wsi przepędził własnym domysłem, tak, że ledwie czas mieli rzucić na wóz manatki, i co prędzéj ku sąsiedniéj wiosce pociągnęli.

Tomko zaklął się nawet, szczęściem sam przed sobą, co go nie tak bardzo zobowiązywało: że zupełnie o Marysi zapomni, do chaty za wsią nie zajrzy, i pocznie się do Horpyny sotnikównéj zalecać, gdzie pewien był, że go dobrze przyjmą; ale wszystkie te postanowienia trwały niezachwianie niespełna dwadzieścia cztery godziny.

W ciągu nich nawet Tomko, nie gościńcem wprawdzie, ale kędyś drożyną po za cmentarzem przejechał raz mimo chaty i z ukosa spojrzał w stronę Marysi. Nazajutrz już mu z tém strasznie było ciężko; ale na lekarstwo wprosił się do sotnika. Horpyna była niczego, zdrowa, hoża, młoda, i niezmiernie śmiała; sotnik wdowiec, w chacie tylko stara milcząca najmitka: słowem, zaloty szłyby były jak po maśle, bo dziewczęciu panicz się wcale podobał; ale Tomkowi po Marysi wydała się sotnikówna tak pospolitą, prostakowatą i bezwstydną, że pokręciwszy się chwilę koło niéj, choć go zapraszano na wieczorynkę pod pozorem objazdu lasów powrócił do domu.

Chmurny a gniewny sam na siebie, położył się spać i zaspał sprawę bardzo wcześnie z wieczora. Ale sen co go miał uleczyć, to mu w głowę naplątał jakichś obrazów, że z niemi wstał o zaraniu gorzéj jeszcze niż był rozmarzony.

I tego dnia i kilku następnych kręcił się, włóczył jak Marek po piekle, i nic mu niby nie było, ale taka się do niego uwiązała tęsknota, że coś to aż na chorobę zakrawało.

Wszędzie mu było źle, nudno, samotno; a że dawno dosyć rodziców nie odwiedzał, wziąwszy pozwolenie we dworze pojechał na budki.

Owa szlachecka w lesie osada nie była tak bardzo oddalona od Stawiska; leżała ona na samém pograniczu pomiędzy Rudnią a wioską pana Adama, i składała się z dziesiątka chat czynszowników dawnéj szlachty, niegdyś sprowadzonéj do wyrobku lasów i palenia potażów, teraz zmienionych w rolników i przyrostów do kąta, w którym się od pradziada zagnieździli.

Chaty czynszowników rozrzucone były na górzystéj wśród lasu polance, co roku prawie szerzéj wykarczowywanéj; każdą z nich oddzielał od sąsiednich ogród obszerny, półko, sad wiśniowy, pasieczka, stare grusze i czereśnie, a białe domki wdzięcznie malowały się w pośród lasu. Na pagórku od kraju leżała chata najbogatszego pana Choińskiego, który miał do dwudziestu roboczych koni, gospodarstwo zamożne, i handle prowadząc to wołami, to wieprzami, głośny był jako Krezus między swemi. Świeżo wzniesiony domek z dobrego drzewa, dość wysoki, z kominem i ganeczkiem o dwóch słupkach, okolony porządnemi zabudowaniami, powiadał wyraźnie, czyjém był pomieszkaniem.

Adam Choiński byłto już poszpakowaciały człowieczek, przebiegły, pracowity, który nie z jednego pieca chléb jadał, bywał na wozie i pod wozem; a że mu się wszystko dotąd, czego dotknął udawało, przemyślał coraz co nowego, aby nie próżnować i groszowi nie dać darmo leżeć. Brał pola cudze na współ, kupował woły, karmił wieprze, sprzedawał masło i sery od licznéj trzody bydła, koło którego Adamowa szczęśliwą miała pieczę, najmował się pod transporta drzewa i zboża, a wreszcie gdy zabrakło konceptu, to po sól do Konstantynowa, to po ryby jeździł do Pińska, co roku kapitalik powiększając obrotami. A że i pasieka się rozmnażała, bo jéjmość była gospodynią co się zowie, i w domu żyło się oszczędnie: co dzień miał się lepiéj Choiński.

Tomko był u niego jedynakiem, ukochaném dziecięciem, a przez jéjmość trochę nawet pieszczonym; pan Adam nie dawał mu jednak próżnować i bąki strzelać; oddawał go naprzód do parafialnéj szkółki, potém na służbę choć lekką do Mińska, abyto niby coś robił. Że niedaleko otrzymał miejsce, widywali się z rodzicami niemal co tygodnia, bo jeżeli Tomko nie przybył, to Adamowa kałamaszkę zaprzągłszy, jechała do niego się dowiedzieć.

Stary był doma, i matuś aż na próg wybiegła, gdy kopyta siwego zatętniły na podwórku. Pan Adam wybierał się tego dnia gdzieś na jarmark, i wóz już stał przygotowany przed chatą, a on sam we drzwiach wdziewał szaraczkową kapotę, gdy się syn przystawił.

Choć się krzepko trzymał, pan Adam nie był już młody: włosa miał jeszcze dosyć, ale szpakowatego, twarz do zbytku może rumianą i ogorzałą, oczki szare biegające, usta szerokie i uśmiechnięte a nad niemi wąs szczególnego rodzaju. Kształt jego wymyślić musiał ktoś, co wąsa ogolić żałował, choć znał z doświadczenia niedogodności jego i zapobiedz im usiłował przemyślnie. Coś to było na kształt siwego sznureczka, w równém oddaleniu od ust, by w potrawy nie zaglądało, i od nosa żeby go tabaką nie walać; niepostrzeżona prawie linijka twardo stojącego i krótko obciętego włosa, która pozwalała się pochwalić wąsem a zimą i latem do niczego nie zawadzała. Biéda tam tylko być musiała z goleniem, żeby po tygodniowym lub dłuższym odroście, trafić na pozycyą owego wąsa, ale od czegóż doświadczenie? Golił się sam pan Adam i nigdy wąsów nie wykąsił, ani się im dozwolił do zbytku po twarzy rozpościerać.

Ledwie Tomko zsiadł z konia, troskliwe oko matki i baczne wejrzenie ojca już go objęły całego, i oboje postrzegli, że chłopak przymizerniał, a wesołość, która dawniéj twarz jego okrywała, stracił. Pocałował w rękę rodziców, i milczący, powolnie, bez swawoli, bez głosu wszedł do chatki.

Ojciec go nie spytał co mu było, ale matka zaraz szepnęła na ucho:

— Co to? czyś nie chory Tomku? albo ci się co nie stało? Mizernie ci coś z oczu patrzy?

— Ot tak! — rzekł leśniczy — coś mi na sercu ciężko.

— No! no! — dodał zażywając tabaki stary Choiński, który i pytania i odpowiedzi dosłyszał — raz wraz bo z dziewczętami się parasz... *Dobra taja brednia… ale nie szczo dnia…* Jużby czas ją porzucić, a to zdrowie stracisz i na jakie licho trafisz, że ci kwaśnego piwa nawarzy!

Tomko, który się ojca bał i wstydził, zawołał zaraz:

— A gdzie mnie tam to głupstwo w głowie, tatuniu; nie miałbym roboty... Ciężko lasu upilnować, nie ma dnia, żeby nie było trzeba siekiery odbierać... Pan nie żartuje, sam po drogach o kwitki pyta, tchnąć człek nie ma czasu.

— To i dobrze, że pracować musisz; to i dobrze!

— Ale jednakże; żeby zdrowia nie nadwerężył! — dodała matka.

— Porzuć jéjmość — przerwał stary — praca nie zaszkodzi, byle to prawda tylko była, co Tomko mówi, jeszczeby pół biedy; wyśpi się, najé i będzie zdrów.

Matka spojrzała, westchnęła i zamilkła; a przypomniawszy sobie, że syn może być głodny, pobiegła do komory po przekąskę. Stary z boku popatrzywszy na syna, sam wkrótce do ładowania wozu i wyboru na jarmark pośpieszył, bo zwykł był mawiać: sprawa sprawy nie tamuje... Jakoż wkrótce konie zaprzągłszy siadł i pojechał, choć mu tęskno było syna porzucać, ale jarmarku opuścić nie mógł.

Adamowa była matką, syn jéj jedyném dziecięciem, jakże tu przenieść widoczną jego zmianę, smutek i troskę? Poczęła koło niego chodzić, żeby się prawdy dopytać.

Tomko nic dla niéj skrytego nie miał, a choć matka do zbytku pobłażała mu może, serce téż za to miała zawsze dla siebie otwarte. I teraz nietrudno jéj było o przyczynę zadumy dopytać.

— Ot, licho się do mnie przyplątało — rzekł pocichu, kryjąc oczy jak winowajca.

— Ani chybi, znowu tam jakieś przeklęte dziewczysko — zawołała matka. — Gadaj już gadaj... niech wiem, co się święci.

— Teraz to chyba gorzéj jak kiedy — odparł Tomko, i nuż spowiadać się matce, a słów nie skąpił, bo mu się na nie długo zbierało. Gdy począł mówić, wygadać się nie mógł.

Adamowa stała, słuchała, głową kręciła i summowała zasmucona.

— Hm! hm! — rzekła po chwili — lepiéjbyś to sobie z głowy wybił... Cyganka... diabeł ją wié... *może co zna!* O jéj ojcu i matce dziwy prawili: nasłuchałam się, że włosy na głowie wstają... Cyganisko się w końcu obwiesił!! Brudy i szkarady: potrzeba ci było tam nosa wtykać?

— A! kiedyżto ładna jak drugiéj w życiu nie widziałem! — zawołał Tomko — a poczciwe, a skromne!

— E! pluń ty mi na to! A zkąd się tu u niéj poczciwość ta i skromność wziąć miała... Widać tylko durzy ludzi... Ej! ostrożnie Tomku, ostrożnie bo się doigrasz! Dziewczyny mi téj więcéj ani patrz! Mało masz szlachty, coby każda za ciebie poszła... to się żeń już lepiéj, niż masz tak bałamucić.

Długo jeszcze w ten sposób mówiła pani Adamowa; słuchał jéj syn w milczeniu, ale znać było, że do serca mu to nie szło, i matka pomiarkowała, że przekonać nie musiała, bo ciągle w jedno biła, powtarzając swoje, a słowa z niego nie mogąc wywołać. Gdy nareszcie milczący odjechał, rozpłakała się usiadłszy na ławie. Biedna kobieta przebiegła w myśli wszystkie możebne skutki synowskiéj namiętności, i drżała nad dziecięciem, chciała go już z leśniczostwa odebrać, to daleko gdzieś zasłać, tak jéj cyganki i czarów strach było.

Cała zadumana o przyszłości, ani spostrzegła, jak zmierzch padł na dworze; w chacie noc się zrobiła, a drzwi powoli rozwarły się i głos z nich chrypliwy, pocichu ją pozdrowił.

— Dobry wieczór, imościuniu!

Dopiéro odwróciła głowę, wstrzęsła się i nie mogąc poznać gościa zapytała:

— A kto tam?

— Oj! a tożeście mnie widzę staréj sługi nie poznali? — dodała śmiejąc się chrapliwym głosem Sołoducha... Stara Ratajowa ze Stawiska! Byłam na budkach u Marcinowéj, któréj Pan Bóg dał syna... i do jéjmości przychodzę jako do kumy z *warem*.

Zerwała się szlachcianka, krzyknęła na sługę i wnet zaświecono łuczywo. Po przyjęciu podarku, kazawszy dziewce w zamian zań krupniku, tojest wódki z miodem i korzeniami przyprawić, Adamowa poprosiła babę, żeby usiadła i sama się przybliżyła do niéj. Na rękę jéj było właśnie urodziny owe i przybycie Sołoduchy, bo nie wiedząc jak ścisłe stosunki łączyły starę z Marysią, a znając zdawna lekarkę, chciała z niéj coś o cygance się dowiedzieć.

Zręcznie więc naprzód podpoiwszy babę, nuż wypytywać o to i owo!

— Oj! — rzekła nakoniec wzdychając — biedato moja, że Tomko u was w Stawiskach; chłopiec młody, strasznie do dziewcząt ochoczy a z dawien dawna o waszych niedobrze słychać: wszystkie tam ladaco, gotowe mi go rozłajdaczyć.

— Moja jejmościuniu — odpowiedziała stara — jak się co ma zepsuć, co chcesz rób nic nie pomoże... A ja tak źle nie myślę o waszym synu, a nasze dziewczęta toż nie takie teraz jak bywały, kiedyto pan młodszy hulał i psuł ludzi.

— I teraz się tam jeszcze znajdzie nie jedna, co mego bałamucić zechce... a może się już i znalazła? — spytała szlachcianka ciekawie.

— Nie wiem... nie wiem — odparła baba śmiejąc się — at, zwyczajnie nie do jednéj się uśmiechnie, jak naprzykład do sotniczanki Horpyny; ale to młodość na to...

— Tam-bo uwas — dodała Choińska nie mogąc dłużéj wytrzymać — jest jakaś cyganka którą chwalą, że ma być bardzo piękna...

Sołoducha podpita już, miała wielką ochotę gadać, i zerwała się z siedzenia jak oparzona.

— To o Maryś widzę mówicie — przerwała — O! o! daj nam Boże wszystkim takie dzieci, jak ta dziewczyna się udała! cyganka nie cyganka, a drugiéj takiéj we wsi nie znajdziesz. Czy to wy nie wiecie nic o niéj?

Matka rada się była jak najwięcéj dowiedzieć, i nalawszy jeszcze kieliszek wódki Sołodusze, poczęła ją wypytywać.

Dopiéroż Ratajowa dziwy o dziewczynie jęła jéj śpiewać, o jéj życiu, pracy, piękności, poczciwości, wytrwaniu; jakie to śliczne, jakie to dobre, i jak to Bóg sam sieroctwo jéj wykołysał. Stara Adamowa zadrżała, zmarszczone jéj czoło okryło się potem, i ciężki niepokój sercem poruszył: załamała ręce, wydając się ze swoją tajemnicą.

— To już niema co taić — zawołała — Tomko się mój w niéj na zabój rozkochał; był tu u nas przed chwilą... przyznał mi się że za nią szaleje... Co tu robić Sołoducho? —

Baba spuściła głowę milcząca.

— Alboto ja wiém! — rzekła.

— Żenić się z cyganką, z sierotą, z ubogą, a jeszcze i poddanką waszego pana, ani myśléć Choińskiemu — dodała z dumą Adamowa — a chłopcu jakby kto co zadał!!

— Dziewczyna poczciwa — przerwała Sołoducha — ona go bałamucić nie będzie, Tomko sobie ją z głowy wybije.

— A jeżeli to czary? — spytała szlachcianka pocichu.

— Jakie czary? — odparła ruszając ramionami Sołoducha — czarne oczy, czerwone liczko, ot i po wszystkiém...

— Ależ Tomko mój oszalał!

— Alboto jemu pierwszyzna!

Flasza stała gotowa, baba schwyciła ją pod pachę i zabiérała się do wyjścia; niespokojna szlachcianka jeszcze do szafy poszła po grosz jakiś i wetknąwszy go staruszce, usiłowała ująć ją sobie.

— Słuchajcieno — rzekła pocichu — a gdybyście wy mnie pomogli i oko tam mieli na mojego chłopaka: dalipan gotowabym wam takiego gościńca dać, o jakim się wam nie śniło!

— A co ja mogę?! szepnęła Sołoducha odtrącając pokusę i szybko sunąc ku drzwiom — bądźcie spokojni, ja do Marysi chodzę, z oka ich nie spuszczę, i co podołam to zrobię: nic się złego nie stanie! Bóg z wami! nie macie się strachać czego.

Mówiąc to baba wpół pijana, starała się jednak język za zębami utrzymać i szybko wyszła z chaty, a ledwie w podwórku aż się za siwą uchwyciła głowę.

— Cyt! cyt! — zawołała do siebie — precz licho! ta — to się na wielkie rzeczy kroi! Myślałam, że Tomko tylko ją bałamuci i szczęścia probuje, a on naprawdę zaszłapał! No! no! może Pan Bóg sierocie da szczęście!

A jakto w każdéj ludzkiéj czynności by najlepszéj, jest diablego ogona kawałek, bo nim szatan musi każdą zamieszać potrawę; do dobrych chęci dla Marysi staréj Sołoduchy, wmieszało się i złe uczucie, dodając jak drożdże ciastu siły robocie i wzrostu. Choińscy byli bogaci, stary trochę się czwanił i rękę kładł za pas; Adamowa w niedzielę na panią patrzała, w chacie ich było dostatnio: a myśl upokorzenia ich dumy daniem im cyganki, sieroty za synowę, uśmiechnęła się staréj Sołodusze.

— Ot toby dopiéro musieli nosy pospuszczać — dodała w duchu — oni co najmniéj jaką ekonomównę lub pannę z garderoby dla syna roją; a tu im przyjdzie golusieńkie cyganiątko!! i córka wisielca!

Ratajowa cała w rozmysłach stanęła nawpół drogi.

— Coby tu robić? — spytała się sama siebie ożywiona wódką — jakby tu począć?

Chwilę tak stała głęboko zadumana, potém coś zapewne przemyśliwszy, kopnęła się wesoło do chaty pani Marcinowéj. Tu choć dni jeszcze parę miała zabawić, ale tak się poczęła niepokoić o Marysię, że nazajutrz rano piechotą wyrwała się do Stawiska, nieczekając na podwodę. A że dobrze znała okolicę; przez lasy wprost poszła ścieżką na cmentarzysko wiodącą.

Zbliżając się ku niemu, zdala już poglądała, czy nie zobaczy dziewczyny przy mogile; ale choć dzień był piękny, nikogo tam niedopatrzyła, tylko z tumanem kurzawy Tomko na siwku przeleciał i mignął jéj jak strzała przed oczyma.

— Leć! leć! — uśmiechając się zawołała baba — złapiemy cię ptaszku; ale gdzie hołubka moja? gdzie Marysia?

I przeszedłszy w poprzek drogę zbliżyła się do chaty, w któréj izbie pies zaszczekał. Drzwi były zamknięte, zapukała, i po chwilce Marysia przyszła jéj otworzyć. Stara bystrém okiem podejrzeń pełném, zmierzyła spokojną i smutną dziewczynę.

— A co to ty w chacie? — zapytała.

— Ot tak! — odparła Marysia — nie chciało mi się piec na słońcu...

— Bałamucisz! gadajno prawdę!

— Ten się włóczy a włóczy — pocichu szepnęła Marysia — raz wraz mnie zaczepia: musiałam się przed nim schować.

Sołoducha mrugnęła oczyma.

— I cyganka się już do mnie jakaś dwa razy przywlokła, dziwy mi prawiąc... Nie śmiem wyjść już na cmentarz.

— I dobrze robisz odpowiedziała Sołoducha, siadając — ja ze strachu żeby ci się tu co złego nie stało, leciałam do ciebie aż z Budek od Rudni jak oparzona... Chłopcu ani końca nosa nie pokazuj! Już ja co wiém, to wiém!

— A cóż wiecie? — spytała zarumieniona Marysia.

On się w tobie do szaleństwa, na zabój rozkochał! — na ucho ostrożnie szepnęła baba — bylebyś rozum miała, to się z tobą ożeni.

— On! ze mną! — czerwieniejąc się coraz mocniéj krzyknęła Marysia — chyba żartujecie ze mnie?

— Ale gdzie tam! tak jest! miej rozum, a nie przypuszczaj go do siebie ani na staje, to go będziesz miała... Tyś głupia, ale ja żyłam na świecie to wiém: mężczyznie im gorzéj dokuczysz, to cię lepiéj pokocha.

— Tego nie rozumiem moja matko!

— Rozumiész, nie rozumiész, a rób, co ci mówię! Zobaczysz, ja w tém że pójdziesz za szlachcica i cała wieś będzie ci zazdrościć... A dopiéro stara Sołoducha wziąwszy się na weselu pod boki, całéj wiosce powie: — A co? a co? ot, jak moja cyganka poszła za mąż? Nie chcieliście na nią patrzéć, teraz się jéj będziecie kłaniać; a kto to zrobił... Sołoducha!

I baba w istocie wzięła się pod boki i podrygiwała stanąwszy naprzeciw Marysi, która przelękła i zdumiona więcéj niż uradowana, patrzyła jak sierotka na Sołoduchę szczekać począł, widząc ją w tak niezwykły sposób uwijającą się po izbie.

— Matuniu! — powtórzyła dziewczyna — ale ja was nie rozumiem.

— Cyt! — zamykając jéj usta dodała stara — tylko mnie słuchaj, a głowy nie masz czego łamać.

— Ale cóż mam robić? — spytała Marysia.

— W chacie siedziéć, nosa na dwór nie pokazywać: to pierwsze... Zobaczysz, szczęście ci się samo położy na progu i garścią go weźmiesz...

To powiedziawszy Sołoducha usiadła na ławie i nieco odetchnąwszy, wyraźniéj się tłómaczyć poczęła.

— Musiał szlachcic zaszłapać — rzekła — kiedy już i matka jego wié o tém, a ze strachu umiera, bo się przedemną aż wyspowiadała. Teraz tylko podmuchać i ogień będzie. Do cerkwi w niedzielę wystrój się moje dziecko, ale jeźli cię zdybie, zaczepi, zagada, ani się nawet oglądaj... Tomko zobaczy, że tu nie ma innéj rady, tylko się ożenić; i albom ja już do niczego i głowy nie mam, albobym przysięgła że się ożeni!.. Rodzice krzyczéć będą, łajać, fukać i na niego i na ciebie, ale w końcu pozwolić muszą... Chłopiec niczego! chata raj! hroszy u starego choć czapką mierzyć... Nie zapomnisz, spodziewam się i o staréj Sołodusze.

Zdziwiła się stara podniosłszy oczy na Marysię, gdy ją we łzach całą ujrzała.

— A tobieżto co? — krzyknęła.

— A matuniu — cicho odpowiedziała Marysia — nibyto ja rozumu nie mam! Gdyby się to i stało, a coby mnie tam w chacie czekało?

— Co? — ofuknęła baba...

— Czyby mnie to tam jak dziecko przyjęli i ojciec i matka? A ktoby mi dobre słowo powiedział! Na niewolębym tam chyba poszła i na poniewierkę.

— Albo to starzy wieczni!

— A na co mam ich śmierci patrzéć? — odezwała się dziewczyna.

— I cóż myślisz? — przerwała Sołoducha.

— A cóż? gdyby nawet takie szczęście spotkać mnie miało, ja go nie chcę.

Baba osłupiała z podziwu, załamała ręce, przeżegnała się mrucząc coś pod nosem niezrozumiale.

— Alboto mi tu źle? — spytała Marysia — albo mi brak wody i chleba? A na co mi więcéj? Przywykłam do chaty i wiek w niéj przeżyję... Szlachcicby mi całe życie wytykał, że mnie z błota wyprowadził; gdyby nie on, to i chłop gdyby mnie wziął nierazby w złą godzinę nazwał cyganką i córką wisielca... Wolę, że mi tu ściany milczą, niżbym tego słuchać miała.

Sołoducha z usty otwartemi, milcząc, zdawała się chcieć zrozumieć słowa dziewczyny i nie pojmować ich wcale.

— Otóż tobie rozum! — rozśmiała się nareszcie — oto tobie dola! Jak jéj szczęście świta, toby się chciało, żeby Pan Bóg i wczorajszy dzień przerobił. Tfu! na marę... licho tam wié, czego ci się zachciéwa! Ja tego i słuchać nie będę; a co wiem, to wiem, i co mówię, to zrobię...

To rzekłszy zerwała się z ławy i cała oburzona, ale podtrzymując się jak mogła tém, że dziewczę bredzi nie wiedząc co; odeszła od Marysi, we łzach ją zostawiwszy.

Biedne dziewczę zostało same i usiadło na ławie zadumane tak smutnie, jak nigdy jeszcze; oczy jéj oschnąć nie mogły, a niepokój bił piersią wzruszoną. Co tu począć i jak tyle różnych uczuć pogodzić! Sierotka jakby przeczuł co jego pani cierpiała, przyszedł, siadł przy niéj pocichu, i począł ją lizać po rękach, łapą drapiąc po kolanach, żeby z zadumy rozbudzić. Ale ciężko to było! ciężko!

Pierwszyto raz dziewczęciu ktoś się starał podobać i podobał; pierwszy raz obcy przemówił do niéj tym językiem, który tak słodkiém brzmieniem młode ucho kusi;

a uśmiechnąć mu się, odwrócić do niego jak serce chciało, nie było podobna! Cała przyszłość czarna, ponura, straszliwa stanęła przed sierotą...

— I zawsze tak będzie — mówiła w duchu — i nigdy nie potrafię znaleźć równego sobie; chybabym wzięła żebraczego syna i poszła w świat ze ślepym. Któż weźmie cygankę? Kto wie! kto wie! dobrze może radziła stara cyganicha, pójść z nimi na wieczną włóczęgę... Ale jakby moją kochaną chatę i mogiłę porzucić, i moje życie spokojne?

— A! — dodała płacząc — już ono nie będzie jakiém było! Jeden się zbliżył i spojrzał... podobam się drugiemu, nie dadzą spokoju, aż sponiewierają mnie bezbronną i bezsilną... Co tu począć! co począć!

I załamała ręce.

Ale w chwili największéj rozpaczy, przychodzi czasem otucha, świta pociecha niespodziewana. Marysia spojrzała przez okienko na jasne niebo, na uwijające się ptaszki pod chatą, posłyszała szczebiotanie swych skrzydlatych przyjaciół, i trochę jéj przybyło odwagi.

— Bóg łaskaw — rzekła pocieszając się w duchu — co będzie, to będzie, ja do mojéj roboty, do mogiły i do dawnego obyczaju powrócę... A przyjdzie umierać, to nie pożałuję świata, bom go nie zaznała! Tyle go dla mnie, co w oknie.

Tymczasem, jak łatwo można było przewidzieć, szalony chłopak, chodź co dzień się zarzekał, że Marysi więcéj nie zobaczy, codzień więcéj za nią przepadał; w końcu całkiem poddał się téj namiętności, i już na nie postanowił nie zważać.

Marysia udawała obojętną i w niczém nie zmieniła postępowania; ale czasem musiała choć po niewoli nań spojrzéć, a ten wzrok przeszywał go do duszy; musiała powiedzieć słówko, a mowa sprawiała mu dreszcze i sprowadzała sny dziwaczne; musiała się pokazać choć na chwilę, a ujrzawszy ją leśniczy głowę tracił do reszty. Przyszło w końcu do tego, że po pięć i sześć razy włóczył się około chaty, w któréj Marysia ze strachu, aby się z nim nie spotykać, siedzieć musiała zamknięta jak niewolnica.

Nie można się było z nim rozminąć, kręcił się po gościńcu, przy studni, po za cmentarzem, i czychał tylko, żeby ją zobaczyć.

Ludzie dobre mają oczy, zwłaszcza na cudze sprawy: rychło też po wiosce wieść gruchnęła o zalotach leśniczego do Marysi, a sam pan Adam, który wraz gospodarzem i pobożnym został, codzień teraz prawie łapał na drodze do lasu wykradających drzewo bez kwitów. Tomkowi leśniczostwo wcale nie było w głowie; zgromił go raz i drugi dziedzic; wysłuchał bury, ale się nie poprawił. Pan Adam zapowiedział, że go za trzecim razem odprawi; ale zaraz nazajutrz złapano w szkodzie z sąsiedniéj wsi chłopków, którzy korę dębową obdzierali do blizkiéj garbarni. Pan Adam wpadł w gniew potężny, i Tomkowi natychmiast leśniczostwo odebrał. Strata miejsca niewiele go obeszła, ale bał się ojca i nie wiedział jak się tłómaczyć: a że go serce wiązało do Stawiska, postanowił do czasu utaić odprawę, i przyzostać w chacie sotnika, dobiegając z niéj do cmentarza i Marysi.

Przywiązanie do niéj gwałtowne i niepohamowane, dziwnie nad nim brało górę. W pierwszych chwilach była to tylko młoda fantazya, płoche zachcenie i powab pociągający pięknéj twarzyczki. Tomko chciał się pobawić i porzucić, ale teraz myśli jego całkiem barwę zmieniły; chciał się już żenić i nie taił z tém przed sobą. Widział on niepodobieństwo ożenienia dla rodziców, ale dziecinnie i wieśniaczo mówił sobie, że uciecze z dziewczyną, że się z nią gdzieś ukryje; a ożeniony gdy wróci, rodzice ich przyjąć będą musieli.

— A nie, — dodawał w myśli — to pójdę służyć na kraj świata, pójdę dla niéj i dla siebie pracować, ale jéj nie porzucę.

Były nań jeszcze chwile oprzytomnienia, w których się sam z siebie naśmiewał, że za cyganką lata, że oszalał; ale namiętność wnet brała górę i znowu snuł potém rajskie życie z piękną Marysią. We wsi, gdzie już wciąż o tém tylko mówiono, na wieczornicach, na południkach, pod cerkwią i w karczmie, Tomko się dowiedział, że Sołoducha i oboje Ratajowie mieli jakąś władzę nad sierotą i opiekę nad nią, i jak tylko tę wiadomość pochwycił nazajutrz rano poleciał do ich chałupy.

Sołoducha go czekała, bo wiedziała dobrze, że w końcu musi przyjść koza do woza; i jak go zdala postrzegła, zaraz męża za piec pchnęła, domyśliwszy się, że chłopcu przy

nim niebardzo mówić się zechce. Dziad się zrazu ofuknął, ale jak mu stara szepnęła na ucho, że to o sierotę idzie, wgramolił się na zapiecko i począł chrapać, choć dobrze ucha nadstawiał. Sołoducha znowu udała bardzo zajętą i nuż z zimnemi garnkami chodzić od stołu do komina i od komina do stołu. Nie zobaczyła nawet niby, gdy Tomko wszedł do chaty.

— Dzień dobry matko! — rzekł trochę zmieszany szlachcic rozglądając się do koła.

— A to panicz!! — zdziwienie udając odezwała się stara — może wrota na łan zamknięte, zaraz pójdę otworzyć...

— Nie, nie, nietrzeba — odparł siadając na ławie Tomko — ja tu do was matuniu po radę...

— Panie Boże! a tóż co! — odezwała się stara śmiejąc — czy już mnie potrzebujecie?? No, mówcież co wam potrzeba; ale ja taki przestrzegam, że lubczyku u mnie nie ma, choć to wy i bezemnie i bez niego sposób sobie na dziewczęta znajdziecie.

— Co tu długo gadać a bałamucić — wstając z ławy rzekł Tomko — ot matuniu powiedźcie mi, czy to wam krewna, czy chrzestna córka, czy co... Marysia cyganka?

— A co ona mi ma być? — ruszając ramionami odparła stara — nic...

— Ale wy z nią żyjecie?

— Bo to widzicie matka nam ją przed samą śmiercią poleciła; ale cóż wam do niéj?

— Co mnie do niéj? — wybuchnął chłopak — tu nie ma co kłamać: ot, ja za nią oszaleję!

Baba udała zdziwienie wielkie, w ręce plasnęła, głową zaczęła kiwać, brwi zmarszczyła, cmokała; wreszcie poufaléj przysiadła się na ławie.

— A na co się wam to zda? — rzekła podpierając twarz zgrzybiałą na pomarszczonéj dłoni — wy myślicie, że to dziewczyna sierota, sama jedna, to ją jak grzyba wziąć; ale widzę Marysi nie znacie.

— Jakże nieznam, kiedy mi głowa pęka, że jéj dostąpić nie mogę.

— I takito porzućcie — szepnęła Sołoducha — wierzcie mi, bo z tego nic nie będzie: obałamucić jéj nie obałamucicie, a cóż? o ożenieniu wam ani myśléć; dopierobyto szlachta krzyku narobiła!

Chłopiec się zamyślił smutnie.

— A ja bez niéj żyć nie będę! — rzekł cicho.

— Co wam się stało? — zawołała baba: — Młodemu tak się to zdaje... Oj! oj! albo to ona jedna? Krzyż z wami! Co wy mówicie? Już że Marysi tak nie dostaniecie nie poszedłszy z nią do cerkwi, to pewna: dziewczyna stateczna, pobożna, pracowita a i nie głupia, z chłopcem się nie wda... na gościńce jéj nie złapać...

— No! to się z nią ożenię! — rzekł zamaszysto Tomko — niech co chce będzie, a taki się ożenię...

— A toż rozumna mowa? odparła starucha — co wam paniczu? czy o Marysi nie wiecie że cygańska córka, czy swoich nieznacie, jak nosa do góry zadzierają? Ojciec i matka toby się was wyparli.

Tomko głowę zwiesił.

— Wy-bo sobie tém darmo krwi nie psujcie; bo co nie można, to nie można — dodała Sołoducha. O! już to prawda, że takiéj śliczności jak ta dziewczyna — kończyła stara powoli poddmuchując ogień, którym leśniczy gorzał; — takiéj śliczności nietylko na okolicę nie ma, ale i na świecie poszukać! Gdyby człowiek nie wiedział, myślałby, że to pańskie dziecko!

Leśniczy westchnął głęboko.

— A tu — rzekł raptownie jakby sam do siebie — ani się zbliżyć, ani pogadać, ani oczu napaść.

— Jużto darmo — dorzuciła baba — ona taka bojaźliwa i skromna, że ledwie zasłyszy turkot na drodze, do chaty się chowa... Wybijcie to sobie z głowy.

— Kiedy żyć bez niéj nie mogę! — zawołał Tomko rozpaczliwie, i zaklął się; a baba udała, że ją przestraszyło zaklęcie.

— O mój Boże! a cóż to będzie? — zawołała — co to będzie?

— Choćby przyszło dla niéj zginąć.

— Cyt! cyt! cicho, nie mówcie w złą godzinę, ja na to nie poradzę...

— Gdyby choć zobaczyć, choć pogadać — rzekł Tomko — wy tam chodzicie?

— To prawda! — mruknęła stara — co dzień.

— Słuchaj Ratajowa! — gwałtowniéj przerwał leśniczy — ot, rubla kładę na stół, nie odmawiajcie mi a pomóżcie.

Baba odskoczyła obruszywszy się.

— Co to wy oszaleli naprawdę, żebym ja dla grosza dziewczynę gubiła i do bałamuctwa dopomagała.

— Ale posłuchajcież — dokończył Tomko — ja złego nie chcę i o nic was niepoczciwego nie proszę; tyle tylko, jak będziecie u niéj w chacie, dajcie mi znać, wpuśćcie za sobą, niech ja przy was choć przebędę z nią jaką godzinę. Będziesz się na nas patrzéć.

Sołoducha jeszcze się oburzała.

— Ale to nie może być?

— Na miłość Bożą — zaczął zaklinać Tomko — widzicie że ja nic złego nie myślę.

— A jak się Choińscy dowiedzą?

— Nie dowiedzą się; a jakby i tak było, niech się sobie dzieje co chce. A to przyjdzie mi dla téj miłości zeschnąć i umrzeć, bo już dłużéj nie wytrzymam!

Babie tak się wszystko ślicznie składało, że jéj aż serce rosło; ale udawała zafrasowaną, i nierychło, nacmokawszy poczęła pocichu szeptać coś Tomkowi na ucho, który rozweselony; jakby ożył na nowo, wsiadł na siwka i poleciał.

Dopiero z za pieca dziad się zwlókł co najprędzéj po rubla o którym zasłyszał, i chyłkiem skradł się do stołu; ale Sołoducha przeczuwając napaść, dawno już była schowała grosz w węzełek i zatknęła w łóżko, a Rataj go nie znalazł.

Rozpoczęła się zwada, krzyk, targanie; wyparła się Sołoducha, że datku nie przyjmowała; Rataj parę razy kijem machnął i burza ucichła jakoś wkrótce zalana kwaterką wódki.

O zmierzchu Sołoducha wdziawszy świtę, zabrała się na wieś do Marysi, nie bez szyderskiego uśmiechu, przekradając się przez ulice wioski ku cmentarzowi i cygańskiéj chałupie.

Wielka była radość samotnicy, gdy zobaczyła babę zbliżającą się do chaty: rzadkito bowiem był gość o mroku. Marysia właśnie odpoczywała na przyźbie przed sienią, otoczona całym swym dworem, gdy babina się przywlokła, i na widok który miała przed oczyma, stanęła, by mu się lepiéj przypatrzéć.

W istocie było na co spojrzéć.

Śliczne dziewczę, w białéj koszuli, w krasnym fartuszku, dłonią hojną rozsiewało ziarno do koła, a wychowańcy Marysi kłócąc się, wyprzedzając i bijąc po trosze, lecieli na nie łapczywie. Szare i białe gęsi, pstre gołębie, kurki czubate, wszystek dwór aż do psa i kota, otaczał panią swoję, nawet kilka dzikich śmiałych wróbli przyplątało się do rozdawanéj karmy, i ukradłszy ziarenko, uciekały z niém co prędzéj pod strzechę. Zazdrosny Sierotka widząc że kury i gęsi zajadają, corazto poskoczył, odpędził je, powąchał tego rodzaju jadło, i nie mogąc go zrozumieć, odchodził zamyślony, jakby powiadał:

— Co téż te głupie stworzenia jedzą! — Marysia śmiała się z tych codzień prawie powtarzanych wybryków swojego ulubieńca. Na widok nadchodzącéj Sołoduchy, i dziewczę się z siedzenia zerwało i pies zaszczekał, i ptastwo pochwytawszy co mogło na prędce, wrzeszcząc rozbiegło się, a na miejscu swojskiego stadka, wnet drapieżny zastęp wróbli upadł na tokowisko.

Ostatnie promienie słońca oświecały blaskiem jaskrawym tę scenę wiejską, nacechowaną sielankową prostotą. Po chwilce Sołoducha przybliżyła się, ująwszy za rękę Marysię, wwiodła ją co prędzéj do chaty.

— Słuchajno — rzekła — nie bądź głupia; Tomko się z tobą niezawodnie ożeni, bo ginie bez ciebie biedne chłopczysko... Zaraz tu przyjdzie; tylko co go nie widać. Jużciż przy mnie oczyma cię nie zjé, puść go do chaty, niech choć pogada z tobą.

Marysia zarumieniła się, jakby ją krwią oblał.

— Krzyż na mnie! Ach! ja nieszczęśliwa; a cóż ludzie powiedzą? — zawołała.

— A co gadać mają, kiedy ja tu! — ofuknęła ją baba, — ja cię do złego nie poprowadzę; słuchaj mnie tylko, wszystko dobrze będzie. Cyt! cyt!

Położyła palec na ustach, a tuż tętent siwka dał się słyszéć. Marysia nie wiedziała już co począć, rzuciła się ku drzwiom, ale baba posadziła ją na ławie, i otworzyła je nieco, a Tomko wszedł jak piorun.

Wpadł i prost do dziewczęcia, chwytając ją za ręce:

— Marysiu! serdeczna Marysiu, nie uciekaj! — rzekł zadyszany — nie bój się, tyś mi milsza nad życie! Choć chwilkę pozwól pobyć z sobą gołąbko moja; a jak każesz, to pójdę!

Baba uśmiechnęła się, Marysia zdawała się tracić przytomność i powiodła ręką po czole.

— A! to nie gubże mnie — odezwała się drżąca wyrywając się od niego — kiedym ci miła jak mówisz, nie trujże mi życia!

— Ja! jabym za ciebie w ogień skoczył.

— O! nie mówcie słów takich! nie mówcie, bo im nie uwierzę. Wy się ożenić ze mną nie możecie; na co daremnie gubić sierotę? Rodzice wam nie pozwolą.

Tomko patrzał wciąż w czarne jéj oczy i pałał cały.

— Słuchaj — rzekł — na co to długo się spierać; jeźli mi nie pozwolą rodzice, ja z tobą na kraj świata ucieknę.

— Nie — odparła Marysia żywszym i śmielszym głosem — widzicie przez to okno dwie mogiły na cmentarzu: jedna z nich dziada mojego, druga matki. A wiecie z czego oni pomarli? Jeden, że przeklął dziecko swoje; druga, że na niéj przekleństwo było ojcowskie! Nie chcę przekleństw na głowę moję: porzućcie mnie, porzućcie!

Stara słuchała i brew się jéj namarszczyła, a usta zacięły; Tomko załamał ręce zdziwiony.

— Inaczéj mów, — odparł — ty chyba serca nie masz do mnie Marysiu. No! to mów i zabij mnie już od razu!

Dziewczę odwróciło się ku niemu z uśmiechem.

— Dlaczegóżbym serca do was nie miała; wyście do mnie pierwsi przemówili dobrém słowem i zbliżyli się do sieroty. I gdyby, gdyby nie strach rodziców waszych, a... — nie dokończyła.

Tomko znów pochwycił ją za ręce i począł całować; ale stara, któréj na myśl przyszło, że powinna była stać na stronie sieroty dla oka, odciągnęła go od niéj.

— Porzuć, rzekła — porzuć, ot siadaj na ławie i rozmówcie się po ludzku.

Marysia zobaczywszy, że stara zabiera się ku drzwiom, podbiegła i wstrzymała ją.

— Na krzyż Pański nie odchodźcie, — krzyknęła, zlitujcie się! Ja nie zostanę sama: to być nie może.

— Siadajcie, — rzekł Tomko — mnie pozwólcie zdaleka być... choć popatrzeć.

Marysia, na któréj to wszystko dziwnie smutne jakieś czyniło wrażenie, podparła się na ręku i rzewnie rozpłakała; chłopcu zrobiło się przykro, boleśnie: odsunął się do progu i stanął jak wryty.

— Ej! dzieciaki! dzieciaki — zawołała Sołoducha. — Ot! głupie! coby mieli czasu użyć, pogadać ślicznie, oboje podurnieli i licho wié jakie stroją fochy. — A no! porzućcie... Marysia tobie do smaku, a i ty jéj nie hydki: chcesz się żenić, czegóż tu płakać; weselcie się dziateńki.

— Nie wesele mnie w głowie — odparła Marysia, — mnie tak straszno! tak straszno! Od czasu jak przestąpił próg chaty mojéj, głowę tracę.

— Marysieńko! — odezwał się Tomko — klnę ci się na Boga, na wszystko, że się bać nie masz czego... Ja twój, zrobię co każesz, byleś mnie nie odpędzała.

— Co wam o tém mówić odpowiedziała Marysia, a rodzice, a wasi? a nuż się dowiedzą? Jutro was zaślą daleko, a mnie ludzie osromocą i zginąć przyjdzie marnie.

Trudno było odjąć obawę sierocie, i Tomko i Sołoducha próżno się o to silili: rozmowa nie szła, a że wieczór się zbliżał, po krótkim rozhoworze baba kiwnęła na Tomka, chłopiec westchnął i ujść musiał. Siwek pasł się na wale cmentarnym, i ledwie go złapał; a Rataicha aż się za głowę pochwyciła, zobaczywszy, że w chwili właśnie gdy Tomko z chaty się wymykał, wóz Marcina z budek rudeńskich przesunął się mimo cmentarza. Choiński nie uważał na to, tak był Marysią i koniem zajęty; sierota nic nie widziała, ale baba rozrachowała zaraz co z tego wyniknąć może, i na wieś pobiegła zachmurzona tym wypadkiem.

Marcin dobrze był jéj znajomy, bo świeżo chodziła pilnować jego żony; chciała go Sołoducha dognać i uprosić o milczenie; ale gdzie starym nogom zdążyć za młodemi końmi?

Szlachcic popędził w tumanie kurzu w jednę stronę, Tomko w drugą; Sołoducha o kiju powlekła się ku karczmie.

Wiedziała ona, że Marcin gaduła jakiego świat drugiego nie miał, karczmy pewno nie minie, i rachowała na to, że go tam jeszcze palącego fajkę zastanie. Omyliła ją wszakże nadzieja... Nim z góry zeszła, nim groble przebyła, nim się z trzodą spotkawszy wyminęła z bydłem, doszedłszy nareszcie do karczmy, postrzegła, że Marcin już konie zaciąwszy, boczną ulicą do Rudni poleciał.

Baba zła, na zwiady tylko weszła do izby szynkowéj. Szumko szynkarz z kilką innemi włościanami stał w pośrodku izby gawędząc pocichu z nimi; nie zważali jak się baba wsunęła.

— Tak, tak — rzekł rozdając tabakę szynkarz do starosty cerkiewnego — on tu sobie hula i kręci się koło dziewczyny, a tam rodzice myślą, że jeszcze we dworze służy. Marcin aż ramionami do sufitu ruszył, gdym mu powiedział, że już leśniczostwo oddane Pawłowi; a to wczoraj jeszcze stary Choiński słyszę, chwalił się, że syn ma takie miejsce na początek! Ot co! ot co!

— A bodajże was! a bodaj długo-języczni! — krzyknęła baba z za pleców Szumkowi, aż się cały wstrząsł — a świerzbiał was język spowiadać się przed Marcinem!

— A wiedźmo przeklęta, toś mię nastraszyła!... Bodaj cię febra trzęsła! — krzyknął Szumko.

— Gaduło, ty gaduło; na ciebieby febrę nasłać, tobyś pleść o cudzém zapomniał.

— Czyto mnie kto o sekret prosił — odparł Szumko — hę? Marcin pyta, dziwuje się że Tomka widział wedle chaty u cmentarza i mówi: Co to u was leśniczy wierzb na mogilniku pilnuje czy co? — No, to miałem mu kłamać?

— Dajcieno kieliszek wódki! — machając ręką zawołała Sołoducha z gniewem — a nu! wódki, i dosyć tego! bodaj wam to słowo bokiem wylazło!

Szumko poszedł po flaszę, resztę ludzi zamilkło, a Sołoducha wypiwszy porcyą jednę i drugą duszkiem, nie rzekłszy słowa więcéj, milcząca, szparko ku domowi pobiegła.

Sąsiad z Budek naturalnie wracając ze Stawiska, zaraz stanął przy chacie Choińskiego, bo mu niezmiernie pilno było ze złą nowiną.

Stary handlarz siedział na przyźbie fajkę paląc, i dobytek swój wracający z paszy oglądał.

— Dobry wieczór kumie — rzekł Marcin biczysko w wóz wtykając.

— A! jak się macie panie Marcinie. Co słychać w miasteczku? sprzedaliście żyto? po czemu?

— Cena licha! jeszcze chcą, żeby im chłopską miarą dziesięcio-garncową mierzyć, te żydy niewiary! Ot... i żyto do domu wraca!

Stary Choiński się uśmiechnął.

— A nie chcieliście mi przedać, com dawał cenę chrześciańską, i darmo dzień stracili.

— Darmo albo i nie darmo — odparł z uśmiechem Marcin. — Kumie! dacie sześć złotych za korzec, to wam coś takiego powiem, że aż podskoczycie do góry!

— Półszósta, ani szeląga więcéj nie mogę. Ba! ale cóż to takiego? — spytał podchodząc Choiński.

— Jak półszosta, to nic — rozśmiał się Marcin i zmierzył ku furze.

— Cóżto taka jakaś nowina, żeby od niéj półzłotka gębowego płacić, tfu — rzekł budnik — jeszcze czego nie stało: a toście handel wymyślili!

— Wola wasza — odparł filuternie Marcin — nie chcecie dać pół złotego, zapłacicie ją może później nie jednym sotkiem, ale będzie po czasie.

Stary jakby co go kolnęło, wstrzymał odjeżdżającego sąsiada: — Słuchaj kumie, czy ty kpisz czy drogi pytasz?

— Co prawda, to prawda: zapłaćcie za żyto, a dam wam w dodatku takiego gościńca...

— No! cóż tam u licha... ki diabeł! Czy nie bałamucisz panie Marcinie...

— Jak Bóg miły, prawdę świętą mówię; ale kiedy wy sąsiadowi, kumowi półzłotka żałujecie za jego krwawicę, no! to niech będzie co Bóg chce, a ja téż gębę stulę.

— A tegoroczne żyto? — spytał mięknąc stary.

— Przeszłoroczne, suchuteńkie.

— Ważne?

— Toż je znacie.

— Ale u was i groszku i stokłosu pełno?

— No, to nie kupujcie — rzekł Marcin idąc znowu do wozu — nie kupujcie.

— Ej, kumie, kumie, jaka z was gorączka! Myślicie że ja na was zarobku pragnę? — odparł pan Adam — No! zsypujcie zboże, a pieniądze płacę. Ale cóżeście to przywieźli? — począł żywo stary.

Marcin się obejrzał.

— Ot co — rzekł — jak myślicie, co wasz synek robi w Stawisku?

— A cóż ma robić? — ofuknął stary odskakując — toż wiécie, że służy.

— Tak?? a no, wiedźcie, że już od dwóch podobno niedziel wypowiedzieli mu służbę we dworze.

— Co gadacie?

— Prawdę kumie! tak jest!

— Jamże go pozawczoraj pytał... a mówił...

— To łgał, to łgał kumie; nie służy, wypędzili go, i ono się wałęsa...

— Wypędzili Tomka! cóż to jest? Gadajże kumie Marcinie a cicho, żeby Agata nie posłyszała, i nie cedź mi po kropelce... Cóż on tam zrobił?

— A co miał zrobić? zawsze jedna historya — rzekł do ucha zbliżając się pan Marcin — wpadła mu tam w oko jakaś dziewczyna cyganka, czy ki licho, i tak za nią głowę stracił, że wszystek obowiązek porzucił. Pan przestrzegał, przestrzegał, a nareszcie wypędził. Ot co jest kumie... i tak podwaryował słyszę, że stancyę sobie najął na wsi, przed wami się wyłgiwa, a co wieczór do dziewczyny chodzi. Sam go na moje oczy widziałem wychodzącego od cyganki.

Stary pochwycił się za głowę.

— Kara z nim boska! — zawołał — cyganka, cóżto za licho?

— Co za licho — rzekł Marcin — ha! to dziewczyna słyszę śliczna, że drugiéj nie ma na okoliczność: a harda a filut! Zaprowadzi go ona daleko! Jeszcze sierota, broń Boże biédy, wy myślicie że Tomko się sianem wykręci? Gadają nawet, że czarownica...

Mówił, ale stary już nie słuchał, tak go silnie to niespodziane uderzyło nieszczęście: stał wryty, sparłszy się o wrota, długą chwilę przebył w osłupieniu; dopiéro głos żony go ocucił.

— Zsyp żyto panie Marcinie — rzekł — zapłacę, ale wara z tém przed moją Agatą się wygadać: zjadłaby mnie, żem go tam oddał, a i tak dość oczu nawypieka.

— A sześć złotych dacie?

— Ot i kieliszek wódki wypijecie u nas — rzekł Adam.

Ale gdy weszli do chaty, choć stary usiłował kłamać twarzą, nie bardzo potrafił; żona wyczytała na niéj zmartwienie.

— Coto tobie Adamie? — spytała.

— Ot... siwą zdaje się zpleczyli...

Byłato ulubiona klacz Choińskiego, po któréj połowę prawie miał stada; jéj był synem i ów siwek, na którym Tomko tak dokazywał. Uwierzyła więc Adamowa kłamstwu, bo zpleczenie siwéj bardzo skłopotać mogło, a Marcin napiwszy się wódki, uradowany sprzedażą, pojechał do chaty.

Nazajutrz jak świt, Choiński coś tam znów przed żoną skłamawszy, zły, gniewny, wściekły na konia siadł, i choć stary, poleciał do Stawiska kłusem. Po drodze miotało nim jak opętanym, tak, że koń choć go znał, zrozumieć nie mógł: zżymał się, gadał głośno i walił stępaka, że mu wierzgał co chwilę.

Przede wsią zatrzymał się i znowu dereszowatego po bokach wprost ku cmentarzowi, bo dobrze się był rozpytał kuma Marcina.

Zdało mu się z opowiadania, że dziewczyna niepoczciwa zalotnica, syna mu bałamuci umyślnie, i gotował się na nią wpaść z całym gniewem, jaki przez noc w sobie przyzbierał.

Jakkolwiek to było rano, już Marysia siedziała u mogiły; tętent konia zwiódł ją: pomyślała, że Tomko znów jedzie, a gdy na jego miejscu zobaczyła starego z ponurą twarzą szlachcica, tknęło ją w serce jakieś przykre przeczucie, zlękła się, zadrżała.

Stary ani spojrzał na cmentarz, zsiadł z konia przed chatą i wprost drzwi jéj otworzył.

Marysia wstała, Sierotka ujadać począł.

— Czegoto chcecie? — spytała podnosząc się.

Stary ją dopiero zmierzył oczyma.

— Ty tu mieszkasz? — rzekł gniewnie.

— Ja — odpowiedziała Marysia.

Milczenie trwało przez chwilę namysłu; stary obejrzał się na cmentarz, nie chcąc nań wchodzić, zawrócił się, zbliżył na kilka kroków.

— Chodź tu! — rzekł rozkazująco.

Sierota posłuszna, drżąc cała, ze psem swym razem wybiegła z wrót cmentarza i stanęła zarumieniona przed Adamem, który wciąż wlepione w nią miał oczy.

— A! to ty tu mieszkasz — powtórzył zapalając się — to ty.. łotrzyco jakaś syna mi zwodzisz... poganko!

— Czego odemnie chcecie? — zmieszana odstępując zawołała sierota.

— Czego ja chcę? — w złości krzyknął szlachcic, tupiąc nogą, na co pies ogromném szczekaniem odpowiedział stając pomiędzy nim a panią swoją — czego chcę? Otom ci umyślnie przyjechał powiedzieć bezwstydnico jakaś, że jak tu ten łotr więcéj do ciebie jeździć będzie, a ty go przyjmować; to jak mi Bóg miły!!..

Wtém łzy puściły się z oczu sieroty, przerażonéj popędliwością starca, a z niemi tak była piękną, tak wzbudzającą litość; tak niewinnie zdawała się poczciwą; że stary choć w przystępie złości, uczuł się napół rozbrojony.

— A do krocset diabłów! — zawołał — czego beczysz? Źle robisz a płaczesz? A co tu łzy pomogą? diabli cię wezmą i tego trutnia!

— A niegniewajcie się na Boga, nie gniewajcie: cóżem ja winna.. Ja wam wszystką prawdę powiem — z płaczem poczęła Marysia.

— Co ty mi pleść będziesz duby smalone.

— Ja wiedziałam, że to się tak skończy — odparła sierota — klnę się wam na Boga, żem go nie przyjmowała, nie słuchałam go, nie gadałam do niego... Wczoraj jeden, jedyny raz był tylko w chacie u mnie, i to przy ludziach.

Stary wciąż na nią patrzał, słuchał i Bóg wié co się w duszy jego działo; ale twarz mu się mieniła, widocznie miękł i stygnął.

— Powiadam ci — odezwał się już wolniéj — syna mi nie bałamucić... a nie! to źle z tobą będzie. Klnę się, że się z tobą nie ożeni, a ciebie diabli wezmą, diabli wezmą!

Szlachcic krzyczał jeszcze, ale go już gniew opuszczał.

— Ot, i ciebieby żal było — dodał — dla jednego dudka świat sobie zawiązywać: on ci licho wié co obiecuje, czego w ręku nie ma. Możesz pójść za mąż, niczego jesteś, a on cię tylko zgubi jak drugie pogubił... On szlachcic.. jemu z lada włóczęgą poswatać się nie dam... Nie bądź więc głupia i nie wierz mu.

— Ale nie dziwota — rzekł sobie w duszy stary poglądając na dziewczynę z ukosa — dalibóg! szelma piękna jak królewna... Oj! zła sprawa.

I pokiwał głową.

— Ja się wam klnę — zawołała Marysia — żem tu nic nie winna: uciekałam i uciekam od waszego syna, pokoju mi nie daje. Bóg świadek żem niewinna!

— Winna czy niewinna — rzekł Choiński — a trzebabo skończyć; niech mi tu raz jeszcze noga jego postanie a zobaczycie!

— Syna sobie sami trzymajcie... ja...

— A tyż tu co robisz? — zapytał stary — nie mogłabyś pójść gdzie służyć?

— Ja? służyć? mnie nikt nie weźmie... A na co mi to, kiedy mam swoją chatę; mnie i tak dobrze: na chléb sobie zarabiam i żyję.

— Zarabiasz! co u diabła? a któż tu z tobą mieszka?

— Nikt, ja sama.

— Sama? — stary wstrząsł głową — sama! — powtórzył — dobrze sobie rozpatrzył... Masz szczęście dziewczyno! Ja go dziś nauczę tego chłystka; ale jeźli się tu zjawi, ani mu się pokazuj! ani nosa!

Marysia zakrywając oczy, wpadła cała rozszlochana do chaty; szlachcic sam pośród drogi pozostał, pies za panią okrążywszy nieprzyjaciela przebiegł, stanął w progu i ujadać począł.

Stary Choiński rozmyślał.

— Niczego ma oczy ten łotr; dziewczyna śliczna! Sierota, aż żal... gotów ją zgubić... Ale teraz ani już do niéj przystąpić za tym psem szatanem... Hej! — krzyknął — odwołajcie sobie sobakę, mam jeszcze słowo do was!

Nie wiem czy Marysia słyszała to czy nie, czy odwołała psa; ale Sierotka ustąpił, a Choiński rozglądając się ciekawie, wszedł do chałupy.

Tu nędza sieroca, a przy niéj ład i porządek w ubogiéj lepiance, uderzyły go widocznie: oniemiał na chwilę, musiał powoli w głowie wystawiać sobie to życie, tę pracę ważyć, która je utrzymywała.

— To jednak nielada dziewczę — mówił w duchu — jak to ona sobie rady daje! Bóg wié, może z grzechu żyje, ale nie głupia być musi.

Marysia stała obyczajem dziewcząt wiejskich przy piecu i płakała; stary już począł wcale innym głosem.

— Ej! słuchajnobo... nie zjem cię przecie, nie jestem zbój, złego ci nie zrobię... Ta ty sama to musisz rozumieć, żem nie na to syna hodował, żeby go z lada cyganką żenić: mnie i matce życiaby to skróciło...

— Alem ja nic nie winna! — powtarzała rozpłakana dziewczyna.

— Nie prowadźże na głowę swoją przekleństwa naszego, i niech go więcéj oczy twoje nie widzą — rzekł stary. — Ty myślisz może żarty, a to śmierć moja i śmierć matki na twoje spadnie sumienie... To jedynak u nas; ja duszę gubię żeby go wyprowadzić na ludzi, a miałbym pozwolić, żeby sobie fartuchem świat zawiązał?

Stary z gniewu przechodził powoli w prośby prawie, i niemi skuteczniéj pewnie niż łajaniem dotknął serca Marysi.

— O! na Boga klnę się wam — zawołała żywo — nie chciałam i nie chcę być wam przyczyną umartwienia: zrobię co każecie, byleście mnie nie przeklinali.

Łzy jéj i te słowa uczucia pełne, trafiły do serca szlachcicowi, który pragnął już tylko wyrwać się co prędzéj: tak go jakoś samego dziewczyna obałamuciła, tak czuł w jéj ustach prawdę, cierpienie, i wyrzucał sobie niemal popędliwość swoję.

— Cóż onabo winna — począł myśléć — to temu gałganowi daćby ze sto bizunów... ale ba! młody téż, krew nie woda, a dziewczyna gdyby jabłko... Licho ją tu nadało; żebym wiedział, nie dałbym go do Stawiska... Żeby do licha gdzie powędrowała... możeby ją z głowy sobie wybił. Ot, gdyby nie Marcin i nie jego żyto, byłby ten wisus nieszczęścia i wstydu narobił; ale natrę ja mu uszy!

— Niechże mi tu więcéj noga jego nie postanie — dodał Choiński głośno, ujął za klamkę i mrucząc a spluwając, więcéj gniewnego niż był udając, wyszedł, dosiadł konia i pośpieszył na wieś szukać chaty sotnika.

Nie pytajcie mnie co się działo z sierotą: padła ona na ławę przy piecu i jak słup pozostała na miejscu nieruchoma, odrętwiona.

Myślicie, że proste dziewczę nic nad strach uczuć nie mogło? O! są chwile w życiu, w których spotęgowuje się człowiek i widzi więcéj, i więcéj czuje, i więcéj może niż zwykle; a Marysia była pustelnicą, była dziecięciem mogiły, wykołysaném dumami wśród samotności i tém wyższą od otaczającego ją ludu, że cała żyjąc w sobie, sama sobą władać i kierować musiała. W sercu biednego dziewczęcia scena ta zostawiła bolesne wrażenie i przeczucie, że z losem swym dotychczasowym rozstać się musi. Było to jakby jakieś jasnowidzenie konieczności; i żal ciężki, żal srogi ucisnął jéj serce nieprzekarmione dotąd weselem. Nie wiedząc jeszcze co się z nią stanie, Marysia wiedziała już, że chatę swą opuścić będzie musiała. Myślała już tylko co począć z sobą, a na przypuszczenie rozstania, żal ją brał niewysłowiony. Pożałowała wszystkiego co ją otaczało, całego tego maluczkiego światka, którego była środkiem: Sierotki, Burka, gołębi, gąsek i kur swoich, i wróbli pod strzechą:...

I wybiegła patrzéć na mogiłę matki...

Cisza była na dworze, cisza jakaś złowroga: parno, duszno i straszno. Przed chwilą marzyła jeszcze snuć daléj przędzę kądzieli i życia; teraz obojga nić była przerwaną.

— A! — mówiła w duchu przebiegając chatkę do któréj wróciła, i łamiąc ręce — ja tu już pozostać nie mogę; pójdę, pójdę w świat służyć, żebrać, a nie chcę, by mnie ten stary siwo-włosy przeklinał: nie chcę na biedną głowę moją nabierać łez cudzych i nieszczęścia... Dola moja być samotną i biedną: na cóż do niéj drugą wiązać? Cierpieć, to cierpieć saméj!

Jeszcze tak biegała nieprzytomna, gdy Aza niepostrzeżona weszła do chaty i stanęła w progu. W milczeniu patrzała długo na dziewczynę kiwając głową, czytając z jéj ruchów co się z nią działo; nareszcie zbliżyła się ze śmiechem, Marysia cofnęła się przelękniona.

— A! to wy!

— To ja! dziecko moje — odezwała się cyganka — przyszłam już po ciebie.

— Po mnie? — zapytała Marysia zdziwiona.

— Prawda, że teraz pójdziesz z nami? — dodała Aza — A co? dobrze żyć z *gadziami?* można wyżyć z niemi?

— Wy wiecie wszystko?

— Wszystko! wszystko! — rzekła cyganka — i o nim i o tobie, i o ojcu, który tu dziś z fukiem do was przychodził. Patrzałam ja zdaleka i wiedziałam na czém się to skończy. Nie masz tu co bawić dłużéj, ludzie cię już ogadali; choćby raz próg przestąpił obcy, zrobią ci zaraz z niego kochanka; to i choć niewinna, a dla nich już będziész osądzona...

Dziewczyna stanęła i pobladła.

— Ej! — dorzuciła prostując się i przybierając poważną proroczą postać cyganka, a dobierając słów, by dziewczynie głowę zawrócić. — Jest dola, jest los napisany dla każdego człowieka: gdyby miał skrzydła nie uleci przed nim, gdyby sto nóg miał, nie uciecze, i w *Jagoro* (piekle) przed nim się nie schowa... A poco myśmy przyszli tu po latach tylu, a dlaczego ci oto właśnie w téj godzinie *Mroden oro* dał łzy i przekleństwo? Patrzaj jak się złożyło — ażeby Romów krew poszła z Romami na wędrówkę... Krew ty nasza, nie czyja... Co ci ta chata? co ci ta mogiła? Nam świat chatą, niebo dachem, a mogiłą ziemia cala... Gdzie stąpisz, to kości depczesz praojców i matek... Nigdzie nie brak wody, by pragnienie ostudzić, i miejsca na rozbicie szatry, i gałęzi na ogień; a kto siedzi ten gnije przykuty jak pies na łańcuchu...

Marysia słuchając drżała, ale widocznie poruszoną była, i mało brakło by rzekła:

— Otom gotowa iść z wami...

Ale każde wejrzenie na chatę żalem ją napawało.

— A! — zawołała — jakże to wszystko opuścić!... Wy nie znacie tego żalu, boście przywykli wędrować, ja nie wiem jak się oderwać od swojego kąta? A cóżby się stało z niemi!

I wskazała na zwierzęta swoje.

Aza rozśmiała się białemi ostremi zębami...

— Co? — rzekła — kto twój, a bez ciebie żyć nie potrafi, ten pójdzie z tobą; kto nie wart łzy, zostanie. Tym stworzeniom jak trawie co na dachu rośnie, nie ten potrzebny kto żyje pod dachem, ale grudka ziemi co je żywi... Maszże być ich piastunką?

— Kości dziada! kości matki! — zawołała dziewczyna — i to miejsce...

— Dziecko — przerwała Aza — matki duch pójdzie za tobą, a miejsce wszędzie twoje, gdziekolwiek usiądziesz.

— A chata ręką ojca zbudowana?

— Już i tak się wali na głowę twoję; nam wielki ojciec chatę wieczną zbudował. W drogę! w drogę! dziś jeszcze w nocy idziemy, i ty z nami! Jutro nasz obóz rozłożym o mil kilka i wszystko się zapomni.

— O! nigdy! nigdy! — zawołała dziewczyna.

Aza uśmiechnęła się.

— Mówimy *nigdy*, a jutro, dziecko moje! jutro! serce twardnieje jak kamień: śladu kto na nim siedział nie będzie.

I z dziką energią uderzyła się w pierś zeschłą.

— Nasz obóz w rudeńskim lesie: masz cały dzień na sprzedaż twoich rupieci, o świcie ruszymy; ale nie mów nikomu! Ja sama przyjdę po ciebie!

Tych słów domówiwszy Aza, rzucając je jak nasienie, które wyrosnąć miało powoli, wysunęła się z chaty, samą zostawując sierotę!

Marysia widziała już konieczność ucieczki i uwierzyła w to przeznaczenie jakieś, które ją gnało za cyganami, jedyną rodziną przyznającą się do sieroty; bolała, ale nie widziała sposobu zmienić tego losu, i zakrzątnęła się wyborem do drogi.

Zamknąwszy drzwi chaty, pobiegła do Sołoduchy, któréj nie zastała w domu; potém do Semenychy odnosząc jéj motki i przędzę.

Zdziwiła się starucha zobaczywszy Marysię w dzień powszedni, a więcéj jeszcze, gdy w jéj ręku niedoprzędzone lnu dziesiątki ujrzała.

— A co to? — spytała.

— To matko — odparła całując ją w rękę sierota — to reszta przędziwa: już go wam nie doprzędę... bo idę... idę służyć.

— Jakto? ze wsi? dokąd? po co?

— Niedaleko... nie wiem, do Rudni — zająkując się odpowiedziała Marysia.

— Do kogo?

Dziewczynie strasznie ciężko było kłamać pierwszy raz w życiu, i kłamała tak niezręcznie, że stara głową kiwając, zrozumieć jéj nie mogła.

— Róbcie sobie co chcecie — dodała starucha — ale pamiętajcie duszy jeno nie gubić; dotąd byłaś poczciwą, siedziałaś doma, a chleba ci nie brakło; idziesz w świat, kto to wié czy będzie lepiéj... Przystojna jesteś, ludzie nicpotem... dobrze na się patrz Marysiu.

Cóż odpowiedzieć było? Ot zapłakała znowu, a nieczekając nawet zapłaty, wybiegła, żeby ją łzy i słowa nie zdradziły. Sołoducha szła drogą i spotkały się na gościńcu.

Z tą trudniéj było daleko.

— Wy nic nie wiecie? — spytała Marysia żywo.

— A co mam wiedzieć?

Cyganka poczęła jéj opowiadać przybycie starego Choińskiego i cały dzisiejszy poranek; a Ratajowa aż wargi z gniewu zakąsywała.

— Byłam tego pewna, że skoro Marcinisko téj sprawy powąchał, już się ona nie utai; a cóż teraz myślisz? — zapytała.

— Dziś sprzedaję co mam w chacie, resztę na wolą Bożą zostawiam, a jutro mnie tu nie ma! — odpowiedziała stanowczo dziewczyna.

— Coś ty oszalała?

— Mówcie sobie co chcecie, stało się... Przejeżdżał mieszczanin z Taborzysk, przyjęłam służbę w miasteczku i wzięłam zadatek..

— Kiedy? jak?

— Dziś o półdniu...

Sołoducha pokręciła siwą głową.

— A gdzie ci tu kto tak prędko co kupi?

— Resztę wam zostawię...

— Ale po co iść: na zgubę, na pohybel! Porzuć chatę, chodź do mnie, nikt cię u nas nie zobaczy; ludzie się przedziwują i przegadają, a potém do chaty powrócisz.

Dziewczyninie łza pociekła, ale głową potrzęsła w milczeniu.

— Nie! nie! bywajcie zdrowi Matusiu! To już być nie może... Wzięłam zadatek, dałam słowo... Tylkobym chciała starego Rataja pożegnać i za chléb i jemu podziękować...

— Stary włóczęga gdzieś w Brzozowéj-górze na prażniku, ani słychu o nim...

— O! szkoda!.. szkoda!..

— Nie odchodź lepiéj jak masz żałować — rzekła wpatrując się w nią Sołoducha — w mieście ty zginiesz z taką twarzyczką... Gładkie liczko, to dla dziewczyny utrapienie: spokoju ci nie dadzą.

Marysia przerwała jéj mowę.

— Matko! — odezwała się — jutro rano przyjdźcie do chaty, a co w niéj zostanie, to wasze... Tylko proszę was, proszę, weźcie do siebie Burka, gołębie i ptastwo, niech z głodu nie zdycha: weźcie dla miłości Bożéj...

Sołoducha miała coś odpowiedzieć, gdy Marysia szybko ją pocałowawszy w rękę, biegiem od niéj uszła. Pilno jéj było nacieszyć się tą chatą, któréj więcéj widzieć nie miała, swemi przyjaciołmi wiernemi i ostatnim dniem młodości. — Pobiegła, pobiegła wprost na cmentarzysko, naprzód na mogiłę matki, twarzą na ziemię padając przy niéj zapłakana.

Nie wiem jak długo leżała tak na wilgotnéj glinie, ale gdy wstała, zesłabła i złamana boleścią, znużenie samo sprowadziło w niéj jakąś zmianę: zdrętwiała, ostygła; podniosła się machinalnie, poszła do chaty powoli, krótki był wybór, i mały węzełek jéj podróżny: rzuciła go na ławę zostawiając wszystko, niechcąc nic ruszyć z miejsca, aby dłużéj patrzéć na nietknięte domostwo swoje. Obeszła potém wszystkie kąty, żegnając każde miejsceczko, każdą ściankę, każdą komórkę chaty; niespokojny Sierotka, sam jeden towarzyszył jéj

w téj pielgrzymce. Ani się spostrzegła jak zgłodniałéj i znużonéj dzień przeleciał strzałą, a słońce zapadać zaczęło za góry i lasy.

Z kawałkiem chleba, który gryzła, wyszła Marysia na próg, powtarzając usty najstraszniejszy z ludzkich wyrazów: — ostatni raz, ostatni!

A! czyż nie każda chwila w życiu naszém ostatnia? Choć o tém zapominamy, w każdéj z nich obsypuje się jakaś cegła z téj ruiny, którą zowiemy życiem. W mgłach tego wyrazu: — raz ostatni — inaczéj wydało się jéj wszystko; pożałowała nawet boleści i sieroctwa swego. Sen ani myślał kleić jéj powiek i pozostała tak na przyźbie, aż ją krzyk ptastwa dopominającego się strawy przebudził.

Pobiegła i wyniosła im płacząc wszystko, co miała jeszcze, rozsypując po ziemi ziarno, o które obojętnie rozbijać się zaczęli zgłodniali. Patrząc na to setne powtórzenie codziennéj swéj zabawki, usnęło biedne dziewczę zmorzone uczuciem i boleścią, któréj ciało znękane podołać już nie mogło.

Gdy otworzyła oczy, księżyc już był wysoko na niebie, a przed nią stała czarna postać Azy cyganki.

— Czas! czas! — odezwała się do niéj przybyła — wybieraj się i chodź ze mną!

Marysia wstrząsnęła się, krzyknęła, ale po chwili namysłu wbiegła do chaty, i szybko jakby się sama lękała siebie, porwała przygotowany węzełek, nie patrząc, nie oglądając się, a biegnąc z Azą na szeroką drogę.

Przed nią był cmentarz... Aza ciągnęła za rękę, ale dziewczę co nie pożegnało chaty, musiało matki mogiłę pożegnać. Cyganka nie śmiała wejść za nią na pole umarłych, wśród którego jak duchy czarne wznosiły się gęste krzyże.

Sama tam weszła sierota i ścieżką swoją trafiła na znane miejsce: pocałowała zimną ziemię, pomodliła się jeszcze.

— Matko! — szepnęła w ostatku — ty widzisz, że mi iść potrzeba; tu nie bracia moi, tu obcy, jeden był, a i za tego przeklinaliby mnie starzy rodzice. Ty wiész co to przekleństwo starego ojca za dziecko swoje! Trzeba iść w świat, w świat!

I objęła jeszcze rękami starą wierzbę, na któréj kądziel wieszała; a w tém niecierpliwy głos cyganki dał się słyszeć, i dziewczyna posłuszna mu jak głosowi przeznaczenia, wyrwała się ze cmentarza.

A księżyc tak srebrzysto oświecał lepiankę starą, a na jéj dachu gruchotały gołębie, a na jéj progu bielały gąski zbierające jeszcze resztki owsa, i Burek leniwy mruczał na przyźbie... Jeden Sierotka wierny szedł za swoją panią liżąc jéj rękę, jakby zaręczał że jéj nie opuści.

Przelotném wejrzeniem objęła ten obraz niezapomniany dziewczyna, i rzuciła się drogą, by odeń uciec co prędzéj... Aza ledwie za nią podążyć mogła, mrucząc pod nosem:

— Krew ojca!

— W milczeniu przeszły górę, okrążyły wioskę i zbliżyły się do drugiéj mogiły na rozdrożu, u której zatrzymała się cyganka.

— Czekaj — rzekła do wylękłéj Marysi — i to mogiła, którą pożegnać potrzeba: — mogiła ojca twojego... modliłaś się za matkę, niech i ja powiem słowo duchowi przyjaciela...

Dziewczę wstrzymało się drżące i objęte jakimś strachem; a cyganka powoli wstąpiła na pagórek, twarzą obróciła się do księżyca, wyrwała garść zeschłéj trawy z mogiły, garść suchych dorzuciła gałęzi, i dobywszy ognia, zapaliła tajemną jakąś ofiarę.

Rzuciła na nią zioła wonne i coś z chusty dobytego; zaczęła szeptać słowa i tajemnicze zaklęcia, a rękę zwróciwszy na dwór i wioskę, miotać się zdawała jakieś na nie przekleństwa. Wiatr, który rozdął płomyk i susz rozpalił, wprędce téż zdmuchnął ten stos pogrzebowy, a ogień buchnąwszy do góry, opadł i zagasł w mgnieniu oka: świst tylko wiatru, który zdawał się z sobą unosić słowa cyganki, rozległ się po okolicy.

— A teraz daléj! daléj w świat! — ozwała się schodząc z mogiły Aza — w świat córko cygana.. Pamiętaj, że ci ojca zabili *gadziowie*... pamiętaj!

We dwa dni potém pan Marcin z budek Rudeńskich powrócił do domu ze Stawiska, i znowu zatrzymał się u wrót podwórka Choińskich.

Adam siedział u chléwka na kłodzie i chmurny fajkę palił, która mu co chwilę zagasała.

— Dzień dobry kumie!

— Dzień dobry waszeci... A co? może znowu z żytem?

— A zkąd go nabrać? Jadę ze Stawisk od młyna.

— No, to jedźże z Bogiem — odrzekł pan Adam — a jaką tam miarkę biorą?

— Dziesiątą z czubem — odezwał się Marcin wzdychając — Ot! jaki to czas! Ale, ale kumie, mam i nowinę dla was zanadrzą.

— A kat cię bierz z twojemi nowinami co je po pół złotego sztuka w sztukę płacić każesz; może i tę masz na sprzedaj?

— A jakże i złotybym się za nią wziąć nie powstydził.

— Patrzajcie! wydrwigrosz! Już mnie teraz nie złapiecie; syn w domu, prawda że coś niedomaga; ale to młode, to się wychoruje i diabli go nie wezmą.

— Bywajcie zdrowi kumie — rzekł z uśmiechem Marcin, zabierając się niby do odjazdu.

— No! a wasza nowina?

— Jest u mnie jeszcze ćwiartka grochu: cobyście mi za nią dali?

— Ot! żydzisko! — zaburczał pan Adam — a po diabła mi twój groch?

— A dla wieprzów? Oddam nie drogo.

— Wiem ja go; przez wpół robaczywy i lady w nim pełno... Ale nowina?

— A cóż dacie za groch?

— Dajcie pokój, kiepskie żarty!

— Dobranoc kumie.

Właśnie gdy to mówili, chory Tomek wywlókł się był do sieni, a ujrzawszy ojca i wyjść daléj nie śmiejąc, słuchał mimowolnie rozmowy.

Marcin odchodził, pan Adam go wstrzymał.

— No, no! — rzekł — kupię groch kumie; a co tam?

— A dziwy! — odparł Marcin, któremu się gęba rozwiązała gdyby cudem — tażto Marysia cyganka, jakeście ją nastraszyli, tak nieboga z chaty uciekła wszystko porzuciwszy.

Choiński się zerwał z miejsca.

— Czy to może być?

— Jak Bóg Bogiem...

— A to uczciwsza dziewczyna niż myślałem!

— To téż kto żyw wszyscy ją we wsi żałują i rozpadają się po niéj; a co się słyszę napłakała biedniaczka, nim poszła! A na odejściu, wyraźnie tak powiedziała Sołodusze, że przekleństwa waszego nie chce mieć na głowie.

— A gdzież się podziała? — spytał Choiński.

— Bóg wié! Jedni gadają że poszła gdzieś służyć do miasteczka: drudzy że ją zabrali i namówili cyganie, co to tu byli i niedawno nocką zemknęli...

— A! szkodać mi jéj niebogi! — westchnął stary — kiedy to takie poczciwe... ha! Ale może to i lepiéj!

— A kiedy mój groch przywozić każecie? — zapytał Marcin. — Ale pan Adam poszedł zafrasowany do żony, i zapytania tego już nie słyszał.

W chwili, gdy przez sień przechodził, Tomko, który stał jak wryty za drzwiami zaczaiwszy się, skoro ojciec izbę za sobą zamknął, wychwycił się na podwórze. Pan Marcin pokiwawszy głową i coś namruczawszy o grochu, zawrócił do domu. Chłopak tymczasem jakby nic nie wiedział co się koło niego działo, pobiegł wprost do stajenki, dopadł siwka, uzdę mu na kark zarzucił, i oklep nań siadłszy, ścisnął go kolanami.

Wrota były otwarte, i nim się w chacie postrzeżono, już Tomko był na drożynie, a wnet i skrył się w lesie.

Matka i ojciec ani się domyślali ucieczki i gadali jeszcze z sobą pocichu, gdy syn na polance wśród dębniaku stanąwszy, rozmyślał tylko co począć z sobą.

— Polecę za nią na kraj świata — mówił w duchu — ale jak ją tu wyszukać? gdzie się ona biedna podziała? kogo tu spytać o nią?

Jakby na zawołanie koń pierzchnął ze strachu i stara Sołoducha o kiju idąca ukazała się o kilka kroków.

— A to wy paniczku! — zawołała — tylko coście moich starych kości nie roznieśli.

— Sołoducha!! a to ty! biesże cię po nocy lasem wodzi?

— Niosę Marcinowéj lekarstwo; a wyżto dokąd?

Tomko westchnął.

— W świat! — rzekł.

— O! to daleko paniczyku — odezwała się stara. — W którąż stronę, możebyście się komu pokłonili odemnie?

— Albo ja wiem gdzie pojadę — odparł chłopiec. Tylkom co się dowiedział o mojém nieszczęściu. Polecę jéj szukać choćbym miał kark skręcić...

— Paniczku, a ojciec? a matka rodzona?

— Nie chcieli mojego szczęścia, niech i mnie nie mają — zawołał Tomko. — Ale nie wiész gdzie się ona podziała?..

— Gdzie? jużciż pewnie z cyganami poszła... bo ją ta bestya kusiła nie mało? a jak wasz ojciec pogroził, musiała nieszczęśliwa posłuchać włóczęgów.

— A cyganie dokąd poszli?

— Ale! szukaj wiatru w polu!.. Jeszcze dwa dni temu byli w Rudeńskim lesie, terazby o nich ludzi pytać...

— A! prawda! jakiż ja głupi! — zawołał Tomko. Od tutejszych ludzi dowiedzieć się muszę i pójdę tropem.

I ścisnął siwego, a babie nie powiedziawszy nawet Bóg zapłać za radę, znikł w lesie gdyby wicher pędząc bez drogi.

Sołoducha się uśmiechnęła i mrugnęła okiem.

— Ot tobie szlachcicu zalecanki! ot tobie stary górą głowę nosić! Będziesz cygańskie dzieci kołysał.

Nazajutrz lament i zamieszanie w Choińskiego chacie. Syn jak w wodę wpadł, nie wiedzieć gdzie się podział; ojciec winuje matkę, matka na ojca narzeka, a oboje płaczą. Całe budki zeszły się pod ich podwórko, każdy z radą, ubolewaniem, z dobrém słowem, a pan Marcin z grochem. Sołoducha także przyparła się do płotu, niby nic nie wié, milczy i wzdycha tylko.

Na dziedzińcu zagrody jak w wielkie dnie nieszczęść i klęski, wszyscy razem: i pan Adam z załamanemi rękoma, i Agata rwąca włosy z siwéj głowy, i czeladka szepcząca o Tomku różne wiadomości pochwytane z przeszłości, różne domysły Pan Bóg wié na czém oparte.

— A niechby się był żenił z kim chciał — wołała Agata — z cyganką, żydówką, ostatnią łajdaczką; mogłoby się to licho powoli nawrócić i poprawić naszém staraniem i modlitwą; ale tak pójść, uciec od nas na kraj świata!!

— Niewdzięczne dziecko! — krzyknął pan Adam, dałbym mu sto łóz, gdybym go złapał.

— Otóż to twoje pięćdziesiąt i sto coś je raz wraz powtarzał, tego licha narobiło — odparła matka. — Tybyś mu nie dał i pięciu, a na języku tylko waszeci batogi a batogi.

— Ależto nie może być! — zawołał ojciec chodząc po podwórku — ja go taki wynaleźć muszę, żeby się śród ziemi schował!

— A jakże poszedł za kordon? — odezwał się jeden z sąsiadów.

Choiński westchnął ciężko na samą myśl która i jemu do głowy już przychodziła, bo Rudnia nie daléj dwóch mil leżała od Galicyjskiéj granicy.

— Cyganie musieli pewnie do Węgier pociągnąć, to i ona i on za niemi poszli — potwierdził drugi.

— A! nieszczęśliwa godzina moja, już go oczy moje więcéj nie zobaczą! — płakała matka. — Adamie zlituj się na rany Chrystusowe, gonić ich potrzeba!

— Co gonić! kogo gonić! gdzie? — odrzekł ojciec niemniéj zafrasowany — wiatru w polu! A któż go wié gdzie jest?

W tém Sołoducha ukazała się z za płota.

— Za pozwoleniem waszeci — odezwała się — a ja tu jego wczoraj w lesie na siwku oklep jadącego spotkałam...

— Spotkałaś go? — krzyknęli ojciec i matka podbiegając ku niéj — gdzie? jak? kiedy?

Wszyscy otoczyli Sołoduchę; a ta rada, że na nią tak obrócili oczy i nastroili uszy, zabrała się do opowiadania. Nie myślcie jednak, żeby po prostu powtórzyła jak było; sta-

rucha miała zwyczaj chwalebny zawsze coś z głowy dorzucić, i teraz też nie omieszkała dodatków.

— Idę ja, idę wczoraj drogą — mówiła — a był sobie tak zmierzch już dobry; idę drogą, tą drogą, co to na budki ze Stawiska prowadzi przez las mimo pasieki dobrodzieja; idę, i modlę się sobie... Jedną razą, Chryste Jezu! jakby dąb leciał na mnie, szum, trzask, ledwie miałam czas odskoczyć: patrzę przestraszona, żegnam się... a to Tomko tak gna na siwym. Ot tak oklep siedział na nim, a taki straszny, taki blady, jak chusta: bez czapki, z włosem nasrożonym na głowie... Czy nie swój, czy chory, czy nawiedzony.

Ażem krzyknęła... a on stanął i patrzy... patrzy, a oczy mu się świecą. Boże jedyny jak straszno!! A potém do mnie, bo on mnie znał i dawniéj, i taki nie minął, żeby dobrego słowa nie powiedział. — Dobry wieczór matko? — A ja: — Dobry wieczór paniczu; a dokądże tak? On tylko ręką rzucił. — W świat, gdzie oczy poniosą. — Ja tedy: Miły Boże, dokąd? jak? co? cóż to jest? — Ten tedy westchnie, aż mi ciarki po skórze poszły. — Niechcieli szczęścia mojego, niechże i mnie nie mają; ot za cyganami pojadę i z cyganami na włóczęgę. — Ja widząc, że to nie żarty, kiedy go nie zacznę prosić i odwodzić, ale gdzie?? tylko że mnie nie wybił... Potém powiada — Słysz stara! na to już nie ma rady; ja za nią pójdę choćby w piekło, bo bez niéj żyć nie mogę; a jeźliby mnie i złapali... dodała chytra Sołoducha — to sobie śmierć zrobię... bo mi życie obrzydło!...

Długie milczenie nastąpiło po tém opowiadaniu; matka spojrzała na starego Choińskiego, on wargi zaciął, głowę spuścił, a Marcin nielitościwy złą dobrał porę spytać go, gdzie groch zsypywać.

Nic nie rzekł pan Adam, łza mu się jakaś zakręciła w oku, i do wozu kazał co najrychléj zaprzęgać. Z zimną krwią wydawał rozkazy, dobrał trzech sąsiadów, wyznaczył dla nich konie, sam sobie wózek opatrzył i rozdysponował pogonią.

Matka stała, patrzała, ale ze strachem widząc tę zimną krew nadzwyczajną Choińskiego, czekała tylko pory, żeby coś z niego wydobyć, żeby go nieco zmiękczyć. Namarszczona brew, ścięte usta, bladość twarzy pana Adama, przerażały ją; nie mogła się domyślić co postanowił, nie wiedziała więc od czego zaczynać; dopiéro gdy rzuciwszy ciekawych paplejących w podwórku, Choiński wszedł do chaty po trzosik podróżny, żona pośpiesznie się za nim wcisnęła.

Sami byli w izbie.

Stara siwowłosa kobieta uklękła przed mężem i panem, i nie mówiąc słowa, przyciągnęła do ust spracowaną dłoń jego.

— Adamie! — rzekła po chwili — odezwij się, powiedz, co ty myślisz o dziecku naszém, co u ciebie w duszy: nie zabijaj mnie przed czasem... Po co go doganiać, jeżeli nie chcesz mu ani przebaczyć, ani pofolgować biednemu.

Nie uważała, że staremu ojcu ręce się trzęsły, gdy woreczka z pieniędzmi dobywał, że oczy miał łez pełne i chlipał prawie; nie dopatrzyła się, że wszystek już gniew ojca przepaliła żałość po jedynaku, że jedyną jego myślą było tylko odzyskać Tomka.

— A! Agato! — zawołał wybuchając — na rany Boże, czyż ty mnie jeszcze nieznasz; daj Boże, byśmy go odszukali, a nie bój się o chłopca. Ludzie świadczą, że dziewczyna poczciwa: niech się dzieje wola Pańska — dodał poważnie — Chciał nas Bóg upokorzyć w oczach ludzi tą synową, żeby nas grosz zapracowany w dumę nie wzbijał; niech się dzieje wola Jego... niech się stanie... Bylebyśmy go odzyskali! A że koni i siebie i grosza nie pożałuję, możesz być pewną; klęknij ty przed Najświętszą Panną i świętym Antonim, niech nam odda zgubę naszę...

To mówiąc pocałował ją w czoło wydarłszy rękę, którą do ust cisnęła, i poważnym krokiem wyszedł z chaty. W podwórku wszystko już było gotowe: trzech szlachty, konie, wozy; a ciekawi tłumnie wyprawę otoczyli.

Adam stanął w pośrodku.

— No — rzekł — waszeć panie Wincenty, jeźli łaska na Stawisko; choć tędy cyganie iść nie mogli, ale żadnego szlaku minąć nie chcę... Wy kumie Macieju, mimo Porwańca ku granicy pociągniecie; a żywo, i koni moich nie żałujcie... Ty Bartku, przez lasy na karczemkę mecherzyniecką, a ja od wsi będę szukał języka, i za nim się powlokę. Jeżeli z cyganami się zetkniecie, chwytajcie mi i Tomka i dziewczynę... Niech się dzieje wola Boża, kiedy już inaczéj być nie może. Powiedzcie mu, że przebaczam wszystko i pobłogosławię... pobłogosławię — powtorzył głosem drżącym.

Sołoducha posłyszawszy to, rozparła tłum i przybliżyła się.

— Czekajcieno — rzekła — naprzód potrzeba jechać do wioski, napytać języka, potém wprost śladem cyganów, bo taki mówił, że ich dogoni... Byle pośpieszyć nim się do granicy dostaną, bo jak kordon przejdą, to wszystko przepadło.

Już szlachta na konie wsiadła i Adam na wózek się zbierał, gdy Sołoducha plasnęła w ręce ujrzawszy Rataja zbliżającego się drogą od wsi do budek

— Postójcie! postójcie! — zawołała znów głosem donośnym — ot mój się stary wlecze, onże wié co się dzieje na trzy mile w koło, jego tylko popytajcie, on wam najlepiéj powié gdzie cyganów szukać!

Choiński z wózka skoczył, szlachta z koni, i nim Rataj się zbliżył o płot się opierając, już go pytaniami zasypali.

— Czekajcieno, powoli — rzekł żebrak stając — a na co wam cyganie? czy koni nakradli?

Sołoducha zbliżyła się, a stary poznał ją po chodzie, nim gębę otworzyła.

— A! i moja stara tutaj — rzekł — ha! chatę porzuciła i po świecie się włóczy! — Ale Sołoducha nie dając mu się rozpościerać, poczęła coś szeptać na ucho, stary głową pokiwał, i czapkę zdjął udobruchany.

— A na co was tyle? — rzekł powoli — ot niech pan Adam mnie z sobą na wóz weźmie, ja go do cyganów doprowadzę.

— Ty ślepy?

— Ale ba! lepiéj ja bez oczu widzę niż wy, co ich macie po dwoje na jednego. Siadajcie, ta czasu nie traćcie, stary Rataj nie zawiedzie.

Choińskiemu nie w smak było brać z sobą na wóz żebraka, ale cóż miał począć; Rataj tylko się za koszyk pochwycił i rześko wskoczył do środka.

— Wy Bartku za nami — rzekł Choiński.

Zacięli konie, i daléj w las manowcami, jak dziad pokazywał.

Od Rudni i budek Rudeńskich, przestrzeń lasów przecinana tylko polankami i łąkami, na których stoją odwieczne dęby i brzozy, ciągnie się bez przerwy prawie do saméj galicyjskiéj granicy, któréj szlak przechodzi wzgórzystém zaroślem. Mało kto tak znał dobrze tę okolicę jak Rataj stary, który póki oczu nie postradał przekradał paczki, a i teraz jeszcze w sakwie pod pozorem żebractwa, niejedną kontrabandę modląc się przemycał. Wszyscy nad granicą uwijający się żydkowie i ich pomocnicy, byli mu doskonale znajomi: żadna w lesie kryjówka nietajna, a ścieżkę każdą tak opisywał, że Adam wydziwić się nie mógł, jak on bez oczów wszystko tak mógł pamiętać.

Bili się tak po lasach dzień cały po szkaradnéj drodze, dwa razy trochę oddychali, a gdy noc nadeszła, Rataj wóz poleciwszy zostawić z chłopakiem w gęszczach, sam z Choińskim i Bartkiem począł prowadzić piechotą.

Wprędce jednak namyśliwszy się, znowu za sobą koniom iść kazał. Tu dopiero pokazało się, że lepiéj czasem oczu nie mieć, bo dla jednego Rataja nocy nie było; wiódł ich jak we dnie, ani na chwilę się nie zastanawiając i ani razu nie zgubiwszy drogi.

W milczeniu tak zbliżyli się ku dolinie zewsząd pagórkami opasanéj, wśród któréj stary Choiński pierwszy dostrzegł rozpalone ognie. Zatrzymali się na wzgórku i podkradając pocichu, ujrzeli widok malowniczy, dziki i w swoim rodzaju dziwnéj surowéj piękności.

Cały tabor cyganów leżał w dolinie u wielkiego ogniska, rozpalonego pod rozłożystym dębem wypróchniałym. Szatra płócienna przyparta była do pnia jego i przytwierdzona do grubych pokręconych gałęzi. Tuż stał wóz i para spętanych koni się pasła.

Widać było kociołek (kakabia) na trzech laskach zawieszony nad ogniem, zwijające się przy nim baby i siedzącą z głową na rękach opartą Azę, i leżącego u nóg jéj Aprasza, i kilkoro cyganiąt wyrostków kręcących się w kółko przy starszym, który im grał na drumli. Zrazu oczy niespokojne szlachcica nie dostrzegły ani syna, ani dziewczyny, i serce bić mu zaczęło niepokojem.

— Nie ma tu ich, nie ma! — zawołał łamiąc ręce.

Ale w téjże chwili Bartek wskazał mu na uboczu w cieniu ledwie odblaskiem słabym oświeconą parę, w któréj oko starego rozeznało Tomka i Marysię. Sierota siedział na pniu

spróchniałym, zakrywszy oczy rękami, u nóg jéj mały leżał węzełek, Tomko stał z boku, mówił coś do niéj i jakby zaklinając bił się w piersi... Pies z nastawionemi uszami siedział przy swéj pani, poglądając niespokojnie do koła.

Niekiedy wzrok Azy padał na nich, ciekawy, szyderski, pełen jakiegoś uczucia mściwéj prawie radości. Choiński rozpoznawszy to wszystko, chciał się zaraz rzucić do syna, ale go drudzy, a zwłaszcza Rataj opamiętał, że uciec mogą, że cyganów siła większa, a licha drażnić niebezpiecznie. Poczém wskazawszy ręką staremu, żeby pozostał na uboczu, sam odsunął się nieco i wszedłszy w bliski wąwóz, prosto się skierował na ciepły dym cygańskiego ogniska.

Dobrze się zbliżył, a nikt go nie dostrzegł jeszcze; dopiero gdy Sierotka zaszczekał i za nim dwa psy cygańskie ujadać zaczęły, Aza spojrzała, Aprasz się podniósł i co żywo kupić się i zbiegać jęli, na dziada kierując.

— Dajcieno pokój, to stary Rataj ze Stawiska — rzekł Tomko — pewnie przenosi żydom paczki, a powąchawszy dymu, przyszedł się ogrzać.

Cyganie zdawali się naradzać co począć, a stary śmiało się zbliżył do obozowiska. Kijem namacał miejsce uczuwszy się przy ogniu, psy odpędził i usiadł na trawie, ani się troszcząc o otaczającą go gawiedź cygańską.

Na widok Rataja Marysia aż krzyknęła z radości, tak jéj Stawisko, chatę i życie dawne przypomniał, i zabywszy wszelkiego strachu, nie myśląc taić się z sobą, rzuciła się zaraz ku niemu.

— Jak się macie ojcze? jak się macie?

— A! to ty Maryś! hę? — zawołał stary, który tylko na to czekał, by mu się odezwała. — Nie nowina mi to, żeś ty tutaj; domyślałem się że za cyganami pójdziesz rozkochawszy Lacha, a i Lach, licho go nie brało, za tobą pociągnął: wszakci i jego głos słyszę. Otoście się harno domyślili oboje.

Marysia stanęła milcząca.

— Ojcze — zawołała po chwili — widać, że kiedy komu z doli wypadnie być przeklętym, to już się od przekleństwa nie wychodzi; wiécie, że nigdy, ah! przenigdybym była i chaty mojéj i mogiły matki nie porzuciła, gdyby się Lach nie upędzał za mną, gdyby mi ojciec jego nie pogroził przekleństwem... Nie chciałam, żeby mnie ubogą klęli starzy jego rodzice; ale widać była w tém wola Boga!!

Dziewczę westchnęło głęboko.

— Prosiłam go na kolanach, płakałam, żeby powracał do domu; zaklinam go jeszcze, on nie chce... O! powiedźcie wy mu, powiedźcie niechaj powraca!

— Idę z Rudni — rzekł stary Rataj — toto sądny dzień u Choińskich... Źleś zrobił chłopcze: ojciec i matka rozbijają się za tobą, aż mi ich żal było, że za takim jak ty płaczą włóczęgą... Jak tobie nie wstyd! jak nie żal!

Tomko milczał ponuro; Marysia łamiąc ręce zawołała:

— Ojcze! mówcie mu, mówcie, może serce jego ruszycie. A! czyż to się godzi dobrych rodziców tak rzucać... O! gdybym ja takich miała!

— Chybabyś ty wróciła ze mną, inaczéj nigdy — rzekł Tomko — nigdy...

— O dołoż ty moja nieszczęśliwa — zawołała Marysia.

— Gdzie ty, tam i ja! albo się zatracę! — dodał chłopiec.

Rataj wydobył z torby kawał chleba i począł go krajać powoli. Aza zbliżyła się, stanęła i przysłuchując rozmowie wpatrywała się w starca, a dziki uśmiech błądził po jéj ustach.

— Poszaleją rodzice starzy — zawołała — poszaleją! Dobrze im tak, chcieli innego szczęścia dla syna, niechże innego syna szukają...

— Kobiéto! ty chyba nie masz dzieci! — odezwał się Rataj surowo.

— Nie mam! i mieć ich nie chcę — odparła dumnie Aza — póty z nich pociecha, póki wiszą przy piersi; na ziemię skoczywszy, chléb ci tylko z gęby i spokój z duszy wydzierają: nie prawda stary?

Rataj głową potrząsł.

— Nie, nie! — dodała Aza — już ani ona, ani on do was nie powrócą: muszą iść z nami! To dziecko krwi naszéj, a to jéj mąż... wyparł się wszystkiego dla niéj i dobrze zrobił... dobrze! Godzina szczęścia lepsza, niż wiek grzybiego pustego życia.

— Moja kochana — chléb zajadając odparł Rataj — to tak jak komu do serca; a jabym godzinę mojéj nieszczęśliwéj doli, na krótszą chwilę lepszego szczęścia nie pohandlował: takito się żyje...

— Tyś cygan jak my i włóczęga — odpowiedziała Aza — a nie ma jak cygańskie życie: i tobie ono smakuje. Plunę na dolę bo ją za sobą zostawiam, codzień mam nową, nowe niebo, nowe życie.. Hej! daléj a daléj, aby dzień do wieczora!

— Jak wy tak mówić możecie — nieśmiało przerwała Marysia — A! mój Boże, mój Boże! a ja za ten kątek mój, za mogiłę, do któréj serce przyrosło, i za dolę dawniejszą, dałabym życia połowę, gdyby je choć we śnie zobaczyć... Niedawnom ztamtąd poszła, a spokoju nie mam od tęsknoty, aż mi głowa pęka... aż szaleję od płaczu.

— Boś niedawno poszła — zawołała śmiejąc się Aza.

— A nędzy mi to jeszcze dodaje, że Tomko z nami, i za nim gonią przekleństwa poczciwych ludzi; zdaje mi się, że czuję jak je każdy wiatr przynosi, jak mię z nóg walą i suszą duszę moją.

— No! to powracaj nazad! — rzekł Rataj.

— Ja! alboż mogę? — westchnęła dziewczyna. — A! nigdy już! nigdy! pomiędzy tamtych ludzi, na śmiech, wzgardę, na przekleństwo!

Rataj mocno kaszleć począł, a tak robił piersią, że go o stajęę słychać było...

— Ot, co mi dasz Marysiu, — rzekł — to cię odprowadzę do domu?

— O! jabym tam i sama trafiła, gdyby mi wolno było — odpowiedziała dziewczyna — lepiéj tam Lacha zaprowadź...

— Nie mówże tego Marysiu — oburzył się Tomko — wiész, żem przysiągł, i nie opuszczę cię nigdy.

— Nieszczęście! nieszczęście! — zawołała Marysia, i twarz utuliła w dłonie.

Wtém Rataj się zerwał, wyprostował i obrócił twarzą po za siebie; a na znak ten umówiony, z blizkich krzaków jakby cudem wystąpił stary Choiński, który całéj wysłuchał rozmowy.

Zaledwie blask ognia oblał twarz jego, a krzyk Tomka, którego żebrak silną uchwycił dłonią za rękę, rozszedł się po lesie; cały obóz cygański ruszył się jak stado dzikiego ptastwa po wystrzale myśliwca. Aza zawołała na swoich, Aprasz, jego dzieci, baby, co żyło skoczyło do kijów, do siekier i wrzawą niesłychaną zapełniło dolinę.

Cyganie nie wiedząc jeszcze dobrze co się stało, sądząc się napastowani krzyczeli:

— *Katarsot*? *katarlos*? (zkąd? kto to?) — Marysia upadła na ziemię jak nieżywa ze strachu, zakrywając sobie oczy; Tomko wyrywał się i szamotał; i możeby jakim krwawym razem skończyło się to zamieszanie, gdyby Rataj nie krzyknął głośniéj od wszystkich:

— Czekajcie, słuchajcie, cyganie, poganie, psie plemie; nas dwóch, toć was nie pojémy... A ty głupi Lachu, co masz od szczęścia uciekać, jak długi do nóg ojca razem z nią...

— Ja do domu nie powrócę! — zawołał zapamiętały Tomko.

— Cicho! milcz — przerwał żebrak — ojciec ci przebaczył, powrócicie we dwojgu... Do nóg staremu, do nóg!

Na te słowa Tomko, któremu Rataj puścił rękę, osłupiony stał chwilę, a potém skoczył, objął i począł nogi ojca całować; ale Marysia usłyszawszy to zerwała się z ziemi i drżąca skryła się za Azą, pomiędzy cyganami.

Choiński stary milcząc, groźny razem i rozczulony, słowa wyrzec nie mogąc, cisnął syna do piersi.

— Przebaczam ci — odezwał się nareszcie — bierz ją i powracaj do domu; ale pamiętaj chłopcze — tu łzy mu słowa przerwały.

Tomko wychwycił się z objęć ojca szukać Marysi, która opodal stała szepcząc z cyganką.

Obóz cygański jakby czarnoksięzką dotknięty laską, kupił się, zwijał, i zabierał szybko do opuszczenia ogniska. Namiot na wóz rzucono, konie wprzęgano z pośpiechem, wszyscy pomagali do pakunku, a Aprasz niepatrząc na kogo padną, gęsto razami okładał otaczających.

Tomko przecisnął się do dziewczyny.

— Ojciec nam przebaczył — zawołał — chodź, chodź, i padnij mu do nóg ze mną.

Ale Marysia płacząc schowała się za Azę.

— Ona nie chce — odezwała się cyganka — słyszysz, że nie chce...

— Jakto nie chce? — krzyknął Tomko.

— Spytaj jéj saméj; idzie z nami...

— To i ja z wami! — zawołał Tomko ale to być nie może.

— Co to się dzieje? co to jest? — przerwał Rataj, cisnąc się do nich.

— Dziewczyna nie chce! czy co? — odezwał się stary Choiński — na rany Boże, czyż ją jeszcze prosić będziemy?

Oba z szlachcicem zbliżyli się do sieroty.

— Co tobie się stało, dziecko — począł Rataj — oszalałaś, takie szczęście odpychać? mów! To cygańska sprawa, odurzyli, czy oczarowali?

— Nikt mnie nie oczarował — odezwała się zbierając siły Marysia — ale mogęż ja, powiedzcie sami, narzucić się wam za niewiastkę? Czyto tam szczęście będzie, gdzie miłości nie ma, gdzie woli nie było? Wy mną gardzicie jak cyganką, a ja jałmużny nie chcę. Przyjmujecie mnie z żalem, żeby mieć syna, a jutro precz wygnać możecie z torbami; lub za rok jeśli dożyjem, wykluwać mi oczy cygaństwem, sieroctwem i ubóstwem... Nie! ja tego nie chcę!

Choiński zamilkł zadumany.

— Słuchaj — odezwał się po chwili namysłu — słuchaj i zawierz mi dziewczyno, bo to co mówię, mógłbym i przed ołtarzem Bożym powtórzyć... Miałem cię za ladaco, nie taję, ale kiedym cię zobaczył i posłyszał, a teraz bardziéj jeszcze... klnę ci się na Boga, że gdybym temu hultajowi wybierał żonę, a sobie synowę, tobym już innéj nie żądał... Poczciwą jesteś i hardą, a ja do chaty grosza nie potrzebuję, tylko szczęścia...

Dziewczyna stanęła wryta; łzy puściły się jéj z oczu, podbiegła, pocałowała w rękę starego i cicho rzekła.

— Bóg zapłać ci za dobre słowo; ale ludzie! ale matka!...

— E! głupia jesteś — krzyknął Rataj podnosząc sękatego kija — at! nie durzyłabyś się darmo... A mało ci to, że powrócisz do chaty swojéj do swego kąta i mogiły matczynéj, a włóczyć się nie będziesz gubiąc duszę z cyganami! Do nóg, plackiem do nóg staremu, i w drogę!

Gdy to się działo w maleńkiém kółku złożoném z Choińskich, Rataja, Bartka i Marysi; cygańska tłuszcza odstąpiwszy nieco, stała w milczeniu; rzuciwszy nawet pakunek i wybór w drogę, tak się podziwiali nie rozumiejąc dziwnym, niezrozumiałym dla nich targom.

Aza stała milcząca, chmurna, zagniewana, a gdy wreszcie ujrzała, że Marysia pada do nóg staremu; rozśmiała się śmiechem szatańskim, jak przekleństwo przeraźliwym.

— Głupia dziewczyna! — zawołała — idź na zgubę, kiedy chcesz, idź.

I odwróciła się do swoich.

— Aprasz w drogę! na Węgry!

— I my w drogę — zawołał Choiński — w chacie nas tam modląc się czeka matka...

Gdy sierota odwróciła się chcąc zbliżyć, by pożegnać cygankę, Aza cofnęła się odpychając ją ręką:

— Idź precz, krew gadziów nienawistnych — zamruczała przez zęby — idź na stracenie do swoich... Nie warta jesteś ogniska Romów i Romów serca... precz biała!

Porwali ją otaczający, i na wytaczający się z krzaków wóz wsadzili. Zasiadł zaraz stary, Tomko i Bartek, a tak szybko unosili się obawiając napadu cyganów, że nawet o starym Rataju zapomnieli, który o kiju pomrukując, powlókł się za niemi. W istocie posłuszna Azie banda, zdawała się cicho tylko naradzać, by odbić i porwać dziewczynę; ale nim się tam rozmyślili co począć, konie zaciąwszy Choińscy po bezdrożach popędzili ku Rudni przez lasy.

W popłochu tym, tylko siwy koń Tomka padł ofiarą, bo go Apraszowie uprowadzili z sobą na Węgry.

W kilka tygodni potém — skończmy jak się kończą bajki — sprawiono huczne wesele... A było obfite, a było wesołe, a było ochocze i gości na niém co niemiara. I ja tam byłem, miód, wino piłem, po brodzie ciekło, w gębie nic nie było...

Chata za wsią stoi jeszcze staruszka, ale obok na gruncie, na czynsz puszczonym Choińskim, osiadł Tomko i pobudował dworek, o którym kiedyś, kiedyś, gdy mi na duszy

będzie weseléj, na sercu swobodniéj a na świecie lepiéj, może wam kiedy opowiem: bo w bajce tylko kończy się wszystko weselem, na świecie od niego poczyna... a chata za wsią stoi jeszcze...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/chata-za-wsia/

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Chata za wsią, wyd. B.M. Wolff, druk. J. Jaworski, Petersburg 1854-1855.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, a korektę ze źródłem Wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0418-0

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.